


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

KRÓL PIAST

**(MICHAŁ KSIĄŻĘ WIŚNIOWIECKI)
POWIEŚĆ HISTORYCZNA**

**CYKL POWIEŚCI HISTORYCZNYCH
OBEJMUJĄCYCH
DZIEJE POLSKI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000



Michał Korybut Wiśniowiecki
Miedzioryt ze zbiorów Muzeum Narod. w W-wie

TOM PIERWSZY

I

W Łowiczu, w dworcu arcybiskupim¹, gdzie podówczas prymas Prażmowski² przebywał, bliżej chcąc być stolicą, pod koniec 1668 roku, po odjeździe Jana Kaźmirza³ ruch, zjazdu i narady były nieustające. Arcybiskup pochlebiał sobie, że miał w ręku koronę i że nią rozporządzi, jak mu się podoba, sobie, rodzinie i sprzymierzeńcom zapewniając znakomite korzyści. Francuskie zabiegi, poczęte za żywota Marii Ludwiki⁴, przeżyły ją i tryumfowały.

Znudzony wszystkim Jan Kaźmirz jechał do Francji odpoczywać na tłustym opactwie⁵, a po drodze był tak wesół, że w Krakowie tańczył, a jego orszak tak się sprawiał butno, że szlachtę bił, która ekskróla pozywała do sądów kapturowych⁶ i sądziła go na infamii⁷. Żartobliwsi na sejmie abdykacyjnym⁸ przewali go już panem Snopkowskim, od wąsów snopu⁹ w szwedzkim herbie.

Smutne to zrzucenie korony, od której Walezjusz¹⁰ uciekał, jowialiści¹¹ ówczcześni w żart obracali. Niczyjego serca nie przejęły te groźne, prorocze, natchnione, łzawe wyrazy, jakimi Jan Kaźmirz kraj pożegnał.

Takie to były czasy. On sam, z piersi dobywszy to złowrogie proroctwo Kassandry¹², które było jakby echem kazań Skargi¹³, on sam śmiał się nazajutrz, zostawszy panem Snopkow-

¹ Mowa o zamku biskupim nad Bzurą w pobliżu Łowicza. Zamek ten został zbudowany w XIV w. przez Jarosława Bogorię ze Skotnik i należał do prymasów gnieźnieńskich

² Mikołaj Prażmowski (1617–1673) – prymas, przywódca stronnictwa francuskiego, zamierzał wprowadzić na tron polski księcia francuskiego. Po wyborze Michała Wiśniowieckiego, otwarcie mu się sprzeciwiał i był główną sprężyną wszelkich knoń przeciwko królowi. W obronie króla szlachta zawiązała konfederację pod Gołębim i skazała go na uwięzienie

³ Jan Kazimierz (1609–1672) – król polski, panował od r. 1648–1668

⁴ Maria Ludwika z domu księżna Gonzaga (1611–1667) – w roku 1647 poślubiła Władysława IV. Po śmierci króla, była zwolenniczką kandydatury Jana Kazimierza na tron polski, Maria Ludwika została później żoną Jana Kazimierza

⁵ Wzmianka dotyczy opactwa w Nevers we Francji. Opactwem zarządzał Jan Kazimierz po złożeniu korony polskiej

⁶ sąd kapturowy – sąd karny podczas bezkrólewia i podczas trwania elekcji Michała Wiśniowieckiego

⁷ infamia (łac.) – sądowe pozbawienie czci i praw obywatelskich; tu: utrata czci i praw królewskich

⁸ sejm abdykacyjny – zgromadzenie senatorów i posłów na obrady publiczne w celu złożenia z tronu króla; tu mowa o sejmie w dniu 16 września 1668 roku, na którym „złamany obradami” Jan Kazimierz złożył koronę

⁹ Wzmianka dotyczy herbu Wazów – „Snopek”

¹⁰ Henryk Walezy (1551–1589) – pierwszy król elekcyjny w Polsce, w roku 1573 porzucił Polskę dla objęcia korony francuskiej

¹¹ jowialista (z łac.) – żartowniś, facecjonista

¹² proroctwo Kassandry – Cassandra – wieszczka trojańska, która przepowiedziała zburzenie Troi. Aluzja dotyczy proroctwa, które wypowiedział Jan Kazimierz podczas abdykacji

¹³ Piotr Skarga (1536–1612) – nadworny kaznodzieja Zygmunta III. Obowiązek swój pełnił przez 24 lata, od roku 1588. W *Kazaniach sejmowych* (Kraków 1597) Skarga wzywał szlachtę do poprawy obyczajów, gromił warcholstwo i przepowiadał upadek Polski

skim. Losy Polski spoczęły w ręku arcybiskupa, zaprzędanego Kondeuszowi¹⁴, hetmana Sobieskiego¹⁵, żonatego z Francuzką¹⁶ i oddanego Francji i znaczniejszej części arystokracji, która pozyskaną dla niej była.

Z księdza Olszowskiego¹⁷, który wydał cenzurę¹⁸ kandydatów do korony i zalecał Piastą, śmiano się jak ze statysty¹⁹ *in partibus*²⁰, który wpływu mieć nie mógł na elekcji.

Mało kto naówczas baczył na to, że z wolna obok potęgi magnatów – niesforna, krzykliwa, na pozór dająca powodować sobą i kierować – rosła siła nowa, którą starsi panowie bracia mieli za swoją.

Już naówczas panowie i szlachta, których prawo nie rozróżniało, dając im równe prerogatywy²¹, rozbili się na dwa obozy. Dostatek lub ubóstwo nie stanowiły konieczne cechy i znamienia jednego z dwu obozów tych, dzieliły je szczególnie wychowanie, obyczaj, pojęcia, strój nawet.

Już od Zygmunta III²² zaczynało się przebierać po europejsku, a zarzucać strój narodowy. Na pozór nie miało to żadnego znaczenia, było drobnostką, rzeczą smaku, ale nie ma w życiu człowieka symptomu²³ bez genezy, bez głęboko leżących przyczyn, i zewnętrzna forma wcale nie tak była obojętną, jak się wydawać mogła.

Już ten sam fakt, że ktoś miał odwagę zerwać z narodem, wyróżnić się od niego, zażądać czegoś innego niż wszyscy i że mu smakowała rzecz obca lepiej niż spadek dziadów i pradziadów, miał ogromne znaczenie. Chcieć za cudzoziemcą, choćby powierzchownie, uchodzić wśród swoich, jest to im zadać brak smaku, zadowolenie i zardzewienie.

Wprawdzie strój i mowę obcą przynosił z sobą dwór, ale nie miałby siły ich zaczepić, gdyby w górze nie rzucono płochą wszystkiego, co swoje, dla tego, co obcym było. Jako wymówkę miała młodzież bogata, cała prawie kształcąca się za granicą, iż u obcych znajdowała ogładę większą, życie słodsze i szumniejsze, postęp w tym wszystkim, co je uprzyjemniało. Lecz z tą chwilą, gdy mówić, stroić się i bawić zaczęto po francusku i po niemiecku, skazano Polskę starą na śmierć.

Zamiast o swej sile wyrabiać sobie cywilizacją własną, mającą charakter narodowy i miejscowy, zmuszoną była się przeradzać i przetwarzać. Żadne takie przesilenie okrutne nie przechodzi bez oporu i boleści. Licząc tak – zastępy szlachty, która polską była i pozostać nią chciała – stały się okoniem przeciwko kosmopolitom. Walka rozpoczęła się, nie zapisując na chorągwi hasła, inne wywieszono na niej, lecz w głębi nie była czym innym, tylko bojem o utrzymanie obyczaju i cech narodowości. Do nich należały do zbytku aż rozrosły swobody; korzystano z nich, ażeby je nie tylko utrzymać, ale doprowadzić do rozprzężenia i anarchii.

¹⁴ K o n d e u s z, książę d'Enghien (1621–1686) – kandydat francuski na tron polski, popierany przez prymasa Mikołaja Prażmowskiego

¹⁵ J a n III S o b i e s k i (1624–1696) – hetman i król polski, panował od roku 1676

¹⁶ Mowa o żonie Jana III Sobieskiego Marii Kazimierze („Marysieńce”), margrabinie de la Grange d'Arquien (1635–1716). Wywierała ona zgubny wpływ na politykę króla i przyczyniła się do zerwania sojuszu z Francją na rzecz przymierza austriackiego

¹⁷ A n d r z e j O l s z o w s k i (1621–1677) – biskup chełmiński, podkanclerzy koronny. Dzięki jego agitacji szlachta okrzyknęła jednomyślnie Michała Wiśniowieckiego królem. Wywarł on nacisk na prymasa Prażmowskiego, aby ten zatwierdził i ogłosił nowo wybranego króla. Następnie Olszowski usiłował kierować polityką króla, zamierzał także przeprowadzić reformy w dziedzinie sejmowej

¹⁸ c e n z u r a (łac.) – orzeczenie kościelne, dotyczące wyboru kandydatów do korony polskiej. Tu mowa o piśmie *Censura Candidatorum*, w jakim Olszowski doradzał wynieść na tron „Piastą” – Michała Korybuta Wiśniowieckiego

¹⁹ s t a t y s t a (łac.) – mąż stanu, dostojnik

²⁰ i n p a r t i b u s (łac.) – domysłne: *infidelium* – dosłownie: w kraju niewiernych, tytuł biskupów, odnosi się zwykle do biskupów, którzy mają ten stopień tytularnie, a sami nie posiadają diecezji; tu w znaczeniu: tytularnie

²¹ p r e r o g a t y w a (z łac.) – przywilej, prawo, dające wyjątkowe ulgi

²² Z y g m u n t III W a z a (1566–1632) – król polski i szwedzki, panował w Polsce od roku 1587

²³ s y m p t o m (grec.) – przypadek; tu w znaczeniu: oznaka jakichś zmian, zaburzeń

Z obu stron, u panów i u wrzawliwej a warcholącej szlachty, były przymioty i wady, były dobre, równie jak złe popędy, lecz walka ma to do siebie, że odsłania strony ciemne, że wydobywa zło na wierzch. U góry stały: prywatne przekupstwo, nepotyzm²⁴, frymarki²⁵, przedajność bezwzględna, u dołu – bezzład i rozpasanie, a buta i warcholstwo niepowściągnięte.

Szlachta niechętnie szła na pospolite ruszenie, w sejmie posłowie parli się stać na równi z senatorami, związki wojskowe i rokosze²⁶ wrzały ciągle, panowie płacili za urzędy, rozbijali się o starostwa i lekceważyli losy kraju, królowie stali się w końcu płatnikami tylko. Ani z jednej, ani z drugiej strony nie tajono tego, co jakby już zwyczajem uświęcone, przechodziło z pokolenia na pokolenie. Szlachta wiedziała, co kto za dostojność i za starostwo zapłacił, panowie na wskroś przenikali wicherzycieli i Katylinów²⁷.

Lecz u dołu ten tłum niesforny, rozgorzały, bezrozumny, miał [to] za sobą, że wrzał, burzył się, krzyczał i rozkoszował w imię jakiejś zasady, w obronie jakiejś swobody, że się poświęcał dla ogółu, gdy u góry stała naga i bezwzględna prywatna. Nie ważyła ona sobie wrzasku i obelg, jakimi ją obrzucano, szła cynicznie swoją drogą, ale upadała moralnie tym bezwstydem. Tłum miał wyższość nad nią, bo on szedł często pieszo i stał o suchym chlebie w obronie praw, gdy panowie lekceważąc je, bankietowali. Panowanie Jana Kaźmirza było momentem krytycznym – w obu obozach wzmogło się rozprężenie, szlachta podniosła głowę, obliczyła się, mruczała, czuła się silną. Lecz jak wszystkie zbiorowiska ludzi, ulegała ona tym, co się jej na wodzów narzucali, i ugięła za powiewem chwili. Kilku przywódców poruszało ziemiami, wołało: do broni!... i miotło tymi tłumami.

Kto by Warszawę widział w tym czasie między sejmem konwokacyjnym²⁸ a elekcyjnym, świetną, wesołą, wrzawliwą, wytworną, szczebiocącą po francusku a przepełnioną dworami panów tak wytwornymi, iż się ich wobec cudzoziemców nie wstydzono – owe pocztu towarzyszące wojewodom, kasztelanom, biskupom, te służby, w barwach²⁹ kosztownych, wygalowane od złota, te panie we fryzurach, koronkach, atłasach, umalowane, woniejące, noszące wszystkie przezwiska mitologiczne lub zapożyczone z romansów francuskich – kto by posłuchał żargonu salonów, w których bardzo mało gdzie się język polski odzywał, musiałby być wniesić z tego, że tu potęga panów, ich wpływ, siła, wola, stanowiły o całej kraju przyszłości.

Wszyscy ci zaś panowie i panie tak służyli zagranicznym potęgom: królowi Francji³⁰, cesarzowi³¹, książętom rzeszy, wszystkim, co rozrzucali lub obiecywali pieniądze, iż mniemać było można, że przyszła elekcja pójdzie po woli obcych mocarstw. Francja, szczególnie od czasów Marii Ludwiki, była w ścisłych stosunkach z Polską, a że ją mieć chciała jako sprzymierzoną, hołdownicę przeciwko cesarstwu, musiał Jan Kaźmirz ustąpić z tronu dla Kondeusza, i wszystko tak było osnute, obrachowane, prowadzone przez jednookiego prymasa, iżby rachuby zawieść nie mogły. Przyszły król miał już tu dwór swój – francuski, wychowawce nieboszczki królowej, ich mężów, młodzież wyuczoną w Paryżu, przygotowane narzędzia, sprzętyny, pomocników i sługi.

Cały ten ruch jawny był, a wesołe twarze biorących w nim udział przekonywały, że pewni być musieli powodzenia.

²⁴ n e p o t y z m (z włos.) – tu: protegowanie, swych krewnych na wysokie stanowiska, bez ich zasług

²⁵ f r y m a r k (z niem.) – kupczenie, handel

²⁶ r o k o s z (z węg.) – w dawnej Polsce zbrojne powstanie szlachty przeciwko królowi

²⁷ L u c i u s S e r g i u s C a t i l i n a (Katyliną) (108–62 przed n. e.) – (pyszałkowaty, butny warchoł, który usiłował obalić ustrój Rzeczypospolitej Rzymskiej i zagarnąć władzę. Spisek ten udaremnił konsul Cicero; tu: spiskowcy, buntownicy

²⁸ s e j m k o n w o k a c y j n y – w dawnej Polsce sejm zwoływany w czasie bezkrólewia

²⁹ b a r w a – tu: mundur, strój

³⁰ L u d w i k X I V (1638–1715) – król francuski, panował od roku 1645

³¹ L e o p o l d I (1640–1705) – cesarz niemiecki, panował od roku 1658

Dla tego zalotnego, eleganckiego, francuskiego świata, który wziął spuściznę po Marii Ludwice i panować chciał tak męskiej połowie, jak ona rządziła Janem Kaźmirzem – rycerski, piękny, na najświetniejszym dworze wychowany Kondeusz był ideałem. Z nim tu przyjść miało życie, a w nim te piękne wychowanki królowej – półkrólowe obiecywały sobie świetnieć i rozkazywać. Na czele tych piękności, zawczasu cieszących się tryumfem, stała naprzód – ulubiona Marii Ludwice, niemal przybrana za córkę – Maria de la Grange d'Arquien, żona Zamojskiego³² naprzód, a teraz Jana Sobieskiego, hetmana, który razem z prymasem prowadził Kondeusza.

Hetmanowa była najjaśniejszą gwiazdą na tym niebie, celowała bowiem piękną nadzwyczajną, a umiała się nią posługiwać. Mąż Celadon³³ był jej niewolnikiem. Jego adoracja dla żony słynęła jako przykład miłości idealnej... Obok niej nie zbywało na pięknościach, na zalotnych twarzyczkach, a galanteria³⁴ rozpościerała się szeroko i swobodnie, ale nie gorszyła nikogo, bo się osłaniała formami wielce wyszukanymi... W świecie tych pań, Sobieskiej, Radziwiłłów, Potockich, Lubomirskich, Paców, żaden dzień nie mijał bez zabaw, a wesołość była tonem dominującym.

Wszystko też zdawało się ją usprawiedliwiać... Elekcja była tylko formalnością do spełnienia. Kondeusz powołany miał przybyć i Polska miała być szczęśliwą!

Patrząc z daleka tak się to zdawało pewnym, tak niezawodnym. Zawczasu rozdawano wankanse... W Łowiczu też prymas Prażmowski przyjmował co dzień cisnących się gości, którzy mu swe usługi ofiarowali, skarbiąc jego łaski.

Ale nie wszędzie to tak wyglądało jak w Warszawie i Łowiczu. Niemal każda ziemia miała wśród szlachty przewodźcę, który jej dawał skazówki i skinieniem prowadził za sobą.

W Sandomierskiem, niedaleko od miasta, mieszkał na małej dziedzicznej wioseczce JM-Pan Ireneusz Piotrowski, herbu Sas. Spojrzawszy na niego, gdy się wmięszał między panów braci, nikt by za tego chudego, żółtego, przygarbionego, odzianego niedbale, prawie ubogo, cichego, a prześlizgającego się w tłumie nieznacznie człowieczka, nie dał złamanego szeląga.

Piotrowski nie miał żadnego tytułu, był ubogi, koligacjami się nie szczycił, pańskich progów nie wycierał, ale w Sandomierskiem bez Piotrowskiego w sprawie publicznej nikt nie stąpił. Z tej wziętości u szlachty nie miał on najmniejszej korzyści, ale umiał ją cenić i nie lekceważył.

Bóg jeden raczy wiedzieć, co tam niegdyś w młodości na pana Ireneusza wpłynęło, że panów i magnatów, żółto brzuchów – jak ich nazywał – znieść i cierpieć nie mógł. Był to ich wróg zacięty, chociaż z tą nieprzyjaźnią nie występował, nosił ją za pazuchą, dobywając tylko, gdy mu jej było potrzeba.

Piotrowski miał drugi przymiot czy wadę niezwykłą. W tej epoce niezmiernej gadaniny, gdy połowa życia szlachcicowi upływała na popisach retoryki, Ireneusz nie prawił mów wiele, nie bawił się w Demostenesa³⁵. Gdy drudzy za długo, a nie do rzeczy pletli, tarł przerzedzone włosy, ciągnął za rękawy i szeptał:

– Konkludujcie³⁶!...

Miano go za przebiegłego i chytrego, i był nim w istocie, ale i z tego nie szukał sławy, owszem, pozornie udawał prostego, otwartego człowieka. Wioska jego, od wieków w posiadaniu rodziny będąca, zwała się Sasindwór, leżała nad Wisłą, a w półtorej godziny mógł z niej na swej szkapie traktem dostać się do Sandomierza. Żona, kobiecina tak skromna, że najczęściej chadzała z głową prostą chustą związaną, nie sadząc się na czepce i forboty³⁷, praco-

³² Jan Zamojski (1542–1605) – kanclerz wielki koronny i hetman wielki koronny

³³ Celadon (franc.) – rycerz salonowy, wzdychający kochanek, postać z poematu H. Urfé

³⁴ galanteria (z franc.) wyszukana grzeczność, uprzejmość

³⁵ Demostenes (384–322 p. n. e.) – największy mówca starożytności

³⁶ konkludować (z łac.) – wyprowadzać ostateczne wnioski

³⁷ forboty (z niem.) – koronki u sukni damskiej

wita gospodyni, milcząca jak mąż, i jedna córeczka Jagusia, naówczas mająca lat piętnaście, stanowiły jego rodzinę całą.

Żaden naówczas szlachecki najuboższy dworek nie zamykał się niegościnnie przed ludźmi, stał i Sasindwór otworem, ale nie ucztowano w nim, bo Ireneusz, jak powiadał, miał słabą głowę, pić nie mógł, nie lubił i w pijanym towarzystwie stawał się smutnym. Jedynym zbytkiem jego „chaty”, bo tak on swój skromny dworek nazywał, były książki. Lecz nimi też nie lubiąc się chwalić, trzymał je w swojej kancelarii i więcej się taił, niż chwalił. Ulubionym jego czytaniem byli rzymscy historycy. Gospodarzem był, jak naówczas wszyscy wedle starych podań i prawideł, posługując się włodarzem, pilnując, aby się nic nie marnowało, ale niezbyt zabiegłym. W wielu rzeczach jejmość go zastępowała, bo gdy przyszły sejmiki, zjazd, narady, sejm – Piotrowski musiał – na służbę. Tak się on wyrażał o zajęciach sprawą publiczną.

Ustaloną miał tak sławę mądrego statysty u swej współbraci Sandomierzanów, że ona i do sąsiednich województw przeszła. W ogóle był to człek skromny i cichy. Ponurym jednak i nazbyt poważnym nie był – owszem, śmiał się rad i czasem dowcipnie przyciąć umiał, a gdy się rozgrzał – wyrażał się dosadnie, po szlachecku.

Pora była zimowa. Sanna się późno w tym roku usłała, ale tak wyborna i tak trwała, że się nią cieszyli wszyscy. Piotrowski siedział z Tacytem przy kominie, gdy jejmość zapukała i cicho oznajmiła:

– Masz jegomość gości...

Piotrowski książkę włożył do szafy, obciągnął suknie i wszedł do bawialni w chwili, gdy ogromnych rozmiarów, okrągły jak beczka, rumiany, z siwymi wąsami szlachcic, rubaszenie się śmiejąc, bokiem się wciskał przeze drzwi wołając:

– A co? Gość nie w porę gorzej doktora!

Za okrągłym tym tuż widać było dwóch znacznie mniejszej objętości, ale daleko słusniejszego wzrostu, ichmościów, z których jeden miał jasne jak len włosy, a drugi czuprynę czarną i wąs do góry sterczący.

Zaczął się serdeczne powitanie.

JMPan Symeon Garwowski cześnikiem się jakimś mianował, jasnowłosy Remigian Zwolski – Wojskim, a ostatni, czarny i tego rozrosły – namiestnikiem. Wszyscy trzej, kość z kości, byli Sandomierzanie.

Piotrowski ich ucałowawszy rozsadził, a wiedząc, że żona zna obowiązki gościnności, o wódce i przekąsce, w tej porze dnia po przejażdżce niezbędnej, nie wspomniął.

Prym między gośćmi nie tylko tuszą, ale i znaczeniem trzymał cześnik, który ciągle śmiał się i odchrząkiwał.

– My do ciebie, kochany Piotrusiu – odezwał się po chwili – jak w dym! Kto nam poradzi, kto poprowadzi, jeśli nie ty?...

Ireneusz słuchał ciekawie, ale cierpliwie.

– O cóż to idzie, kochany cześniku?

Na skinienie Garwowskiego, który się już zmordował, podchwycił pan namiestnik czarnowłosy:

– Jasna rzecz, jasna rzecz, kochany sąsiedzie, a toż to w kapturze jesteśmy. Elekcja za pasem... co my tu poczynać mamy?

– Tak! – przerwał cześnik – obrać króla nie sztuka, ale się nie oszukać, w tym sęk. Pano wie się już wszyscy zaprzędali kandydatom. Kondeusz ich złotem obsypał... Lotaryński³⁸,

³⁸ K a r o l V, książę L o t a r y ń s k i – kandydat do tronu polskiego, popierany przez cesarza austriackiego, brał udział razem z Sobieskim w odsieczy pod Wiedniem

Neuburski³⁹ – kat ich wie, jak ich zowią... My o nich mało co wiemy, niechby się Sandomierskie nie zbłąźniło! Co?

Piotrowski milczał. Wtem jasnowłosy pan Remigian Zwolski mocno odchrząknął.

– Czy to trzodą mamy być, którą panowie pastuchy gnają, gdzie chcą? Już nam to panowanie magnatów dało się we znaki. Oni to znowu nam sztukę chcą wyprawić...

– Jasna rzecz... – przerwał czarnowłosy.

– Ale dajże mi mówić! – syknął białowłosy, który się poruszał z jakimiś konwulsyjnymi drganiem.

– Książd Olszowski pisze za Piastem – kończył – *tandem*⁴⁰ może i rację ma. Chcieliśmy Francuza⁴¹, ten drapnął..., przyszedł po nim siedmiogrodzianin⁴², wziął nas ostro w łapy – no, ale żołnierz był tęgi!... – nastąpił pół–Jagiellończyk⁴³, pół– Szwed, a cały Niemiec... Ten się modlił i stękał... zawichrzyło się! Obraliśmy synów⁴⁴ dwu... Boże odpuść... Za ostatniego Rzeczpospolita o mało nie rozpadła się... i ten w końcu koronę zrzucił – *non sum dignus*⁴⁵ – a po cóż się jej napierał?...

– Cóż tedy, znowu a *capite*⁴⁶ Francuza mamy sobie zaszczepiać?... Nie dziwna to rzecz, aby naród jaki sobie wybierał ino cudzoziemców, których nie zna i którzy go nie znają?

Cześnik się rozśmiał głośno.

– Jak Bóg miły, jest racja!

Spojrzel na Piotrowskiego, który milczał, a wtem się drzwi otworzyły i wyrostek wniósł na dużym blacie, pokrytym serwetą, flaszki i przekąski.

Sprawa elekcji musiała na chwilę być odłożoną na stronę, bo *hora canonica*⁴⁷, mróz, zima nakazywały się pokrzepić. Kalmusówka⁴⁸ była doskonała.

Piotrowski przepił do cześnika i kieliszek poszedł koleją. Czarnowłosy go powtórzył nie pytając. Siedli znowu.

Z piersi Garwowskiego dobyło się ogromne, tuszy jego odpowiednie, westchnienie.

– Co wy o tym myślicie, Piotrusiu? – zapytał cześnik. – Czytaliście pewnie Olszowskiego? he?... a jest skryptów i innych do licha.

Piotrowskiemu twarz, zasepiona i zastygła z początku, zaczęła się rozjaśniać. Obejrzał się po swych gościach, jak gdyby brał miarę ich dla zastosowania do niej odpowiedzi.

– Niech mu Bóg nie pamięta – zaczął – kto nas tymi elekcjami obdarzył. Mówiąc o nich – wyglądają bardzo pięknie, swobodny wybór najgodniejszego!... a tu w samej istocie wybiera przypadek lub intryga, albo pieniądze. Przewidzieć, kto zostanie wybranym, nie potrafi nikt... Cztery czasem tygodnie leżym w polu, zmęczeni, głodni, stęsknieni za domami, na ostatek krzyknij kupka ludzi nazwisko, a reszta za nią, aby się to raz skończyło... Więc *Deus scit*⁴⁹, co nas czeka... Nie pochlebiamy sobie, abyśmy na swoim postawili, ale jest jedna rzecz, której dokazać możemy, gdy zechcemy, że tych panów, których pokupowali – co jawnym jest –

³⁹ Filip Wilhelm książę Neuburski – kandydat do tronu polskiego, zalecany przez cesarza austriackiego i króla francuskiego

⁴⁰ *tandem* (łac.) – wreszcie

⁴¹ Aluzja dotyczy Henryka Walezego

⁴² Mowa o Stefanie Batorym (1533–1586), królu polskim, który panował od r. 1576. Pobił on cara Iwana Groźnego i odebrał Inflanty

⁴³ Wzmianka dotyczy Zygmunta III, króla polskiego, który był synem Katarzyny Jagiellonki i Jana Szwedzkiego

⁴⁴ Mowa o Władysławie IV (1595–1648), królu polskim, który panował od roku 1632 i Janie Kazimierzu (1609–1672), królu polskim, który panował od r. 1648–1668

⁴⁵ *non sum dignus* (łac.) – nie jestem godzien

⁴⁶ *capite* (łac.) – od głowy, od początku

⁴⁷ *hora canonica* (łac.) – godziny kanoniczne, stałe godziny, w których kapłani odmawiają przepisane modlitwy

⁴⁸ *kalmusówka* – słodka wódka z tataraku

⁴⁹ *Deus scit* (łac.) – Bóg wie

wyekskludujemy i naszych ichmościów–magnatów, co się sądzą wszechmogącymi, choć ich jest garstka, a nas tysiące... nauczymy, że my, szlachta szarackowa, jesteśmy też sobie – potęgą!

Wszyscy trzej przybyli ogromnie i z widocznym rozradowaniem wewnętrznym śmiać się zaczęli.

Garwowski ręce nabrzękle zacierał.

– To by dopiero była sztuka, *ut sic*⁵⁰

Towarzysze jego, jasny i czarnowłosy, nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

– Tej sztuki my możemy dokazać – dodał Piotrowski – ale potrzeba iść zgodnie i gromadą. A nie dosyć nas, Sandomierzan, choć my z Krakowianami zawsze przodem idziemy; drugie też województwa musimy sobie pozyskać, aby szły razem, a że u nas gęby się szeroko otwierają rade, a w głowach często szumi, niekoniecznie wszystkim trzeba dawać inne hasło nad to jedno: Szlachta kupą!

– Prowadzili nas magnaci nie jeden raz za sobą posłusznych, niechże choć ten raz idą za nami.

Wszyscy goście, do najwyższego stopnia ożywieni, aplaudowali⁵¹. Namiestnik tak był rozgrzany, że jeszcze sobie nalał kieliszek dla ochłodzenia się i wychylił go.

– No, ale kogóż wybierzemy? – pytał Garwowski – bo w tym jądro rzeczy.

Piotrowski popatrzył na niego.

– Cześniku kochany – rzekł – mnie się widzi, że kto królem będzie, to prawie obojętna. Co król u nas może? Starostwa rozdawać i tytuły, więcej nic. Magnaci go obsiadą, oblegną i będzie musiał skakać, jak mu zagrają. No, ale nie przeczę, że dla zagranicy król coś znaczy, reprezentuje Rzeczpospolitą, trzeba więc, aby miał choć postawę po temu.

– *Si fabula vera*⁵² – rzekł Garwowski – bo i wizerunki kłamią. Kondeusz wygląda rycersko, Lotaryński ładny mężczyzna.

– Kondeusz to Francja – rzekł Piotrowski – a ona nam już dokuczyła... Lotaryński rakuskiego domu pokrewny, to *praeter propter*⁵³ rakuszanin, a i to nie bardzo nam miły ród.

– Czyha na nas, jak na Węgrów i Czechów – dodał jasnowłosy.

– No, a Piast? – wtrącił namiestnik czarny.

– Piast! Piast! – rozśmiał się Piotrowski, pocierając czuprynę – żeby to można znaleźć takiego Piasta, z którego by lędźwi wyszedł dla nas Chrobry... ba! ba! ba!

Goście znowu chórem się śmiali.

– Niech sobie i Piast będzie – rzekł gospodarz – ale z nim przyjdzie wiele inkonwencji⁵⁴... rodzina, koligaci, nieprzyjaciele.

Tu chwilę milczał i dokończył.

– A ja wam co powiem, nie łapmy ryb przed niewodem. Główna rzecz, panom się nie dajmy. Niech to będzie elekcja szlachecka, nasza... a co do kandydata – los rozstrzygnie. Śmieli się raz na elekcji, gdy ktoś krzyknął: Bandura!⁵⁵ Ja zaś mówię: Bodaj Bandura, aby nasz, a nie pański i taki, co sobie koronę kupuje. Pokażmy, że ona jeśli jest na sprzedaż, to nie u nas. Panowie niech nią frymarczą, jak chcą, my – ją dajemy. Co Bóg natchnie...

Słuchali wszyscy z należytych dla Piotrowskiego poszanowaniem.

– Ja wam powiadam, mili bracia – powtórzył Piotrowski – trzeba się o to starać, aby szlachta stanęła jak jeden mąż... kupą... Na to trzeba sobie słowo dać i nad tym pracować...

⁵⁰ *ut sic*! (łac.) – tu w znaczeniu: sztuka wyjątkowa, osobliwa

⁵¹ *applaudować* (z łac.) – okłaskiwać, pochwalać

⁵² *si fabula vera* (łac.) – jeżeli bajka jest prawdziwa

⁵³ *praeter propter* (łac.) – mniej więcej, oprócz tego

⁵⁴ *inkonwencja* (z łac.) – niedogodność

⁵⁵ Wawrzyniec Słupski Bandura – kandydat do korony polskiej po śmierci Zygmunta Augusta, na liście kandydatów zamieszczono go żartem. Na skutek niestosownej tej kandydatury ośmieszeni zostali i inni polscy kandydaci, co przyczyniło się do zwycięstwa Henryka Walezego i uzyskania przez niego korony

– Zgoda! – zawołał cześnik – hasło tedy: Szlachta kupą! – A kto ją poprowadzi? Piotrowski myślał i rzekł spokojnie:

– A Pan Bóg! Cześnik skłonił głowę.

– I na to zgoda – szepnął.

– Nie przyjdzie nam to łatwo – ciągnął dalej gospodarz – bo panowie w niektórych ziemiach mają między szlachtą klientów, sługi i ujętych ludzi. Tego syn dworzaninem u wojewody, tamtego córka we fraucymerze kasztelanowej, a dzierżawy i dożywocia...

Zmarszczył się jasnowłosy.

– Przecież się nikt nie zaprzeda za to – krzyknął – a tu nie idzie o małą sprawę, ale o gardłową... Nam sumienia nic wiązać nie powinno.

– Śpiewamy do Ducha Świętego: *Veni Creator spiritus* – wtrącił Piotrowski – słuchajmyż Ducha, a nie pańskich rozkazów!

– Szlachta kupą!

– Szlachta kupą! – chórem powtórzyli jasno- i czarnowłosy.

Cześnik milczał.

– *Tandem* – odezwał się po namyśle – gdyby z ekskluzją⁵⁶ Kondeusza i Lotaryńskiego, dajmy na to, nie zostało nam nic, tylko wybór Piasta... Więc kogóż?

– Wiercie mi, że to już wszystko jedno – rzekł Piotrowski – ma Piast za sobą wiele, ale ma i przeciwko sobie... Każdemu wybranemu z między równych, którego majestatowi jutro się trzeba pokłonić, będą zazdrościć, przeciw każdemu będą spiskować... Główna rzecz, aby żołnierzem był. Reszta...!

Machnął ręką.

– Mówicie o Piaście – dodał jasnowłosy – a szlachta już na żarty sobie mężnego wojaka Polanowskiego z ust do ust podaje.

– Polanowski taki dobry jak i Lubomirski – skonkludował Piotrowski – ale się do tego przygotujmy, że królestwo będzie szlacheckie, musimy go wybrać z panów, dlatego, że ich wszyscy znają... Przecież i to była szlachta, tylko zdegenerowana...

Narada zaczynała ostygąć.

– O kandydacie naszym dopiero na Woli i koło szopy⁵⁷ mówić będziemy – ciągnął dalej gospodarz – jądrem w tym, aby szlachta pokazała, że ona coś może. Na to nigdy lepszej nie wybierze godziny. Panowie sobie ułożyli, ukartowali wszystko, pewni są swego, pieniędzy nabrali, skórą żywego niedźwiedzia się podzielili, a my im pokażemy, że oni tu nie są gospodarzami, tylko my!

Wyrazy te, wymówione dobitnie, tak trafiły do przekonania, a raczej do miłości własnej przybyłych, iż się aż z krzesel pozrywali, potakując gorąco. Cześnik wskazał na Piotrowskiego, głowę przed nim uchylając.

– To nasz wódz i dyktator – rzekł – hasło dane, zdrajcą będzie, kto go nie przyjmie...

Gospodarz przyjął skromnie pochwałę.

– Wszystko to dobrze – rzekł – ale nie zapominajcie o tym, że jeśli się panowie hetmany, kanclerze, marszałkowie itp. dowiedzą zawczasu o naszym haśle, oni je wniwecz obrócą. W tym rzecz, aby robić, co trzeba, a nie głościć nic.

Cześnik się zadumał.

– W tym sęk! – zamruczał – jakże ja mam nawracać, kiedy mi o mojej religii mówić nie wolno?

– Jak? – przerwał gorąco Piotrowski. – Oto wprost, tylko bijmy na panów i ich szachrajstwo, z tego samo z siebie wyniknie, że szlachta pójdzie swoim dworem i honorem. Wojna przeciw magnatom, którzy nas za szuje mają i z tym się odzywają, wojna przeciwko przekup-

⁵⁶ e k s k l u z j a (z łac.) – wyłączenie

⁵⁷ s z o p a – na sejmie elekcyjnym budynek drewniany, gdzie obradowali senatorowie

stwu i frymarkom... Dziś już wiadomo, ile złota rozsypał król francuski dla Kondeusza i Lotaryngii. Obiecuje, daje skapo, ale podpisów jego i obligów dosyć jest po kieszeniach...

– Przeciwno panom!... W to mi graj!... – z okrutną gorącością porwał się jasnowłosy woj-ski – przeciwno panom... Prepotencji⁵⁸ ich coraz rosnącej koniec położyć potrzeba... My krwawicą naszą i krwią naszą bronimy Rzeczypospolitej, na nas ciężary spadają, a oni biorą żupy i na żupy asygnacje, *panis bene merentium*⁵⁹, starostwa, dzierżawy, tenuty⁶⁰, jurgiel-ty⁶¹... Nas już mało nie w niewolników obrócili. Czas się otrząsnąć... Czas!

Chórem powtórzono:

– Czas!

Wszystkie twarze były mocno zarumienione. Piotrowski milczał.

Zbliżała się pora obiadowa i czarnowłosy powtórzył libację kalmusówką. Cześnik dumiał, gospodarz wesół podżartowywał sobie z tych magnatów, przeciwno którym spiskował.

– Gdyby się nam udało zrobić im niespodziankę – powtarzał.

– Jak Bóg Bogiem zrobimy ją – wołał cześnik. – Prymas jest chytry, przebiegły, ale tchórz. Gdy zadzwieczą szable szlacheckie, na wszystko przystanie. Trudniej będzie z hetmanem.

– He! – podniósł głowę namiestnik – z hetmanem byłoby trudno, bo żołnierz i wódz do-skonały, ale jako statysta chodzi w spódnicy. Tu jego jejmość prowadzi... a ta – druga Maria Ludwika, tylko jej powagi nie ma... Nie obejrzy się jejmość, jak jej kandydat padnie.

– Kobiecte rządy, mospanie – rzekł Piotrowski – choć się wam niedołęzne wydają, głęboko sięgają i długo się czuć dają. Do dziś dnia nam panuje zmarła Maria Ludwika, wszystko, co widzimy, jej dziełem. Z jej ręki mamy Kondeusza, z jej wychowania panią hetmanową i Ra-dziwiłłową, jej modą młodzież się ubiera, jej językiem wszyscy mówią i piszą. Daj Boże, aby obyczaj sprzedawania wakansów nie poszedł też dziedzictwem na dwór nowy.

Jeszcze tak gwarzyli, wyglądając, już rychło do stołu oznajmia, gdy ogromne sanie przed mały ganek dworu się zatoczyły. Porwali się wszyscy do na wpółzamartwych okien. Gość to był znowu, ale tym razem nie lada, bo sanie otaczała liczna służba i zwiastowała pana.

Skrzywił się Piotrowski, wszyscy spojrzeli się po sobie, wtem drzwi otwarto i w nich uśmiechnięty, ubrany wykwintnie, ale po polsku, ukazał się podżyły mężczyzna.

Był to pan kasztelan sandomierski. Piotrowski mało go znał, a choć z jego wioskami sąsia-dował, kasztelan w nich rzadko przebywał, iż się prawie nie widywali.

– Popod bramą, uczcić pana brata, przejeżdżając – począł grzecznie wsuwając się kaszte-lan, któremu towarzyszył słusznego wzrostu, młodzieńcze bratanek – nie mogłem tego prze-nieść na sobie, aby go choć chwileczkę nie nawiedzić. Spieszę się bardzo, bo nam ten kaptur wiele do czynienia daje, ale choć pokłonić się chciałem.

Piotrowski przyjął pana z powagą, ale zarazem uprzejmością. Kasztelan raczył usiąść, nie odmówił kalmusówki i przekąski, choć ciągle powtarzał, że mu się spieszy, a w końcu okiem rzuciwszy po zgromadzeniu, które zimno go i milcząco przyjmowało, zawołał:

– Cóż, de publicis?⁶²

Pytanie głównie było do gospodarza skierowane, który po krótkim namyśle odrzekł:

– Wszyscy by radzi jak najprędzej ów kaptur z głowy zdjąć, potrzeba nam króla.

– Święte słowa! – potwierdził kasztelan, bystro się oglądając – ale mnie się zdaje, że tak jakbyśmy go już mieli. *Unanimitate*⁶³ przejdzie Kondeusz.

– A Lotaryński? – spytał gospodarz.

⁵⁸ p r e p o t e n c j a (z łac.) – przewaga mocy, siły

⁵⁹ p a n i s b e n e m e r e n t i u m (łac.) – chleb dobrze zasłużonych; majątki ziemskie, starostwa nadawane w dawnej Polsce za zasługi publiczne

⁶⁰ t e n u t a (z włos.) – dzierżawa

⁶¹ j u r g i e l t (z niem.) – pensja roczna, żołd

⁶² d e p u b l i c i s (łac.) – o sprawach publicznych

⁶³ u n a n i m i t a t e (łac.) – jednomyślnie

Kasztelan się skrzywił.

– Zalecają go nam jako rycerza i wojaka, ano, my doma też mamy swoich hetmanów, którzy mu nie ustąpią. Więc to zaleta dla nas małej wagi. Nam trzeba takiego, co by wojsku miał czym zapłacić – to grunt. Kondeusz zaś w grosz zasobny, nikt się z nim mierzyć nie może.

Milczeli wszyscy. Piotrowski głową potrząsał i rzekł obojętnie:

– Myśmy, panie kasztelanie, statysci niewielcy, oglądamy się na ichmościów, którzy wyżej siedzicie i widzicie dalej. Byle elekcja nas długo w polu nie trzymała, bo i konie, i ludzie pochudną.

Ta odpowiedź wymijająca podobała się pono kasztelanowi, który ją przyjął uśmiechem wesołym.

– Na to jeden sposób jest – rzekł – niedługo czekając Kondeusza okrzyknąć.

– A cóż na to powie pan podkanclerzy – mruknął cześnik.

Kasztelan ręką skreślił w powietrzu jakiś znak niezrozumiały.

– Podkanclerzemu się chciało drukować książkę – rzekł z przekąsem – i wydał cenzurę, ale ona się sama cenzuruje, boć Piast niemożliwy. Jest ich nadto, aby się jednego z nich wybrać mogło. A co nam Piast przyniesie, gdy obcy monarcha i pieniądze, i alianse, i sojusze, i pomocników dla Rzeczypospolitej, i skarb zasili.

To mówiąc powstał kasztelan, nikt mu nie przeczył. Dobył jajka norymberskiego z za żupana, spojrzał na godzinę i natychmiast się począł żegnać.

– Waszmość, kochany sąsiedzie – dodał na wyjeźdźnym, zwracając się do Piotrowskiego – spodziewam się, czasu elekcji będziesz z nami. Sandomierzanie wszyscy za Kondeuszem.

Nie wyjechał jeszcze za wrota, gdy cześnik, za boki się trzymając, powrócił do bawialni i zawołał:

– Trafił jak kulą w płot!

II

Kondeuszowi zawczasu tryumfowali, tak się zdawało zapewnionym zwycięstwo. Książę Lotaryński, którego poseł niewiele miał do rozdania pieniędzy, sypał obietnicami, wkładał się wieczorami do jeżdżących na dwu stołkach przyjaciół, ale z każdym dniem mniej miał nadziei, aby mu się potężnego współzawodnika zwalczyć udało. Pomijając to, że *vice-rex*, książę prymas, który mówił głośno, że mu szło tylko o pana, wiarę świętą katolicką w sercu mającego, dawno był dla Kondeusza pozyskanym, wszyscy dostojniejsi z nim trzymali.

Michała Tomasza Wiśniowieckiego, którego podkanclerzy zalecał, nikt nawet za kandydata nie liczył. Cała ta gałąź dawnego jagiellońskiego rodu zdawała się fatalnością jakąś na uschnięcie przeznaczoną. Nie zbywało jej na ludziach, ale nie miała szczęścia. Najlepszym tego dowodem był niedawno zmarły Jeremi⁶⁴, jedyny jeden wódz, który umiał Kozaków gromić i wrazić im trwogę, mąż wielkiej cnoty, powagi, surowości obyczaju, poświęcenia bez granic – zmarły bez zasłużonej buławy, odarty z ogromnych posiadłości na Rusi, lichy za ofiary wynagrodzony, zapłacony niewdzięcznością, który po sobie zostawił rodzinę prawie w ubóstwie, syna na łasce dworu wychowującego się, wdowę łaską Lubomirskich i Zamojskich utrzymującą się w bardzo skromnym bycie.

⁶⁴ Jeremi Wiśniowiecki (1612–1651) – wyidealizowana w literaturze naszej postać. W rzeczywistości nie był wybitnym wodzem, a splamił się okrucieństwem wobec ludu ruskiego, ograbianiem wdów i przywłaszczeniem sobie grosza publicznego

Życiem ofiarnym ów Jeremi, o którym powiadano: *calamitatis patriae lamentatio Jeremiae*⁶⁵, zarobił sobie tylko jedno – zazdrosnych i nieprzyjaciół.

Rycerstwo miłowało go i cenić umiało, bo go widziało na czele swoim nie tylko wodzem, ale żołnierzem, często bez zbroi, w prostym kaftanie, rzucającym się na nieprzyjaciela. Jako wódz miał on szczęście wielkie, jako człowiek obudzał zawiść i niechęci. Prawda, że ani dworactwem, ani pochlebstwem serc sobie nie pozyskiwał. Był to mąż niezłomny...

Jan Kaźmirz, którego jętrzone przeciwko niemu, poznawszy go lepiej, już serce swe skłaniał, gdy przestrzeżono go, że Wiśniowiecki mu hetmaniąc, całą sławę i zasługę zwycięstw odbierze.

Wszystko, czym go los dotknął, przeniósłszy ze stoicyzmem⁶⁶ wielkiej duszy, Jeremi boleć tylko musiał nad losem syna, którego na łasce ludzi odumierał. Opiekowano się nim dla tego wielkiego wspomnienia ojca. Księżę Karol, brat króla, królowa Maria Ludwika, czuwali nad nim. Na ostatek miał świętą niewiastę, matkę, w której żyłach płynęła krew wielkiego hetmana i kanclerza Zamojskiego.

Wychowanie domowe nie starczyło dla dziedzica wielkiego imienia; młodego Michała wyprawiono za granicę, umieszczono go na cesarskim dworze. Opiekunowie więcej nade wszystko dbali o to, aby mu nadać tę ogładę, polor, znajomość języków, umiejętność znalezienia się na dworze i wśród najwyższych sferek społecznych, która księżęciu z domu panującego niegdyś była potrzebną.

Michał też żywy, pojętny, ale razem łagodny i łatwy, dawał z siebie uczynić, co chciano. Stał się jednym z najprzyjemniejszych młodzieńców swojego czasu i powierzchowność jego na najświetniejszym dworze mogła być pożądaną. Kilku językami mówił z wprawą i łatwością, lubił i umiał się ubierać ze smakiem, którego mu zazdroszczono, jednał sobie serca grzecznością wyszukaną, najlepszego tonu.

Rozumie się, iż to wszystko, czego wymagało wówczas wychowanie panicza, przyswoił sobie w wysokim stopniu. Doskonały jeździec, władający również zręcznie szpadą i pistoletem, nikomu się nie dał w tych ćwiczeniach wyprzedzić. Lecz... wszystko to, co go czyniło najmilszym z młodzieży na dworze cesarza, co w kraju odznaczało go pomiędzy arystokracją polsko-litewską, ta powłoka jasna i piękna – nie wiadomo, co kryła...

Michał nie odznaczał się niczym najsilniejszym, nie ciągnęło go nic, ani rycerstwo, ani nauka, ani nawet zajęcia urzędowe, które stopniami do wyższych dostojeństw prowadziły. Był to człowiek spokojny, zrezygnowany, pobożnością matki nauczony nie żądać wiele od przyszłości, losem ojca rozczarowany i nie spodziewający się od przeznaczeń nic więcej może nad połączenie z jakim domem możnym, który by go wyzwolił z położenia w sprzeczności z imieniem i spadkiem po przodkach.

Czasu zbliżającej się elekcji, która napełniła stolicę rodzinami możnymi, kwiatem arystokracji ówczesnej, matka księcia Michała przybyła także do Warszawy z synem i mieściła się w starym dworze przy Miodowej przecznicy.

W owych czasach, gdy po przeniesieniu stolicy do miasta sejmowego – Warszawy, w początkach panowania Władysława IV, wszyscy panowie zakupywać zaczęli place, aby się około dworu skupić, gdy powstały przepyszne pałace Kazanowskich i Ossolińskich⁶⁷, Wiśniowieccy też nabyli mieszczańską własność z placem, na której po pańsku budować się mieli. Przyszły potem ciężkie czasy, utrata owych dóbr na Rusi, które stanowiły całe mienie

⁶⁵ *calamitatis patriae lamentatio Jeremiae* (łac.) – lament Jeremiasza nad nieszczęściem ojczyzny

⁶⁶ *stoicyzm* (grec.) – kierunek filozoficzny w starożytnych Atenach za najwyższe dobro uważający cnotę; w przenośni: niezłomność, surowość obyczajów

⁶⁷ Wzmianka dotyczy pałacu Kazanowskich w Warszawie. Pałac ten znajdował się między klasztorem Bernardynów i ulicą Bednarską, został wzniesiony w XVII w. przez Adama Kazanowskiego, odznaczał się wspaniałością i zbytkiem wnętrza. Przy ulicy Wierzbowej wznosił się renesansowy pałac kanclerza Ossolińskiego

Jeremiego i dwór, w pierwszych czasach po nabyciu trochę zagospodarowany, pozostał już takim, jakim go ruina znalazła.

Nie był wszakże tak opuszczonym i nędznym, aby wdowa po Jeremim i syn jej mieścić się tu i niewielu przyjaciół, i krewnych przyjmować nie mogli. Nie było wprawdzie ani sal ze sztukaterią złoconą, ani kolumn marmurowych, ani tych posągów z brązu i marmuru, którymi, przed wojną szwedzką i przed spustoszeniem Radziejowskiego⁶⁸, odznaczał się ów sławny pałac Kazanowskich, ale komnaty ze staroświecka były urządzone po pańsku. Ściany okrywały obicia jedwabne i skórzane, sprzęt był rzeźbiony, stare kobierce wschodnie wyściełały podłogi.

Tu Gryzelda Wiśniowiecka⁶⁹ spędzała ciche godziny wdowiego życia, niekiedy rozjaśnione przybyciem córki lub syna. Zubożenie nie odejmowało domowi Korybutowiczów⁷⁰ blasku ich krwi należnego. Byli to zawsze potomkowie Jagiellonów niewątpliwi, gdy inne rody książęce wiodły się albo od książąt ruskich, lub od gałęzi, których pochodzenie było wątpliwym i niejasnym.

Życie w tym dworku niskim, przy bardzo nielicznej usłudze, szczupłej liczbie koni, zupełnym pozbawieniu tego, co świetniej występować pozwalało, nie mogło zaspokoić młodego Wiśniowieckiego, który lubił wytworność, potrzebował dla towarzystwa, w którym bywał, stroić się i ukazywać świeżo... Ofiary matki, pomoc Lubomirskich zaledwie starczyły na najskromniejsze utrzymanie się godne imienia. Ale przez tę elegancją, obrachowaną ściśle, widać było niedostatek... Dwór i dworzanie Sobieskiego, Paców, Potockich, a nawet mniej znacznych rodzin gasiły i na szary kąt spychały księcia Michała. Trzeba to było znosić z pogodną twarzą, aby nie dać poznać, jak bolało. Przyszłość, starania szwagra Lubomirskiego, obiecywały to zmienić. Tymczasem nie skromniejszego wśród pańskiego świata nie było nad dwór i służbę księżnej Gryzeldy. Ona tylko sama wielką powagą męczennicy obudzała poszanowanie...

Zresztą wszystko to było resztkami przeszłości, barwy sług wytarte, kolebki, których sztuczne ich [kolory] deszcze spłukały i wyblakowało słońce, sienniki stare, służba siwa, a że cała ona prawie pochodziła z Rusi, miała zamię jakieś ukraińskie i kozackie. Gdy po innych dworach i pałacach życie płynęło prądem podbudzonym aż ku płochości – na galanterii, zabawach, muzyce, tańcach i czytaniu romansów francuskich, tu panowała cisza niemal klasztorna, pustka, jaka otacza zawsze niemal nawet najczciodsza ruinę.

Ludzie się nigdy nie cisną ku mogiłom, zwracają się ku życiu, a jeżeli ich obowiązek napędzi ku nim, nie trwają długo. Księżnie Gryzeldzie przychodzili się wszyscy pokłonić, ale nikt tu nie bawił długo. Młodzież odwiedzała księcia Michała, ale się nie zasiadała u niego – tęskno tu było i smutno.

Oprócz młodziuchnej panienki z rodziny Zebrzydowskich, spowinowaczonej z Zamojskimi, i staruszki ochmistrzyni z lepszych czasów, księżna nie miała przy sobie nikogo.

Zebrzydowska – rodem i imieniem należała do tego możnego domu, którego potomek za rokosz zapłacił Kalwarią⁷¹, imię jego noszącą – ale sierotką była ubogą, w dzieciństwie

⁶⁸ Hieronim Radziejowski (1632–1666) – podkanclerzy koronny, marszałek sejmu, na skutek intryg na dworze wileńskim popadł on w niełaskę Jana Kazimierza. Żona Radziejowskiego, Elżbieta Słuszkowa, wdowa po Adamie Kazanowskim, przeprowadzając rozwód schroniła się do klasztoru. Wówczas Radziejowski z zemsty zbrojnie napadł i spustoszył pałac Kazanowskich, za co został skazany na infamię i banicję

⁶⁹ Gryzelda Konstancja Wiśniowiecka (zm. 1672) – z domu Zamojska, żona Jeremiego Wiśniowieckiego, odznaczała się niepospolitą dobrocią i urodą

⁷⁰ Korybutowicze – stary ród książęcy, spokrewniony z Jagiellonami. Z rodu Korybutów wywodził się król Michał Tomasz Wiśniowiecki

⁷¹ Kalwaria Zebrzydowska – założył ją Mikołaj Zebrzydowski (1553–1620) na wzór Kalwarii w Jezorolimie. M. Zebrzydowski zbuntował się przeciwko królowi Zygmuntowi III i wywołał razem z Januszem Radziwiłłem zbrojne powstanie, znane pod nazwą „rokoszu Zebrzydowskiego”. Po stłumieniu buntu Zebrzydowski ukończył budowę klasztoru w Kalwarii, w którym spędził resztę życia

wziętą przez księżnę i stała się dla niej jakby własną córką, gdy jej zabrakło za męża wydanej. Obie one przywiązały się do siebie, nawykły być razem i w myśli nawet nie przypuszczały, aby się kiedyś rozłączyć mogły. Helena, którą przybrana matka zwała poufale Helą, była bardzo pięknym dziewczęciem, ale sieroctwo własne i to obcowanie z poważną, smutną, pobożną wojewodziną uczyniło ją zawczasu dojrzałą i odebrało jej wdzięk naiwnej młodości. Świeża, młoda na wejrzenie, w obejściu się, ruchach, mowie miała coś nad wiek swój poważnego, zapożyczonego od księżnej. Obcując z nią, mimo woli przejęła jej cały obyczaj i rzadko kiedy po ustach Heli prześliznął się uśmieszek; nie знаła pragnienia zabaw, nie była ciekawą ani ludzi, ani świata. Nie mówiąc jej nic o tym, ks. Gryzelda myślała, że stworzoną była na zakonnicę. Obie one były bardzo pobożne, a jednakże nie w ten sposób jak inne. Księżna czytała więcej, niż się modliła, a ściśle dopełniając religijnych obowiązków, do drobnostek nie przywiązywała wagi zbyt znacznej. Z domu dziada wyniosła przekonanie, iż tolerancja była powinnością miłości chrześcijańskiej, nie wahała się też obcować z dysydentami⁷², których w innych domach naówczas przyjmować się wzdrzano.

Wychowana przez księżnę Hela Zebrzydowska była odmłodzonym jej wizerunkiem. Skromna i cicha, choć swej przybranej matce, której wychowanie było bardzo staranne i niemal męskie, winna była i umiejętność kilku języków, i zamiłowanie w czytaniu, i oswojeniu się z zadaniami, które nie wchodziły w zakres kobiecej działalności. Nie wydawała się z tym, była skromną i w ogóle milczącą...

O lat dziesięć prawie młodsza od księcia Michała, naprzód lubiona przez niego jak miła dziecina, z wolna dorosła do stosunków ukochanej siostry, istoty sympatycznej, do życia mu potrzebnej. Z natury swej dosyć zamknięty, nie zwierający się łatwo, smutny książę Michał przed matką tylko i przed Helą mógł otworzyć serce i wyśpowiadać się z myśli. One jedne go rozumiały...

A Hela? Rosnąć tak z oczyma wlepionymi w tego tęsknotą obleczonego, pięknego, poważnego młodzieńca, przywiązując się do niego bratersko naprzód, w końcu całym sercem, duszą, sama nie wiedząc, jakim uczuciem zapłonęła dla niego. Nie rozbierała ona tej miłości swej, ani się w niej domyślała namietności, gdyż w jej uspokojonej duszyczce żadne uczucie dotąd nie przechodziło do tego stanu wrzenia, namietność była jej nie znaną. Księżna ani się domyślała, ani przypuszczała, żeby między tym przybranym rodzeństwem więcej coś nad miłość siostry dla brata powstać mogło.

Tymczasem książę Michał, który był młodym, czuł potrzebę kochania; w towarzystwie, w którym się obracał, płochę tylko miłości spotykał, w jednej Heli widział ideał kobiety, która by szczęście dać mogła. Nigdy jednak ani myślał, ani przypuszczał, aby uboga kuzynka mogła go pokochać, albo on się w niej, wedle pojęć ówczesnego tego świata, w którym się obracał, rozmiłować jak Koloander⁷³...

Smutną przyszłość własną miał przed oczyma, bo nieraz Lubomirski, czasem książę Dymitr⁷⁴, mówili mu o niej. Potrzebował się ożenić bogato dla podniesienia rodziny, szukano mu tej narzeczonej, a że rodem stał na równi z najwyżej położonymi, miał prawo sięgnąć wysoko... Wychowanie nader wykwintne, powierzchowność bardzo miła, choć na owe czasy nieco sztywna, na ostatek umysł wykształcony, a życie surowe zalecały go najwybredniejszym. Ale matka nie chciała się spieszyć z ożenieniem syna.

Książę Michał, który mało miał przyjaciół męskich, bo młodzież odstręczała jego powaga i ubóstwo, gdy powracał do domu, po zdaniu sprawy matce z tego, na czym spędził ranek, poufalej potem wywnętrzał się przed Helą z tego, co widział i słyszał. Było to dla niego potrze-

⁷² d y s y d e n t (z łac.) – w dawnej Polsce dysydentami nazywano innowierców, ewangelików, kalwinów

⁷³ K o l o a n d e r – bohater z poematu Tassa *Jerozolima wyzwolona*

⁷⁴ D y m i t r W i ś n i o w i e c k i (1628–1682) – hetman wielki koronny, kasztelan krakowski, walczył z Kozakami i Szwedami

bą, a piękna kuzynka słuchała z zajęciem opowiadań nawet o toaletach paryskich księżnej Radziwiłłowej i pani marszałkowej Sobieskiej.

Ostatniej nie lubiła księżna Gryzelda i wcale się z tym w kółku swoim nie tała. Był to wstręt zarazem instynktowy i oparty na tym, co słyszała i wiedziała o tej wychowawcy Marii Ludwiki. Przypisywano jej też wygórowaną ambicję i daleko śmielsze, niemal zuchwałe dobijanie się majątku i znaczenia. Wyjście za męża za starego Zamojskiego, mimo naówczas już rozpoczętych miłostek z pięknym Sobieskim, pożycie z nim, o którym się różnie wyrażano, potem powtórne śluby, zaplątanie w intrygi kondeuszkowskie, panowanie samo ułudne nad rozmiłowanym mężem, a zalotność uderzająca w obejściu się z innymi, nie czyniły jej – surowej księżnie – sympatyczną; ale sąd bezwzględny, potępienie, nie wyszło nigdy z ust księżnej. Gdy mówiono o przepięknej, czarującej marszałkowej – milczała. To było jedyną oznaką, że mówić na jej pochwałę nic nie mogła lub nie chciała. Zmuszona, chwaliła zwykle tylko wielki smak w strojach, którymi się piękna Maria odznaczała. Książę Michał, który ją widywał i spotykał często, nie był też zachwycony pięknnością, nie osłaniającą i nie zaślepiającą na charakter (tak w pierwodruku) tej Armidy⁷⁵, żywy do zbytku, despotyczny, kapryśny, chciwy panowania.

Była to jedna z najgorliwszych stronniczek Kondeusza, o której powiadano, że wszystko prowadziła, a męża miała tylko dla spełniania swych rozkazów.

W dworku księżnej Gryzeldy była ona prawie nie widywanym gościem. Przyjemności w towarzystwie smutnej wdowy żywa i wesoła pani znaleźć nie mogła, a wpływu ani pomocy od Wiśniowieckich się nie spodziewała. Z dala spoglądała czasem na pięknego księcia Michała, którego strój francuski się jej podobał, ale nie wabiła go ku sobie. Na nic się jej przydać nie mógł.

Marszałek Sobieski nie miał też czasu i sposobności zbliżania się do rodziny nieboszczyka Jeremiego, z którym, młodzieńczy jeszcze, walczył nieraz w jednym polu. Nie było naówczas czynniejszego, więcej zaprzątzonego, poruszającego się żywiej człowieka nad niego. Wybór Kondeusza, do którego pomagał prymasowi i żonie całą duszą, sprawy wojskowe, które go pociągały i zajmowały, starania o majątkości, które na bardzo wystawne życie nie starczały – tak czasapełniały Sobieskiemu, iż zdawał się nieustannie spieszyć i ledwie móc wszystkiemu wydołać.

Wśród tego zamętu, który elekcją przygotowywał i poprzedzał, książę Michał grał rolę bierną. Matka nie chciała, aby się zupełnie usunął, był bezczynnym. Lubomirski życzył go też mieć przy sobie, ale on sam, skazany niezamożnością swą na stanowisko bardzo podrzędne, nużył się tym poruszaniem bez myśli i ochoty.

Wybór nowego pana dość był obojętnym księżnej matce. Uważano tu Kondeusza jako na pewno już przeznaczonego do korony, Lotaryński i Neuburski krzatali się jeszcze, jak sądzono – nadaremnie... Posłowie tych kandydatów, urzędowi i nie umocowani, zabiegali wszyscy, jednając sobie przyjaciół; książę Michał miał imię piękne, Lotaryński więc i Neuburski zbliżyli się do niego, a że naówczas tak było w obyczaju kupować głosy, iż nikt z tego nie czynił tajemnicy, hr. Chavagnac⁷⁶ ośmielił się małym datkiem pozyskać sobie księcia Michała.

Książę bardzo dobrze wiedział, że się tego mógł spodziewać, niemniej jednak mocno się zmięszał. Chavagnac widząc to, usiłował go przekonać, że obyczaj był tak przyjęty, tak jawny, tak nikomu krzywdy nie czyniący, iż odmowa znaczyłaby chyba wypowiedzenie wojny. Zręczny Francuz zmusił niemal do przyjęcia ofiary.

⁷⁵ A r m i d a – bohaterka z poematu Tassa *Jerozolima wyzwolona*, odznaczała się ona czarującą urodą, żyła w ogrodach owianych tchnieniem miłości i poezji

⁷⁶ G a s p a r d C h a v a g n a c (ur. 1624) – poseł księcia lotaryńskiego, brał udział w służbie w wojsku francuskim, hiszpańskim i austriackim, później został ambasadorem austriackim w Warszawie

Powróciwszy z nią tego dnia do domu, księżę Michał nie miał odwagi przyznać się matce, ale naprzód poskarżył się przed Helą, której rumieniec nagły mógł zaświadczyć, jak przykro jej było się o tym dowiedzieć. Załamała białe rączki, oczy jej po chwili zaszyły łzami.

– A! – zawołała – i ty wzięłeś?!

– Musiałem – odparł kwaśno księżę Michał – inaczej bym sobie nieprzyjaciela w nim zrobił. Powiedział mi wręcz, że gdy hetmanowie, marszałkowie, prymas – ofiary przyjmują, które żadną tajemnicą nie są, ja nie mogę odtrącić datku, który niemal stał się obowiązkowym.

Hela milczała.

– Księżnej – rzekła cicho – chyba lepiej o tym nie wspominać – gdy Sobiescy, Lubomirscy, Potoccy przyjmują, może to wcale im nie uwłaczać, choć dla mnie wydaje się dziwnym, są bogaci, ale my... ale my... ale ty...

Spuściła, nie kończąc, oczy.

– Jest to rodzaj zobowiązania się i zaprzędania – dodała – cóż, gdy potem sumienie nie dozwoli popierać kandydata?

– Chavagnac mi to tłumaczył, że do niczego więcej obowiązany nie jestem, oprócz że przeszkadzać nie będę – dodał księżę Michał. – Jest to dla mnie rzecz nader łatwa, bo ani pomóc, ani zaszkodzić, gdybym chciał – nie potrafię.

Uśmiechnął się smutnie.

– Zresztą – rzekł po małym przestanku z twarzą, która się rozjaśniać zaczęła – maleńki ten przypływ do mojego szczupłego skarbcza jest bardzo pożądanym. Miałem wielką, wielką ochotę i potrzebę sprowadzić sobie ubranie z Paryża wprost, a było mi trudno, mam nawet zręczność...

– Wiem, że to słabość twoja – odezwała się cicho Hela – ale w twym wieku i przy stosunkach, ciągle zmuszających bywać w tym eleganckim świecie...

Księżę Michał westchnął.

– Na cesarskim dworze nawykłem do tego – odezwał się, tłumacząc.

– A! – odparła wesoło Hela – wiem od księżnej, że od małego chłopięcia miałeś to upodobanie w wytwornych sukienkach i ładnych gałgankach... Co to za smutna rzecz, że wszystko tak drogie...

Księżę Michał brał przedmiot rozmowy bardzo na serio i dodał przejęty nim:

– A tu, u nas w kraju, ani w Krakowie, ani w Warszawie sukni francuskiej, choćby podług najlepszego wzoru, nie potrafią tak uszyć, ażeby pochodzenia nie zdradzała. To co przychodzi z Paryża, nosi na sobie takie piętno smaku i elegancji, że niepodobna się nie zachwycać; człowiek inaczej wygląda w tym stroju.

Hela słuchała z oczyma smutnie jakoś spuszczoneymi, jak gdyby przykro jej było tej słabości kuzyna zeznanie z własnych ust jego powtórzone usłyszeć. Księżę Michał zaś z taką naiwnością mówił o stroju, który lubił, jakby w upodobaniu jego nie widział nic ani dziwnego, ani mężczyźnie uwłaczającego.

Z wolna dobył z kieszeni rulon złota i podsunął go ku Heli.

– Ty pewnie także potrzebujesz – odezwał się – podzielę się z tobą chętnie.

Z niezmierną żywością, prawie przestraszona, Zebrzydowska odepchnęła rulon, który się potoczył do rąk księcia Michała.

– Ja! – zawołała – ja! Ale ja mam wszystkiego z łaski księżnej aż do zbytku! Na cóż bym ja pieniędzy potrzebować mogła!

– Ty, bo najmniejszej wagi nie przywiązujesz do ubrania – z pewnym rodzajem wymówki począł księżę Michał – a jednak ubranie, szczególnie dla kobiety...

Hela się uśmiechnęła.

– Tak – rzekła – są panie, które nic nie robią, tylko się rozbierają i ubierają, i o niczym nie myślą oprócz stroju, ale ja do tego bractwa nie należę.

– Na czele tych pań, co się ubierać umieją – odezwał się Michał – stoi marszałkowa Sobieska. Gasi ona wszystkie inne swymi strojami paryskimi.

– No, i pięknoscią – wtrąciła Hela – a gdyby jeszcze miała choć trochę wdzięku i uroku. Ale właśnie na tych jej zbywa. Jest w tej pięknej twarzy coś tak ostrego, że się jej obawiać prędzej można, niż rozmiłować.

– Przypomina obejściem się nieboszczkę królowę – dodał Michał.

– Z tą różnicą – szepnęła Hela – że tamta o wiele miłszą być umiała, gdy chciała.

Zadumany tym Michał zdawał się już rozmyślać o paryskich sukniach, które chciał sprowadzić. Była to dla niego najważniejsza sprawa w tej chwili. Hela odgadywała z łatwością, co go tak zaprzątało. Księżę Michał rozrachowywał zapewne kosztą tego odświeżenia swej garderoby, gdy powolnym krokiem weszła księżna matka, a rulon zniknął w rękę księcia, który ją pospieszył powitać z poszanowaniem.

Pomimo nadzwyczaj skromnego, wdowiego, czarnego stroju, którego małżonka niegdyś sławnego Jeremiego nie zrzuciła, była to postać majestatycznej powagi, a mimowolnie nakazująca poszanowanie. Na lekko pomarszczonym licu, wyrazistym, ale niepięknym, leżał niezamącony niczym spokój chrześcijański, chociaż boleść się przez niego przebijała. Siwe włosy otaczały oblicze zwiędłe, pełne jeszcze energii i życia.

Zobaczywszy syna uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę, a pocałowała go w głowę.

– Helo kochana – rzekła – nie wiem, czy Michał jadł śniadanie. Młody jest i potrzebuje więcej niż ja, a nawet więcej niż ty, choć młodszą jesteś od niego, jest mężczyzną, musi być czynnym... Gdzież dziś? – dodała pytająco.

Księżę Michał zamyślił się nieco, jakby chciał sobie przypomnieć dnia program.

– Zawsze toż samo – rzekł – księżę prymas jest w mieście, mieszka u oo. jezuitów, obok Św. Jana, muszę być u niego, potem już blisko, wstąpię do Lubomirskich⁷⁷, a dalej – nie wiem prawdziwie. Pociągną mnie zapewne z sobą.

– Choćbyś się miał znudzić i zmęczyć – dodała matka, siadając przy stole na podsunętym jej przez Helę z pomocą syna krześle – potrzeba się pokazywać wszędzie, nie dać o sobie zapomnieć, aż nadto jesteś cichy i skromny.

Księżę Michał spuścił oczy, nie chciał powiedzieć matce, co myślał, że nie wszędzie się mógł pokazywać, bo go lada półpanek bez imienia lub świeżo wyszlachcony cudem, albo przywilejem cesarskim kupiec, królewskim mógł dworem, strojem i wystąpieniem zaćmić.

Szczególniej tych bogatych dorobkiewiczów, urosłych z frymarku złymi pieniędzmi, na Szlasku bitymi, wprowadzonymi do Polski, krakowski rynek i krakowska szlachta liczyła wielu, wytykano ich palcami, ale mieli imiona ogromne ponabywane, żenili się ze szlachciankami czystej wody, jeździli poszóstno, i choć szlachta surowszej obserwacji sarkała, już wśród niej zdobyte miejsca zajmowali.

Księżna Gryzelda chwilę siedziała milcząca. Tymczasem piękna Hela zajmowała się przekąską, którą dla księcia Michała podać miano. Matka знаła tę drugą słabość syna, który lubił jeść, a jako zdrowy i młody jadał ochoczo i dużo. Sprawiało jej to przyjemność patrzeć, jak z chłopskim apetytem, wedle jej wyrażenia, który Hela na rycerski zamieniała, syn o każdej dnia godzinie gotów był się odżywiać. Było w tym coś niemal dziecięcego, bo jedząc, księżę Michał zapominał o wszystkim.

– Na tę elekcję nieszczęsną – odezwała się pomilczawszy księżna matka – ty jeszcze wiele będziesz potrzebować. Rada bym ci pomogła.

⁷⁷ Mowa o Jerzym Sebastianie Lubomirskim (1616–1667), marszałku wielkim koronnym i hetmanie polnym; był on zwolennikiem stronnictwa francuskiego i austriackiego. Prowadził politykę warcholską, za co został skazany na infamię, nie doczekawszy się sejmu, który go miał przywrócić do godności, zmarł w r. 1667. Syn jego Stanisław Herakliusz Lubomirski (1636–1702) pisarz i filozof, początkowo był starostą spiskim, w r. 1669 został podstolim koronnym, a w r. 1670 marszałkiem sejmu. Przyjaźnił się z Michałem Wiśniowieckim i Janem III

Księżę podniósł głowę od talerza, nad którym siedział zwieszony i chciał w pierwszej chwili potwierdzić zdanie matki, ale się wstrzymał, widząc ją zakłopotaną.

– Ale – rzekł – nie sędzę, abym potrzebował bardzo występować. Wszyscy wiedzą, że nam kozactwo odebrało, cośmy mieli.

– A, tak! I zubożenie takie, jakie dotknęło ojca twego, nas, raczej jest chlubą niż wstydem. Nie straciliśmy ojcowizny, Jeremi złożył ją w ofierze ojczyźnie, która mu długu nie wypłaciła. Możemy być dumni, że ty dziś skromnie zmuszony jesteś wystąpić. Niemniej krew jagiellońska w twoich żyłach płynie, a spojrzawszy na ciebie, każdy ją w szlachetnych rozpozna rysach... Ale są rzeczy niezbędne – dodała księżna po małym namyśle – konie, które tyle kosztują, trochę więcej sług, co do niczego nie służą, no, i barwa nowa dla nich.

– A i na liczną, i bardzo potężną czeladź – odezwał się książę Michał – na próżno by się sadzić było; sędzę, że dosyć będzie, gdy ja tam wystąpię, jak synowi Jeremiego przystało, a mój orszak szczupły.

– Te konie, konie! – westchnęła matka – mieliśmy najpiękniejsze stada, nawet Konięcpolskich⁷⁸ konie się równać nie mogły z naszymi, a teraz...

– Wojny są na nie mordercze – dodał książę Michał – ja dla siebie mam ich kilka wcale pokaźnych, a dla czeladzi...

Nastąpiło milczenie. Księżna Gryzelda zapytała o dzień wczorajszy i rozmowa byłaby się przeciągnęła, gdyby nie wszedł młody paż, przyjaciel księcia, który z galanterią francuską, i on bowiem nosił się modą cudzoziemską, pośpieszył powitać gospodynię domu.

Gość był wesół, miał twarz niepiękną, choć młodą, ale rozpromienioną, ożywioną – szczęśliwego człowieka, któremu na niczym nie zbywało. Myśli też jego w kółku zaczarowanym powszednich rozrywek się obracały.

Wiedział najlepiej, gdzie dnia tego miał być obiad dla dostojniejszych, a u kogo wieczorem *conversazione*⁷⁹ i zabawa z tańcami. Jak wszyscy Pacowie współcześni i ów, powagą kanclerza Krzysztofa wsparty, czuł się silnym. A dawał to czuć tym, z którymi raczył obcować. Za wielką łaskę tej rodziny, tak wielkiego wpływu i znaczenia, musiała księżna liczyć, że młody starosta synowi jej okazywał życzliwość i żył z nim na przyjacielskiej stopie.

Przyjmowano go też tu z oznakami wielkiego poszanowania, do którego wiek mu nie dawał prawa. Jedna Hela Zebrzydowska najmniej okazywała uprzejmości dla butnego, zbyt śmiałego i dumnego młodzieńca.

Pacowie stali jeszcze naówczas całą rodziną, a tej zastęp był niemały, z Kondeuszem litewskim na czele, z prymasem i Sobieskim razem przy Kondeuszu. Ale współzawodniczący z nimi o znaczenie, czynny Sobieski i jego żona, już im niemiłymi być zaczęli. Nie dawało się to jeszcze widzieć jawnie, lecz potajemnie już się do wybuchu gotowało. Na Litwie zawadzali im potęgą lwia i wpływem Radziwiłłowie⁸⁰, z którymi walka głucha już się wywiązywała.

Nie dziwiła się więc może księżna Gryzelda, gdy młody Pac, rozpoczynając rozmowę, z przekąsem pewnym odezwał się o marszałkowej Sobieskiej i o jej mężu. Należeli wprawdzie do jednego obozu, lecz przewidywać łatwo było, [że] lada najmniejsze rozdrażnienie pociągnie za sobą wojnę. Z ożywionych opowiadań młodego Paca, sympatie jego i wstręty, niezbyt ukrywane, na jaw wychodziły, często szczególniej potraçał o Radziwiłłów.

– Nie radziłbym bardzo księciu Kondeuszowi, a nawet i na Sobieskiego... Podejrzewam ich, że dlatego tylko, aby moc swą okazali, gotowi się przerzucić do przeciwnego obozu.

⁷⁸ Zapewne mowa o Stanisławie Konięcpolskim (1591–1648) – kasztelanie krakowskim, hetmanie wielkim koronnym i Aleksandrze (1620–1659) wojewodzie sandomierskim

⁷⁹ *c o n v e r s a z i o n e* (włos.) – rozmowa, konwersacja

⁸⁰ Mowa o Bogusławie Radziwiłłowie (1620–1669), który razem ze swoim bratem Januszem, po wejściu Szwedów w granice Polski, sprzeniewierzyli się narodowi i królowi i przeszli na stronę nieprzyjaciela

– A cóż wy, panie starosto – odezwała się gospodyni – zowiecie obozem przeciwnym? Wątpię, aby szczupła garstka przyjaciół Lotaryńskiego i Neuburga na to nazwisko zasługiwała.

– Dziś nie – odparł Pac – lecz gdyby jakiś niespodziany wypadek, czego się nie spodziewamy, zachwiał wyborem Kondeusza, naówczas Lotaryński stanie na kandydatów czele.

Rozśmiał się Pac.

– Radziwiłłowie jedni pójdą z Neuburskim!

– Do tego przyjść nie może – wtrącił książę Michał – aby przygotowanej tak troskliwie elekcji Kondeusza mogło coś stanąć na przeszkodzie!

Pac poruszył ramionami.

– Bóg wie – odezwał się obojętnie – chodzą śmieszne pogłoski. Są ludzie, którzy utrzymują, że nasza szaraczkowa szlachta zazdrosna o to, iż my pana prowadzimy sami, chce stanąć do walki z nami i szuka Piasta, aby go przeciw Kondeuszowi podniosła. Piasta – śmiał się ciągle młody Pac – ciekawym kogo mają na myśli?

Księżna niedowierzająco poruszyła ramionami.

– Są to nedorzeczne plotki – rzekła.

– My wszyscy nie ścierpielibyśmy jednego spośród nas na tronie – dodał Pac. – Dałoby to jednej rodzinie przewagę... wywołać by mogło wojnę domową. Za Zygmunta Augusta⁸¹ nie chciano na tronie nawet kobiety Radziwiłłownej, cóż dopiero króla, z pośrodku równych nagle tak podniesionego.

Chwilę jeszcze rozmowa toczyła się przy stole, ale starosta wstał, pożegnał się z księżną i, ujawszy pod rękę księcia Michała, wyszedł z nim do jego pokojów.

Mieszkanie to, które miłość macierzyńska i ręka siostry starały się przyozdobić i upięknąć, w istocie było najwytworniejszą częścią starego dworu. Cały pokój jeden obwieszony był zbrojami, po części wschodniego pochodzenia i starożytnym orężem. W sypialni księcia Michała, obok spartańskiej⁸² prostoty pamiątek po ojcu odziedziczonych, błyszczały z zagranicy przywiezione cacka, w których książę Michał zdawał się znajdować upodobanie.

Pac upadł na wysłaną skórą ławę i żywo mówić począł.

– Wszystkim nam staje się nieznośną ta Francuzka, która tu sobie chce dawać fory królowej. Ona prowadzi Kondeusza, ona dyktuje posłami, co ma czynić, ona i tylko ona wszędzie. Prymas nawet schyla przed nią głowę. Dopókiż to tego będzie?

– Zapewne aż do elekcji – rzekł Michał.

– Ale ona zechce tak władać przyszłym królem, jak rozporządzała tymi, co go prowadzą. My tego w końcu nie ścierpimy, Radziwiłłowie są jawnymi nieprzyjaciółmi naszymi, a ci trzymają z Sobieskim.

Książę Michał chłodno poprawił:

– Z marszałkową Sobieską!

– Masz słuszość, ten śliczny Celadon jest dotąd w takiej adoracji przed swym bóstwem, iż słucha jego skinienia... Prawda, że piękna Maria nie popsuka go miłością wielką ze swej strony i dla innych ma uśmiechy daleko czulsze niż dla męża...

– Daje mu czuć, jak wielką łaskę uczyniła, wychodząc za niego – szepnął książę Michał. – Sobieski jej winien wszystko.

Pac przerwał opowiadaniem złośliwym o nadzwyczaj poufalitych stosunkach marszałkowej z Francuzami. Przesunęły się potem w ciągu rozmowy wszystkie obiegające towarzystwo

⁸¹ Z y g m u n t A u g u s t (1520–1572) – król polski. B a r b a r a R a d z i w i ł ł ó w n a (1520–1551) była drugą żoną króla; przeciwko temu małżeństwu, zrazu rozpoczęły się knowania, podsycane przez Bonę. Następnie sprawa małżeństwa była rozważana na burzliwym sejmie piotrkowskim w r. 1548. Król wytrwałością i przywiązaniem do żony przemógł opór swoich przeciwników.

⁸² s p a r t a ŋ s k i – dotyczy Sparty; tu: nieugięty, surowych obyczajów

plotki. Książę Michał słuchał ich obojętnie, widać było, że tego życia był tylko widzem, czynnie się nie mieszając do niego, gdy Pac – gorący we wszystkim brał udział.

Po krótkim spoczynku Michała Pac wstał, ale nie dozwolił zostać mu w domu i pociągnął go z sobą. Wiśniowiecki był mu potrzebnym do orszaku i na pokaz, tak samo jak niegdyś książętom Ostrogskim kasztelan lub wojewoda na marszałka ich dworu.

Razem więc wyjechali z dworku przy Miodowej przecznicy młodzi kawalerowie i rozpoczęli cały długi szereg odwiedzin po domach, w których Pac chciał się pokazać, a książę Michał towarzyszyć musiał przyjacielowi.

III

Była wiosna, czas na elekcję oznaczony się zbliżał, a prymas najczęściej przebywał w Łowiczu, dokąd codziennie zjeżdżali się wszyscy przyjaciele Kondeusza. Po twarzach i z humorów gości można było zmiarkować łatwo, iż sprawa francuskiego kandydata stała jak najpomyślniej. Prymas przed poufałymi otwarcie wyznawał, że pewnym był wyboru.

Zawczasu już rozporządzano wakansami, jakie w czasie pomiędzy konwokacją a elekcją się odkryły lub mogły być spodziewanymi. Stary Prażmowski rozdawał je po radzie ze swymi pomocnikami, nie wątpiąc, iż woli jego zadość się stanie. Pomimo tej pewności czuwano jednak i Prażmowski codziennie odbierał wiadomości z prowincji o usposobieniach, jakie się tam objawiały.

Trzej najdzielniejsi kondeuszowi popiecznicy: arcybiskup, Sobieski i kanclerz Pac znajdowali się właśnie w gabinecie Prażmowskiego na radzie zwykłej, gdy dworzanin starszy oznajmił o przybyciu stolnika Gorzeńskiego, a Prażmowski znać dał, aby go natychmiast wpuszczono.

Mazur, pan Cedro Gorzeński, bardzo daleki powinowaty rodziny arcybiskupa, człowiek skromny i nieznany, kryjący się niemal z sobą i stosunkami swoimi, był jednym z tych wiernych sług Prażmowskiego, którzy rozkazy jego spełniali i czuwali nad przygotowaniem przyszłej elekcji – *anima damnata*⁸³ starego swego pana, Gorzeński miał dar szczególny wciskania się wszędzie, odegrywania różnych ról wedle potrzeby i zasiągania potrzebnych informacji. Nikt by w tym skromnie ubranym, łysym nieco, pokornym, cichym stolniku nie domyślił się narzędzia prymasa, który jak gdyby go nie znał, nigdy w Łowiczu pokazywać mu się nie dozwalał nawet. Gorzeński miał dosyć miru u szlachty, a nikomu nie zawadzał. Nie wystrzegano się go wcale, gdyż nie domyślano się w nim czynnego pomocnika kondeuszowych... W stosunku do swego protektora i przyjaciół jego Cedro tak się okazywał pokornym, posłusznym, miękkim, jakby sam przez się nic nie znaczył i nie mógł, jednakże – dzięki nadzwyczajnej gibkości swej – umiał nieznacznie wyśledzić to, co mu wiedzieć było potrzeba, i pokierować wedle swej myśli panami bracią.

Ukazanie się Gorzeńskiego w tej godzinie nie oznajmywało nic nadzwyczajnego, niemal co dzień stawiał się on z doniesieniami do prymasa, po rozkazy jego. Przytomność⁸⁴ Sobieskiego i Paca⁸⁵, dla których tajemnic nie miał, nie przeszkadzała mu poufnie rozmówić się z wiernym sługą.

Stolnik skromnie stanął w progu, pokłonił się bardzo nisko z kolei dygnitarzom i czekał. Prymas z widocznym ukontentowaniem spoglądał na przybyłego, lubił go i cenił.

⁸³ *a n i m a d a m n a t a* (łac.) – dusza potępiona

⁸⁴ *p r z y t o m n o ść* – tu w znaczeniu: obecność

⁸⁵ *K r z y s z t o f P a c* (zm. 1684) – kanclerz wielki litewski przyczynił się do wyniesienia Michała Wiśniowieckiego na tron polski

– Cóż tam nam przynosisz, mój Cedro! – rzekł cichym i miękkim swym głosem arcybiskup. – *Quid novi?*⁸⁶

Gorzeński namyślać się zdawał chwilę, badając czy porozumiewające się wejrzenie rzucił na prymasa, ale odebrał odpowiedź niemą, iż otwarcie mówić może. Samo wszakże pytanie i wątpliwość zwiastowały coś niezwykłego i Prażmowski się poruszył niespokojnie.

– *Quid novi?* – powtórzył.

Gorzeński pogładził łysinę, poruszył głową i trochę wahając się rozpoczął.

– W istocie nowego coś przynoszę – rzekł – chociaż może to być niedorzeczną bajką, która sprawdzenia potrzebuje...

Wszystkich oczy ciekawie zwróciły się na mówiącego.

– Szlachta w Kaliskiem, w Sandomierskiem i w Krakowskiem – ciągnął dalej Gorzeński – burzy się trochę...

– Oh! – przerwał prymas – będzie miała czas się wyburzyć.

Cedro głową zawahał.

– Tymczasem przeciwko Kondeuszowi się sposobią – mówił – jedynie dlatego, iż senatorowie i *primates regi*⁸⁷ są za nim. Ruch ten się wzmaga.

Zmarszczył się prymas.

– A kogóż oni chcą? – zapytał gniewnie prawie. – Lotaryńskiego może!

– Wcale nie – odparł szlachcic – oni sami nie wiedzą, kogo postawić... po troszę im Piast księdza Olszowskiego głowy zawrócił.

– *Absurdum*⁸⁸ – zamruczał prymas – nie widzę w tym najmniejszego niebezpieczeństwa, bo na Piasta żadnego nigdy się nie zgodzę. Cóż nam to szkodzi, że się zabawiam urojeniem. Jaki Piast? który? – coraz żywiej unosząc się mówił prymas. – Olszowski ten, to prawdziwy *turbator chori*⁸⁹. Posądzam go, że tylko, aby nam troski przymnożyć, na żart Piasta zaleca, boć wie, że go nie ma i być nie może!

Gorzeński milczał z poszanowaniem, aż gdy prymas skończywszy zamilkł, począł znowu.

– Z tym wszystkim pomiędzy szlachtą agitacja wielka, jeżeli nie przeciw Kondeuszowi, bo mu nic zarzucić nie mogą, to przeciwko panom senatorom i starszej braci.

– Tak że mi mów – gorąco odezwał się prymas. – Stare to dzieje, duch przeciwności, podmuch szatana, zepsucie wszelkiej karności i posłuszeństwa władzy przez Boga wyznaczonej! Poczęło się to dawno i nierychło skończy. „...Równy wojewodzie” brzmi jako hasło.

Zamilkł chwilę.

– Lecz – dodał – jak mawiał wielki ów kanclerz Zamojski: szlachta wykrzyczyć się musi, a rychło ostygnie. Znał to do niej i Chmielnicki⁹⁰. Dać się wyburzyć, a wszystko się potem ukoji i uśmierzy.

Gorzeński nie przerywał, lecz gdy nastąpiło milczenie, a oczy znowu na niego się zwróciły, mówił spokojnie.

– Nie chcę powtarzać złośliwych kalumnii⁹¹, ale noszą się z tym, że Kondeusz kupił sobie wszystkich, że pieniędzmi idzie do korony, że ją zawczasu, bo za Jana Kaźmirza, miał sobie zapewnioną.

Sobieski i Pac spojrzeli na siebie, a kanclerz litewski mruczeć począł coś po cichu. Marszałek, który dotąd się nie odzywał, rzekł dosyć obojętnie.

⁸⁶ *q u i d n o v i ?* (łac.) – co nowego?

⁸⁷ *p r i m a t e s r e g n i* (łac.) – pierwsi w królestwie

⁸⁸ *a b s u r d u m* (łac.) – niedorzeczność

⁸⁹ *t u r b a t o r c h o r i* (łac.) – ten, który mąci śpiew chórny

⁹⁰ *B o h d a n C h m i e l n i c k i* (1593–1653) – wielki przywódca powstania kozackiego w r. 1648 i latach następnych. Walczył o wolność społeczną i narodową ludu ruskiego, odniósł zwycięstwo pod Żółtymi Wodami i Korsuniem, a został pobity pod Beresteczkiem

⁹¹ *k a l u m n i a* (z łac.) – potwarz, oszczerstwo

– Na wszystkich elekcjach zawsze się musiał jakiś opór objawić, bo to niemal potrzebą jest dla szlachty, aby miała zręczność okazania, iż się do pewnego znaczenia poczuwa. Jeden nasz ostatni pan winien był *unanimitwatem* Kozakom... a i ten wprzód księcia Karola musiał uprosić, aby mu ustąpił.

– O Piaście mowy być nie może – odezwał się prymas – lękam się, aby to nie było sztuczką Lotaryńczyka, który, szyki pomieszawszy współzawodnikowi, chce z mętnej wody korzystać. Chavagnac daleko jest chytrzejszym i przebieglejszym, niż się wydaje...

To mówiąc arcybiskup rękę podniósł do góry i głową począł potrząsać.

– Lotaryńczyka – rzekł śmiało Sobieski – wcale się nie ma co obawiać. Sam poseł jego uważa sprawę za przegraną.

– Zatem i nikogo już by nie było do współzawodu – rzekł Pac – bo ja Neuburskiego nie liczę, choć u nas na Litwie słyszę, że się z nim niektórzy noszą.

Mówiąc to spojrzał na Sobieskiego, nie chcąc spokrewnionych z nim wymienić, wyraił się [z] Radziwiłłów.

– Ja o tym nie wiem nic – odparł Sobieski – i nie sędzę, aby mu się źle tak przysłużono, na sztych go wystawiając, gdy za sobą nie ma nikogo.

Po krótkiej pauzie Gorzeński się odezwał.

– Już mi to nie nowina panów moich szlachtę widzieć w wielkim poruszeniu i animozji⁹², ale, jakem żyw, takiego rozdrażnienia nie znałem nigdy. Domyślam się więc, że tu czyjeś drożdże się znajdują na dnie...

– Czyjeż? – zapytał prymas kwaśno – Lotaryński by się zdradził, a gdy nie on, to któż znowu?

Zmilczał Gorzeński.

– Prawda, że o Piaście mówiąc – szepnął poczekawszy – mianować go nie umieją i Polanowskim się śmieszą.

Wszyscy to nazwisko dzielnego wojaka, ale mało znaczącego człowieka, przyjęli ze śmiechem. Uśmiechnął się też Gorzeński.

– Pewnie pociesznym kandydatem jest książę Dymitr Wiśniowiecki – rzekł prymas. – W rodzinie tej już jagiellońska krew się wyczerpała, a niczym się nie odznaczają.

Poruszył ramionami.

– Żaden z najznacniejszych naszych dygnitarzy i panów nie przyjąłby tego brzemienia – dodał – wiedzą dobrze, iż koronę musieliby wdziać cierniową, boby wszystko, co żyło, powstało przeciwko Piastowi.

Słuchał Gorzeński cierpliwie.

– Ten cały ruch i gorączka uśmierzą się – mówił cichym ciągle, stłumionym głosem prymas – gdy na pole elekcyjne się ściagną. Ale któż wywołuje to warcholstwo i przewodzi?

Stolnik zacierał ręce.

– Właśnie w tym trudność jest, aby dośledzić początku – odezwał się – i dojść, kto rzucił to zarzewie. Sądzę, że ono kędyś w Sandomierskiem się rozpało, ale z czyjej poszło ręki – nie wiem.

– Toś mi pierwszy raz – rzekł Prażmowski – nie umiał dotrzeć do dna... i naprawdę przyszedłeś z niczym.

– Niewiele ja ważę sam to, co przyniosłem – odezwał się Gorzeński – i byłbym zmilczał może, ale sądziłem, że obowiązkiem moim przecie i o tym dać wiedzieć.

– Starajże się dojść, skąd to płynie – przerwał prymas – a mówić nie potrzebuję, że odziaływać należy i wyśmiewać tych krzykaczy...

Cedro, znając prymasa, domyślił się, że tymi słowy dawał mu odprawę, pokornie więc jak wchodził, tak z kolei kłaniając się wszystkim nisko, wysunął się z gabinetu.

⁹² a n i m o z j a (z łac.) – zawziętość, gniew, gwałtowna niechęć do kogoś

Po wyjściu jego trwało czas jakiś milczenie. Trzej wodzowie kondeuszowskiego stronnictwa, krótko coś poszeptawszy z sobą, zdawali się uspokojeni. Pierwszy do wyjścia ruszył się kanclerz Pac. Schylił się do ręki prymasa, skłonił z dala Sobieskiemu, i, odprowadzony do drzwi, zniknął. Po odejściu jego Prażmowski poufałej pochylił się ku Sobieskiemu.

– Smutna to rzecz wyznać – rzekł cicho – ale ja niezupełną mam ufność w kanclerzu. Wprawdzie musi iść z nami, lecz... lecz...

Nie dokończył, Sobieskiemu uśmiech przebiegł po ustach, pokręcił węża.

– Ja też nie dowierzam Pacom – odparł – ale na Litwie, nie można zaprzeczyć, dorobili się znaczenia i potęgi. Urosli dużo...

– Przecież z Radziwiłłami się mierzyć nie mogą – rzekł prymas.

– Ale niemniej wszędzie, gdzie mogą, podstawiają im nogę – mówił Sobieski. – Prędszej, później, przyjść musi do walki.

– Tymczasem trzeba ich oszczędzać – zakończył prymas.

Sobieski, który dnia tego powrócić musiał do Warszawy, po krótkiej tej rozmowie pożegnał prymasa.

Hetman i marszałek, jeden z najczynniejszych tego czasu i największego znaczenia dygnitarzy, Jan Sobieski, któremu jeszcze z większą gorączką poruszająca się, krzątająca, zabiegająca żona nie dawała pokoju – należał do wybitnych wodzów partii Kondeusza, a raczej kandydata, jakiego się Francji mogło podobać chcieć osadzić na tronie polskim.

W tej chwili była to jeszcze postać zarysowująca się niejasno, której ambicja i chciwość Marii Kaźmiry nadawała barwę fałszywą. Niefortunny los chciał, że ten znakomity ze wszech miar mąż, który przy wychowaniu i ogładzie zachodniej zachował nigdy nie starty charakter szlachcica polskiego, zawczasu się rozmiłował w zachwycającej wychowance królowej Marii Ludwiki.

Piękna, ale bez serca, Francuzka, która poświęciła naprzód Sobieskiego staremu Zamojskiemu dla jego fortuny i znaczenia, dała się potem, nie okazując zbyt miłości, zaślubić pierwszemu ukochanemu, wiedząc, że on będzie w jej rękach narzędziem posłusznym. Pierwsze lata tego małżeństwa, w których by nieledwie posadzić można marszałkównę, że uciekała od męża, były straszną próbą, na którą kochający do szaleństwa mąż był wystawiony. Wymagająca, nienasycona, kapryśna, przepiękna Marysieńka wywarła wpływ wielki a zgubny na słabego Sobieskiego. Cudem jakimś znakomity wojownik, tam gdzie szło o służbę Rzeczypospolitej, nawet wszechmocnej tej pani nie dawał sobą rządzić. Ale w tej chwili, gdy to opowiadanie się rozpoczyna, mimo że był hetmanem i marszałkiem, to jest – stał na najwyższym szczeblu dostojęstwa, jeszcze nie było pewnym, czy piękna Marysieńka nie każe mu się wyprzedać ze wszystkiego i wynosić z sobą do Francji. Podróż i pobyt tam Sobieskiej ostudziły ją może i przekonały, że lepiej być hetmanową w Polsce niż jedną z mnóstwa markiz i hrabian nad Sekwaną.

Niezmiernymi wydatkami żony uciśnięty Sobieski – który jako hetman i marszałek, oprócz tego z własnej kieszeni i wojsku często płacić, i posłom dawać musiał podarki, tak że po odjeździe tatarskiego posła pisze, iż ostatnią srebrną miednicę z nalewką⁹³ poświęcił – troskał się teraz głównie o pieniądze. Obiecywano je we Francji, rachował na nie wielce hetman i żona. Oboje oni, a szczególnie sama pani, z jej przyczyny więcej mieli nieprzyjaciół i zawistnych niż wiernych sobie... Czyniło to życie trudnym, bo się z wielką ostrożnością poruszać było potrzeba.

Ci nawet, co szli w zwartym szeregu partii Kondeusza pod wodzą prymasa i Sobieskiego, choć na oko z nim byli w najlepszych stosunkach, potajemnie mu zazdrościli i szkodzili. Można rodzina Paców, której trzej koryfeusze stawili czoło Radziwiłłom, z Sobieskim spokrewnionym, dysymulowała tylko nienawiść swą dla hetmana. W Koronie tak samo uśmie-

⁹³ n a l e w k a – tu: naczynie do nalewania wody

chano się im wdzięcznie, ale obgadywano i starano szkodzić pokątnie. Wszystkiemu temu winną była Maria Kaźmira, której duma i pewność siebie raziły i zniechęcały.

Sobieski, który był stworzonym raczej do obozowego i familijnego życia niż do zawikłanych intryg, w które go żona wpłatała, prawdziwym męczennikiem obracał się w tym ogniu, zmuszony obowiązkiem hetmana do czuwania nad bezpieczeństwem kraju, elekcją do popierania niepopularnego kandydata, na ostatek potrzebą duszną do gospodarowania na rozległych majątnościach, w których się budował, tulipany i drzewka sadził, a nawet karety pod swym dozorem w domu wykończyć musiał.

Rozkochany w kobiecie, która wtedy tylko czulszą się okazywała, gdy coś wymóc potrzebowała, zarzucony sprawami różnymi, Sobieski tchnąć swobodnie czasu nie miał. Marysienka była wymagającą bez miary, on powodującym się aż do zrzeczenia własnej woli...

Słaby dla tej kobiety, do której go więcej temperament i zmysły przywiązywały niż serce, hetman był nieskończenie wyższych zdolności i wykształcenia od tej żony, która nim miotała. Chciwy wiedzy i nauki, lubiący książki, przekładający nade wszystko towarzystwo ludzi uczonych, znakomity strategik⁹⁴ i hetman – stał na wysokości ducha wieku, wśród którego żył, ale miał też wszystkie jego słabości, wady i przywary. Niepomiarne żądze grosza i zбогacenia się zaraziła go żona, tak że sprzedanie korony Kondeuszowi nie wydawało mu się frymarkiem występnym, ale bardzo naturalnym targiem, za który zapłaty wymagać było wolno.

Kandydat ten francuski krajowi z tego tylko znany, coo nim stronnicy jego głosili, u szlachty, w wojsku był najniepopularniejszą postacią, bo Francuzi naprzykrzyli się za Jana Kaźmirza i Władysława, a rosnąca ich buta oburzała.

Począwszy od peruk, które pudłami zwano, aż do pończoch, trzewików, mankietów i kryz⁹⁵ – wszystko w nich wydawało się śmiesznym. Pierwszeństwo, jakie im we dworze dawano, naśladowanie ich obyczaju w pańskich kołach, niechęć tę powiększało. Francuzowi krwawą wypłatą sztukę było najmiłą zabawą.

Kondeusz więc wcale serc nie pociągał ku sobie, a sposób w jaki od dawna knuto około tego poddania Polski zwierzchnictwu i władaniu Francji – mnożył wstręty... Posadzano stronników Francuza, że go, wbrew prawom kardynalnym, za żywota Jana Kaźmirza chciano wybrać i ogłosić – nie chciano teraz, że namówiony, zmuszony, uwiedziony Kaźmirz ustępował tylko dlatego, aby miejsce Francuzowi opróżnić.

Można więc było przewidywać opozycję, ale panowie zbyt ufali swej potędze i wpływowi, ażeby się jej obawiać mieli. Szlachta miała tę z dawna sławę, że głośno krzyczała, miotała się gorąco, ale wystygła prędko i naburczawszy senatowi, szła za nim posłuszna...

Hetman, powróciwszy z Łowicza, wprost zajechał do dworu, który zajmował, nie mogąc się doprosić, a raczej nie chcąc siłą zabierać cekhauzu⁹⁶, który mu należał na mieszkanie czasu sejmów i elekcji. Dwór ten i dwa przy nim sąsiednie, z kuchniami, stajniami, oficynami, zaledwie ciasno i niewygodnie pomieścić mogły piękną Marysienkę i czynnego hetmana.

Pomimo oszczędności Sobiescy nie mogli wysokiego swego dostojęstwa wymaganiom się uchylać; hetman lubił wystąpić, a Maria Kaźmira potrzebowała jaśnieć i pierwsze zajmować miejsce. Dwór z pocztem, jaki Sobieski przyprowadził z sobą, wynosił kilkaset ludzi. Stajnie dla pomieszczenia koni nie starczyły, ludzi wiele obozowało po szopkach i zakątkach.

Cały jeden dwór zabierała dla siebie hetmanowa, u której, jeżeli była w domu, nigdy nie przebiegało się goście płci obojga. Tu się zbierały, stąd rozchodziły nowiny i hasła.

Lecz niczym to było jeszcze obok kancelarii i pokojów Sobieskiego, w których tłok był nieustający. Co chwila przybywali posłańcy, co chwila też wyprawiano ich. Około kilku dziesiątek pisarzy ledwie mógł starczyć pisanie listów i przepisywania wiadomości. Starszyzna z

⁹⁴ s t r a t e g i k (grec.) – wódz, znawca prowadzenia wojny

⁹⁵ k r y z a (z niem.) – rodzaj kołnierza noszonego na szyi, marszczonego lub suto fałdowanego

⁹⁶ c e k h a u z (z niem.) – skład broni, zbrojenia

trudnością utrzymywała porządek. Cisnęli się wojskowi, pchali cywilni, nabijali Żydzi... Straż jednych wpuszczała milcząc, drugich odpychała niemiłosiernie. Sam hetman pomiędzy gości a kancelarią dzielić się musiał.

Ale to była natura dziwna, nigdy prawie nie czująca się silną ani zdrową, skarżąca co dzień, a mogąca podolać i bezsennościom, i natężonej pracy, i nieustannym drażnieniom. Rzadki dzień Sobieski bez jakiejś porady doktora lub póldoktora się obchodził, a mimo to z młodzieńczym zapałem po całych dniach hasał na łowach, noclegował po lasach i odbywał podróże pośpieszne bez odpoczynku... Często nawet zmusili go starzy przyjaciele wieczorem się więcej napić, niż było potrzeba, za co nazajutrz pokutował.

I tego dnia powrót hetmana powitała gromada oczekujących nań ludzi z dóbr jego, od wojska, z różnych stron kraju przybyłych, tak że mu się przebrać nie dano, a już drzwi się uchylały ciągle i posły od pani hetmanowej ku niej go wzywały co prędzej.

Przed najpilniejszymi sprawami powitanie Marysieńki było pierwszym.

Czekała go nie sama, ale w świetnym pań i młodzieży gronie. W pokojach, już oświetlonych, gwar słychać było wesoły z daleka, w salce kręgiem siedziały postrojone panie, żywą zajęte rozmową ze stojącymi przed nimi po większej części młodymi panami, z niewielu wyjątkami, we francuskich strojach i w perukach. Wśród kobiet pani Dönhoffowa, z czarnymi, wyrazistymi, żywo biegającymi oczyma, najgłośniejszą się odzywała i śmiała, mówiła najśmielej, choć każdy wykrzyk nieznaczny drżenie brwi i ust na piękną twarz gospodyni wywoływał. Marysieńka, która już o powrocie męża była uwiadomiona, czekała na niego przy bocznych drzwiach salki, którymi był zwykły przychodzić, niecierpliwie wachlarzem potrząsając.

Świeża jeszcze na podziw i młoda, pomimo dość już nużących lat i słabości przebytych, hetmanowa blaskiem swych wdzięków odznaczała się wśród liczego orszaku, który ją otaczał. Chłodem i dumą wiało od niej, ale rysy oblicza klasycznej regularności, cera nadzwyczaj delikatna i biała, oczy pełne ognia – nadawały jej majestat zwycięskiej piękności. Nie pociągała niczym, budziła może trwogę jakąś, chociaż odgadnąć było łatwo, że chcąc być miłą i czarującą, mogła serca podbijać i panować nad nimi. Kobiety wszystkie bez wyjątku niepostrzeżenie wzrok na nią zwracały, patrzyły z obawą i niechęcią. Nie starała się też wcale przypodobać nikomu z wyjątkiem kilku panów, dla których na chwilę łagodziła wyraz twarzy. A gdy się ku innym zwracała, przybierała natychmiast zwykłą swą despotyczną fizjonomię.

Oczy pani Dönhoffowej, która nieustannie pochylając się, powołując do siebie, nader żywo zajęta była rozmową, ani na chwilę nie schodziły z gospodyni. Z wymiany wejrzeń między nimi, obcy nawet mógł odgadnąć stosunek naprężony, przyjacielski z musu, w sercach pełen niechęci. Dönhoffowa nie mogła ani myślała o jabłko piękniejszej się ubiegać, lecz walczyła o wpływ i znaczenie, o rolę w politycznych intrygach, w których obie były czynne. Zmuszona oszczędzać Dönhoffową, piękna Marysieńka podobną była czasami do rumaka, gryzącego żelazne wędzidło.

Sobieski cicho stąpając zbliżył się do drzwi zawieszonych gobelinową portierą, w których żona czekała na niego z brwiami zmarszczonymi i zniecierpliwionym twarzy wyrazem. Szedł ku niej przejęty cały, rozpromieniony, śląc jej od ust całusy i byłby może przypadł przed bóstwem na kolana, gdyby nie obawa ściągnięcia gniewu na siebie. Marysieńka nie dała mu się zbliżyć do ust, wyrwała od ust białą rączkę i ściągnęła brwi.

– Zostawiłeś mnie samą na cały dzień – poczęła – wcale się nie rozczulając widokiem męża, który ją zjadał oczyma – bawiłeś się gdzieś na próżno, zapominając, ile tu czeka na ciebie. Egipcjanka – szepnęła ciszej – jest dziś tak wesołą i roztrzęsioną, iż ją posadzę, że nam jakiegoś figla chyba spłatać musiała. Usta się jej nie zamykają, a kęsa! Widziałeś Wardeń-

skiego? Ja nie wiem – przywiózł pieniędzy? Elent, jak mi mówiono, samymi boratynkami⁹⁷ za dzierżawę wóz wyładował. Nie potrzeba ich przyjmować.

– Ależ bóstwo ty moje – szepnął Jan – pieniędzy tak potrzebujemy, że bodaj boratynkami brać muszę.

Maria Kaźmira poruszyła ramionami.

– Znowu strata. Aron tylko na tym skorzysta.

Korzystając z zadumania krótkiego Sobieski nieznacznie pochwycił rączkę i wycisnął na niej pocałunek gorący.

– Jak się ma Fanfanik?

– Zdrow, ale krzyczy nieznośnie i tak już samowolny jak ojciec – odparła hetmanowa.

– Samowolny? – zapytał mąż z uśmiechem.

– Despota! – odparła Maria Kaźmira – na pozór zawsze posłuszeństwem mnie uspokajasz, aby się pozbyć, a potem robisz swoje.

Hetman westchnął.

– Masz mi co do rozkazanania?

– Bądź bardzo uprzejmym dla Egipcjanki (Dönhoffowej), inaczej domyśli się, żem się na nią skarżyła – szepnęła gospodyni i ustępując od progu wprowadziła męża z sobą.

Oblicze pana hetmana, które dla żony łagodnym było i jakby rozczulonym, w progu już oblokło się powagą pańską, ale zarazem spokojem. Chciał okazać, jakby najmniejszej nie miał troski i ze wszystkiego, z całego obrotu sprawy, był zupełnie rad.

Zobaczywszy go panowie, którzy dworowali przed postrojonymi damami, poczęli z kolei zbliżać się dla powitania, a hetman wszystkich z taką swobodą poskramiał, z taką poufałością pańską, jakby wśród nich nie było ani jednego dwuznacznego i wątpliwego przyjaciela.

Pomiędzy innymi i młody Michał Wiśniowiecki znajdował się tu nie z Pacem, ale z Lubomirskim, szwagrem swoim, mimo młodości, powierzchowności, imienia i rodu, zajmując w stronie bardzo podrzędne miejsce na uboczu. Niemłoda już, bardzo strojna i klejnotami okryta wdowa księżna Radziwiłłowa zabawiała go rozmową. Inne panie niemal z politowaniem spoglądały na młodzieńca, który nie miał za sobą nic oprócz wspomnienia nieszczęśliwego ojca i miłej twarzyczki. Nikt się nim tu nie zajmował, a Radziwiłłowa tylko dlatego bawiła go konwersacją, że nikogo innego do niej nie miała. Wiśniowiecki też widocznie czuł się tu nie w miejscu i jakby z musu przyciągniętym.

Gdy Sobieski zbliżył się, poszedł go powitać, ale hetman zaledwie głową go pozdrowiwszy mimochodem, poszedł na stronę z Lubomirskim. Rozmowa ogólna głośnie toczyła się o Janie Kaźmirzu i jego podarkach hojnych przyjaciółom. Zazdroszczono Ujazdowa, a szczególnie wieści o ekskrólu były bardzo sprzeczne; jedni utrzymywali, że już żałował swej abdykacji, drudzy, że się nią cieszył i wiele obiecywał z pobytu spokojnego we Francji, gdzie mu król nadanie opactw i pensji obiecywał. Uśmiechając się wyliczono osoby, które zabrał z sobą lub przodem wyprawił.

– Nie może być, aby mu po nas tęskno nie było – utrzymywał wojewoda kijowski – bądź co bądź, kochaliśmy go, a on się do nas przyzwyczaił. Francuzi miłszymi mu nie będą.

– Ach! – przerwał pisarz polny koronny – od ożenienia z nieboszczką królową nikt go nie widział nigdy idącym w taniec, a w Krakowie pono dał się wyciągnąć i bardzo był dobrej myśli.

– Tak bardzo – wtrącił wojewoda ruski z przekąsem – iż przez cały czas na Polskę i Polaków wymyślał, na nikim pocziwiej nie zostawując nitki.

– U Jana Kaźmirza wszystko to nie więcej znaczy nad humor chwilowy – przerwał wojewoda kijowski – kochał on i zniechęcał się łatwo, serce miał miękkie, a fantazja nim rządziła. Wiele mu też przebaczyć należy, bo w życiu szczęścia nie miał wcale.

⁹⁷ b o r a t y n k a – dawny szelązek polski miedziany

Po tym epizodzie krótkim towarzystwo się podzieliło na pomniejsze kupki i w każdej z nich zaczęto się po cichu zajmować tym, co w języku ówczesnym wtajemniczonych zwało się „hiacyntami” – to jest przyszłą elekcją.

Ponieważ wszyscy prawie tu zebrani należeli do Kondeusza, otwarcie mówiono o współzawodnikach. Neuburski nie miał najmniejszego nawet prawdopodobieństwa, aby go na serio wzięto, Lotaryński stał słabo, ale wielka zręczność i przebiegłość jego posła Chavignaca nakazywała czuwać. Był on nadto dobrze ze wszystkimi, otwarcie zbyt się oświadczał zawczasu zwyciężonym i pobitym, aby mu chciano uwierzyć. Pani Dönhoffowa utrzymywała, że zapewne pana swego do korony, nie mając pieniędzy lub mając ich bardzo mało, nie doprowadzi, ale drugim dojście do niej może utrudnić.

– Cóż by mu z tego przyszło? – zapytała gospodyni.

– Miałby przynajmniej wymówkę tę, że innym się też nie poszczęściło jak jemu – wytłumaczyła Dönhoffowa.

Wtem Morsztyn⁹⁸, referendarz, którego z powierzchowności i mowy za rodowitego Francuza wziąć było można, odezwał się cynicznie trochę, choć niby na wpół żartami.

– Nie potrzebuje się Chavagnac tłumaczyć, dość aby pokazał sakiewkę wypróżnioną. Cóż się dziś robi bez pieniędzy? Lotaryński chciał być na kredyt obranym, ale któż nam mógł ręczyć, iż potem popłaci długi! Najtańsza z elekcji – ostatnia, przecież półtora miliona kosztowała księcia Karola, który nigdy tej straty zapomnieć nie mógł. Chavagnac, gdy przyjdzie stawiać się przed sejmem i pana zalecać, nie wiem, jak na przyzwoitą kawalkadę i dwór się zbierze. Żal mi go, biedaka, bo zresztą człowiek jest miły i gładki.

– Księżę Lotaryński – dodał ktoś z boku – z początku liczył na poparcie króla francuskiego.

– I niepotrzebnie się ambarasował – szepnął chorąży koronny.

Goście wśród tej rozmowy powoli się rozchodzić zaczęli, Lubomirski żegnał już gospodynię, która na jego towarzysza, księcia Michała, zaledwie spojrzeć raczyła.

Zwyczajem powszednim drzwi się nie domknęły za nimi, gdy oba stali się przedmiotem mowy złośliwych.

– Księżę Michał – rzekła gospodyni – bardzo musi opłakiwać syna naszej królowej, która miała słabostkę dla niego. Słyszałam ją żartem raz prorokującą, że młodzieniaszek kiedyś królem być może.

Wszyscy goście głośnym wybuchnęli śmiechem, tak się to wydawało poczwarnie dziwnym.

– Mogło to chyba zrodzić się teraz w głowie tak obcego świata naszemu człowiekowi, jak ten biskup chełmiński – rzekł Morsztyn – aby Piasta na tron prowadzić. Nigdy do tego nie przyjdzie i nie należy życzyć, abyśmy próbę taką uczynili, bo kraj by się niechybnie rozpadł, zamącił i wojna domowa a rokosze by się z tego zrodziły.

– Królowa Maria miała słabość do księcia Michała, gdy był jeszcze wyrostkiem – ciągnęła dalej gospodyni – ale nie przewidywała, że z dosyć ładnego chłopczyka, tak nie znacząca, zimna, sztywna wyrośnie istota. Ja go nigdy nie widziałam po młodemu wesołym.

– Trudno po nim wymagać, aby się radował, bo nie ma czemu – rzekł referendarz. – Co dzień musi patrzeć i słuchać użalań matki i troski jej o majątności pozadłużane, w domu niedostatek prawie. Spotkałem niedawno w drodze księżnę Gryzeldę. Jechała w przedpotopowej, wypętlonej kolebce, konie chude, barwa ludzi wyszarzana i przedwieczna. Wierzy ciemom, się opędzić nie może.

⁹⁸ Jan Andrzej Morsztyn (1613–1693) – poeta. W roku 1658 został referendarzem wielkim koronnym, należał do partii francuskiej, kilkakrotnie brał udział w poselstwie do Francji. Podczas elekcji Michała Wiśniowieckiego, popierał Kondeusza, następnie intrygował przeciwko królowi. Za Sobieskiego prowadził tajną korespondencję z rządem Ludwika XIV, przyjął poddaństwo francuskie i oskarżony o zdradę, uciekł z Polski

– *Nous en ferons quelque chose!*⁹⁹ – wtrąciła gospodyni domu spoglądając na męża, który wąsa pokręcał, ale zmilczał.

Kobiety poczęły dosyć otwarcie o księciu Michale mówić, jak się on której wydał i podobiał. Wszystkie prawie znajdowały go znośnym, ale ani powierzchowność jego, ani wykwiłtne wychowanie, nie pociągały ku sobie. Dönhoffowa chłodnym i zbyt nieśmiałym go sądziła.

– Zyskałby na odważniejszym występowaniu.

– Mój Boże – przerwał żartobliwie Morsztyn – aby mieć odwagę, trzeba być sytym i mieśzek czuć pełny, a na obojgu zbywa biednemu księciu Michałowi.

– Lubomirscy go przecież czymś uczynić muszą – rzekł chorąży koronny. – Ma czas, boć zaledwie lat może liczyć trzydzieści.

– W ostateczności powrócić by mógł na cesarski dwór, gdzie go, słyszę, ceniono dosyć... – dodał Morsztyn.

– Ani Lubomirscy, ani książę Dymitr nie dopuszczą do tego – szepnął chorąży.

Na wspomnienie księcia Dymitra Wiśniowieckiego, z którym Sobieski był w otwartej niemal wojnie, po twarzy jego przebiegł wyraz jakiś pogardliwej niechęci i rozmowa na tym się skończyła.

Reszta gości zegnała hetmanową i hetmana, który z galanterią panie do wozów odprowadzał, prawiąc im słodczye. Gdy potem do salki powrócił, w której żonę się zastać spodziewał, już jej tu nie zastał i pospiesznym krokiem pogonił za nią do jej gabinetu.

Maria Kaźmira siedziała w krześle, a przywołana sługa, Francuzka, ciemnej płci, opalona, niepiękna, z kwaśnym twarzy wyrazem zajmowała się ułożeniem włosów i przygotowaniem pani swej do spoczynku.

Widok Pierrety, której się tu nie spodziewał zastać, trochę znecierpliwiał hetmana, przy niej bowiem wezbranej swej czułości, która w pieszczotach i całusach się objawiała, nie mógł puścić wodzów. Można było nawet posadzić dosyć znudzoną i ostygłą panią, że pospieszyła przywołać sługę właśnie dlatego, ażeby męża trzymać z daleka.

Jakim uczuciem była ożywiona w tej dobie małżeńskiego pożycia dla swego Jasieńka, o tym ona tylko może wiedziała. Hetman nie mógł się pochwalić żadnym dowodem czułości, przeciwnie, składało się tak zawsze, iż nawet jemu nie dopuszczono zbyt być natrętnym.

I tym więc razem Orondat nie mógł mówić z Astreą¹⁰⁰ niczym innym, tylko o sprawach ogólnych lub w interesach prywatnych, a te szczególnie zaprzętały panią hetmanową. I nie bez przyczyny, gdyż wszystko, co miał Sobieski, należało już prawnie tytułem zapisów i dożywocia dla żony. Dopilnowała się w tym tak dobrze, a przypominała tak natrętnie, iż uległy i posłuszny, zakochany Orondat ulec musiał i wszystkie akta darowizn, przekazów i zapisów już były dokonane. Oprócz troski o siebie Maria Kaźmira miała ojca, brata i siostrę, którymi się opiekowała.

Hetman, który rozkazywał w wojsku Rzeczypospolitej i razem z prymasem władzę miał w niej największą, z pokorą musiał słuchać instrukcji, jakie mu dawała żona. Najmniejszy szczegół nie uchodził jej baczności i pamięci. Powtórzyła mu, co miał nakazać rządcy swemu dóbr, Wanderskiemu, jak odprawić dzierżawcę kałuskiego, Elenta, i użyć zręcznego do posług Arona.

Rozmowa się przedłużała, po kilkakroć Pierreta zabierała się odchodzić, ciągle na nowo przywoływana przez panią. Hetman siedział uparcie chcąc się doczekać, aby sam na sam zostali.

Wtem Maria Kaźmira powstała, spojrzała na zegar brązowy, stojący na kominie. Ziewnęła kilka razy i stanowczo zapowiedziała służącej, że natychmiast idzie do łóżka, dając niedwuznacznie do poznania mężowi, że go się pozbyć potrzebowała.

⁹⁹ *Nous en ferons quelque chose* (franc.) – dosłownie: zrobimy coś

¹⁰⁰ *Astrea* – w mitologii greckiej bogini sprawiedliwości; tu: mowa o bohaterce poematu francuskiego H. Urfé (1567–1625) pt. *Astrée*

Zamruczał jakąś prośbę pokorną hetman, lecz otrzymał tak ostrą odprawę, iż jej powtórzyć nie śmiejąc, zbliżył się już tylko dla pożegnania, przy czym mu się ciężkie wyrwało westchnienie. Maria Kaźmira z niecierpliwością skróciła swe czułe dobranoc i głosem nakazującym zwróciwszy się do sługi – pośpieszyła ku usłanemu pod pawilonem łożu. Sobieski rzucił na nie okiem utęsknionym i powolnym krokiem wyszedł, wygnany z rajów!

IV

Żywy ten ruch, jaki w przededniu elekcji panował w Krakowie, nie dochodził prawie do spokojnego dworku przy Miodowej ulicy. Odgłosy jego tylko przynosił z sobą książę Michał, który tak mało się zajmował w ogóle sprawami publicznymi, iż o nich nawet matce nie umiał przynieść dokładnych wiadomości. Nieco apatyczny, przyciśnięty swym ubóstwem i położeniem, które mu żadnego nie dawało znaczenia; wprowadzie codziennie bywał u Lubomirskich, u Branickiego, u księcia Dymitra, lecz nigdzie żywego nie brał udziału w tym, co tak mocno innych roznamiętniało.

Przywiązany do matki gniewał się tylko na wszystkich, którzy jej spokój zakłócali, a wówczas wybuchał aż nadto gwałtownie, ale zresztą było mu obojętnym i kto królem zostanie, i jak się potem złożą owe wielkie zastępy, które z sobą o władzę rzeczywistą walczyć miały. Za każdym powrotem do domu szedł matkę zabawiać opowiadaniem o tym, co słyszał i widział wśród tego świata, od którego się ona usuwała, ale chciała wiedzieć, co się w nim działo.

Tak po bytności u pani hetmanowej musiał też wieczorem powtórzyć ks. Gryzeldzie urywki rozmów, jakie uszu jego doszły. Sobiescy nie należeli do ulubieńców staruszki, której hetman naraził się procesami, wymaganiami sum, jakie miał na dobrach Jeremiego, a na ostatek i swą jawną nieprzyjaznością a zatargiem z ks. Dymitrem. Nie lubiła szczególnie Francuzki, której wszystkie wady i rysy charakteru znała i odgadywała doskonale. Wielkie znaczenie i wpływ, jaki uzyskali Sobiescy w ostatnich czasach, niepokoiły ją i raziły. Po każdym syna opowiadaniu, nie spowiadając się z tego, co czuła, księżna Gryzelda coraz była smutniejszą. Ani Lubomirscy, ani Wiśniowieccy nic się od Sobieskich dobrego dla siebie spodziewać nie mogli.

Nazajutrz, gdy już ks. Michał wyszedł był z domu, a księżna matka sama siedziała z Helą swoją, prowadząc bardzo długimi przestankami milczenia przerywaną rozmowę, dały się słyszeć powolne kroki od przedpokoju. Zebrzydowska powstała z siedzenia swego, staruszka podniosła głowę i w progu ukazał się mężczyzna już lat podżytych, ale krzepki i rześki, w sukni duchownych świeckich, z płaszczykiem czarnym na ramionach i głębokim ukłonem pozdrowił księżnę, witając zwyczajowym: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Księżna z rozjaśnioną twarzą wstała, podchodząc ku niemu, a Hela pocałowałwszy w rękę, poprowadziła ku krzesłu, które stało naprzeciw stoliczka i siedzenia zwykłego gospodyni. Twarz księdza nie odznaczała się wielką rysów dystynkcją, była wyrazistą, grubo wyciosaną, ale zarazem w prostocie swej kształtną i sympatyczną. Pomimo wieku wiele życia było w tych rysach, które powaga stanu czyniła majestatycznymi.

Był to ksiądz Fantom, kustosz¹⁰¹ warszawski, dawny przyjaciel domu Wiśniowieckich, pomimo nazwiska swego i pochodzenia od dzieciństwa w kraju żyjący i z włoską w Polaka przeistoczony. Dawne i nowe stosunki jego dawały mu przystęp do wszystkich znacznie-

¹⁰¹ k u s t o s z (z łac.) – w dawnej Polsce urzędnik, który miał dozór nad dochodami Rzeczypospolitej; strzegł on także skarbu i klejnotów koronnych

szych domów, a niezależność, gdyż ksiądz kustosz za dosyć majątnego uchodził, dozwalała poruszać się wśród arystokracji tym swobodniej, że Fantoni nie potrzebował jej, bo ambicji nie miał i inuły się dobijać nie myślał. Mimo woli prawie zostawszy kustoszem, urządziwszy się wygodnie w kamienicy kustodią zwanej, w której mieszkał aż nadto przestronno – nie pragnął więcej – obowiązki duchowne przy kolegiacie, stosunki towarzyskie, zajęcie czytaniem, które lubił, starczyły mu na zapełnienie życia. Rodziny nie miał bliskiej.

Litościwego serca, dla ks. Gryzeldy miał szczególny szacunek, na który charakterem swym i losem zasługiwała. Energia, z jaką stawiała czoło ciosom, które ją dotykały, obudzała w ks. Fantonim podziwienie i uwielbienie. Widząc ją osamotnioną kustosz miał sobie za obowiązek odwiedzać. Lubił też i cenił Hełę, która się umiała poświęcić swej przybranej matce, wcale nie dając czuć ofiary, wesoło i ochoczo. Na ostatek zajmował go i ks. Michał, w którym by był może rad rozbudzić więcej życia i ufności w sobie, apatią jego, niewłaściwą wiekowi – czynniejszym udziałem w sprawach publicznych zastąpić. Lecz młody Wiśniowiecki, pomimo łagodności swej, opierał się wpływowi. Nawet matka, choć go miała posłusznym zawsze, przemienić natury nie potrafiła.

Ks. Fantoni w poufnej z matką rozmowie, gdy o ks. Michale wspominali, a ona się na tę jego obojętność uskarżała, utrzymywał, iż chwila nie nadeszła i okoliczności jeszcze się nie zjawily, które z odrętwienia wyprowadzić go miały.

– Wolę to opóźnienie w ks. Michale – mówił kustosz – niż innej młodzieży zbytnią porywczoność do życia, na którą siły się najlepsze używają. Ks. Michał, gdy wybije godzina jego, z całą mocą i zasobem, jakie po ojcu odziedziczył, stanie w szrankach.

Księżna Gryzelda wzdychnąjąc odpowiadała:

– Daj to Boże!

Ale oka matki ujść nie mogło, że Michał wychodził z tej apatii czasami tylko, gdy szło o strój wykwinny, o elegancję, którą lubił się otaczać, a na ostatek o stół wytworny, w którym do zbytku smakował. W innych sprawach żywota zimnym był, tak jakby one cale mu były obojętne. Ambicją trudno w nim obudzić było. Nie mając zajęcia czasami chętnie brał książki do ręki, ale rzucał je, nie czując potrzeby powrócić do nich.

Nawet te młodzieńcze przyjaźnie, które się w wieku ks. Michała zawiązują łatwo i służą w życiu wiele – nie pociągały go; Michał [miał] wielu dobrych znajomych, ale prawdziwych, poufanych druhów nie znał.

Jedna Hela miała cale jego zaufanie i przed nią zwierzał się ze wszystkiego, z najtajniejszych myśli swoich... Matka znając to braterskie przywiązanie i wpływ Heli na syna, używała też jej, gdy sama mu czegoś poddać i rozkazać nie chciała.

Ks. Fantoni przychodził, jak zawsze, z pewnym zapasem nowin do księżnej. Z ust jego wychodząc przybierały one charakter inny może, niż obiegając płochy świat ówczesny, bo kapłan chętniej im dobre, nie złe nadawał znaczenie.

– Już się wielu zjeżdża na elekcję, szopę postawiono i wkopano. Województwa i ziemie dawne swe obozowiska wytykają. Zjazd spodziewać się będzie bardzo liczny i ożywiony – począł kustosz. – W Warszawie dla panów senatorów niemal miejsca już braknie. Dwory z sobą prowadzą liczne, choć nie sądzę, ażeby milicji potrzebowali, jak niegdyś, bo się żadna walka nie zapowiada... Francja jest zanadto potężną, aby po takim wysiłku nie była pewną zwycięstwa.

– Sądzicie? – zapytała księżna Gryzelda.

– Prawie tego jestem pewnym – mówił dalej ks. Fantoni – a najlepszym dowodem, że cesarz, który z tradycji powinien był zajmować się tą elekcją i czynnym w niej być – wcale się prawie nie mięsza.

– Wszakże cesarskim kandydatem jest Lotaryński – rzekła ks. Gryzelda – i słyszałam, że w razie gdyby mu się poszczęściło, arcyksiężniczkę dla niego w pogotowiu trzymają.

Kustosz się rozśmiał, cicho powtarzając:

– *Tu felix Austria – nube*¹⁰²... Tak – dodał – jest to już tradycją i obyczajem.
– Wystawże sobie – zniżając głos przemówiła ks. Gryzelda, pochylając się ku stojącemu – że Lotaryński poseł usiłował mojego Michasia pozyskać...

Poruszyła ramionami.

– Michała tak mało ta elekcja obchodzi – dodała – że go często namówić trudno, aby poszedł się poinformować, i gdyby Lubomirski mi nie przynosił wiadomości, żadnych bym nie miała.

– Elekcja – odparł kustosz – cała się smaży i gotuje u naszego księdza prymasa i u hetmana Sobieskiego. Tym dwom potęgom cóż by się oprzeć mogło?

Ks. Gryzelda z wolna podniosła blade swe, wypłakane oczy na Fantoniego.

– Wczoraj – rzekła – był u mnie stary sługa Jeremiego, Sandomierzanin, który teraz na swe śmiećisko powrócił. Prawił mnie dziwy, do których ja nie przywiązuję ważności; powiada, że szlachta zbiera się stanąć murem przeciwko panom i nie dopuścić Kondeusza.

Rozśmiał się dobrodusznie ksiądz Fantoni.

– Uliczna gadka! – zawołał. – Przy każdej elekcji szlachta staje okoniem przeciw starszej braci, ale ją łatwo ułagodzić i pozyskać... Nie ma się czego obawiać Kondeusz. Zresztą, kogoż by oni chcieli i mogli wybrać? Dla nich tak dobry Kondeusz, Lotaryńczyk, jak Neuburg, bo żadnego z nich nie znają.

– Ja prawie obojętnie patrzę – mówiła ks. Gryzelda – na wypadek elekcji. Kondeusz będzie miał na względzie, że królowa nieboszczka wielce była Michasiowi życzliwą i jej winniśmy, że wychowanie odebrał staranne, o co mnie chodziło najmocniej... Jeżeliby cudem Lotaryński się miał utrzymać, tego z pewnością cesarz będzie popierał, ożeni się z arcyksiężniczką, i dwór austriacki mieć będzie wpływ wielki, a Michał ma na nim stosunki i przyjaciół... Neuburczyk zaś...

– Wprost niemożliwy – dodał ksiądz Fantoni. – Dwór rakuski tylko pozornie mu sprzyja, nie ma nikogo, a pieniędzy niewiele, spokrewnieni Radziwiłłowie nie na wiele się przydadzą.

Ks. kustosz, chociaż do rozmowy treści się przebrało, jak gdyby go tu coś jeszcze trzymało, oglądał się, a że Helę ciągle widział za sobą, milczał. Domyślała się księżna, iż coś poufalego mógł jej mieć do zwierzenia. Nieznacznie skinęła na Helę, która zrozumiałwszy to, wyszła natychmiast.

– Jesteśmy sami – odezwała się księżna. – Zdawało mi się, ojcze, że możecie mieli co do powierzenia mi?

– A! tak jest! tak! – żywo podchwycił kustosz – noszę się z tym od dawna, a nie śmiałem odzywać. Teraz zaś czas jest ostatni i muszę prosić was, mościa księżno, abyście mnie wysłuchali bez gniewu.

– Bez gniewu! – śmiejąc się zawołała staruszka.

– Nie obrażcie się otwartością moją – mówił ks. Fantoni. – Dla syna Jeremiego i wdowy po nim, w tym starym dworku mieszkać nie przystało. Dla świata, dla rodziny coś uczynić potrzeba, a nade wszystko dla przyszłości ks. Michała. Chociaż dzisiaj interesa są ciężkie, muszą się one polepszyć, a tymczasem choć z trochę wysiłku potrzeba księcia na świetniejszej stopie postawić. O żadnych nie mówię zbytkach, ale syn Jeremiego...

Ks. Gryzelda załamała ręce i łzy się jej z oczów potoczyły.

– Sto razy o tym marzyłam i rozważałam, co czynić – odezwała się – ale na obronę moją mam, że ubóstwo nasze to chluba, to zasługa, to oznaka jakiej największa świetność nie zrówna! Michał zmuszony brać pensję od królowej, nie jestże to świadectwo ojca, że wszystko ojczyźnie poświęcił?

¹⁰² *Bella gerant alii, tu felix Austria nube, nam quae Mars aliis, dattibi regna Venus* (łac.) – Niech inni prowadzą wojny, ty szczęśliwa Austro zawieraj związki małżeńskie, albowiem królestwa, które innym daje bóg wojny, da tobie bogini miłości

– Lecz jest we wszystkim miara – podchwycił kustosz – co dla innego byłoby dostatkiem, dla syna Jeremiego jest niczym... Zbyt nisko nie potrzeba upadać.

– Wszystkie moje źródła wyczerpane – przerwała ks. Gryzelda – Lubomirskiej prosić nie mogę, Dymitr nie ma wiele, moi...

Zamilkła.

– W takich razach – odezwał się ks. kustosz – gdy się na pewną przyszłość czeka, potrzeba, rachując na nią, zapożyczyć się bodaj... Ja dla w. ks. mości u kanonika Brandta mam tysiąc czerwonych złotych leżących, a mojej kustodii cała kamienica na usługi. Pustką stoi... Tam i przyjąć będzie można przystojnie i ze wszech miar wygodniej.

Wzruszona księżna ledwie odpowiedzieć mogła i powtarzała ciągle:

– Niech wam Bóg płaci... Ja się pożyczam lękam, a ten dworek...

Kustosz nie dał dokończyć.

– Dworek zupełnie dla księżnej i dla ks. Michała nie przystał. Mógł tylko służyć tymczasowo, póki się co innego nie znalazło, ja nalegam na kustodię. Stoi w pogotowiu.

Na te słowa nadszedł właśnie powracający ks. Michał, posłyszał je i z radością rzucił się ręce księdza całować. Matka zobaczyła go tak uszczęśliwionym, iż protestować nie miała serca. Westchnęła tylko.

– Ale mnie, mnie – rzekła – pozwolicie tu jeszcze pozostać. Niech Michał będzie swobodnym, swoim dworem.

Młody książę się zachmurzył; kustosz widząc, że matka i syn najprędzej się porozumieją zostawszy sami, wstał i pożegnał starą księżnę, która go do progu odprowadziła. Zaledwie z oczów jej zniknął, gdy wzrok podniosła na syna.

– Pocziwy ten przyjaciel – rzekła – tak bardzo troszczy się o nas, jak żaden o krewnych... Ma on po części słuszość, że zanadto jesteś ukryty i dajesz wszystkim iść przed sobą... Ale mogło się inaczej ułożyć przy tak szczupłych środkach, a takiej nawale długów? Ludzie by uwłaczali pamięci ojca mówiąc, że my długów tych nie płaciemy, a na zbytki tracim. Ks. Fantoni ma może słuszość – powtórzyła księżna – czyniąc mnie wyrzuty... Ja mogę pozostać w kątku i zakryta, ale ty...

– Ja – począł syn z widocznym zakłopotaniem – ja idę za radami Lubomirskiego, nie kryję się, jeżdżę i bywam wszędzie, alem nie winien temu, że inni świetniej występujący oczy ściągają.

– O! tyś bo rzadko nieśmiały – odparła matka – wszyscy to mówią, ja to widzę. Wieluż uboższych od ciebie, a nie mających takiego imienia, hałaśliwie sobie torują drogi i w towarzystwie odgrywają rolę...

– Ja nie potrafię tego – uśmiechnął się ks. Michał.

Zaraz po wyjściu ks. Fantoniego przybyła Hela, stała tuż i słuchała.

– Potrafilibyście – wtrąciła – gdybyście chcieli tylko, ale ta powolność wasza, ta obojętność na wszystko.

Ks. Michał zwrócił ku niej oczy z wymówką.

– Że i ty nawet mnie obwiniasz! – rzekł – ale zachowanie się moje doskonale się godzi z położeniem.

– Ono mówi tylko, jakbyś niczego nie żądał od losu i nie czuł się stworzonym do niczego więcej, nad taką zapomnianą, ubogą egzystencją – podchwyciła Hela.

– Ale w świecie bez środków, bez zewnętrznej okazałości – przerwał ks. Michał – nic się nie robi, a na śmieszność naraża. Stojąc na boku, nie wymagając nic, łatwiej mi jest moją godność zachować. Gdybym się cisnął zbyt natarczywie, mógłbym się narazić na nieprzyjemne odparcie, którego bym nie zniósł.

Rozmowa pomiędzy matką, która zamilkła dumając, a synem. zmieniała się na małą sprzeczkę Heli z kuzynem. Ks. Gryzelda, która potrzebowała być samą, wyszła zostawiając ich z sobą pewną, że młode dziewczę wypowie myśl własną razem ze swoją.

Michał usiadł naprzeciw niej z rodzajem rezygnacji, ale, jak zawsze, gdy z nią był sam na sam, twarz zwykle zasepiona rozjaśniła mu się, wziął jej rączkę, pocałował, uśmiechnął się i rzekł prawie dziecinnym wyrazem głosu:

– Nie łajcież bo mnie wszyscy!... Czego chcecie ode mnie!... Jestem i bez tego dosyć biedny i umęczony...

Hela niecierpliwie poruszała ramionami, ale wejrzenie jej z wielką czułością spoczywało na kuzynie.

– Wszyscy my o was się troszczym – rzekła – wszyscy, aż do ks[iędza] kustosza, który, choć obcy, znajduje, że wam przystało więcej się i okazalej poruszać na świecie. Jeden tylko... sam ks. Michał tak jest obojętnym...

– A! Helo moja – przerwał ksiązę ciągle goniąc za rączką jej, którą usiłował pochwycić, a która mu się wysuwała. – Helo moja... Ten biedny Michał wcale dla siebie czego innego pragnie i marzy, niż wy byście mu dać chcieli. Ja nie jestem stworzony do tego świata, w którym mi ciągle czegoś dobijać, coś zdobywać potrzeba, aby nazajutrz jeszcze większego i wyższego pragnąć. Tak by mi dobrze było w bardzo miernym stanie, w bardzo skromnym pałacyku, z kilkunastu służby w ładnej barwie, z parą kolebek¹⁰³ poszóstnych w stajni, z dobrym kuchaczem i pasztetnikiem.

– No, i z garderobą z Paryża! – dodała szyderczo Hela.

– A! to się rozumie – wesoło ciągnął dalej ksiązę.

– Cóż więcej? – pytała Hela.

– Bez troski o te boratynki, bez długów, od których się trzeba wypraszać...

Tu zamilkł chwilę.

– Bez nieprzyjaciół, bez tych walk i intryg, które zatruwają życie – dokończył.

– Obraz tego pożycia niepełny – wtrąciła Hela – dla dopełnienia go potrzeba dostojnej i miłej małżonki...

– Wiesz – żywo zawołał ks. Michał – bylebym miał matkę i ciebie, nie zatęsknię za nikim więcej. Kobiet się boję... a spokój tak mi jest drogi.

– Leniuszek jesteś – odpowiedziała Zebrzydowska. – Boisz się wszystkiego, gdy ojciec twój niczego się przecież nie lękał.

Zmarszczył się na to wspomnienie Wiśniowiecki.

– Mylisz się, Helo moja – rzekł poważniej – a jeżeli się w polu nie lękał nieprzyjaciela, o, tego i ja się nie obawiam, ale tych, co pozorem przyjaźni i braterstwa zdradę przynoszą... co jemu życie tak ciężkim uczynili, tak jak ja się obawiał i nienawidził. Nie idę więc chętnie tam, gdzie się z nimi spotkać mogę.

Zebrzydowska siedziała zamyślona.

– Wszystko to w kobiecie by było do wytłumaczenia – odpowiedziała po przestanku – mężczyzna stworzony jest do walki, nie do takiego żywota sybaryty¹⁰⁴ w spoczynku... Cóż, gdy jak wy młody jest, gdy nosi imię Wiśniowieckich i gdy ma wszystko, co by go na świecie zalecić mogło...

– Ach! – rozśmiał się ks. Michał – mylisz się właśnie, przyznając mi, czego nie mam!

Oboje milczeli chwilę, Hela badała go wzrokiem, on milczał lub spotkawszy jej wejrzenie uśmiechał się słodko.

– Wierz mi, Helo – rzekł wstając – póki mam matkę i ciebie, więcej nic a nic nie pragnę. Tak mi z wami dobrze... Sądziś, że zbliżając się do tego świata, najeżonego intrygami, smaku do czego nabrać można. Patrzę, słucham i wzdygam się. Widzę ich, jak się ściskają, całują, zwierzają sobie, jak się bratają, a w chwilę potem ośmiewają się wzajemnie i dołki kopią pod sobą... Walka Paców z Radziwiłłami, walka Lubomirskich z Sobieskimi... Niedowierza-

¹⁰³ k o l e b k a – tu: pojazd na pasach, kocz

¹⁰⁴ s y b a r y t a (grec.) – od miasta Sybaris w starożytnej Italii, które było przysłowiowym siedliskiem zniewieściałości i rozwiązłości; w przenośni: człowiek zamilowany w zbytku i w rozkoszach zmysłowych

nie, sprzedawanie się wzajemne, zgody, które są zawiązkiem nowych kłótni, przymierza na-
zajutrz zrywane, zazdrości, współzawodnictwa, ambicje nienasycone, a fałsz – chlebem po-
wszednim...

Hela słuchała ze smutną rezygnacją.

– Wy wszystko widzicie za czarno – odezwała się. – Ludzie są słabi, ale nie tak źli, jak się
wydają, a z takimi, jakich ich Pan Bóg stworzył, żyć przecie potrzeba, bo na pustynię uciec
nie można...

Widząc zasepionym mocno Michała, litościwie dziewczę usiłowało go rozerwać.

– Spodziewam się – rzekła – żeście nie zapomnieli wysłać do Paryża zamówienia na suk-
nie?

– Wczoraj jeszcze – żywo odparł ks. Michał. – Coś podobnego mieć muszę jak Chava-
gnac... Na nieszczęście te koronki są tak drogie, a hafty i galony tak sobie płacić każą.

– Będziesz to miał w porę na koronację? – pytało litościwie dziewczę.

– Wyraźnie położyłem ten warunek. Sejm elekcyjny, który się dopiero rozpoczyna, nieza-
wodnie się przeciągnie. Choćby nie szło o kandydata, szlachta różne wprzód położy warun-
ki: odzyskanie ziem oderwanych, zabezpieczenia praw dysydentów i tym podobnie. Będzie to
pretekstem do długich mów, rozpraw i straty czasu. Przyjdzie potem posłuchanie posłów,
kandydatów do tronu, narady, burze, i, w najszcześniejszym razie, miesiąc czasu od otwarcia
upłynie. Nie wiem zresztą, ale jeżeli jest w interesie *interreksa*¹⁰⁵ naszego dłużej się bawić tą
władzą, jaką ma – przeciągnie. Czekać może zechce, aby Kondeusz się miał czas zbliżyć do
granicy i ukazać potem natychmiast w aureoli swego rycerskiego bohaterstwa... Jeżeli mi nie
przywiozą na czas tych sukni z Paryża – dodał z wielkim naciskiem książę – przyznam się, że
będę w czasie uroczystości następnych dosyć zakłopotany. Jeden tylko garnitur cały mam
świeży i wytworny, inne nie nowe są i znać na nich, że wiele do zmiany nie mam w gardero-
bie... Chavagnac mi wielką oddał przysługę, wcale się tego nie domyślając.

– Zdaje mi się – szepnęła Hela – iżby się bez niej obeszło, bo księżna spodziewa się pie-
niędzy i wiem, że one są dla was przeznaczone.

– Naprzód powinna pamiętać o sobie – wtrącił książę.

– My niczego nie potrzebujemy – sprzeciwiła się Hela. – Wam wszystkiego trzeba... Suk-
nie, konie, barwa, ludzi...

Nie dokończyła. Książę Michał westchnął.

– Nade wszystko potrzeba wam ochoty do życia – zakończyła Hela.

Spojrzeli sobie w oczy. Wiśniowiecki nie odpowiedział, wziął jej rękę, przyłożył do ust i
wyszedł zadumany.

Wkrótce potem kazał sobie podać konia i wyjechał na miasto. Dzień wiosenny wabił
wszystkich ku Woli, tłumy ciekawych ciągnęły ku szopie. Książę pojechał też ku dworowi
kanclerzyny Pacowej, który stał na drodze z Warszawy ku okopom. Dla ciekawych pań,
przyjaciółek Kondeusza, które elekcja żywo obchodziła, tak że pragnęły być jak najbliżej
Woli i poza podokopami, właścicielka rozkazała właśnie przybudować wzdłuż dworu długą
całą oszkloną galerię, w której jak kwiaty w cieplarni, po całych dniach, od dnia rozpoczęcia
zjazdu, siedziały wszystkie piękne i niepiękne, młodsze i starsze panie, przypatrując się prze-
jeżdżającym, krytykując powozy, ubiory, służbę, zatrzymując znajomych, powiewając chust-
kami i bawiąc się ruchem ożywionego gościńca doskonale.

Kanclerzyna ledwie mogła pomieścić gości, tak się jej tu napraszano, panie siadywały po
całych dniach, mężczyźni przybywali, siedzieli, odjeżdżali, wracali.

A że sprawa Kondeusza, którego niewidzialna chorągiew powiewała nad tą galerią, stała w
przekonaniu wszystkich doskonale, wesołość i najlepszy humor panowały tu ciągle, galeria

¹⁰⁵ *I n t e r r e k s* (z łac.) – w dawnej Polsce zastępca króla podczas bezkrólewia. Obowiązki interreksa pełnił
prymas, tu mowa o prymasie Prażmowskim

rozlegała się śmiechami, piękne panie trzpiotały. Nie pominął nikt kanclerzynie, aby nie stanął lub przynajmniej nie zwolnił kroku i parę słów nie zamienił z kobietami.

Kanclerzyna, hetmanowa, piękna, młodziuchna księżna Radziwiłłowa, Dönhoffowa i inne miały na usługach mnóstwo kawalerów, krewnych, dworzan... Ci, pomiędzy Wolą, Warszawą a w pośrodku stojącym dworem tym, utrzymywali nieustający związek. Zbiegały się tu nowiny najświeższe, plotki i wiadomości z obu stron. Nikt do okopów nie mógł się dostać nie przejechawszy pod oczyma ciekawych pań, które na dane hasło zbiegały się do okien, cisnęły, pozdrawiały znajomych i rozpierzchały około stołów przez cały dzień przekąskami, konfiturami, ciastami i winem zastawionych. Jadący konno podjeżdżali pod samą ścianę, aby podaną im białą rączkę uściskać i odebrać z koralowych ust rozkazy; z kolebek niektórzy wysiadali, inni, jak prymas, wychylali się, błogosławili. Gawiedzi też ciekawej zawsze nieco opodał stały gromadki, które więcej oknom galerii niż przejeżdżającym się przypatrywały.

Książę Michał bezmyślnie skierował się w tę stronę zrazu, ale w pół drogi, spojrzawszy na swego wierzchowca, na towarzyszących mu dworzan w dosyć wytartej barwie, zawrócił... O białym dniu on i jego dwór nadto niepocześnie wyglądali, aby się narażać na porównanie z tymi, którzy pod galerią znaleźć się musieli, a ci właśnie stanowili część towarzystwa najwytworniejszą.

Nawet młody przyjaciel Pac, z którym się spotkał, namówić go z sobą nie mógł do kanclerzynie, książę Michał wymówił się tajemniczą jakąś sprawą pilną, a udał się na samotną przejażdżkę.

Gdy się to działo, a księżna Gryzelda, po żywej rozmowie z Helą, wzięła książkę, aby czytaniem zatrzeć przykre wrażenia i smutne myśli, stary sługa dał jej wiedzieć, że ów niegdy księcia Jeremiego dworzanin z Sandomierskiego, niejaki Wacek Grąbczewski chciał się pokłonić.

Niedobrze rozumiała księżna, czego on mógł potrzebować, gdyż raz już mówiła z nim, ulekła się nawet trochę, aby nieświadomy jej położenia nie zażądał w imię dawnych zasług jakiejś pomocy, lecz ktokolwiek przychodził w imię nieboszczyka, odepchnąć go nie mogła.

Zyskał więc powtórne posłuchanie Grąbczewski.

Z wielką pokorą stanął ubogo odziany, chudy, z szyją też wyciągniętą, z głową spiczastą, niegdyś Wackiem poufale zwany, podkoniuszy Jeremiego.

Pozdrowiła go uprzejmie księżna, nie powstając z siedzenia, zakłopotana samą myślą tą, że może czegoś zażądać, czego mu odmówić będzie musiała.

– Ja to – odezwał się szlachcic od progu, pociągając wąsa, widocznie zmieszany, jękający się – ja to do stopek w. ks. mości raz jeszcze przychodzę z prośbą wielką.

Księżna aż pobladła.

– Kiedy mi moją śmiałość pani przebaczy – mówił dalej Grąbczewski. – My Sandomierzanie wszyscy w wielkiej mamy weneracji¹⁰⁶ tych, co dla Rzeczypospolitej cierpieli i walczyli za nią, więc też i imię nieboszczyka, panie mu świeć – Jeremiego – jest u nas w największej estymie. Zatem i ród jego cały... Wielu się u mnie prosi, żeby choć syna bohatera oglądać mogli. Jużci to trudno wszystkich przyjmować, ja to wiem. Ale mam jednego pocziwego przyjaciela, a po troszę i plemiennika¹⁰⁷, którego bym, za pozwoleniem księżnej mości (tu się pokłonił) – rad przyprowadzić... Niechby miał to szczęście krew wielkiego naszego hetmana oglądać.

Księżna słuchała, powoli ochłonywając ze strachu, ale prośba pocziwego Grąbczewskiego niemniej tak się jej wydała dziwną jakoś, że nierychło odpowiedź na nią znalazła.

– A wy toście ks. Michała nie spotkali, nie widzieli? – spytała.

¹⁰⁶ w e n e r a c j a (z łac.) – poważanie, cześć, uwielbienie

¹⁰⁷ p l e m i e n n i k – tu w znaczeniu: krewniak, rodak

– Niech mi w. ks. mość daruje – rzekł szlachcic – oczyska mam złe, nie dowidzę, a, co prawda, nie widywałem ks. Michała od jego dziecięcych lat, poznać by mi było trudno. Uśmiechnęła się staruszka wesoło, bo ta cześć dla imienia męża miłą sercu jej była.

– Mój Grąbczewski – odezwała się do niego – jutro rano przyjdź z tym przyjacielem, Michał będzie w domu i starego sługę ojca pewnie przyjmie wdzięcznie. Za przywiązanie do domu naszego – Bóg zapłać.

Szlachcic nie przedłużając już rozmowy, nisko się pokłoniwszy, wyszedł natychmiast.

Dziwne trochę żądanie Grąbczewskiego przez cały dzień w wesołym usposobieniu utrzymywało staruszkę. Pochwaliła się tym Heli naprzód, potem ks. kustoszowi, który przyszedł na chwilę, na ostatek powracającemu ks. Michałowi, który wiadomość tę przyjął dosyć obojętnie. Dać się tak na widowisko nie było mu miłym. Nie był wcale usposobionym do przypochlebiania się i pozyskiwania sobie serc panów szlachty. Wychowaniec innego świata, dziecię innej cywilizacji, mało rozumiał tę tradycyjną, starą, domową, która, nie mając powierzchownej ogłady zachodniej, w pewnych względach stała z nią na równi.

Śmiałym się może wyda to twierdzenie, lecz niemniej pewna, że moralne i religijne pojęcia w lepszej części szlachty rozwinięte były wielce, a tam, gdzie ani fanatyzm ni przesąd nie skalał ich – na łacinie samej wyrobieni ludzie, mogli na francuszczyźnie wypolerowanym sprostać.

Skrzywił się nieco ks. Michał, gdy mu matka prośbę Grąbczewskiego przełożyła dodając, że mu posłuchanie zapewniła. Matce niczego w świecie odmówić nie mógł, ale gdy sam na sam pozostał z Helą, zamruczał:

– Nie podobam się im, to pewna, chociaż starać się będę, abym pamięci ojca nie uczynił krzywdy, ale co za pocieszna myśl chcieć mnie oglądać?

Hela nie znajdowała jej wcale tak dziwną.

– Mój Michasiu – odezwała się łagodnie – przygotuj się tylko jutro z wesołą twarzą do szlachty... Po co świat ma widzieć, jakie my troski w sobie nosimy?

Nazajutrz około dziesiątej zjawił się zapowiedziany Wacek Grąbczewski, prowadząc z sobą drugiego, mało co pokażniej niż on sam wyglądającego, pana brata. Był to Ireneusz Piotrowski.

Uprzedzona służba, której stara księżna kazała się w trochę większej liczbie i w najlepszej barwie stawić, wprowadziła do salki jadalnej gości, w której, staraniem Helki, niezbędna przekąska była przygotowana.

Hela, której o sławę domu nie mniej chodziło jak księżnie Gryzeldzie, postarała się o to, aby w zastawie stołu resztki sreber, szkła rznętego i najpiękniejsze obrusy wystąpiły. Śniadanie też zimne, z wędlin, chleba, masła, suszonych owoców i różnych przysmaków złożone, wcale pańsko wyglądało.

Przychodzących przywitała Hela, a tuż i ks. Michał już ubrany, w najświeższej peruce, w najwytworniejszych sukniach, z dosyć jasną twarzą ukazał się na progu, na komplement Grąbczewskiego odpowiadając bardzo grzecznym powitaniem.

Wacek natychmiast powinowatego swego Piotrowskiego przedstawił, ale pod imieniem Sasa, które klejnot jego oznaczało.

Piotrowski, po krótkim preliminarzu, zręcznie zawiązał rozmowę, której ks. Michał dosyć roztargniony słuchał. Niewiele go obchodziło to wszystko. Kiedy niekiedy rzucał słówko od niechcenia. Tymczasem przepić musiał do gości i razem z nimi ochoczo się wziął do śniadania.

Hela wyszła zaraz zostawując ich samych i wkrótce Piotrowski bardzo zręcznie na elekcję się zawrócił.

– My byśmy radzi co najprędzej tę pańszczyznę odbyć – mówił – bo dla nas, hreczkosiejów, to ciężka rzecz w samą porę wiosenną, przy nadchodzących sianokosach, a gdzie może

niejeden jeszcze i nie obsiał, stać w polu kilka tygodni, a choć suche dni minęły, pościć często gęsto, bo nie każdemu stać na kuchnię.

– Zdaje się – wtrącił ksiązę obojętnie – iż elekcja się nie przeciągnie, wszyscy zgodni prawie na Kondeusza. Drudzy kandydaci niewielu za sobą mają.

– Myśmy to słyszeli i wiemy o tym – odezwał się Piotrowski – ale i to nam wiadomo, że Kondeusz za gotowy grosz sobie przyjaciół pokupował, a to jest obrazą Bożą, simonią¹⁰⁸ wprowadzać tam, gdzie Ducha Świętego się wzywa i jemu potem przypisywać, co się pieniędzmi uczyniło. U nas szlachty Kondeusz nie jest *persona grata*¹⁰⁹ ...

– A któż? – spytał ciekawie ks. Michał.

– Bóg wiedzieć raczy, kogo nam podda Duch Święty – śmiejąc się mówił Piotrowski. – Czemu by Piast nie miał być?

– Ach! – spytał Wiśniowiecki – wybór Piasta bardzo trudny, bo tak dobry jeden jak drugi, a zazdrość by się zrodziła nadto.

– My też nie przesadzamy nic – ciągnął na pozór obojętnie Piotrowski – to tylko w. ks. mości powiemy, co jest rzetelną prawdą, iż szlachta niemal wszystka (trutniów się nie liczy) ani Kondeusza nie chce, ani żadnego z tych, co się jemu przekupić dali.

Rozśmiał się ksiązę słysząc to.

– Wybór będzie bardzo trudny – rzekł żartobliwie – ja tam w te sprawy się mało wdaję, za młody jestem, ale że pomiędzy panami mało kto jest nie pozyskany dla Kondeusza, więc kandydata niełatwo znajdziecie.

– Ha! – rozśmiał się Piotrowski – przy pomocy Bożej, gdzie kilkadziesiąt tysięcy głów jest do wybierania i do wyboru razem, jedną zawsze się wyszuka, której korona będzie do twarzy... Śmiejąc się wołają niektórzy, że bodaj Polanowskiego¹¹⁰, aby nie Kondeusza ani tych, co się przekupstwem skazili.

Ksiązę Michał milczał, a Piotrowski popatrzwszy na niego ciągnął dalej:

– Ja to Waszej Książęcej Mości z naszych arkanów¹¹¹ się spowiadam, bo syn Jeremiego, srodze pokrzywdzonego, do magnatów tych nie należy, co bez szlachty, sami chcą koroną rozporządzać.

Zarumienił się ks. Michał – rozmowa poczyniała być drażliwą.

– To pewna – odparł nieco się zawahawszy – iż ja do żadnej partii nie należę, a za młody jestem, abym mógł co znaczyć między koryfeuszami¹¹². Dla mnie, kogo Bóg natchnie, a kogo szlachta wspólnie z senatorami okrzyknie panem, równie będzie wdzięcznym...

– My też nie inaczej o Waszej Książęcej Mości wróżyliśmy sobie – mówił Piotrowski. – Imieniem i rodem należycie nie tylko do magnatów, ale do jagiellońskiej dynastii, ano sercem i duchem, po tym czegoście doznali, trudno wam z panami iść, szlachta też tym więcej was miłuje.

Skłonił się zmieszany nieco ks. Michał, nie wiedząc już, co mu odpowiedzieć. Nastąpiła chwila milczenia, przerwał ją Grąbczewski.

– W. Książęca Mość, nie możecie tego ani wiedzieć, ani widzieć, jaki duch szlachtę zagrzewa, a jak oburzoną jest, że jej simoniacy chcą swego króla narzucić. Głoszą go bohaterem wielkim, wodzem i hetmanem, ale pono inna to rzecz wojnę prowadzić z Niemcami czy Francuzami niż u nas z Kozaki i Tatary. Nam drugiego by Jeremiego potrzeba... A przede wszyst-

¹⁰⁸ s i m o n i a (z łac.) – handlowanie duchownymi urzędami i przywilejami

¹⁰⁹ p e r s o n a g r a t a (łac.) – osoba mile widziana

¹¹⁰ A l e k s a n d e r P o l a n o w s k i – rycerz Jana Sobieskiego, pułkownik wojsk królewskich, w roku 1669 został elektorem z województwa bełskiego. Trzydzieści lat służył na służbie w obozach, walczył z Kozakami, Szwedami i Tatarami, przyjaciel Stefana Czarnieckiego, podczas bezkrólewia 1669 roku wysunięto jego kandydaturę do korony polskiej

¹¹¹ a r k a n a (z łac.) – sekrety, tajemnice, zagadki

¹¹² k o r y f e u s z (z grec.) – osobistość, człowiek wybitny, znakomitość

kim szlachta, której więcej jest stokroć niż panów, pragnie obrać sobie króla po swej myśli i woli Bożej.

Słuchał ks. Michał zdziwiony nieco, niedowierzający, lecz ciekawy.

– Pierwszy to raz o tym usposobieniu waszmościów się dowiaduję – rzekł – ale życzę, aby lepiej porozumieć się i iść zgodnie, a do rozterki i rozdwojenia nie dać asumptu¹¹³.

– Lubo, nam się widzi – dodał cicho i skromnie Piotrowski – nie może być ani walki, ni rozdziału. Nas szlachty jest co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, kondeuszowych panów, licząc hojnie, kilkuset – więc liczba weźmie górę.

Słuchając tego programu jak zabawnej baśni, Wiśniowiecki, który widział w tym tylko fantazję szlachecką, nie mogącą się urzeczywistnić, wesoło napełnił kieliszki winem, które przed nim stały, i odezwał się konkludując do Piotrowskiego:

– Zatem waszego kandydata zdrowie.

I wypił, a Grąbczewski z Piotrowskim żywo i głośno okrzyknawszy: *Vivat!* – poszli w jego ślady.

Wkrótce potem, pod pozorem zajęcia, Wiśniowiecki wstał, a szlachta się z nim pożegnała. Wprost od niej przeszedł książe do matki, aby jej zdać sprawę z przyjęcia gości, choć staruszka siedząca w sąsiednim pokoju część rozmowy słyszeć mogła.

– Mameczko droga – rzekł wesoło w rękę ją całując rad, że się pozbył szlachty – nasz Grąbczewski przyprowadził mi osobliwego Sandomierzanina. Utrzymuje on, że na złość prymasowi i Sobieskiemu Kondeusza nie wybiorą...

I śmiać się począł nie mogąc powstrzymać.

– Szlachta myśli o Piaście! – dodał ramionami zzymając – górą pan Polanowski!

V

Kilka tygodni upłynęło na wstępnych rozprawach około królewskiej elekcji, sam wybór się przeciągał bardzo, a panowie szlachta szemrali. W istocie przyczyn zwłoki trudno się było dobrać.

Na Woli, około okopów, obozowiska województw przedstawiały obraz tak ciekawy i ożywiony, iż tłumom, które się tu ściągały, aby mu się przypatrywać choć z dala, wcale się dziwować nie było można.

Mało kto zamożniejszy mógł się w mieście wygodniej rozłożyć, uboższa szlachta, a tej liczba była przemagająca, w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu – obozowała. Tylko był to obóz *sui generis*¹¹⁴, bez taborów po większej części, a że już od miesiąca się tu rozłożył, miał czas sobie stworzyć pewną fizjonomię odrębną.

Nie mówiąc już o tym, że Litwa i Ruś samą powierzchownością, mową i obyczajem na pierwszy rzut oka różniła się ogromnie od Wielkopolski, Małopolski i Mazurów, każda ziemia miała odznaczające ją właściwości. Po sukniach, po wozach, po uprzężach i po garnuszkach z jadłem odróżnić było można, skąd kto pochodził.

Prześmiewano się tak dobrze z mazurskiej mowy, jak ze śpiewania Litwinów, ale drwiono też z różnych właściwości Krakowian i Sandomierzanów. Rzadko jednak między panami bracią przychodziło do drapieżnej waśni, a dłuższe obozowanie pozawiazywało mnóstwo stosunków i przypominało dawne koligacje i związki.

¹¹³ a s u m p t (z łac.) – pobudka, pretekst, zachęta

¹¹⁴ s u i g e n e r i s (łac.) – swojego rodzaju

Życie tu wiodło się w osobliwy sposób. We wszystkich województwach naczelnicy ich: starszyzna, pan wojewoda, kasztelan, mieli rozbite namioty pańskie ogromne – często po kilka ich otaczało chorągiew, a tabor też wozów je opasywał – ale pan wojewoda nigdy lub bardzo rzadko noc przepędzał w polu, miał każde pomieszczenie w klasztorze, dworze, W najętej kwaterze w Warszawie, a na Wolę, do swoich zjeżdżał tylko we dnie, gdy było potrzeba. Stoły otwarte marszałkowie dworu obsługiwali, zastępując panów.

Oprócz tych różnobarwnych, kosztownych, szkarłatnych, złocistych, pasiastych namiotów pańskich, które z dala widać było, mało kto miał okazańszy. Bracia szlachta albo sobie kleciła szatry¹¹⁵ płótnem zgrzebnym i wojłokami okryte, lub budowała szałas, budki i szopki. Niektórzy z tarcic wcale okazałe sklecone mieli domki, słomą okryte, ale tych było niewiele.

Wóz, a przy nim daszek od słoty przyparty, ognisko w ziemi i od wiatru przysłonięte, były najzwyklejszym schronieniem. Około wozu czeladź na gołej ziemi legiwała, chroniąc się pod wóz, gdy deszcz nocą padał. Sam też pan niewiele więcej wymagał, bo każdy był do łowów i do koczowania nawykły, a choć potem łamało w kościach – nie zważano wiele i lada smarowanie pomagało.

Konie musiały dzielić los panów, choć wielu o nie prawie dbało więcej niż o siebie i ludzi, i dla nich szopki kleciło, a żłoby kupowało. Ubożsi wszakże z płóciennym żłobem i workami na łeb zarzuconymi się uspokajali.

Było co się rozliczności tych gospodarstw przypatrzeć, bo i tu charakter, temperament, obyczaj człowieka dobitnie się malował. Jeden dbał tylko, aby jego taborek pięknie świecił, drugi, aby mu wygodnie i zaciszno było.

Nie zbywało i na stowarzyszonych po kilku, którzy do spółki obozowali, gotowali, jedli, pili i noclegowali. Bracia, powinowaci, przyjaciele chętnie się tak skupiali, bo im kupką było najweselsze – kuchta jeden warzył, ekspens¹¹⁶ był mniejszy, jadło lepsze, spiżarnia obficie zaopatrzona. Z tą, po czterech tygodniach, gdy się z wozów wyjadło wszystko, niejedni mieli kłopot niemały. Trzeba było po wszystko do miasta na rynki i targi posyłać, bo przekupnie miejsca zabiegali po drogach i gościńcach, wykupując od wieśniaków wszelką żywność, a potem ją dwakroć sprzedając drożej. Przychodziło nieraz z tymi przekupniami, po większej części Żydami, do kłótni i do bójki po przesmykach, a przemysłniejsza szlachta posyłała po wsiach okolicznych dla picowania¹¹⁷.

Jadło swoją drogą a napój też był niemałą troską, bo i o dobrą wodę dla koni i ludzi niełatwo było, rozbijano się u studni z wiadrami, wozili ją beczkami sprzedający... *Tandem* bez piwa, gorzałki i nawet wina mało kto się obchodził. Co się z domu przywiozło nie na długo starczyło przy dobrych humorach, o piwo wareckie, częstochowskie i inne trzeba się było starać w Warszawie, a nie zawsze go łatwo i tanio dostać było, na gorącu też kwaśniało prędko.

U skrajów obozu stały wprawdzie z wiechami sosnowymi budy, w których sprzedawano gorzałki, piwa, miody, a nawet liche wina, ale w tych szynkach czeladź się po większej części napijała, bo szlachcic do nich szedł niechętnie. Najuboższy nawet swoją chciał mieć piwa bodaj baryłkę. W gorące dni wychodziło ono tak, że ani się było opatrzyć, gdy drożdże tylko pozostały. Przyjęcia u wojewodów, dygnitarzy i panów nie starczyły szlachcie – a nie co dzień bywało tego świętego Jana. Kłopot więc, bo raz w raz trzeba było sięgać do mieszka, licząc się z tym, czy do końca starczy, a i z powrotem do domu.

Jeśli komu tu gody były, to chyba czeladzi – dla tej elekcja rajem się mogła nazwać, bo i swobody miała więcej, i zabaw różnych do wyboru. Około bud, szynków i kramików gromadziły się płci obojej z miasta przybysze, nie samej ciekawości k'woli. Postrojone jejmościan-

¹¹⁵ s z a t r a – obóz cygański, tu: namiot

¹¹⁶ e k s p e n s (z łac.) – koszt, wydatek

¹¹⁷ p i c o w a ć – zbierać, gromadzić, tu: szukać pożywienia albo paszy dla koni

ki, pod wieczór zawodzące pieśni, czeladź na pokuszenie wiodły. Obok tych kosterów¹¹⁸ z miasta, na oko ludzi porządnych, nachodziło dużo z kośćmi podrabianymi, z kubkami umyślnie na oszukaństwo robionymi. Kto się tu wdał w grę, nie wyszedł cały. Z tych zawsze prawie i kieszeń próżną, i guzy w dodatku wynosił.

W szalasach niektórych Cyganie, Żydzi i różne narody grały do tańca, śpiewały pieśni, a młodzież z pannami z miasta patrzyła się na pląsy... Na tym jeszcze nie koniec pokusom, bo ławek i straganów z rozmaity kupią¹¹⁹ stały całe szeregi tak obrachowanych, że właśnie najpożądane towary w sobie zawierały, przy czym każdy taki przekupień zapewniał i poprzysięgał, że gorszy towar w mieście Warszawie dwakroć był droższy.

W budach tych czego dusza zapragnąć mogła dostał każdy. Czapki, obuwie, suknie nowe i przenoszone, chusty wschodnie, bramowania¹²⁰, kutasy¹²¹, sznury, rzemień, sprzączki, żelastwo – leżało tu pod dostatkiem. Wszystko za bezcen... Niejeden łatwowierny szlachcic tak się tu zaopatrzył, że dopiero nazajutrz rano dojrzał oszukaństwo, gdy tego, co go odrwił, ani było znaleźć.

Do miasta wprowadzie z ciekawości samej każdy się włókł, gdy mógł, ale co dzień tam bywać nie stało czasu.

W niedzielę obozowisko przy okopach inną tylko przybierało postać. Budy z kupią były pozamykane, szynki nie wszystkie otwarte, bo kto mógł, na nabożeństwo do kościołów spieszył.

W obozie było kaplic kilka pańskich, ale do tych się docisnąć nie każdy mógł i umiał. Wabiły też uroczyste nabożeństwa u Św. Jana, u Jezuitów, u Bernardynów i po innych bliższych kościołach. Obóz w święta i w niedzielę zamierał, panowie wszyscy ucztowali w mieście, gdzie zawsze któryś z ważniejszych przyjmował, prymas czasem, hetman, kanclerze, marszałkowie, Radziwiłłowie, Pacowie, Lubomirscy.

We dni powszednie szlachta wcześniej od panów otaczała szopę i nierychło się doczekała z miasta prymatów. Każdy z nich z pompą się stawiał i okazałością, z pocztem, z hajdukami, z czeladzią, a kolasy pozłociste, a barwy jak z igły.

Biednej szlachcie, już zmęczonej wyczekiwaniem, widok tych wspaniałości, świadczących o dostatkach, więcej przynosił goryczy niż pociechy. Kłaniano się duchownym, okrom prymasa, który miru nie miał, ale i innych zuchwałe mierzyły wzroki i niejeden nieprzyjemny wykrzyknik doleciał do ucha. Przez kilka tygodni miał czas każdy poznać i barwę, i konie, i dwór, i oblicza dygnitarzy. Pokazywano ich sobie palcami.

Szopa, w której się naradzano, obleżoną była po dniach całych, a szlachta otaczająca często bardzo burzliwie i krzykliwie się znajdowała, tak że prymas i staruszkowie biskupi bledli, bo i szable pobrzękiwały, i odgróзки latały w powietrzu. Nikt już teraz nie mógł zaprzeczyć, że usposobienie umysłów po województwach bardzo rokoszem pachło. Spodziewał się jednak każdy z wojewodów i starszyny, że u siebie, przez wiernych klientów¹²², burzę zażegna. Nie pierwszy to raz butna szlachta chciała moc swą pokazać, a gdy ją długo wytrzymało na słocie, o głodzie, w końcu szła, gdzie jej wskazano.

Tak, zdaniem prymasa i hetmana, tym razem też być miało. A że niecierpliwość rosła coraz i objawiała się co dzień gwałtowniej – postanowiono wreszcie, że posłów od kandydatów do korony przyjmować miano, co zapowiadało już zbliżającą się elekcję. Dla wszystkich była to chwila stanowcza, bo i na wystąpienie posłów rachowali partyzanci¹²³, gdyż z wspaniałości ambasady wnoszono o zamożności panów, co je wysyłali. A niełatwą rzeczą było wystąpić

¹¹⁸ k o s t e r a – namiętny gracz w kostki, szuler

¹¹⁹ k u p i a – handel, kupczenie, towar

¹²⁰ b r a m o w a n i e – lamówka, obszywka

¹²¹ k u t a s (z tur.) – tu: ozdoba na szyję konia, chwast

¹²² k l i e n t (łac.) – tu: człowiek pozostający pod opieką możnego pana, od którego był zależny

¹²³ p a r t y z a n t (z franc.) – tu: stronnik, zwolennik jakiejś partii

tak, aby ludziom zaimponować tam, gdzie na przykład hetman Sobieski z królewskim niemal przepychem się pokazywał co dzień, z końmi, kolaskami, usarją, kopijnikami, kozakami, z których kapłało złoto.

Obok hetmana Radziwiłłowie też z nie mniejszą ostentacją przejeżdżali, a Lubomirscy, Pacowie, nawet Morsztyn¹²⁴ nie dawali się im zatrzeć. Jedni przepychem, drudzy smakiem, ci końmi, tamci rzędami¹²⁵ i uzbrojeniem celowali, tak że było co dzień na co patrzeć.

W szopie czasem wrzało i huczało, a gdy się tu poczęło, dokoła też szlachta brała udział we wrzawie. Dopiero pod wieczór kończyły się narady i znowu, począwszy od kolaski prymasa, ciągnęło to wszystko mimo domu kanclerzynie do miasta.

Tu mało kto nie był zmuszony stanąć, bo piękne panie nie dawały się pominąć, nie zasiągawszy wiadomości u źródła. Często bardzo przed tym domem kanclerzynie powozów, koni i ludzi było tyle, że drogę zapierali. Rozlegały się wesołe śmiechy, szumiały rozmowy, rzucało spragnionym z okna pomarańcze. Pacowa kazała roznosić po gościńcu wino i napoje, jakich kto zażądał.

Wcale się nie troskano o to, że, oprócz osób należących do tego towarzystwa, mnóstwo szlachty, mieszczan i gawiedzi różnej przypatrywało się temu pańskiemu mięsopustowi na ulicy, który szlachtę szczególnie raził i oburzał wyzywającym swym przyzwoitości lekceważeniem.

Na tym kończyły się prace dzienne senatorów, którzy powróciwszy do Warszawy, przebrawszy i otrząśnięci z okrutnego kurzu, który najczęściej na drodze tumanami się wzbijał, jechali albo na nowe narady, lub zaproszeni na biesiady najczęściej kończące się takimi upojeniami, że niektórzy z niego dopiero około południa wychodzili, całkiem już do szopy i okopów jechać nie mogąc.

Tu także noc miała swą odrębną fizjognomią. Nie mówiąc o budach pod wieżą, otwartych do białego dnia, spod których dromle¹²⁶, cymbały, szałamaje¹²⁷ i skrzypki ze śpiewkami słychać było, a do nich czeladź się wykradała, pod wielą namiotami i szałasami ucztowano nie wytwornie, ale obficie, składając się na wspólne biesiady. Napoje wówczas podbudzały umysły, żywiej poruszały serca, śmielej się odzywano i tu niechęć przeciwko panom, która była hasłem elekcji, od początku rosła, coraz groźniejszą się stając.

Karmiono ją umiejętnie co dzień nowymi opowiadaniem, a dosyć było samego widoku tych przepychów, urągających się szlacheckiej mierności i ubóstwu, aby oburzyć i do zemsty podbudzić.

Lada słówko prawdziwe czy fałszywe, jakoby na pokojach wyrzeczone, które piórkami różnymi przystrajano, rozchodząc się z ust do ust jątrzyło ją coraz więcej. Utrzymywano, że prymas i hetman ze wzgardą się wyrażali o gawiedzi szlacheckiej, o szaraczkowych kapotach, które obelżywie „szują” zwali. Szlachta zrywała się do szabel, zgrzytając zębami i czasem tylko ostygnięciu w nocy i snom uspokajającym winni byli panowie, iż ich nie napastowano, gdy do szopy jechali.

Trafiało się już wszakże, iż po drodze napity, a nie umiejący się utrzymać szlachcic, pięść ściśniętą wyciągał bodaj naprzeciwko prymasa, a drugi szablą pobrzękiwał. Wówczas nie pozostawało im, jak nie widzieć i nie słyszeć, odwrócić się i pominąć zuchwalca.

Pomimo tych oznak coraz częstszych podrażnień, panowie wcale nie zwątpili o sobie i swej sile. Klienci ich, którymi się każdy posługiwał, nie mówili im prawdy i nie śmieli wyznać, że ust otworzyć już w obronie Kondeusza i jego partii nie było można w obozie.

¹²⁴ Z b i g n i e w M o r s z t y n (1624–1698) – poeta i żołnierz, od roku 1648 służył pod dowództwem Janusza i Bogusława Radziwiłłów

¹²⁵ r z ą d – tu: pełna zbroja na konia

¹²⁶ d r o m l a, d r u m l a (z niem.) – instrument muzyczny szarpany, często używany przez Cyganów

¹²⁷ s z a l a m a j e (z franc.) – flet pasterski, piszczałka

Gorzeński, który z raportami przychodził do Prażmowskiego, Korycki niejaki, służący w tenże sposób Sobieskiemu, Moczydło, który był Paca sługą, spróbowawszy panów swych ostrzec, nie znalazłszy u nich wiary, albo milczeli i dysymulowali¹²⁸, lub sprowadzali to, o czym donosili, do najdrobniejszych rozmiarów.

W obozie szlacheckim, pomimo nocnych narad i spisków, we dnie panowała karność, bo i Piotrowski i jego pomocnicy ciągle to szlachcie wrażli, że do momentu ostatecznego powinna się zachować skromnie, cicho, aby przedwcześnie panów do obrony nie zbudzić. Piotrowski był niezmordowanie czynnym, ale po swojemu – wszędzie on był, albo ręka jego, a nigdzie go widać nie było.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranka hrabia Chavagnac, poseł niefortunny księcia Lotaryngii, kończył się ubierać i oblewał perfumami, mając wyjechać do kanclerzyny, a wtem służący mu oznajmił, że jakiś szlachcic życzył sobie z nim mówić.

Rola, jaką tu hr. Chavagnac odegrywał, była bardzo smutną. Godzien lepszego losu, lepszej sprawy, przebiegły, zręczny, umiejący sobie drogę utorować wszędzie, murów nie rozbijając, dworujący chętnie pięknym paniom bez różnicy, do jakiego obozu ich mężowie należeli i tym sposobem dowiadujący się mnóstwa tajemnic – od niejakiego czasu udawał zrozpaczonego i zwątpiałego.

Mówił otwarcie, że się już niczego nie spodziewał dla swego kandydata, ale mu honor kazał dotrwać do końca.

Potajemnie protegowany przez Austrię, Chavagnac, przekonywał się, jak ta opieka w Polsce małego była znaczenia bez pieniędzy. Tymi musiał bardzo oszczędnie szafować, bo zapasy się wyczerpywały. Nieumiejętność krajowego języka zastępował Chavagnac jaką taką łaciną, a w najgorszych razach tłumaczem się posługiwał.

Oznajmienie o szlachcicu nieznanym, który z nim mówić życzył sobie, nie było mu w tej chwili pożądanym, bo mu żaden taki szlachcic nie mógł się przydać. Skrzywił się i byłby go odprawił z niczym, gdyby nie myśl, że wszystkiego próbować i w zdesperowanych razach wszelkich środków się chwycić należało.

Przyglądał się jeszcze w zwierciadle najwytworniejszemu swemu ubraniu, które mu było do twarzy, i poprawił peruki, w lokach spadającej z obu stron świeżej i ładnej twarzy, pełnej życia i dowcipu, gdy w tym samym zwierciadle pokazał mu się wchodzący gość tak ubogo, biednie, nieobiecująco wyglądający, iż Chavagnac pożałował, że go kazał wpuścić.

Obok niego miał nawet postać żebraka. Żupanik wybladły na piersiach, na tym kontusz sukienny, dobrze przenoszony, pas zwiedły i wymęczony, na nogach buty niegdyś czerwone, ale dziś barwy nie dającej się oznaczyć. Szabelka w oprawie prostej, czapka w rękę z barankiem, którego tylko resztki pozostały, oto był strój, w jakim Piotrowski się stawiał do elegancznego posła księcia Lotaryngii.

Piotrowskiemu na posmarowanie biedaków, których używał do rozbudzania szlachty na ospałych województwach, potrzeba było koniecznie pieniędzy. Zbierać ich po szlachcie nie mógł, straciłby mir u niej przez to, od nikogo też brać nie chciał. Myśl mu przyszła śmiała, do posła Lotaryńskiego zastukać, który miał w tym największy interes, aby szkodzić Konduszowi. *Dictum, factum*¹²⁹, i oto stał przed hr. Chavagnakiem.

Hrabia przyjął go ukłonem zimnym nader, ale grzecznym. Nadto był dobrze wychowanym, by komukolwiek chciał uchybić, a robić sobie nieprzyjaciół nie była też pora.

– Mówisz pan po łacinie? – spytał go Piotrowski.

Chavagnac skłonił głowę.

– Z biedy się rozmówimy – odparł.

Oko dyplomaty po odezwanu się poczęło badać przybysza i hrabia zaciekawiony postrzegł, że może go powierzchowność omyliła. Wejrzenie Piotrowskiego zdradzało inteligen-

¹²⁸ d y s y m u l o w a ć (z łac.) – ukrywać coś, taić, nie dać po sobie poznać, udawać

¹²⁹ d i c t u m , f a c t u m (łac.) – rozkazano, wykonano

cję. Nie płaszczył się też i nie uniział jak inni, umiał zachować swą godność, co także mówiło za nim.

– Jesteś pan posłem księcia Lotaryńskiego? – spytał przybyły.

Chavagnac potwierdził.

– Musi więc waćpanu chodzić o to, abyś się niewygodnego i niebezpiecznego zbył współzawodnika. Mówię o Kondeuszu.

Wyrazy te, w ustach tak niepoczesnego człowieka, wywołały uśmiezek mimowolny na usta posła. Co taki biedak mógł zaszkodzić Kondeuszowi, a pomóc Lotaryńskiemu?

Uśmiech ten może dostrzegł Piotrowski, ale się nie zmieszał.

– Któż pan jesteś i w czym mówisz imieniu? – zapytał Chavagnac.

– Kto ja jestem? – począł spokojnie szlachcic – to mój strój i mina powiada panu. Jestem jednym z tych dwudziestu tysięcy *electores regum*¹³⁰, którzy stanowiąc będą o koronie.

Skłonił się Chavagnac.

– Przychodzę sam od siebie – ciągnął dalej Piotrowski – i mam panu do uczynienia propozycję. Chcesz waćpan, abyśmy ekskludowali z liczby Kondeusza, jako jawnie o przestępstwo obwinionego?

Posel się aż rzucił w tył ze zdumienia.

– Ekskluzja Kondeusza! – zawołał żywo. – Zapewne! Nic dla mnie pożądanym by być nie mogło, ale jakże się to może stać?

– Co panu do tego, jeśli ja biorę na siebie, że my go wyłączymy – odparł Piotrowski.

– Jakąż rękojmią?

– Żadnej, moje słowo. Chcesz waćpan – dobrze, nie – kłaniam uniżenie. *Servus!*

– Czekaże! Na Boga! – zawołał mocno zaintrygowany Chavagnac – proszę pana. Rozmówmy się lepiej, otwarciej. Nie chcesz mi pan powiedzieć nazwiska swego?

– Owszem, jeśli ono potrzebne – rzekł – Sas, ale ono nie nauczy niczego. Jestem sobie ubogi i nie znaczący szlachcic, a jak mnie waćpan widzisz, rękę za ekskluzją Kondeusza.

Chavagnac milczał.

– Tak – rzekł w końcu – ale jakież warunki?

– Nader przystępne – odezwał się zimno Piotrowski. – Sto dukatów, nie więcej.

Śmiać się zaczął poseł.

– Żartujesz pan ze mnie? – zawołał.

– Bynajmniej, daję na to szlacheckie słowo, a u nas *verbum nobile*¹³¹ to tak jak przysięga, że Kondeusz będzie ekskludowany.

Pewność, z jaką to mówił Piotrowski, tak uderzyła Chavagnaca, że się głęboko zamyślił.

Targ, jaki mu szlachcic proponował, zdawał się śmiesznym, lecz Chavagnac znał już do tyła Polskę, iż wiedział, że tu z powierzchowności sądzić nie można. Śmiałość, pewność siebie Piotrowskiego, imponowały mu, wahał się. Ofiara była mało znaczącą, ale oszukanym być sobie nie życzył.

– Przyznasz pan – odezwał się – iż propozycja takiej przysługi od zupełnie nieznanego, który oprócz słowa swego żadnej nie daje rękojmi, potrzebuje namysłu. Nie idzie o sumkę tę, jest ona nie znaczącą, ale to wygląda na żart ze mnie!

Zmarszczył się Piotrowski.

– Mówię serio i słowa dotrzymam, a niemiła moja ofiara...

Skłonił się.

Powaga i zimna krew szlachcica zwyciężyła. Chavagnac wyciągnął mu rękę.

– Siadaj pan, przynoszę, co żądasz...

Zamiast usiąść, Piotrowski począł się przechadzać po pokoju, a Chavagnac wkrótce powrócił z rulonikiem, który mu wcisnął w rękę.

¹³⁰ *electores regum* (łac.) – wyborcy królów

¹³¹ *verbum nobile* (łac.) – słowo szlacheckie

Szlachcic mu nie podziękował i obojętnie wsunął go do kieszeni.

– Słowo jeszcze – zatrzymując już wybierającego się odchodzić, odezwał się Chavagnac. – Jakie masz pan środki, aby dokazać tego cudu?

– Najprostszy w świecie, jeden tylko. Wiemy kogo i za jaką sumę kupił Kondeusz, co wziął i ma obiecane prymas, hetman i jego żona, Pacowie i inni... Dosyć będzie huknąć, aby zmusić senatorów do ekskluzji. Rzecz jest pewna i stanie się, jak powiedziałem – dokończył Piotrowski.

Wszystko to stało się tak jakoś niespodzianie i prędko, że dopiero po odejściu szlachcica poseł, rozmyślając nad tym, co uczynił – chociaż sam się śmiał z łatwowierności swojej – uznał dobrym, że sto czerwonych złotych ważył dla dokonania tego, za co by chętnie wprzódy ofiarował był tysiące.

Ale był też w położeniu tak rozpaczliwym, że stawić małą sumkę z nadzieją choć najslabszą wygranej, mogło mu w każdym razie być wybaczone.

Dnia tego, jak zwykle, jechał do domku nadrożnego kanclerzynie, gdzie się piękne panie zbierały, aby słuchać kondolencji nad swym losem i żarcików. Tym razem jednak mała ta, nie znacząca okoliczność, spotkanie z Piotrowskim, dawało mu i humor lepszy, i iskrę nadziei.

Księżna Radziwiłłowa, gdy wszedł, pierwsza z twarzy jego wyczytała, iż był lepszej myśli.

– Hrabio – spytała go żartobliwie – miałeśbyś od wczora pozyskać prymasa czy hetmana, że tak dziś wyglądasz wesoło?

– Ja? – odparł zręczny Francuz, ruszając ramionami – nie próbuję, jak księżna wiesz najlepiej, oblegać twierdz niezdobytch.

– Ale dziś masz niemal twarz zwycięzcy! – śmiała się księżna.

– Bez mej wiedzy – rzekł Chavagnac – gdyż czuję się wedle logiki ludzkiej najniezawodniej pobitym, alem sobie przypominał, co historia powtarza nieustannie, że los dumnych upokarza, a Kondeuszowi tak zawczasu tryumfują, iż mogą wywołać zemstę losu.

– Z której hr. Chavagnac będzie się starał skorzystać! – zaśmiała się księżna.

Hrabia skłonił się w milczeniu.

O trzy kroki dalej siedziała w blasku swej piękności królewskiej Maria Kaźmira, przy niej wsparty na poręczy krzesła stał hetman, który, jadąc do szopy, na chwileczkę się tu zatrzymał.

Francuzka z rana odebrała listy ode dworu, a twarz jej promieniała tryumfem. Warunki wszystkie, jakie Sobiescy stawili za wybór, upewniwszy Kondeusza, zostały przyjęte, a mimo to hetman miał oblicze posępne i wesa tak targał, jak gdy go co mocno drażniło. Razem z żoną wyszli do sąsiedniego gabinetu.

– Cóż tam znowu zaszło, żeś tak chmurny? – zapytała Marysienka.

– Jestem zmęczony jak wyrobnik! – zawołał Sobieski. – Ani dnia, ani nocy spokojnej i drzwi się nie zamykają; ciągle wydatki, na nic nie starczyć groszem, a na dobitkę mi Korycki młody przyniósł złe wiadomości z Woli.

– Z Woli? A cóż to być może? – pogardliwie spytała Sobieska.

– Szlachta nie żartem spiskuje – mówił cicho hetman. – Wre i kipi u Sandomierzan, w Krakowskiem, odgrają mi, że nas na szablach rozniosą i wprost wołają, żeśmy koronę sprzedali.

Zaperzyła się Maria Kaźmira.

– Ha! strasza! – zawołała gniewnie, tupiąc nóżką. – Szablami grożą, jak gdybyście wy wojska nie mieli, które ich w puch rozbić może!

– A potem? – pytał Sobieski. – Któż będzie króla wybierał?

– Senat... wy! Okrzyknie go prymas!

– Łatwo to powiedzieć, ale nie tak, jak się zdaje, dokonać. Za szlachtą stoi cała Rzeczpospolita i jej prawa, które szanować musimy.

Ze zmarszczonym czołem zabierał się odchodzić.

– Korycki młody – przerwała nagle królowa – kłamcą jest. Chce tylko wyłudzić pieniądze. Strzeż się go.

– Pieniędzy nie żądał – odparł Sobieski – bo powiada, że teraz na nic by się nie zdały.

Niedowierzająco popatrzyła piękna pani, nie mogąc pojąć, aby kto nie potrzebował pieniędzy, gdy je pod jakimkolwiek wyłudzić mógł pozorem.

– Koniec końcem – całując białą rączkę niechętnie podaną mu, rzekł hetman – Panu Bogu podziękuję, gdy zaśpiewamy *Te Deum* nie wytrzymałbym dłużej...

– Jutro poseł Kondeusza? Nieprawdaż? – zapytała żona.

– Tak jest; dwie moje najpiękniejsze karety muszę posłać po niego, a moja pani i królowa będzie musiała niebieską się kontentować i tymi woźnikami, co przyszły z Jaworowa.

Byłaby może zaprotestowała piękna pani przeciwko poświęceniu jej dla posła kondeuszwego, ale dla Francji gotową była na tę ofiarę.

Z kolei przed galerią kanclerzycznej przesunęły się wszystkie orszaki panów, ciągnące do okopów. Młody Pac w towarzystwie ks. Michała, którzy dnia tego nie potrzebowali się znajdować przy swoich województwach, przybyli też bawić panie do pawilonu kanclerzowej. Pomimo bardzo starannego ubrania książę Michał, w towarzystwie, w którym się kilku Francuzów, Chavagnac, Pac i inni eleganci znajdowali, stawiał się nader skromnie.

Oczy pięknych pań zmierzyły go ciekawie.

– Ten biedny Wiśniowiecki – szepnęła młoda Radziwiłłowa – aż mi go żal. Tak wszędzie pokorną i nie znaczącą rolę grać musi.

– Był to ulubieniec Marii Ludwiki – z przekąsem odezwała się Sobieska – ale tylko dobre serce tej pani mogło do istoty tak upośledzonej się przywiązać.

– Jak to? – przerwała Radziwiłłowa. – Słyszałam, że mówi ośmiu językami!

– Ale tak, ale żadnym z nich nic do rzeczy powiedzieć nie umie – rozśmiała się hetmanowa – i ten wiekiuisty pozór ofiary, mający obudzać współczucie!

– Nie miał szczęścia się wam podobać? – podchwyciła Radziwiłłowa – tym bardziej mi go żal.

Sobieska ruszyła ramionami.

W istocie ks. Michał zmuszony pozostać w cieniu, sam jeden, bo mało kto się chciał zbliżyć do niego, nie znalazł nikogo takiego oprócz Chavagnaca, który tego dnia miał więcej uprzejmości niż zwykle i sam go przyszedł powitać.

– Na kiedyż wasz wjazd? – spytał go ks. Michał.

– Zapewne pojutrze – odparł wzdychając Chavagnac – mowę mam już gotową, ani się z tym kryję, że jej sam nie pisałem.

– Ks. Riquet – szepnął Wiśniowiecki.

– Tak jest – potwierdził hrabia. – Ale co znaczą najpiękniejsze słowa, gdy się nie ma czym poprzeć!

Żartobliwie ręce rozpostarł.

– Heroicznie – dodał – spełnię moją ofiarę i wypiję kielich do dna. Gdyby nie to, że Neuburg jeszcze jest biedniejszym ode mnie, bo o nim nawet mowy nie ma, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi.

Wiśniowiecki stał obojętnie zadumany czy roztargniony.

– Mój hrabio – rzekł w końcu – mówią, że w czasie elekcji dzieją się czasem rzeczy niespodziane. A nuż szlachcie się zamarzy okrzyknąć Lotaryńskiego?

Skrzywił się Chavagnac.

– Nie żartujecie! – odparł. – Co niepodobna, niepodobna. Moim zadaniem, twarzą pogodną złą grę witać. Patrz książę, jak mój rywal jest tryumfujący.

Chwila była jakiegoś milczenia, okna galerii stały otwarte; z daleka od okopów wiatr przyniósł jakby jakiś szum i wycie. Szlachta się także około szopy manifestowała.

Chavagnac się wzdygnął cały.

– Trzeba przyznać – rzekł – że ta potwora Apokalipsy, która się zowie tłumem, głos ma niepiękny. Ryczy nawet, gdy się weseli, a cóż by było, gdyby się chciała rozgniewać!

Niektóre z pań zadrżały też na odgłos krzyków, dochodzących je od okopów. Sobieska, przypominając, co jej mówił mąż, pobałdła, ale kanclerzyna Pacowa niestrwożona odezwała się:

– Szlachta jest w dobrym humorze! To dobrze! Im głośniejsze krzyczy, tym pewniej zrobi, co jej każe starszyzna. Ja się raczej boję milczenia.

Wtem zahuczało na gościńcu, na pole pędził jeszcze spóźniony biskup chełmiński, Olszowski, ale na widok jego wszyscy odwrócili głowy, panie się pochowały, i minął galerię nie mając się komu pokłonić.

– Przyjaciel Wiśniowieckich! – szydersko syknęła Dönhoffowa, spoglądając z ukosa na stojącego w cieniu ks. Michała. – Podziwienia godna odwaga, że śmie z tym występować.

Wtem weselszy jakiś przedmiot śmiechem wielkim szepty te zagłuszył.

VI

Nieodstępnym towarzyszem młodego Paca, który często księcia Michała odwiedzał, był, jego wieku, daleki powinowaty, Zygmunt Kiełpsz, starej litewskiej rodziny potomek, sierota, miernego majątku. Ale wychowany starannie, bo go Pacowie ze swymi synami razem w domu i, za granicą kształcili.

Kiełpsz miał wprawdzie parę wiosek w Oszmiańskim, które puszczał dzierżawą, starczyło mu to na przyzwoite utrzymanie, ale obok Paców uchodził za ubogiego. Bardzo miłej powierzchowności, paniczynowato wyglądający, po francusku przebrany, wesół, śmiały, żywy, Zygmunt miał dosyć szczęścia między ludźmi, a szczególnie opiekowała się nim troskliwie pani kanclerzyna.

Łaski tej pani miały naówczas wielkie znaczenie. Niegdyś zachwycająca urodą i wdziękami, Klara Eugenia de Mailly, daleka krewna Marii Ludwiki, powinowata Kondeuszowi, znakomitego rodu, teraz już trzydziestokilkuletnia, ale jeszcze piękna, a nade wszystko za piękną uchodzić pragnąca, nie mogła rywalizować ze swą przyjaciółką, hetmanową Sobieską, ani świeżością, ani blaskiem, ale powagą i wziętością w niczym jej nie ustępowała.

Kiełpsz miał naówczas lat dwadzieścia i kanclerzyna obchodziła się z nim jak z wyrostkiem, ale zazdrozczono mu tej opieki. Zygmunt zresztą miał łaski u wszystkich i starał się wkupić w nie, będąc uprzejmym dla każdego.

Młody Pac przybrał go sobie za przyjaciela a razem sługę, bo Kiełpsz słuchał jego skinienia, ułatwiał mu, pośredniczył i rzadko ich widywano osobno, tak że spotykając pojedynczo, natychmiast się o drugiego dopytywano. Zawisłość tę swoją od Paców Kiełpsz zrobił jako rzecz naturalną, wypływającą z położenia, o wyswobodzenie z niej nie dobijając. Młody, wrażliwy, bywając często w domu Wiśniowieckich, Zygmunt spotykał zawsze Helę, a składało się tak, że ona go zabawiała i on się nią zajmować musiał.

Piękność, a nade wszystko rozum i właściwy jej wdzięk, który nie odejmując młodości, nadawał rzadką w tym wieku powagę Zebrzydowskiej, powoli młodego Kiełpsza rozmarzyły i zachwyciły. Zakochał się w niej szalenie. Miłość ta długo pozostała nie postrzeżoną, on sam się może do niej przed sobą nie przyznawał, ale z każdym dniem rosła, a na ostatek stała się widoczną. Pac zaczął Helę prześladować przyjaciela.

Było to uczucie bez przyszłości i bez nadziei. Najprzód Hela, mimo grzeczności dla Kiełpsza, okazywała się obojętną, potem wiadomym było, że ona nie miała majątku, a Zygmunt był bardzo miernego. Pacowie chcieli go, obyczajem w wielkich rodzinach bardzo pospolitym,

ożenić z jaką bogatą, niemłodą wdową, która by mu wniosła zamożność do domu. Nie mogło więc być mowy o Zebrzydowskiej, nie mającej nic oprócz opieki ks. Gryzeldy, która sama cierpiała prawie niedostatek.

Wszystko to i on sam sobie, i Pac mu ciągle powtarzał, a niemniej Zygmunt upierał się, rozmiłowując coraz mocniej w wychowance ks. Gryzeldy.

Zdradzające się atencje¹³² młodego chłopaka Hela przyjmowała z widocznym frasunkiem i zakłopotaniem. Była dla niego chłodną, a strzegła się najmocniej, aby grzeczności nawet fałszywie sobie nie tłumaczył.

Nadskakiwania Kiełpsza nie uszły i oczów księżnej Gryzeldy, która o swą wychowankę spokojną była, ale rada by ją była widzieć szczęśliwą może inaczej, a nade wszystko się z nią nie rozłączać.

Na ostatek i ks. Michał dostrzegł, że Zygmunt się zalecał, wesoło winszując tego Heli, która się rozgniewała.

– Przepraszam cię, moja kochana Helo – odparł ks. Michał. – Nie ma się za co srożyć na mnie. Kiełpsz jest bardzo dobrym, miłym, zacnym chłopakiem i nikomu zaloty jego nie czynią krzywdy.

– Ale nie godzi się grzeczności młodego kawalera zwać zalotami – odparła Hela – bo ani ja jestem do zalotów, ani on o nich nie myśli.

– Dlaczegoż by on w ślicznej mojej Heli nie miał się zakochać po uszy? – żartował kuzyn. – Ja to znajduję tak naturalnym, że gdyby widując cię nie kochał się, posądziłbym go o ślepotę.

– Nie wiesz, jaką mi tym przykrość czynisz – przerwała Zebrzydowska – obracając w żart to, co dla mnie jest bardzo smutnym. Ja nikomu żadnego nie zazdroszczę losu, ale bym pragnęła, aby mnie ludzie nie narzucali tego, który moim być nie może. Stworzoną jestem na cichą sługę i pomocnicę, na to, czym jestem przy twej matce, więcej nic nie pragnę. Do świata nie mam ani tych przymiotów, jakich on wymaga od swoich, ani mnie on nęci. Jestem szczęśliwą... bez zalotów, bez marzeń o małżeństwie. Cóż bym ja komu przynieść mogła?

– Jużciż, przecie kiedyś za mąż wyjść musisz? – zawołał.

– Nigdy – mówiła Hela.

– I Kiełpsz ci się nie podoba? – pytał książę.

– Owszem, jest bardzo miły i może bardzo dobry chłopak, gdy wy wszyscy za nim świadczycie – mówiła Zebrzydowska – ale w nim rozmiłować się nie myślę, a jego grzeczności dla mnie wielce mi ciężą.

Książę Michał trzymał stronę zakochanego, dowodził, że należał do bardzo dobrej rodziny, że nie był tak ubogim, jak utrzymywano, a rachować mógł na spadki, na protekcję wszechmogących na Litwie Paców i na krescyciwę¹³³.

– Cóż mnie to wszystko obchodzi, kiedy ja ani za niego, ani za kogo innego za mąż iść nie myślę – odpowiadała Hela.

– Ale dlaczego?

– Nie mam powołania do tego stanu – mówiła Hela spuszczać oczy. – Czyżbyście się mnie pozbyć chcieli? Ks. Michał porwał się zagniewany.

– Mnie o twoje szczęście chodzi – zawołał z gorącością, którą rzadko okazywał – bo nic w świecie przykrzejszym by być nie mogło nad rozstanie się z tobą. Nie pojmuję życia bez ciebie...

Hela miała oczy spuszczone.

– Nie szukajże dla mnie także innego szczęścia nad to, jakie ja mam dziś i chcę jak najdłużej się nim cieszyć.

– Tak, moja Helo – ciszej rzekł książę – ale przyszłość?

¹³² a t e n c j a (z łac.) – uwaga, bacność, szacunek, grzeczność

¹³³ k r e s c y t y w a (z łac.) – wzrost mienia, wzrost znaczenia

– Przyszłość – odparło dziewczę – wiem, co myślisz. Ty możesz się, a raczej musisz ożenić, ale twoja żona pozwoli przecież, abym ja jej służyła wiernie jak twej matce. Ja więcej nic nie wymagam, tylko nie odłączać się od was. Od dzieciństwa przywykłam do tego domu i innego mieć nie chcę, a bardzo skromnym w nim kątkiem się zaspokoję.

Z uczuciem pochwycił ks. Michał rękę wyrrywającą się Heli i okrył ją pocałunkami.

– A! ten świat, te jego wymagania, obowiązki względem imienia i rodziny, wszystko to, co człowieka czyni niewolnikiem. Jak to są rzeczy smutne i wstrętne! Czemu się od tego uwolnić nie można, gdy kto nie ma ambicji, a od losu dla siebie pragnie niewiele?

– Nie zapominajcie – poczęła Hela – że kobieta może się wyrzec wszelkiej ambicji i samoistności, a mężczyzna nie, bo jest głową rodziny.

– Dajmy temu pokój – niecierpliwie dorzucił ks. Michał. – Po co przewidywaniami zatruwać sobie chwilę obecną! Będzie, co będzie. Gotów bym moje szczęście twojemu poświęcić... i dlatego łapię Kiełpsza, gdzie mogę, ale w istocie wszystkich bym prędzej porozpędzał, co nam cię odebrać grożą.

Chociaż sam tak na próbę czy naprawdę protegował Kiełpsza, księżę Michał, gdy ten więcej nadszkakującym, natarczywszym się okazywał – chmurzył się tak, że go można było o zazdrość posądzić. Nie mógł nic zarzucić panu Zygmuntowi, ale szukał w nim jakichś śmieszności. Znajdował, że nie miał smaku w ubraniu, że zanadto się trzpiotał, że zbyt zależnym wisiał przy Pacach. Wszystko to przynosił Heli, która uśmiechając się, odpowiadała:

– A przecież zalecałeś mi go?

– Bo ma też i dobre strony, ale właśnie dlatego, że go upatrzyłem dla ciebie, rad bym mu wszystkie przyswoić doskonałości.

Rzadko którego dnia nie wspominał o Kiełpszu, a ta usta mu zamykała:

– Ale dajże mi z nim pokój!

Księżna Gryzelda, którą los wychowanki wielce obchodził, dopatrzywszy się zalecanek Zygmunta, mocno się nim zajęła. Postarała się zebrać wiadomości o rodzinie, stosunkach, majątku i znajdowała, że dla Heli nie byłby do odrzucenia.

– Hela – zwierzała się synowi – pewno więcej warta. Imię Zebrzydowskich samo wiele znaczy, a jej przymioty tysiąc razy więcej jeszcze, ale kto się pozna na tej stokrotce, ukrytej w trawie, która główki nad nią podnieść nie chce? Skarb to jest ta dziewczyna! – Niestety, ludzie się na nim nie poznają!

Ks. Michał na zwierzenia odpowiadał tym, co słyszał od kuzynki, że ona ani za męża, ani z ich domu wychodzić sobie nie życzyła.

– Nie racja to, abyśmy my się nie starali o to, co jej przyszłość zapewnić może – mówiła ks. Gryzelda. – Ja nie jestem długowieczną. Cóż potem? Przy tobie pozostać nie może, chyba gdybyś się ożenił... A narzucać jej żonie twej niepodobna, jeśli się sama na niej nie pozna. Musimy przecie wyszukać jej męża. Do klasztoru, pomimo zamięłowania spokoju i pobożności, powołania nie ma. Ja od dawna staram się i powoli dla niej gromadzę wyprawę.

Rozmowy podobne powtarzały się często, a Kiełpsz tymczasem nie zrażony okazywanym mu chłodem, coraz się większą zapalał namiętnością.

Doszło to do tego, że się nie powstrzymał i przed opiekunką Pacową, która Zebrzydowskiej nie znała prawie, wychwalać ją zaczął. Obudziło to do tego stopnia ciekawość kancelaryjnej, że rzadko odwiedzając ks. Gryzeldę, dwa razy umyślnie pojechała do niej, aby się lepiej Heli przypatrzeć. Umiała ją wciągnąć w rozmowę, wybadać i wprawnym okiem kobiety na wielkim wychowanej dworze oceniła ją, jak zasługiwała.

– Ma w sobie wszystko, co by z niej mogło bardzo znakomitą uczynić panią, ale uboga, bez rodziny, trudno, aby w towarzystwie dobiła się należnego stanowiska. Nie dziwuję się Zygmuśowi, że mu głowę zawróciła, choć ani on dla niej, ani ona dla niego. Kiełpszowi potrzeba majątku, jej także... ubodzy musieliby się na wsi zakopać... Nie każdy znajdzie Włady-

sława jak Kazanowscy. Myśmy dla Zygmunta wiele uczynić gotowi, ale mu fortuny dać nie możemy. Kto ma dziś dosyć?

Kancelerzyna usiłowała wybić z głowy protegowanemu Helę. Biedny chłopak milczał, było to nad jego siły. Szukał wszelkich możliwych środków, aby się dostać do dworku Wiśniowieckich i choćby spojrzeć na Helę. Pac doszedł, że się stał nawet z tego powodu pobożnym, bo wyszedł, w którym kościele ks. Gryzelda z wychowanką bywały, i łapał je u kropielnicy, przy wyjściu, a potem odprowadzał na Miodową.

Widząc go, za każdym razem rumieniała się Hela, często go zbywała milczeniem upartym, ale to go nie zrażało. Przeciwnie, ks. Gryzelda, która rachowała na protekcję Paców, na opiekę kancelerzynie, a nic dla Heli lepszego nie widziała, starała się Kiełpsza pociągnąć, ośmielić, zapraszała go, dawała małe polecenia.

Kiełpsz, który jej był niewymownie wdzięcznym, korzystał chciwie z uprzejmości ks. Gryzeldy. Wykradał się z odwiedzinami, siadał i przesiadywał przy krosienkach Heli i stoliczku staruszki, przynosił nowiny i skrypta, słowem nie wahał się okazywać, że konkurował o łaski panny.

Ale im on się stawał natarczywszym, tym Zebrzydowska zimniejszą się być starała. Ostrożnie napomykała księżnie, że może by nie należało tak często przyjmować Kiełpsza.

– Cóż ci to szkodzi! – odpowiadała, uśmiechając się staruszka. – Ja go dla siebie, nie dla ciebie, zapraszam, bywa tylko przy mnie... Nie zaleca się tak, aby ci to mogło czynić ujmę. Ja go bardzo lubię i dziwię się, że ty ocenić nie umiesz.

– Ale, mamuńciu – przyklękając przed staruszką mówiła Hela – ja mu oddaję sprawiedliwość. Jest z młodzieży może najprzystojniejszym – po księciu Michale, ma tylko tę wadę, że się chce zalecać, ja tego nie lubię.

Księżna Gryzelda za każdym razem kończyła rozmowę długim wywodem konieczności zabezpieczenia się na przyszłość.

– Moje dziecko – mówiła – gdy się znajdzie człowiek zacny, uczciwy, który się gorąco przywiąże, nie potrzeba go zrażać. O ludzi niełatwo... Choćbyś nie miała serca do niego – trzeba się przyzwyczajać... oswajać... przywiązanie się znajdzie... a ja dla ciebie życzę całym sercem Kiełpsza.

– Ale ja wcale za mąż wychodzić nie myślę – powtarzała Zebrzydowska.

– To dziwactwo – mówiła żalująca ją ks. Gryzelda – za mąż iść jest przeznaczeniem naszym! Choćbyś nie chciała, musisz... Klasztor ci się też nie uśmiecha.

– Ach! – kończyła Hela. – Z dwojga złego już bym wolała prawie klasztor niż zamążpójście przeciw sercu i przeciw woli.

Świadek tego oporu, w końcu i ks. Michał, przed matką brał stronę kuzynki.

– Jeżeli się jej Kiełpsz nie podoba – mówił – i za mąż iść nie chce, po cóż ją zmuszać?

– Nie zmuszam jej – tłumaczyła się stara księżna – ale zostaw to mnie.

Miała pobudkę do tego wielką troskliwa matka, że tak uporczywie Helę namawiała. Oka jej nie uszło to, o czym ani Hela, ani ks. Michał sami nie wiedzieli, do czego się nie przyznawali przed sobą. Ks. Gryzelda widziała rodzącą się miłość syna dla wychowanki i jej uczucie dla niego. Napęniała ją to obawa; nie lękała się żadnego ze strony obojga zapomnienia się, ks. Michał był statecznym, pobożnym i surowych obyczajów młodzieńcem, Hela dziewczęciem zbyt panującym nad sobą, aby im groziło niebezpieczeństwo, ale coraz bardziej przywiązując się, nawykając do siebie, mogli w końcu dojść do tego przekonania, że bez siebie żyć im niepodobna, a Michał mógł zapragnąć się z nią ożenić. Naówczas cała przyszłość jego byłaby złamaną, wszystkie nadzieje matki wniwecz by się obróciły. Marzyła dla niego jakąś Zasławską księżniczkę, Lubomirską lub dziedziczkę ogromnych włości. W ten tylko sposób dawny splendor domu mógł się podźwignąć. Wmawiała to często ks. Michałowi, który słuchał milczący, ale wcale się nie przejmując.

Widząc, jak te dwie drogie jej istoty kochały się, jak dla siebie zdawały się stworzone, jak Hela doskonale sobą dopełniała to, czego Michałowi brakło, matka smuciła się, iż los skazywał ich na rozłąkę – lecz teraz ona była głową rodziny, a nie mogła poświęcić jej dla szczęścia jedynaka. Wiśniowieckich imię i ród wymagały ofiary...

Wprzód może, niż które z nich uczuło, że braterskie ich przywiązanie wcale inny przybiera charakter, nim ręka Heli zadrżała, dotknięta przez Michała, nim wejrzenie jej sięgnęło mu do głębi duszy, matka przewidziała tę nieuchronną ostateczność. Jedynym środkiem zdawało się jej wydanie za mąż wychowanki, a nikt się nie nastęczał oprócz Kiełpsza. Musiała mu więc być pomocą. Ks. Michał miał nawet zbytnią tę troskliwość za złe matce.

Przyjmowany bardzo mile przez ks. Gryzeldę, pod pozorem, iż nowiny elekcyjne przynosi, pan Zygmunt co dzień już zachodził do księżnej. Gdy z okopów nie było nic nowego do ofiarowania, ratował się Kiełpsz powtarzaniem tego, co słyszał u kanclerzynej.

Zbierało się na wezwanie posłów od kandydatów, a pierwszym miał być kondeuszowy, gdy z rana wpadł Kiełpsz, zastając jeszcze ks. Michała przy śniadaniu, któremu matka i Hela asystowały tylko. Kawa wprawdzie znaną już była naówczas i jako osobliwość przywożono ją ze wschodu, gotowano, podawano, ale się w niej nikt nie kochał, a mężczyźni pili winną polewkę, piwo grzane albo jedli coś posilniejszego. Ks. Michał, który lubił jeść, właśnie był dwie miski opróżnił, gdy Zygmunt się zjawił na progu z twarzą mocno ożywioną, zmęczony i zadychany.

– Przybiegam tylko na chwilę – zawołał – aby oznajmić, że w okopach jakaś się na dziś gotuje burza... Książę Michał pewnie zechce być na stanowisku, ja także. Potrzeba pośpieszyć, bo rozprawa dziś szlachty z senatorami będzie żywą i stanowczą.

– Skądże o tym wnosicie? – zapytała ks. Gryzelda.

– Mam świeżuteńką wiadomość od okopów – mówił Kiełpsz – przez Gintowta¹³⁴, który wprost stamtąd przybył, aby dać znać Radziwiłłom. Szlachta kilku województw formalny zdaje się gotować rokosz. Kupy się gromadzą, szopa otoczona, burza wre. Wszyscy mówią, że to wymierzone przeciwko Kondeuszowi.

– Przez kogo? – wtrąciła księżna.

– Bóg wie, bo tego zrozumieć nie można, do wieczora szala się przechyli i zagadka rozwiąże.

W tej chwili wchodzący książę Michał, który już na koń siadać był gotów, nie dał się nawet zbliżyć Zygmuntowi do Heli. Potrzeba było w czwał pospieszać na pole pod Wolę, aby być świadkami tego, co się tam odbyć miało.

Całując w głowę syna, matka nieznacznie krzyżyk mu zakreśliła nad czołem, młodzi panowie pożegnali się i wybiegli w ulicę, spiesząc ku Woli.

Na gościńcu nie widać już było ani kolas pańskich, ani pocztów, ani opóźnionej szlachty z miasta do okopów pospieszającej – wszyscy już na miejscu być musieli.

W dość znacznej odległości od szopy i okopu ks. Michał usłyszał wrzawę i huczenie tłumów, z pośrodku którego krzyki się piskliwe wyrwały niekiedy. Gdy się zbliżyli, widok, jaki się ich oczom stawił, nie dozwalał wątpić, że tu jakaś katastrofa się gotowała. Szopa stała obleżona niepoliczonym szlachty tłumem tak rozgorączkowanym, jak gdyby tuż na szablach miał roznieść osaczonych senatorów.

Ks. Michałowi i Kiełpszowi już by się bliżej szopy nie dało pewnie docisnąć, gdyby się nie trafił na drodze Gorzeński, znajomy księciu, który dopomógł mu tak dzielnie, iż konie odawszy sługom, za nim się przedzierając dotarli aż do słupów i mogli wejrzeć do środka. Tu potrzeba było całych sił młodych ludzi, aby się oprzeć naciskowi fali tej ruchomej, która gdzieniegdzie tak szopę oblegała, że słupy jej trzeszczały.

¹³⁴ J e r z y G i n t o w t – chorąży trocki, od roku 1667 marszałek trybunału litewskiego, w roku 1668 poseł na sejm

Zewnątrz i wewnątrz było na co patrzeć. Przy stole ogromnym, na krzesłach i ławach, mając w pośrodku siebie bladego jak trup prymasa, siedzieli potrwożeni senatorowie i biskupi. Na twarzach ich malował się przestach niewysłowiony. Prażmowski drżącymi rękami ocierał pot z czoła, inni szeptali niespokojni, oczyma rzucając ku żywym ścianom otaczającym. Nie było prawie jednego z nich, który by tej burzy jak orkan strasznej śmiało stawić czoło. Nie wrzawa, ale ryk dziki rozlegał się nieustannymi wybuchy, wśród których trudno było głosy pochwycić. Szczęk szabel podobowanych z pochew, którymi nad głowami wywijając szlachta ciągle uderzała... był jakby towarzyszeniem muzyki do tej pieśni szalonej.

Z senatorów żaden nie mógł przyjść do słowa; podnosili się śmielsi prosząc o głos, zahukiwano ich wrzaskiem.

Oswoiwszy się dopiero z tą wrzawą, ks. Michał mógł pojedyncze wykrzyki zrozumieć.

– Precz z Kondeuszem! Precz z przekupionymi! Jeden z biskupów powstał, ręce rozpostarł, podniósł je ku niebu – ale nie ubłagał milczenia. Powtórzono.

– Precz z Kondeuszem!

– Ekskludować Kondeusza! Precz z Judaszami! Precz ze zdrajcami!

Gdy prośby senatorów nic nie mogły na rozwścieczonym tłumie, szlachta poza szopą zebrała sykać zaczęła sama, domagając się milczenia, które nierychło, powoli, zaczęło się od uśmierzenia bliżej stojących i poszło potem w głąb tłumów. Szmer tylko głuchy i szczęk szabel nie ustawał... Wtem poza szopą na rękach podniesiono barczystego mężczyznę, a ten, pomimo wielce niewygodnego na rękach panów braci umieszczenia, rozpoczął mowę.

– Jawnym to jest, nikt się z tym nie kryje, wszyscy wiedzą, że Kondeusz ludzi i głosy zakupił. Stała się zdrada i świętokradzkie przysięg złamanie. Ojcowie to ojczyzny dopuścili się simonii – sprzedali sumienia... Kondeusz, co ich kupił, nie może być królem naszym. Pocznie się to panowanie od frymarku, skończy na zdradzie i sprzedaniu ojczyzny.

– Precz z Kondeuszem, ekskludować Kondeusza!

Senatorowie siedzieli niemi. Ze szlachtą do tego stopnia rozszalałą nie było już sposobu ani traktować, ani ją chcieć uspokoić, ni przekonać.

Nikt prawie nie czuł się tu czystym w sumieniu, a, z wyjątkiem niewielu twarzy, z których jeszcze duma i gniew buchały, reszta wybladła i zmieniona zdawała się błagać o miłosierdzie.

Prymas drżał tak widocznie, słabł, oglądał się z taką trwogą ku tym brzękającym szablom, jak gdyby nadeszła ostatnia godzina.

W tej chwili jednego szalonego wybryku tylko potrzeba było może, aby się krew polała i szopa napelniła trupami. Tłum się upajał swoją potęgą, mruczał, groził, miotał – czuł silnym i nie myślał ustąpić, żadne błaganie nie mogło go zmusić do milczenia.

Pomimo wojskowej straży, która u wejścia do szopy strzegła, deputacja¹³⁵ szlachty wparła się do środka.

Same twarze tych wysłańców mogły spotęgować trwogę, byli to ludzie zrozpaczeni, nie pamiętni na nic, szli ku starcom i ojcom duchownym na pół zmartwiałym na krzesłach, jak ludzie, co prawo dyktować mieli.

Najmniejszej oznaki względności i poszanowania dla dostojęństw nie okazywał z nich żaden. Czuli się wysłańcami tej siły pięści, która nie szanuje nic, a wszystko gruchocze.

– Precz z Kondeuszem! Precz z Kondeuszem! – poczęli krzyczeć wysłani, z których jeden się zuchwale przybliżył i stanął nad prymasem, tak że starzec poczuł oddech jego piekący na sobie. Prażmowski się odwrócił do niego.

– Na Boga, dzieci moje, co czynicie! – jęknął głosem osłabłym.

– Nie ma tu dzieci, jest naród, który przychodzi się upomnieć o poszanowanie przysięg i prawa, i woła wam, domaga się, nakazuje.

– Precz z Kondeuszem!

¹³⁵ d e p u t a c j a (z łac.) – poselstwo, tu: grono osób, wybranych w celu przedłożenia senatorom życzeń szlachty

To mówiąc, gdy mu ogromny chór zawtórował, dokończył, palcem wskazując na arkusz papieru leżący na stole.

– Ekskluzja Kondeusza!

Struchleni senatorowie milczeli, prymas drżał i dygotał jak w febrze, chwycił rękami suknię ku sobie, oczyma rzucał, błagając litości, a niemiłosierne: „precz z Kondeuszem!” wrzało nad nim.

Prażmowski chciał zwlec, rachując na to, że później usposobienie to się zmienić może, iż się burza zażegna, spoglądał więc na swych pomocników i filary kondeuszowego stronnictwa, na kanclerza Paca, Sobieskiego, Morsztyna, ale żaden z nich nie dawał znaku najmniejszego nadziei.

Pac dumnie spoglądał, zagryzłszy wargi, na dach szopy i belki, Sobieski stał wąsa kręcąc, z czołem pofałdowanym, Morsztyn zdawał się sam z siebie i ze wszystkich urągać. Nie było środka – ulec musiano.

Szlachcic sięgnął po papier i podsunął przypadkiem siedzącemu blisko biskupowi chełmińskiemu, Olszowskiemu.

– Proszę pisać ekskluzję Kondeusza – krzyknął zuchwale – a nie, to my ją szablami pisać będziemy i nie atramentem, ale krwią!

Olszowski natychmiast wziął się do pióra, tym swobodniej, że do kondeuszowych nie należał. Szlachcic za nim stojąc, oczyma po papierze chodził za piórem, każde słowo śledząc – aż do końca. Nie dając nawet zaschnąć inkaustowi porwał arkusz i podniósł go, rzucając przed prymasa.

– Podpisujcie! – zawołał nakazująco.

Prażmowski się nie namyślał już, szło mu teraz tylko o wyrwanie się ze szpon szlachty, środków przeciwko temu gwałtowi obiecywał sobie szukać później. Salwował życie, choć mu się ręka tak trzęsła, że trudno nią było nakreślić nawet tych liter kilka, podpisał się, a pismo poszło od niego do panów kanclerzy, którzy milcząc musieli iść za przykładem prymasa. Wszyscy też oni to co on myśleli: byle się z okopów wydobyć. Znajdziemy środek, aby tę ekskluzję uczynić nieważną – wkrótce cisnąć się zaczęli senatorowie i wyprzedzać, aby co prędzej spod szopy uwolnić – chociaż wyjść z niej teraz jeszcze nikt by był nie mógł, taka ciżba zbita, usiana stała dokoła.

Akt napisany okrył się podpisami, prymas wstał szukając oczyma krucyfery¹³⁶ i kapelana dworu, ale do tych tłum się dostać nie dozwalał.

Tymczasem szlachcic spod szopy z arkuszem wyszedłszy, nad głową go unosząc, krzyknął do stojących braci:

– Kondeusz ekskludowany!

Ogromny okrzyk radości powitał to zwycięstwo tysięcy, senatorowie w szopie stali zamknięci jeszcze, nie mogąc się wydobyć. Lękali się mówić i naradzać, aby nie ściągnąć oczów. Prymas, który był błądy i trząsł się przed chwilą, odzyskiwał nieco ducha, burząc się gniewem. Krew biła mu do głowy.

Upokorzonym czuł siebie i godność swą prymacjalną!¹³⁷ On, *vice-reks!* zmuszony przez oszarpaną gawiedź do zadania kłamu, do potępienia samego siebie. Na innych twarzach wyraz ten złości mniej był widoczny, ale całe koło czuło i wiedziało jedno – to że szlachta je zwyciężyła i zuchwała teraz skorzysta pewnie z tryumfu.

Nierychło dworzanom prymasa i wojskowemu hetmana udało się z głównego wyjścia szopy rozdzielić ciżbę i panom swobodną utorować drogę. Lecz w porównaniu z tym, jak przybywali – co za zmiana! Było to coś jak sen, któremu się wierzyć nie chciało. Z rana Kondeusz był pewnym tronu, teraz – wszystko przepadło. Szeptali między sobą senatorowie.

– To sprawa Lotaryńskiego, to ten lis układny Chavagnac.

¹³⁶ k r u c y f e r (z łac.) – ksiądz niosący krzyż na czele procesji

¹³⁷ p r y m a c j a l n y (z łac.) – godność należąca do prymasa

Drudzy posądzali Neuburskiego, inni składali to na jakąś piekielną kabałę. Sobieski pograżony był w myślach, jakby gmach cały złudzeń runął na niego i przywalił go.

Gniewy panów musiało to zwiększać, że naokoło szopy panowała radość, okrzyki, śmiechy, które paliły nieszczęśliwych. Chęć zemsty rodziła się w sercach przeciwko szlachcie. Prymas, ile razy mówić zaczął, plątały mu się wyrazy, jękał, nic nie kończył ze wzruszenia. Siadano do kolebek, na konie, jakby dla towarzyszenia pogrzebowi. Prażmowski kazał swoją kolebkę firankami zapuścić dokoła, aby jego nikt i on nikogo nie oglądał.

Wieść o ekskluzji błyskawicą spod okopów poleciała do Warszawy, a po drodze obila się o pawilon kanclerzynej, ale Pacowa krzyknęła z oburzeniem:

– *C'est un mensonge infame!*¹³⁸

Hetmanowa łamała ręce.

Drugi i trzeci z przejeżdżających, gdy potwierdzili wieść pierwszą, Pacowa wpadła w rodzaj szału. Musiano ją trzeźwić, uspokajać kroplami, a że Chavagnac przypadkiem się znajdował tam właśnie, na niego spadły gromy.

Poprzysiągł, że o niczym nie wiedział.

Oczekiwano hetmana i kanclerza, aby się od nich o czymś więcej dowiedzieć. Nadjeżdżał pierwszy Sobieski i choć z posępną twarzą, zsiadł z konia nie okazując po sobie zbytnej rozpaczy. Miał już czas wiele rozważyć.

– Ale cóż się to dzieje? Ale to nie do wiary? Ale jakżeście pozwolić mogli na to?

Kanclerz i Sobieski długo szli milczący, chcąc zapewne oba wyręczyć się sobą. Pac wybuchnęła na ostatek.

– Nikczemna, podła intryga! Wszystko było ukartowane! Rozbój na gładkiej drodze. Prymas stracił przytomność, on zgubił wszystko. Mógł się oprzeć. Złął się takich szabel brzęku. Przecież szlachta by arcybiskupa nie tknęła! On! on! niepojętym strachem zgubił sprawę i nas.

– Więc się do szabel rwano! – krzyknęła Pacowa.

– Ba! ba! – rzekł kanclerz. – Mieliliśmy ich tysiące nad głowami dobytých, a zbój ks. Olszowskiemu do ucha wrzeszczał, pisz, bo my szablami pisać zaczniemy i nie inkaustem, ale krwią.

Kobiety oczy sobie pozakrywały.

Hetman milczał, zbliżywszy się do żony, na którą patrzył z politowaniem.

– Prymas – rzekł poczekawszy nieco – złął się, co prawda, ale dziwować się nie można, bo my, co znamy związki wojskowe i ich zuchwalstwa – wiemy, co może taki tłum, gdy się upoi! Nie są to żarty. Szlachcic dobry i miękki jak воск, gdy w domu siedzi, ale w polu i w kupie... wołałbym z niedźwiedziem i dzikiem mieć do czynienia.

Chavagnac, który napadnięty zmieszał się i zaraz potem dla informacji odjechał, nie przeskadzał mówić otwarcie. Zaczęto więc badać przyczyny tego rozjątrzenia, przypisując wszystko Lotaryńskiemu, ale i Neuburskiego z cesarzem można było posądzać.

Z całego towarzystwa, znajdującego się u kanclerzynej, nikt nie myślał głosować za Neuburskim. Z musu zwracano się ku ks. Lotaryńskiemu, roztrząsając już, jak się z nim mogły składać sprawy Rzeczypospolitej.

Stronnictwu Kondeusza pozostawało oprócz tego zadanie trudne wytłumaczenia się, uniewinnienia. Katastrofa przychodziła tak niespodziewanie, tak dziwnie, iż wczoraj jeszcze wysyłano kurierów z zapewnieniami o wyborze niezawodnym, dziś zaś musiano oznajmić, że nagle runęła ta budowa, nad którą Maria Ludwika pracowała, którą pomagał wznosić Jan Kaźmirz, a wysypało na nią krocie.

Zaufanie, jakie przywódcy stronnictwa francuskiego mieli u tamtejszego dworu, musiało runąć. Sobiescy, którzy budowali niemal przyszłość swą całą na spodziewanych łaskach, Ma-

¹³⁸ *C'est un mensonge infame!* (franc.) – to jest kłamstwo nikczemne!

ria Kaźmira, która dla swej rodziny potrzebowała tam opieki, była w rozpacz. Kazała zaraz zachodzić karecie i chora odjeżdżała do miasta. Wrażenie wypadku było niezmierne, ale ci, co na elekcję nastawiali, aby na niej coś zyskać, nie potrzebowali długiego czasu do namysłu i tegoż wieczoru byli już u Chavagnaca, który odżywiony nadzieją, rozweselony, przyjmował nieustannie napływających gości.

Przypomniawszy on owego szlachcica, o którym nikomu nie wspominał i w duchu powiedział sobie, że w Polsce ani ludzi ocenić, ani zrozumieć nic obcemu nie było podobna. Szlachcic więc dotrzymał słowa! Intrygę całą przypisano naturalnie Chavagnacowi, a nadto mu to pochlebiało, aby się wypierał zbytnie.

Teraz z kolei wybór Lotaryńskiego zdawał się pewnym i potajemny kurier pobiegł z tym do Wiednia nocą. Chociaż i Neuburski coś na tym zyskiwał, o szczebel stając wyżej, nie łudził się nikt jego wyborem. Jedni Radziwiłłowie z częścią Litwy gotowali się dać mu głosy.

Wszędzie pogłoska o upadku Kondeusza uczyniła wrażenie ogromne. Ale każdy to inaczej tłumaczył. Ks. Michał, który w czasie burzy znajdował się ze szlachtą sandomierską poza szopą, świadkiem był niemy i bierny tego dramatu, który w nim niesmak obudził. Przetrwiał cały ten zamęt, stojąc razem z Kiępszem na koniu, nie mieszając się do niczego, dotrwał do końca, a potem apatycznie dość zawrócił się do domu. Kiępszowi chwilami krew szlachecka w żyłach kipiała, lecz umiał się trzymać na wodzy. Później gdy zobaczył kancle-rza, który szedł jak z krzyża zdjęty, żał mu się go zrobiło. Pod miastem rozstali się z ks. Michałem, który wróciwszy do matki znalazł ją jeszcze zupełnie nieświadomą wypadku, a gdy opowiadać zaczął, sądziła zrazu, że z niej żartuje.

Nawet w zimnym opisie ks. Michała wypadki dnia tego groźnymi się wydawały, a ks. Fantoni, który zjawił się tu wkrótce – nie wahał się z dnia tego wyciągnąć na następne wnioski najgroźniejsze.

– Teraz już nic a nic przewidzieć nie można – mówił kustosz – szlachta zwycięska nie da sobie narzucić nikogo, wybierze po swej myśli i może panom na przekorę zrobić wybór najdziwniejszy. Wszyscy ręką już za Lotaryńskiego, a ja czuję, że umyślnie go pominą. Gotowi wybrać Polanowskiego.

Na zapytanie kustosa, gdy ks. Michał, ożywiwszy się nieco, opisywać począł oblężenie szopy, przerażenie prymasa, wtargnięcie deputacji do senatorów i dyktowanie im ekskluzji, wrzawę tę rokoszową – wszyscy się wzdrygali ze zgrozy i strachu.

– Znam naszego arcypasterza – dodał kustosz – próżno i myśleć, ażeby on zdał się tak pobity i zwyciężony na łaskę lub niełaskę. Jestem pewnym, że jutro rozpocznie walkę, że się szlachta rozbije może, a elekcja wśród zamętu przedłuży. Prymas się uląkł, ale właśnie za to się na wszystkich mścić będzie.

We dworku ks. Gryzeldy uczyniło to wrażenie smutne. Elekcja zmuszała ks. Michała i matkę do wydatków, na które ciężko było starczyć.

Z drugiej strony wybór Lotaryńskiego, kandydata rakuskiego, o którym już mówiono, że mu arcyksiężniczkę Eleonorę¹³⁹ przeznaczono, jeśliby był królem – pomyślnym się zdawał dla księcia, który miał zachowanie u cesarza i stosunki na dworze.

Tylko kustosz, składając ręce i oczy podnosząc do góry, szeptał:

– Za nic nie ręczyć... Okrzykną Polanowskiego...

¹³⁹ Maria Józefa Eleonora (1653–1697) – żona króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, córka cesarza niemieckiego Ferdynanda III zaślubiła Michała 27 lutego 1670 r. w Częstochowie, koronowana 13 października 1670 r. w Warszawie.

VII

Nazajutrz dopiero szlachta swym zwycięstwem upojona się otrzeźwiła i rozmyślać poczęła – co dalej?

Tryumf wczorajszy był wprawdzie wielkiego znaczenia, ale nie przygotowano się rozważnie, jak korzystać z niego. Pomiędzy senatorami a ludem, jak szlachtę ową małą zwaną, rozbrat był zupełny, lecz starszyzna wiedziała, dokąd szła i co miała na celu, a ów lud ślepo i namiętnie kroczył na przekór.

Nie stało Kondeusza i znienawidzonych Francuzów, ale nie było go kim zastąpić.

Ci, co w myśl ks. Olszowskiego życzyli Piasta, nie wiedzieli, jakiego wziąć, chcieliby go szukać między panami – a to im było wstrętnym, okrzyknąć zaś takiego wojaka w wytartym kubraku jak Polanowski, śmiesznym się stawało...

Co by na to świat powiedział? Lotaryński, rycerski pan... tak z francuska wyglądał im jak Kondeusz.

– Nie kijem go, to pałą! – wołał Piotrowski. – Ta tylko między dwoma różnica, że za Kondeuszem stała Francja, a za Lotaryńskim Rakuszanie występują. Do okopów nazajutrz panów widać nie było. Prażmowski, już ochłonawszy, ale mściwy i przewrotny, a razem tchórzliwy, wołał miotając się po mieszkaniu swym wśród dworu i przyjaciół:

– Gdzie szablami dzwonią nad głowami, nie nasze miejsce! Jak sobie posłali tak niech śpią, my tam niepotrzebni.

– Pozwolisz mi, W. Eminencja, uczynić sobie tę uwagę – zamruczał kanclerz – że do proklamowania króla, pod absencję waszą dobrowolną, oni sobie innego biskupa znajdują, a ks. podkanclerzy jest na pogotowiu!

Gdy u jezuitów, u bernardynów, po refektarzach w Warszawie burzliwe senatorów odbywały się narady – co poczynać, prymas jechać na pole nie chciał, inni się też ociągali, pod okopami szlachta chodziła namarszczona, groźna, ale zakłopotana również jak panowie.

Odgrazano się: sami sobie króla obierzemy! – ale do skutku doprowadzić pogroźkę nikt nie miał odwagi.

– Czekajmy! – dodawali kunktatorowie¹⁴⁰ – ichmość się namyśla, że nas więcej jest i że bez nas do końca nie trafią.

Oczekiwano więc, ale od Warszawy nikogo widać nie było oprócz wysłanych na zwiady. Ci donosili:

– Naradzają się, wzajem sobie czyniąc wyrzuty, ale koni zaprzęgać, aby do okopów jechać ani myślą.

– Chcą nas tak ichmość panowie starsi bracia skarcić – mówi Piotrowski, siedząc na opróżnionej beczce od piwa – aleby się powinni rozmyśleć, że my sobie na ich miejsce ludzi dobrać potrafiliśmy, a oni bez tego tłumy, na który pluja, nie stąpią kroku. Jutro by im jednego dworzanina nie stało, gdybyśmy krzyknęli na naszą młodzież: – kto im służy – to zdrajca!...

Wśród trochę ostygłych po wczorajszym rozgorączkowaniu gromad, które już się na nowo rozpalać i podżęgać zaczynały, Gorzeński, Korycki, Moczydło – wysłani po języka przez prymasa, Paca i Sobieskiego, krążyli z rękami na plecach założonymi i przysłuchiwali się.

Gorzeński pierwszy przesznurkowszy¹⁴¹ po województwach, powąchawszy tu i owdzie, czym ta rebelia wczorajsza pachniała, siadł na szkapę i pokłusował do miasta do jezuitów i prymasa. Jechał biedaczysko z głową zwieszoną, bo mu się to wszystko nie podobało, a wypadek był, jak się Francuzi wyrażali, bez precedensów, to jest bezprzykładny.

¹⁴⁰ k u n k t a t o r (łac.) – człowiek powolny, zwlekający, rozmyślnie ociągający się w działaniu

¹⁴¹ p r z e s z n u r k o w a ć – tu: zwiedzić, przejechać koniem jakąś połąć kraju

- Tego związki wojskowe nauczyły – szemrał Sobieski, a prymas dodawał:
- Mogli rozsiekać hetmana, potrafią i biskupa męczennikiem uczynić...

Wśród rozpraw tych nadjechał z raportem Gorzeński, z nosem tak zwieszonym, iż ani go pytać było potrzeba, co przywoził. Miał to wszystko wypisane na czole.

- A co? – zapytał prymas.

Gorzeński ramionami poruszył.

- Mówią – poczekamy mało, a nie zechcą oni do nas, my do nich nie pójdziemy, obejdziemy się bez prymasa i hetmana.

Wszyscy panowie spojrzeli po sobie i milczeli.

- A lękać się znowu tego brzęku szabel – dodał do prymasa się obracając Gorzeński – lękać nie ma czego. Hałasu dużo, a w rzeczy to pusta wrzawa. Głos podnieść łatwiej niż rękę...

Panowie naradzali się oczyma, prymas się ociągał. Nie tyle już może obawa katastrofy, co srodze obrażona duma – wstrzymywały go. Wczoraj on – *interreks* – prymas, najwyższy dostojnik duchowny państwa, którego tron biskupi malowano na równi z królewskim dawniej, on musiał drzeć przed wytartymi kubrakami. Tego im darować nie mógł. Gdy sobie przypominał strach własny, bladł z gniewu i upokorzenia. Zemścić się, choć to uczucie kapłanowi i biskupowi nie przystało wcale, zemścić się – było jedynym jego pragnieniem. W samym charakterze tego człowieka leżało rozwiązanie zadania, jak tylko by ostygł i zapanował nad sobą. Prażmowski musiał poddać się pozornie, uniżyć... i zdradą potem a spiskiem zapłacić. Przebaczyć ani umiał, ani mógł... w starcu nadto jeszcze zepsutej krwi kipiało.

Cóż teraz mówiono we Francji o jego zaręczeniach uroczystych, co myślano o jego znaczeniu, jak się tam wyśmiewać musiano lub o oszukaństwie go obwiniać! Tego przebaczyć nie mógł także.

Tak dzień cały upłynął w niepewności, ale od okopów przyszła wieczorem, przez różne usta, jedna rezolucja szlachty.

- Nie przyjedzie prymas i przekupieni koryfeusze – obejdziemy się, dalibóg, bez nich...

Prymas obawiał się podkanclerzego, że gotów był na wszystko.

Gdy późno już kilkunastu z województw ichmościów niby *proprio motu*¹⁴², stawiało się do prymasa i poczęli radzić a prosić, aby się nie absentował¹⁴³, Prażmowski był już przygotowanym.

Przybrał postawę smutną, bolejącą a rozczuloną – łzy mu stawały na powiekach.

- Dzieci moje – odezwał się czule do posłów – ja wam, ojczyźnie i sprawom tej Rzeczypospolitej do tchu ostatniego służyć jestem gotowy. Siły mi dziś nie dozwoliły dojechać, smutek wielki przygnębiał. Modliłem się... aby Bóg zesłał opamiętanie i pokój...

Naznaczono dzień do posłuchania Neuburskiemu, pościągali się rozpłoszeni... Szlachta stała zimna, szyderska, cierpliwa.

Neuburski tak nędznie i niepokaznie wystąpił, że, w szeregu powozów, jego dwie kolebki, które z urzędu posłał od siebie jako marszałek, Sobieski, najwięcej się odznaczały, a orszak jego o wiele i liczbą i blaskiem przechodził poselstwo, z którego się otwarcie naśmiewano. Sam pono poseł, który musiał go zalecać, czuł i widział, że się to na nic nie zdało... panowie senatorowie nie słuchali, myśląc o czym innym – tłum drwił i śmiał się... Drugiego dnia kolej przychodziła na Lotaryńskiego... Hr. Chavaganc, zręczny, przebiegły umiał ze wszystkiego korzystać.

Z rozbitej nawy Kondeusza co tylko na brzeg dało się wyciągnąć – zagarnął. Umysły panów, nie mając się już do kogo skierować, skłoniły się ku ks. Lotaryńskiemu. Wiele mówiło za nim, młodym był, rycerskiego usposobienia, obiecującym – przyrzekał do ostatniej kropli krwi [walczyć] w obronie Rzeczypospolitej, rekuperować¹⁴⁴ awulsal¹⁴⁵ Wiedziano, że rakuską

¹⁴² *proprio motu* (łac.) – z własnej inicjatywy

¹⁴³ *absentować* (z łac.) – być nieobecny, wydalać się, spędzić czas gdzie indziej

¹⁴⁴ *rekuperować* (z łac.) – odbierać na powrót, odzyskać

miał opiekę i poparcie. Może by to mu przyjaciół nie przyczyniło, ale gdy zewsząd groziła wojna, a szczególnie od wschodu, przymierze z cesarstwem do pogardzenia nie było. Rozprawiano o Lotaryńskim, który też, choć się mierzyć nie mógł rozsypnymi pieniędzmi z Kondeuszem – okazańiej i zamońniej się stawiał.

Wjazd hr. Chavagnaca nie czynił mu wstydu. Oprócz karet Sobieskiego miał własnych cztery, pozłocistych i świeżym aksamitem poobciąganych, a wewnątrz powyścielanych adamaszkami¹⁴⁶ i lamami¹⁴⁷. W karetach jechał dwór hrabiego, strojny, błyszczący, wesoły. Barwa domu lotaryńskiego, w której występowała zielona ze złotem, połyskiwała i na służbie, której po dwunastu przy każdej jechało karecie.

Sznur się umiejętnie i umyślnie przedłużony wyciągał na przestrzeni dosyć znacznej. Karetę szły w pewnych odstępach od siebie, dalej jechali paziowie konno, kapiący od złota, a za nimi dwudziestu masztalerzy¹⁴⁸ z czubami piór szkarłatnych, białych i zielonych. Prowadzono nawet konie paradne pod szytymi dywdykami¹⁴⁹... słowem – wjazd wcale się okazywał – niczego. Szlachta mu się przypatrywała, szczególnie na konie zwracając uwagę, które jedni chwalili, drudzy w nich wad szukali. Wieczorem, gdy się te zalecanki kandydata skończyły, a szlachta rozeszła po obozie, namiotach i szopach, można było słuchając sądzić, że Lotaryńczyka wybiorą.

Z Neuburskiego wprost się wyśmiewano – nic go nie zalecało – za Lotaryńskim mówiło wiele, szczególnie zaś to, że pod ręką innego nie miano kandydata – a Piast... choć się uśmiechał im... drugim się wydawał mrzonką. Naradzano się, ziewano, a *vox populi*, domagał się końca.

Po wybuchu tym, którym kupiono wyłącznie Kondeusza, znużenie czuć się dawało, jak po wysiłku każdym. Tu i ówdzie powtarzano:

– Do domów!... Ś–ty Jan, kosowica¹⁵⁰ – terminy. Żony nakazywały przez posłańców do mężów, aby wracali. Tymczasem znowu prymasa i panów w okopach widać nie było... Prażmowski się zżymał. Późnym wieczorem Sandomierzanie i Kaliszanie się zgromadzili i postanowili wyprawić do prymasa *ultimatum*.

– Nie zechcecie ichmość do nas! Bóg z wami, sami sobie rady damy, wybierzemy i proklamujemy... bez was...

Znowu tedy uląkł się Prażmowski. Paru deputatów kazał winem częstować, a tego się nie odmawia i u nieprzyjaciela, wyszedł do nich w komeżce, w półroczystym stroju... łagodny jak baranek, namaszczony, pobożny, serdeczny. Co słowo powtarzał – „Moje dzieci!” i zapewnił, że stawi się na żądanie ichmościów.

– Raz to skończyć trzeba – przemówił przewodzca poselstwa – szlachta się wyjadła, zmęczyła, pochorowała, przeszło miesiąc darmo w polu stoi. Dobrze panom pod dachami i z kucharzami, a nam deszcz za kołnierz się leje i często o szklance piwa z suchą grzanką cały dzień trzeba pościć.

Poszło tedy wieczorem wszędzie jednym głosem:

– Jutro króla okrzykniemy.

Kogo? Większa część myślała o Lotaryńczyku, innym było to prawie obojętnym, boć szlachta już raz zwycięstwo odniosła.

Od rana pod szopą było gwarno, ale tym razem województwa same pilnowały porządku i kupy – nie rozbijano się i nie rozpływano. Tylko bliżej owej szopy życie drgało jakieś wydat-

¹⁴⁵ a w u l s (łac.) – grunt nieprawnie oderwany od majątku, oderwana część majątku lub państwa

¹⁴⁶ a d a m a s z e k – gruba wzorzysta tkanina jedwabna. Nazwa pochodzi od miasta Damaszku, gdzie tkaninę tę początkowo wyrabiano

¹⁴⁷ l a m a – tkanina przetykana złotem lub srebrem

¹⁴⁸ m a s z t a l e r z (z niem.) – mający nadzór nad końmi, stajenny

¹⁴⁹ d y w d y k, t y f t y k (z tur.) – gatunek tkaniny bawełnianej

¹⁵⁰ k o s o w i c a – kośba, sianokos, czas koszenia zboża

niej, a widowisko przybywających panów mogło zaprawdę ciekawość obudzać. Z obliczów czytać było można jeśli nie myśli, bo z tymi się nikt nie wydaje łatwo, to charaktery, co się zdradzają mimo woli.

Prażmowski wszedł, uroczyście prowadzony, starszy niż kiedy, umyślnie złamany, a tak pokorny dumnie i mądrze, a uśmiechający się łagodnie, że w niektórych litość obudzał. Ci, co go przed chwilą widzieli, jak się przed poufałymi burzył, miotał, pięście ścisnął i piorunami rzucał, tu go poznać ledwie mogli. Niejednemu uśmiech mimowolny prześliznął się po ustach, niejeden szepnął sobie w duchu: – O, lis!... lis szczwany!

Na innych twarzach maski wedle charakterów były różne. Sobieski hetman stał tak, jakby go nic nie dotknęło, jakby nie poniósł szkody, i zimno patrzył na wszystko, choć ruina Kondeusza na duszy mu gruzami leżała. Ale w tej rycerskiej, wąsatej twarzy, która do grania komedii nie była nawykła, widać było przymus, jaki sobie zadawał, i co go on kosztował. Pac kanclerz dumą nadrabiał. Rodzina ta świeżo do potęgi urosła, gotową była zachowaniu jej poświęcić wszystko. Widać to z nich było. Czekali na jaką stronę szala przechyli, bo z wyjątkiem Radziwiłłów, z którymi przejednanie było niemożliwe, mogli przyjąć każdego kandydata, jakiego by im traf ślepy narzucił. Serce ich i skłonności ku Francji ciągnęły – ale nawet miłość ku niej interesowi rodziny ustąpić musiała. Widzieli się już panującymi na Litwie, pieczęć, buława, krzesła najpierwsze były w ich rękach. Morsztyn nie występował naprzód i nie widać go było. Reszta zwyciężonych Kondeuszowych już barwę Lotaryńskiego wdziała jawnie...

W umysłach wszystkich niepewność, oczekiwanie, ciekawość rodziły niepokój nadzwyczajny. Każdy okrzyk głośniejszy zdawał się coś przynosić. Każdy drzeniem się odbijał pod Szopą.

Ks. Michał od rana był na okopach i stanął przy sandomierskiej chorągwi zmęczony, znużony, o jedno Boga prosząc, aby raz się to skończyło. Spełniał swój obowiązek z apatią, odrętwiony, obojętny, lecz grożąc ostatkiem cierpliwości.

Cały niemal dzień upłynął na niczym; brakło biskupów, prymas się opóźnił, a przybywszy i usiadłszy w miejscu swym – mścił się milczeniem. Szlachta się zżymała. Koryfeusze ostatniej walki poczęli się wyrывać z głosami.

– Jeżeli imć ksiądz arcybiskup nie zagaja, prosiemy księdza biskupa krakowskiego, aby przewodniczył. Czas do obrad przystąpić.

Głuchy szmer wtórował, a Prażmowski, jakby się ocknął, cichym głosem zaprotestował, iż do ostatniego tchnienia ojczyźnie służyć gotów. Tymczasem z senatorów, którzy stali usta mając jak zamalowane, nikt się z niczym odezwać nie śmiał. Oglądano się, potracano, a obawa wzniesienia burzy była widoczna.

Pod szopą więc szemrano tylko, więcej pozornie niż rzeczywiście radząc, czekano skazówki od województw. Tu jakoś dnia tego umiarkowanie brało górę, ale głosy się słyszeć dawały. Kilka województw oświadczało się za Lotaryńskim. Część Litwy radziwiłłowska wołała za Neuburskim, ale nikt nie poszedł za nią. Tu i ówdzie szlachcic się podnosił i głos zabierał, prawił, rozwodził się, pluł i nie konkludował.

W Sandomierskiem naprzód huknęło:

– Piasta! Piasta!

Ledwie się dał słyszeć ten okrzyk, aż jak iskra elektryczna przebiegł tłumy.

– Piast!

Ze śmiechem w kupkach wołano gdzie indziej.

– Polanowski...

Jakiś żartowniś przypomniał Bandurę, ale go zahukano. Wtem, ni z tego ni z owego, podkomorzy kaliski Krzycki zawołał głosem donośnym:

– Michał ks. Wiśniowiecki! Syn Jeremiego!

Tak mało się kto spodziewał tego imienia, że go nie zrozumiano w początku, ale zaledwie dosłyszano wyraźniej wymówione, stała się rzecz dziwna, niepojęta... Jak gdyby wszystko ku temu było przygotowane, zaczęły wybuchać wołania...

– Michał książę Wiśniowiecki!

Nie było oporu, nikt nie śmiał się przeciwzić...

Spadł ten kandydat, jakby istotnie od Ducha Świętego zesłany. Pochwycono go z zapalem. Był to król, jakiego właśnie szlachta potrzebowała. Syn pokrzywdzonego przez magnatów Jeremiego, krew bohatera, plemię jagiellońskie, ubogi... nieznany, zapomniany. W wyniesieniu go szlachta mogła dać znamię swej potęgi.

– *Vivat Piast! Vivat król Michał! Vivat Wiśniowiecki!* – zawrzało dokoła z gwałtownością nadzwyczajną.

Na próżno by się był kto chciał przeciwzić. Zapał rosł z taką niesłychaną szybkością i potęgą, że ani było podobna temu prądowi się opierać. Jak ogień w posuchę rozległo się na całym polu:

– *Vivat Michał!*

Szlachta podrzucała czapki, szable podnosiła w górę, gardłowała jak upojona, jak oszalała. Wołanie stało się krzykiem i ryczeniem zwycięskim.

Pierwszy odgłos z pola wpadający do szopy – przeszedł niezrozumiany. Tu tak nikt w świecie nie mógł się ubogiego, nic nie znaczącego, bez stosunków i przyjaciół księcia spodziewać, że uszom nie uwierzono. Z ustami otwartymi, z oczyma podniesionymi prymas stał – jak osłupiały. W koło się oglądał pytając wzrokiem.

Wtem z wrzawy tej nagłej dobitnie, jasno, głośno wypłynęło:

– *Piast! książę Michał Wiśniowiecki!*

Prażmowski, który się był podniósł nieco nasłuchując, padł na krzesło bezsilny, z oczyma obłąkanymi. Gniew, rozpacz, przestroch, wypiętnowały się z kolei na twarzy starca. W tej chwili stanowczej, nie przygotowany, nie mógł być panem siebie, zdradził się, lecz z wolna to, co go otaczało, nakazywało choć pozorną rezygnację.

Rzucił wzrokiem wkoło. Oburzenie jego podzielali marszałek sejmowy, który podniósł się pierwszy, jakby chciał miejsce swe opuścić – Sobieski, już zabierający się do wyjścia, i znaczna liczba senatorów. Cała ta opozycja, która jeszcze się czegoś spodziewała, w momencie zbiegła się około krzesła Prażmowskiego. Szło o to, aby go uprowadzić, naówczas nikt by może inny nie śmiał śmiesznego, jak się Morsztyn wyraził, króla proklamować:

– *Jedźmy! jedźmy! precz!*

Bez namysłu prawie pochwycono starca pod ręce. Nie opierał się. Pod szopą zamęt się stał wielki, rozerwanie jakieś – niepewność.

– *Czekajmy!* – wołali niektórzy.

– *Jedźmy* – nalegał Sobieski gniewny. – *Żarty z nas stroją!*

Przemogła gromada, która Prażmowskiego otaczała. Powtarzano: „*Jedźmy!*”! Prymas dał się wziąć i prowadzić do powozu. W jednej chwili znaczniejsza część kolebek i koni stała [w] pogotowiu. Senatorowie uchodzili do miasta.

Nikt im drogi nie tamował, nikt nie wstrzymywał. Szlachta wybuchała śmiechem z tego popłochu, a coraz głośniejsze wołanie:

– *Vivat Piast! Vivat król Michał!* – głużyło wszystko.

W tej ucieczce nagłej z pola elekcji widać było nieporadność panów, którzy wcale nie przewidywali tej ostateczności, ale pozostali sami. W polu zgodność głosów była przeważającą.

Powozy, które uciekających spod szopy unosiły do stolicy, sunęły się wśród tłumu, jak jeden mąż powtarzającego: *Vivat król Michał!*

A wołaniu temu towarzyszyła taka wesołość, radość i szal niekłamane, iż twarze senatorów bładły ze strachu i gniewu.

Nie jeden byłby się może zawrócił – ale było za późno... Oglądając się obliczano, kto w szopie pozostał.

Brakło wielu... Koryfeusze tylko uchodzili... Spostrzeżono, że Pacowie pozostali, że Lubomirskich nie było.

W miejscu marszałka sejmowego Potockiego¹⁵¹, który jechał za prymasem, w szopie osieroconą łaskę już, po krótkiej rozwadze, pochwycił był Stanisław Lubomirski, starosta spiski, szwagier Michała Wiśniowieckiego, nie dopuszczał rozsypania się pozostałych. Około niego Olszowski, biskup chełmiński, gromadził rozpierzchłych. Pacowie stali z boku, rozmyślać się zdając jeszcze, czy pojedą za prymasem, czy pozostaną z Olszowskim. U wielu widać było też samą niepewność i obliczanie się z siłą przemagającą, lecz wołanie województw zgodne nie tylko nie ustawało, rosło, wzmagало się – brało górę – niepodobna było wątpić, że tej jednomyślności już żadna siła nie potrafi rozerwać.

Nie było prymasa do proklamowania króla – ale zastąpienie go przez któregośkolwiek bądź biskupa ani było możliwym, ni bezprzykładnym. Stanowczy krok Lubomirskiego wpłynął na to, że większa część senatorów pod szopą została.

Co się działo w polu z ks. Michałem? On sam z tego sobie nie mógł jeszcze zdać sprawy. Przybył jak zwykle na Wolę z małym i skromnym poczem kilku ludzi. Kiełpsz, który mu towarzyszył, rozłączył się z nim idąc do Litwy swojej, a ksiązę Michał zajął miejsce zwykle pod sandomierską chorągwią. Znali go tu niektórzy, a z wielu porobił był czasu elekcji znajomość. Ubogi ten ksiązę ściągał oczy ciekawe twarzą posępną i osamotnieniem. Niekiedy zbliżał się do niego stary ów sługa; czasem przychodził Piotrowski, najczęściej jednak – był sam i dumał, nudząc się na tym stanowisku obowiązkowym. Dnia tego był jeszcze może bardziej znużony niż kiedy.

Gdy w niewielkim oddaleniu Kaliskie zaczęło wołać: *Vivat ksiązę Michał Wiśniowiecki, vivat Piast!* – ksiązę się tak mało spodziewał tego, iż nie zrozumiał i nie dosłyszał okrzyku.

Ale wtem tuż Sandomierskie buchnęło całe, jak jeden mąż, zwracając się ku niemu:

– *Vivat ksiązę Michał!*

Wziął to za żart i krew ogniście mu do głowy buchnęła. Zmarszczył się groźnie do tych, co bliżej stali, wołając:

– Mości panowie, żartów takich się wyprawiać nie godzi!

Nieskłonny do gniewu, zaperzył się. Ale wołanie nie ustawało i stary ów sługa przybiegł pierwszy, chwytając go za kolana.

– Królem was wołają! het! wszystkie województwa jednozgodnie...

– Dajcież mi pokój! To nie może być – odparł gniewny ksiązę Michał.

Wtem i drudzy nadbiegać zaczęli, wyrzucając czapki, wołając, ciesząc się, szalejąc.

Ksiązę Michał stał blady jak chusta. Niepodobna już wątpić było o tym cudzie. Jak grom i błyskawica przeleciały przez czaszkę jego, łzy strumieniem rzuciły się z oczów...

– *Transeat a me calix iste!*¹⁵² – zamruczał.

Stał jak posąg, usłupiony, a łzy ciągle lały mu się spod powiek. Wspomnienie ojca, matki, przestרח jakiś nie dozwalały zebrać myśli. Zdawało mu się, jak gdyby nagle siła jakaś w nowy świat go przeniosła. W oczach się ćmiło, nie widział nic. Pochwycono konie jego za cugle, opasano go, prowadzono... nie pojmował sam, co się działo... Rażenie piorunem nie mogło być gwałtowniejszym.

Nigdy może elekcja żadna nie dokonała się z większą zgodnością głosów. Nawet ci, co byli pozyskani do Lotaryńskiego i zabierali się go okrzykiwać – porwani prądem, nie wiedząc, co czynią, krzyczeli: „Piast!” Szał szlachty przechodził miarę wszelką... Był to jej król!

¹⁵¹ S z c z e ś n y K a z i m i e r z P o t o c k i (zm. 1702) – kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, był marszałkiem sejmu elekcyjnego w r. 1669. Za panowania króla Michała był przywódcą partii szlacheckiej

¹⁵² *Transeat a me calix iste!* (łac.) – niech zostanie oddalony ten kielich, słowa z Ewangelii, wypowiedziane przez Chrystusa na Górze Oliwnej

Wczoraj ubogi, stojący w kątku u tych możnych, którzy na niego patrzeć nie chcieli – dziś jej głosem, jej wolą na tron podniesiony.

Gdzieś tam dawało się słyszeć:

– Zmiłujcie się – toż on pięciu koni nie ma na stajni, a przybył na plac bodaj samotrzeć, a skądże on wydoła. Zapał był taki, że wszyscy natychmiast wołać poczęli:

– Odda każdy, co kto ma najlepszego! Jutro on niczego od panów potrzebować nie będzie. To nasz król, my sobie wstydu uczynić nie damy... *Vivat Piast!*

Można sobie wystawić, jakie wrażenie na paniach zgromadzonych w pawilonie kanclerzynie uczyniła wiadomość z pola elekcyjnego przyniesiona. Przybiegł z nią, jak szalony goniąc, aby innych wyprzedzić, zdyszany Kielpsz. Wszystkie panie zobaczywszy go podnoszącego czapeczkę do góry, wybiegły naprzeciwko niemu.

– Piast... Piast...

Gdy potem dodał: Książę Michał Wiśniowiecki – panie mu rozśmiały się w oczy.

– *Farceur!*¹⁵³ – zawołała Sobieska.

Kielpsz się w piersi uderzył, ale w tymże momencie przesunęła się kolasa prymasowska, nie zatrzymując i Sobieski nadciągał blady. Imię księcia Michała latało w powietrzu. Kobiety stały zdrtwiałe oburzeniem i gniewem. Marię Kazimirę trzeźwić musiano. Hetman zaledwie hamując się mógł mówić.

– Tak, okrzyknięto go, nam na złość, to książętko, któremu koszule może sprawiać będzie musiała Rzeczpospolita – ale go prymas nie ogłosi, a my go znać nie chcemy!

Mała to była pociecha.

Kanclerzyna Pacowa, więcej panująca nad sobą, dostrzegła pierwsza, iż mąż jej i rodzina nie przybywała, prawdopodobnie więc musiała w szopie pozostać. Spytała o marszałka sejmku.

– Ten już jest w Warszawie – rzekł Sobieski – ale po drodze słyszałem, że starosta spiski po nim wziął łaskę.

Nie wszyscy więc się cofnęli.

Pacowa usiadła zamyślona. Hetmanowa rzuciła się wściekła, płakała, łamała ręce, odpychała męża, który ją chciał całować. Po dwakroć ponieść taką klęskę, ludziom, którym się zdawało, że wszystko mają w ręku, było ciosem nie do zniesienia. Wszyscy szukali winowajców, zrzucając z siebie winę na drugih. Posądzano już Paców o zdradę.

Hetmanowa kazała się wieźć do domu.

Tymczasem u prymasa, gdzie się wszyscy niemal zbiegli spod szopy gromadzili, roztrząsano, co tu czynić należało, aby elekcji niedorzecznej, upokarzającej nie dopuścić. Chciano działać na wybranego, na jego matkę – ale na to nie było czasu. Zaprzeczyc ważności wyboru jednogłosnego, jawnego, przeciwko któremu tylko senat powstawał i to niecały – nie było sposobu.

Pierwszy nadjeżdżający, później już hetman zwrócił na to uwagę, że byli w mniejszości – i nie mieli za sobą żadnego prawnego środka.

Tym razem wielka ceta generalska oo. jezuitów, w której prymas ledwie dysząc, otoczony swymi towarzyszami, na przemiany słabł i burzył się z gniewu – podobną była zamętowi i wrzawie do obozu na Woli.

Nie było sposobu, Wiśniowieckiego musiano przyjąć – ale można było przewidzieć, czego się miał spodziewać.

Do zgromadzonych tu koryfeuszów opozycji nadbiegł Gorzeński. Sądzone, że coś przynosił, jeżeli nie pomyślnego, to przynajmniej nowego. Szlachcic miał sobie tylko za obowiązek donieść, że jeżeli nie przyspieszy powrotu prymasa, innego biskupa zmuszą do obwołania

¹⁵³ *f a r c e u r* (franc.) – żartowniś, figlarz

króla i z nim pojadą odśpiewać: *Te Deum* do Św. Jana. Prażmowski się porwał, wszyscy czekali, co postanowi – badano się oczyma.

Trzeba było upokorzyć się i wracać, bo nie mieli innego ratunku. Król był jednomyślnie obrany. Kazano zachodzić kolasce prymasa. Senatorowie niektórzy, wyprzedzając go, udali się nazad na Wolę, usiłując tylko wśliznąć tam teraz tak, jakby jej nie opuszczali.

W szopie, gdzie podkanclerzy Olszowski i Stanisław Lubomirski gospodarowali sami, zmiana usposobień dokonywała się w oczach cudownie.

Pierwsi, po krótkim namyśle, Pacowie, którzy nie wrócili do miasta, stanęli po stronie elekta.

– Jak skoro Kondeusz nie może być królem – rzekł kanclerz – wolę już Wiśniowieckiego jak Lotaryńskiego, jestem pewniejszym, że go sobie pozyszczę.

Michał, około którego, wczoraj pogardzonego, skupiało się teraz wszystko, kłaniało mu i do pocałowania ręki dopraszało, płakał jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie i opamiętać się. Wielkie szczęście jest jak nieszczęście wielkie, przybijającym.

Myślał o matce.

Z tym większym uniżeniem powracający powitał go Prażmowski, że był Judaszem, który miał zdradzić i zaprzedać. Nie myślał się tłumaczyć z dezercji, ulegał woli narodu, objawionej tak silnie i stanowczo.

Michał, który ani winy żadnej nie widział, ani zdrady nie podejrzewał, przyjął go z poszanowaniem, należnym głowie duchowieństwa.

Ze skruszonych i powracających, najmniej pokory okazał hetman Sobieski. Z dumą, w milczeniu przyjmował tego króla, jak gdyby zapowiadał, że mu zgodę i pokój drogo opłacić musi.

Ci co dalej i lepiej widzieli, rozumieli to, iż na Olszowskiego tylko, na Paców i Lubomirskiego rachować mógł wybrany – reszta ugięła się przed koniecznością, była posłuszna, ale wściekle gryzła nałożone wędzidło.

Gdy przyszło jechać do miasta, aby *Te Deum* zanucić w katedrze, nie miał Michał – tylko tego konia i dwu pacholików, z którymi przybył i gotów był powracać, jak przyjechał, ale Prażmowski nie mógł dopuścić tego.

Ofiarował więc elektowi miejsce w swej kolebce i wobec cieszącej się szumnie swoim zwycięstwem szlachty, książę Michał wsiał około wroga swego do powozu. Tłumy poprzedzały ich z wrzawą, z okopów płynąc do miasta, a w tym pospółstwie panowała radość nie do opisanania.

W ciągu jazdy z Prażmowskim nie rozmawiali nad słów kilka, starzec był przybity, młody król rozrzewniony tą łaską Opatrzności, którą odnosił do zasług ojca, do modlitw pobożnej matki, nic sobie nie przyznając.

Od Woli aż do zamku i kościoła szeregami poruszał się lud, szlachta, co tylko żyło w Warszawie, a oprócz senatorów na twarzach wszystkich widać było jakieś uszczęśliwienie i tryumf. Zdawało się najbiedniejszym, że ten król ubogi, nieznany, był ich królem, dla nich wybranym, a w nim oni wszyscy zwyciężali.

Do kościoła Św. Jana, nabitego już, oświeconego naprędce, którego dzwony rozkołysane wesoło zwiastowały nowinę szczęśliwą, docisnąć się już nie było podobna. Straż, którą hetman wyznaczył, musiała torować drogę elektowi, [który] padł na kolana przed wielkim ołtarzem, a Prażmowski przeszedł do zakrystii wdziąć szaty uroczyste, aby hymn chwały i dziękczynienie zanucić.

Rad nierad, musiał też hetman posłać rozkaz do cekhauzu, aby z dział bito.

W tym obchodzie, niepodobnym do żadnego z tych, co go poprzedzały, było coś dziwnie przejmującego, ale smutnego razem. Ten wybraniec narodu, otoczony nieprzyjaciółmi, na których twarzach ledwie tłumiona malowała się nienawiść, podobnym był do skazanego, któremu wyrok czytają.

Ze łzami i rezygnacją go przyjmował. Hymn się rozlegał pod sklepieniami kolegiaty głosem, w którym brzmiało razem – *Miserere*¹⁵⁴ pokutne i gróźb pełne – *Dies irae*¹⁵⁵. Czuli to wszyscy – panowanie narzuconego zapowiadało się jako walka, dni kary, boleści i sromu.

Na twarzy Michała ani na chwilę nie prześliznął się promyk jasnej łzy, stał blady, zmęczony i głosem zgasłym szepnął podtrzymującemu go Lubomirskiemu:

– Do matki! Do matki!

VIII

W dworku przy Miodowej przecznicy, po wyjeździe z rana księcia Michała życie powszednie swym niezmiennym trybem się ciągnęło. Tu, jak w innych gospodarstwach ludzi podszlých, wszystko się godzinami regulowało i stosowało do nich. Starzy słudzy znali je i nie potrzebowali skazówek, wiedząc, co każda godzina znaczyła.

Ks. Gryzelda usiadła do swego stoliczka, na którym robótka ręczna obok książek i różańca złożoną była. Hela Zebrzydowska wydawała rozkazy, chodziła po domu, zbierała, co jej było potrzeba, aby powrócić do staruszki, sięść naprzeciw niej i zabawiać ją do powrotu syna.

Goście bardzo się rzadko tu zjawiali, a tych dni rozgorączkowanych, ostatnich, wcale się ich nie spodziewano, z wyjątkiem codziennego przyjaciela domu, ks. Fantoniego.

Ks. Gryzelda otwarcie prosiła Boga, aby się raz skończyć mogła ta utrapiona elekcja. Spodziewano się też lada godzina coś stanowczego dowiedzieć. Księżna, która tylko o synu myślała, jak wprzód rachowała na Kondeusza i ciągle o nim mówiła tylko, tak teraz o dworze cesarza, o pobycie na nim księcia Michała – o nadziejach, jakie budować mogła na tym dla przyszłości.

Wtórowała jej w tym Hela i obie rokowały sobie najświetniejszą karierę dla księcia, który miał wcześniej wymagane przymioty dla wysokiego stanowiska przy tronie: imię, wychowanie, sławę przodków, osobistą ogładę, przyjemną powierzchowność, charakter łagodny.

– Michał – powtarzała wzdychając księżna Gryzelda – ma tę tylko jedną wadę, która w życiu często jest przeszkodą, by dojść do czego: ma nadto pokory i skromności.

Przez cały dzień tak siedziały same, ubolewając nad Michałem, który o głodzie musiał piec się na słońcu i w pyle.

Już się miało ku wieczorowi, gdy Hela usłyszała tętent cwałem biegnącego konia ku dworowi i wyrzawszy oknem zobaczyła jeźdźnego, który do wrót się dobijał, poznając w nim owego starego sługę Jeremiego, Sandomierzanina, który się po dwakroć wpraszał do księżnej.

Pośpiech, z jakim przybywał, raził ją jak groźba. Złękła się, czy się co złego nie stało księciu Michałowi, ale wybiec się dowiedzieć nie miała siły. Tchu jej zabrakło, złożyła ręce, zaczęła się modlić.

Tymczasem już w przedsieni słyhać było spór żywy i wołanie:

– Puszczajcie mnie... na Boga, niosę dobrą nowinę...

Przebojem, jak szalony, wpadł do przerażonej ks. Gryzeldy na wpół pijany szlachcic, czapką wywijając ponad głową, padł przed nią na kolana i wrzasnął:

– *Vivat!* Wybraliśmy królem naszego księcia Michała!

Księżna wzięła go za obłąkanego lub napitego. Rzecz dla niej była tak niemożliwą, że uśmiech bolesny wywołała tylko...

¹⁵⁴ *M i s e r e r e* (łac.) – zlituj się, początek psalmu 54, kościelny utwór wokalny śpiewany w Wielkim Tygodniu

¹⁵⁵ *D i e s i r a e* (łac.) – Dzień gniewu, początek hymnu kościelnego o Sądzie Ostatecznym

– Dobrze! – zawołała. – Napij się tam czego... i...

I nie dokończyła tych słów, gdy się drzwi otworzyły znowu i niezmiernie blade, poważny jakiś – poruszony wewnętrznie, jakby miał nieszczęście zwiastować, wszedł ksiądz Fantoni.

Tymczasem krzyczącego: *Vivat!* i opierającego się szlachcica służba uprowadzała.

– Księżna już wiesz? – zapytał głosem słabym kustosz.

– Nic nie wiem.

– Księżę Michał obrany królem! Wiśniowiecka słuchając bladła, nogi się pod nią zachwiały, upadła na krzesło.

– Rzecz jest najpewniejsza, wybrany i okrzyknięty jednogłośnie. Prymas ze swą partią się opierał, ale zmuszony został powrócić do szopy, aby go proklamować.

Hela, która wszedłszy słuchała i jak ściana stawiała się bladą, wydała słaby okrzyk i na wznak upadła zemdlona. Szczęściem turecka sofa, przy której stała, a na nią spadła głowa – zabezpieczyła od większego szwanku, a krzyk ściągnął z pokoju obok dziewczęta. Zebrzydowska też po krótkim omdleniu natychmiast odzyskała zmysły, ale pozostała jak od pioruna rażoną.

Matka chciała się modlić, złożyła ręce, poruszyła ustami, odmówiły jej posłuszeństwa. Hela też płakała, zamiast się cieszyć. Nie było radości, ale niewypowiedziana troska i obawa przyszłości.

Ks. Fantoni nie umiał słów znaleźć, aby uspokoić i natchnąć męstwem. Ks. Gryzelda sercem matki widziała, co czekało syna.

– Duch Jeremiego cieszyć się może – szeptała staruszka, lży ciągle ocierając – ale biedny Michał padnie ofiarą. Tylu nieprzyjaciół, zazdrosnych tylu... a życzliwych gromadka tak mała...

– O to się nie ma co troszczyć – odparł kustosz – zmieni się to wszystko w okamgnieniu, i przyjaciele się znajdą, i wrogi umilkną.

– Ale on sił nie ma po temu – szeptała matka i powtarzała: – Biedny Michał.

Zebrzydowska niema, oczyma jakby obłąkanymi, bezmyślnie patrzyła w okno. Grzebała wszystkie swoje nadzieje: Michał królem, na niedostępnej dla niej wysokości, ona osamotniona, sierotą na wieki!! Nie uśmiechało się jej królestwo dla niego, znała go nadto dobrze, że do tronu stworzonym nie był, że na nim być musiał ofiarą.

Wśród ciężkiego oczekiwania upłynęło wiele czasu; rozkołysały się dzwony wszystkich kościołów, dochodził huk dział do dworku, a oznaki te radości, księżną Gryzeldę coraz większą jakąś napępiały trwogą. Wieczór nadchodził.

W ulicy zaszumiało nareszcie, słyszeć się dał turkot powozów, u wrót zatrzymał się orszak liczny, towarzyszący nowemu panu, który biegł, poruszony, do matki.

Chciała wstać naprzeciw niego, ale sił jej zabrakło.

Wiśniowiecki, któremu towarzyszyli Lubomirski i ks. Olszowski, wbiegł do pokoju i przed matką padł na kolana, zachodząc się od płaczu.

– Błogosław! – mówił cicho, ściskając jej nogi – matuniu, błogosław dziecko twoje...

Widok był poruszający tego ukorzonego majestatu przed świętością macierzyńskiej powagi. Nikt z przytomnych od łez powstrzymać się nie mógł, a każdemu w duszy przyszła myśl, że panowanie to dziwnie od łez się zaczynało.

Biskup chełmiński i starosta spiski, zabawiwszy chwilę, uznali właściwym pozostawić matkę i syna sam na sam z sobą. Lubomirski tylko zapowiedział, że później przybędzie po szwagra, aby go na zamek odprowadzić, gdzie noc już przepędzić musiał, bo nazajutrz od rana tysiące spraw było do omówienia i załatwienia. Król prosił tylko, aby go w spokoju z matką choć kilka godzin pozostawiono.

Gdy się to działo, niemal zapomniana Hela, otrzeźwiona, wróciwszy do pokoju, stała drżąca na boku i oczyma smutnymi patrzyła na towarzysza młodości.

Michał dopiero po wyjściu biskupa, kustosza i Lubomirskiego wzrokiem niespokojnym szukać jej zaczął, podszedł ku niej i pochwycawszy za rękę, przycisnął ją do serca. Niemi oboje spojrzeli sobie w oczy.

Ks. Gryzelda powoli przychodziła do siebie. Zażądała od syna, aby jej to wytłumaczył, jak się to stać mogło, co się stało. Nikt przecież nie przygotowywał się, nie starał, nie myślał o tym wyborze. Michał z rana odjechał jak zwykle, nie mając przeczucia tego, co go spotkać mogło.

– Jeden Bóg, który rządzi losami ludzi – odezwał się syn – wie, jak się Jego wola dokonała nade mną. Stałem spokojnie przy chorągwi sandomierskiej, nie domyślając się niczego. Słuchałem gwaru, śmiechów i wrzawy, obito się o moje uszy imię Polanowskiego. Nagle, nie wiem skąd, w powietrzu rozległo się imię moje, nie rozumiałem w początku... Nie wierzyłem uszom... opierałem się, wypraszałem... Głosy pomnażały się, rosły, nadbiegła szlachta tłumnie, ściskając za nogi, wyrzucając do góry czapki, radując się... gdy mnie łyzy się z oczów toczyły. Brałem to za niegodziwe urągowisko, gniewałem się. Niestety, stało się, czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł... Wprowadzono mnie do szopy, z której znaczna część senatorów z prymasem uszła do miasta... zostali tylko Pacowie, Olszowski, Lubomirski, który Potockiego właśnie zastąpił. Nie wiem, jak długo trwał zamęt i niepewność, ale poza szopą szlachta groźnie warczała, dopominając się o proklame¹⁵⁶... Nie wiem też, czy sam z dobrej woli, czy zmuszony powrócił prymas, gdy już się domagano od podkanclerzego, aby on okrzyknął wybranego.

A! Jakim srogiej nienawiści wzrokiem przeszył mnie prymas, jaką dumą gniewną powitał Sobieski, jakim szyderstwem Morsztyn... Tych oczów jak żyw nie zapomnę...

Matka troskała się już po niewieściemu o pierwsze potrzeby... W domu pieniędzy było mało. Michał wypróżnił kieszenie i co miał, rzucił na stół... Hela przybiegła z całą kasą domową. Wszystko to zebrane razem – było tak szczupłym zasobem, iż pożyczka, którą ks. Fantoni ofiarował, stała się koniecznością.

Ani nowo obrany król, ani matka nie rozumieli, jak podołają niezbędnym wymaganiom nazajutrz zaraz. Pod szopą w wozowni stała jedna zużyta, z zasłonkami połatanymi kolebka, brozek i wozy... Wierzchowy koń nie miał ani postawy, ani rzędu, odpowiadających godności pana. Lubomirski ofiarował już znany zaprząg swój cały, ale to nie starczyło. Uciec się do marszałka Sobieskiego, który karetami swymi woził – nie pozwalała duma.

Położenie było trosk pełne.

Nieprzyjaciele patrzyli i musieli korzystać ze sposobności wyśmiewania tego króla – ciżby, wybrańca szaraczków...

Smutek okrył twarz. Ks. Gryzelda poza te powszednie troski sięgała myślą, starając się zebrać synowi przyjaciół i obrońców. Tak niewielką garstkę ich naliczyć mogła!

Wieczór wśród tej urywanej opowiadaniemi rozmowy uchodził szybko. Dopiero teraz przypominano sobie, że Michał przez cały dzień nic prawie nie miał w ustach.

Hela pobiegła, aby mu przygotować posiłek jakiś naprędce. Z nią potem wyszedł do jadalni sam, gdyż księżna matka chciała się pomodlić.

Michał, jak pijany, trzymając za rękę Helę, powlókł się do stołu, dopiero trochę wina pokrzepiło go. Siedli, jak niegdyś dawniej, naprzeciw siebie. Zebrzydowskiej na myśl przyszło, iż po raz pewnie ostatni tak poufale, po staremu zbliżyć się mogli, zaczęła płakać znowu i głowę ukrywając w rękach szlochała.

– Helu – na miłość Bożą – począł król – nie odejmuj mi odwagi.

– Dla mnie – zza łez wołała Zebrzydowska – wszystko skończone, życie moje to szczęśliwe... z dzisiejszym dniem się zamyka. Co ja pocznę!

¹⁵⁶ p r o k l a m a, p r o k l a m a c j a (z łac.) – ogłoszenie, oznajmienie, obwieszczenie

– Siostró, ty moja, najdroższa – przerwał Michał – nie odbieraj mnie siły, bo ja jej teraz potrzebuję najwięcej. Nic się nie zmieni, nic nie może zmienić w sercu moim dla ciebie. Będziesz, czym byłaś, moją najdroższą Helą, z matką, istotą, którą na tej ziemi najczulej kocham i miłować nie przestanę...

Heła nie mogła łez utulić.

– Przebac – rzekła w końcu – łzy to są samolubne, ostatnie! Nie mogłam ich wstrzymać. Myślę i wyobrażam sobie samotność i sieroctwo nasze. Oni cię porwą, chwycą, nie dadzą tchnąć – nie będziesz miał chwili dla nas swobodnej. Królem! Nie królem, aleś się stał ich niewolnikiem i ofiarą.

Ciche, spokojne, ubogie szczęście nasze rozprysło się i rozbiło na wieki. A! Gdybyś ty przynajmniej mógł być szczęśliwym.

– Ja? – pochwycił Michał. – Ani się spodziewam tego, ani to być może. Wiem, co mnie czeka. Gdybyś widziała te twarze, które mi zapowiadały nieubłagane prześladowanie i wojnę... Gdybyś wyobrazić sobie mogła, z jaką grózbą pełną a ułożoną do uniżenia twarzą wiozł mnie Prażmowski do kościoła, jak mu w piersi głos tłumiła wściekłość, jak drżał cały patrząc na mnie... a Sobieski... a cały ten zastęp ich...

Heła się porwała oburzona.

– Królem przecież jesteś! – zawołała. – Mówią, słyszałam, że polscy królowie małą władzę mają, ale nie sposób, abyś nie znalazł między senatorami poparcia i pomocy.

Słyszałam, gdyś powiadał, że Pacowie cię nie odstąpili.

– Nie odjechali z prymasem, zostali w szopie, ale się trzymali wyczekiwając z daleka – rzekł młody król. Krótkie milczenie przerwało rozmowę.

– Co mi po tym wszystkim – cicho począł Michał – co mi po królowaniu, gdy ja ciebie przy sobie ani matki mieć nie będę. Przywykłem się dzielić z tobą myślami, byłaś mi nieraz najlepszym przewodnikiem i doradcą.

Muszę znaleźć sposób, ukraść godzinę jakąś dla siebie, abym mógł tu zbiec i odetchnąć. Nie wydołam ciągłemu królowaniu – ja, co tak spokój i ciszę kochałem...

– Ks. Fantoni zapowiedział już – przerwała Zebrzydowska – że jutro i księżna się ze dworuku na kustodię wynosić musi. Będą i ją odwiedzali ci, co się do króla dobijać zechcą, nie przystało jej tu pozostać, a na zamek nie zechce...

Michał już nie słuchał, rękami szukał białych rączek siostry i chwycił je namiętnie, szepcząc imię Heli... Ona też zapominała się, patrzyła mu w oczy i płakała.

– Rozdzielić się musimy! – szeptała. – Ty znajdziesz tysiące, co ci zastąpią siostrę i powiernicę, ja nikogo już w życiu mieć nie będę.

– Nic nas nie rozdzieli! – przerwał gwałtownie Michał. Sama mówiłaś, królem jestem. Mogą mi narzucić obowiązki, ale sercem moim przecież ja jeden rozporządzam. Tego ty pewną być możesz; a ja bez ciebie życia nie pojmuję.

Bóg wie, jak długo by się była ciągnęła ta zapłakana rozmowa, gdyby ks. Gryzelda nie zaczęła się upominać o syna. Michał wstał, pochwycił Helę, objął ją, przycisnął do piersi i na czole złożył pocałunek gorący.

– Pamiętaj – rzekł – bądź co bądź jam twój, wierny, jam twój.

Pomieszani wrócili do staruszki, która może przeczuwając to pożegnanie zbyt serdeczne, właśnie dlatego przywoływała syna niespokojna.

W tej samej prawie chwili Lubomirski wracał po króla. Ale matka puścić nie chciała...

– Kochana matko – rzekł całując jej ręce drżące – na zamku, pomimo pory spóźnionej, pełno jest, czekają na Michała ci, co się może najprędzej obawiać mogą niechęci, bo mu ją dziś jeszcze sami jawnie okazywali. Kanclerz Pac siedzi i mówił mi, że się nie oddali, dopóki nie rozmówi z królem. Nie należy on już teraz ani do was, ani do rodziny, ale do kraju, któremu służyć musi. Porywam go, jedziemy...

Michał jeszcze raz pochylił się do kolan matki, chciał potem zbliżyć się do Heli, ale skinęła tylko ręką, przyłożyła chustkę do oczów i uciekła.

Wprost stąd na zamek pospieszać musieli, w którym było jasno i niemal pomimo nocy tłumno... W podwórzu stało powozów, koni, pocztów, straży pod dostatkiem, ruch panował w pustych i opuszczonych przed kilku godzinami komnatach.

Dwór rozpieczętował po Janie Kaźmirzu, na pierwszy odgłos o wyborze zbiegł się na zamek, gotów znowu na służbę. Nieład panował, ale na ludziach nie zbywało.

Wysiadali, gdy im stojący u krużganku koniuszy koronny śmiejąc się oznajmił, że o kołbę dla króla na jutro troskać się nie potrzebował starosta spiski.

– Jest ich już aż trzy, nowiusieńkich jak z igły, każda z sześciu paradnymi woźnikami i uprzężą – mówił koniuszy. – Nie mogłem się dowiedzieć, kto je przyprowadził i ofiarował, ale oglądał i znajduję paradnymi.

Michał może nie słyszał – siedł na górę, gdzie, jak mu oznajmiono, czekał kanclerz Pac i wielu innych. Cała ta rodzina prawie razem z nim stawała przy królu.

Nie było Sobieskiego, chociaż urząd wielkiego marszałka powinien go być sprowadzić, ale na innych dostojnikach nie zbywało.

Gdy skromny i bojaźliwy ukazał się król młody, nie dano mu się oddalić od progu i otoczono kołem, każdy chciał być pierwszym z hołdem i rewerencją, zaręczając, iż był z wyboru szczęśliwy.

Pac nawet z całą swą dumą – oświadczał głośno, że był wprawdzie za Kondeuszem i gotów był głosować na Lotaryńskiego, ale się ani on, ani nikt widocznego cudu Bożego, natchnienia Ducha Świętego nie spodziewał.

– Gdy się to stało – dodał – szczęśliwi jesteśmy i serca ci ofiarujemy, a w potrzebie i dłonie.

Tu wspomniał Pac, o czym nigdy nie mówił, że sam na swoje uszy słyszał z ust nieboszczki królowej Marii Ludwiki, jak Michałowi królowanie przepowiadała, godnym go uznając korony. Natychmiast znalazło się jeszcze kilku utrzymujących, że też słyszeli i bardzo dobrze zapamiętali.

Kanclerz Pac za najpilniejszą sprawę uważał – przejednanie i pozyskanie prymasa, sam przez żonę obiecując wpływać na dwór francuski, aby sprzyjał nowemu królowi.

I dodał tajemniczo:

– Znajdą się środki zbliżenia, a nawet połączenia z Francją, ale na to jest czas...

Michał zaledwie miał czas i mógł się zdobyć na podziękowanie wszystkim już cudownie pozyskanym, trochę odwagi wstąpiło do jego serca.

Późno w noc na ostatek goście opuścili zamek, pozwalając odpocząć znużonemu. Lubomirski sam jeden z nim pozostał.

Chociaż sypialnia, niegdyś Władysława i Kaźmirza, zajęta teraz przez króla, była w dosyć spokojnym kącie zamku położoną, jak tylko na brzask, to się tu wszystko poruszać zaczęło, a ludzi napływać, że Lubomirski wstać musiał.

Przyczyną tego niepokoju była pod Wolą wczoraj, w wielkim rozgorączkowaniu, jedno-głośnie przyjęta uchwała szlachty, iż królowi, z którego niezamożności naśmiewali się jawnie Pacowie, ci co go wybrali, powinni byli złożyć w ofierze, co kto miał najlepszego, aby go wyposażyć.

Z takim zapalem chwycono się tego wniosku, iż w obozie on prawie zasnąć nie dał... Wy-myślał każdy, co miał dać, a ofiarność była taka, że ostatniego konia, co dla szlachcica naj-cieńszą jest ofiarą, gotów był każdy poświęcić – dla swojego króla.

A że pomiędzy ogromnym tym tłumem zamożnych było bardzo wielu i ci na elekcją dla wystąpienia i popisu z domów pozabierali, co mieli najpokaźniejszego i najdroższego, każdy więc prawie miał coś do przyniesienia w ofierze, tak że ubożsi, gdy na nic więcej nie stawało,

choć parę pistoletów lub szablę drogą złożyć byli gotowi. Przez całą niemal noc czyszczono, trzepano, wyświeżano, co kto miał nazajutrz rano nieść na zamek.

Zaledwie się dzień jasny robić poczynął, gdy ta osobliwa procesja z Woli ku zamkowi długimi szeregami ciągnęła konno, z wozami, kolebkami itp.

Niemal gwałtem potem włamano się na zamek, dopominając u burgrabiego¹⁵⁷, aby salę wyznaczył, gdzie miano składać ofiary, pisarza posadził z księgą, aby je rejestrował. Próżno się ten wymawiał, że rozkazów żadnych nie miał, zakrzyczano go, zahuczano, a że i stara służba chętnie do tego spisku weszła, pootwierano sale, znaleziono skrybenta¹⁵⁸ i rozpoczęto składanie darów, które przez cały ten dzień i kilka później jeszcze nieprzerwanie się ciągnęło.

Wypadek to był, w tych przynajmniej rozmiarach, nigdy nie praktykowany. Trafiało się, że panowie i szlachta, te osobliwe konie, te do zwierzyńca osobliwe stworzenia, te jakieś starożytne pamiątki królom przynosili i składali do ich skarbcza, takiego nacisku darów, nikt nigdy nie widział ani o nim słyszał.

W ulicach niezmierne tłumy zebrały się patrzeć na ten pochód wesoły i dziwaczny, jedyny w swoim rodzaju. Nie było bowiem sprzętu i rzeczy, której by nie niesiono dla króla JMci., począwszy od koni i psów myśliwskich, do pozłocistych naczyń, dzbanów, futer i kobierców.

Ani Lubomirski, który z początku przyjmowaniu się chciał opierać, ani książę Dymitr Wiśniowiecki, przybyły też z rana do zamku, nie mogli szlachty przekonać, która się dopominała zuchwale o prawo obdarzenia swojego króla. Musiano w końcu ulec i trzech pisarzów zaledwo mogło wydolać rejestrowaniu rzeczy i nazwisk... Nie mieli się czego wstydzić ofiarujący, gdyż wszystko niemal było przedziwnym i szacownym. Samego uzbrojenia starczyło już na piękny poczet straży, gdyby ją zaraz sztyftować chciano.

Oprócz tego, cokolwiek później, senatorowie też tłumnie zaczęli nadciągać. Sobieskiego tylko i Radziwiłłów brakło długo, bo pierwszy z Wiśniowieckimi, zwłaszcza z księciem Dymitrem był w jawnym rozbracie, a drudzy z Pacami wojnę prowadzili. Jak tylko więc o przystaniu ich do Michała się dowiedzieli, połączyli się z Sobieskim.

Hetman, oni i prymas stanowili zarodek tego nieubłaganego obozu przeciwników, których niczym nie mógł nigdy Michał przebłagać. Ale dzień ten, przynajmniej pozornie, był dniem hołdów i uznania. Złym czy dobrym sercem królowi już ogłoszonemu musieli wszyscy bić czołem, nie mogąc na razie jawnej wypowiedzieć wojny.

Hetman nawet ze swego urzędu marszałkowskiego, musiał się stawić na zamku i tam pewien porządek wprowadzić. I on, i wszyscy niechętni senatorowie mieli zręczność przekonania się naocznie, z jaką, można było powiedzieć, zajadłością [szlachta] manifestowała swe dla króla obranego przywiązanie...

W oczach ich przeciągły te gromady znoszące dary, a w otwartych salach mogli ciekawi oglądać istotnie ciekawe nagromadzenie kosztownego sprzętu, który już starczył choćby na królewskie wyposażenie. Mnogość ludzi, która się przyczyniła do tego, możliwym czyniła wielkiego szacunku składkę, już do południa zalegającą sale tak, że miejsca braknąć zaczynało.

W wozowniach też i stajniach, na przyprowadzane konie, powozy, na przywożone namioty, ciasno było. Nowa służba krzątała się, coraz zajmując więcej miejsca.

Wszyscy szli przypatrywać się i podziwiać.

Najpierwsze miejsce zajmowały srebra, których mnogość wielką zniesiono, tak że jak drzewo leżały kupami – szczególnie miednice i nalewki, pomiędzy którymi moskiewskiej i holandskiej roboty obok augsburskich i gdańskich leżały. Puchary, bechery¹⁵⁹, kubki misterne w kształcie paziów, ananasów – zwierząt dziwacznych, srebrne, pozłociste, sadzone kamieniami – na najwspanialszy kredens starczyły. Nie brakło ogromnych dzbanów, wiader ani

¹⁵⁷ b u r g r a b i a (z niem.) – zastępca kasztelana lub starosty, opiekun zamku

¹⁵⁸ s k r y b e n t (z łac.) – tu: pisarz

¹⁵⁹ b e c h e r (z niem.) – kubek, puchar, kielich

łyżek zapasowych, które apostołskimi tuzinami, z wizerunkami świętych i napisami miała szlachta pod dostatkiem. Oddawano spod serca aż do pamiątkowych obrazków N. Panny i Chrystusa na blachach złotych malowanych, aż do relikwiarzy i ampułek. Jeden z bogatszych postawił beczkę srebrną na nogach krzyżowych z Bachusem¹⁶⁰ na niej.

Po srebrach szły najbogatsze rzędy i siodła, na które równie jak na dywdyki, konie okrywające, sadzono się wielce – aksamitem wyściełane, grubymi blachami pozłocistymi z przodu i z tyłu objane, ze strzemionami szerokimi, tak że całą nogę osłaniały. Niektóre turkusami¹⁶¹ były sadzone, inne czarnozielem ozdobne. Do każdego siodła należał rząd podobny, a sam nieraz czub, który koniowi nade łbem sterczał, kosztował tysiące. Dywdyki zaś szyte złotem i perłami tak grubo, że ich dosięgnąć było trudno, nie były żadną osobliwością. Oprócz tego zwykle koncerz¹⁶² ozdobny, a często tarcza do niego i sahajdak¹⁶³ z łukiem należały do takich rzędów.

Łuków mało używano, ale do parady każdy je wdziewał, a owe tak zwane łuki sahajdaków kamieniami wysadzano i złotem dzierzgano. Do siodła też wielu zamiast do ramion przytwierdzano owe skrzydła husarskie, w srebro oprawne, których tu wiele było, kosztownie upierzonych.

Dopieroż broń szła, a tej rozmaitość naówczas była niezmierną, bo ją i ze Wschodu, i z Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Anglii, Francji sprowadzono.

Strzelby, w kość słoniową złotem nabijane, oprawne w szyldkrety¹⁶⁴, w drzewo zamorskie jak żelazo twarde i ciężkie, pistolety tureckie i francuskie, tarcze mniejsze z wizerunkami bitymi, szyszaki¹⁶⁵ złociste i trybowane¹⁶⁶, koszule z drutów złożonych, na których modlitwy, psalmy i napisy wypisane stały. Szable, pałasze, mieczyki, stosami się walały na podłodze, misiurki¹⁶⁷ z czaplami piórami przy nich, a żelaznych blach co niemiara, aż do zbroi gończych i turniejowych, które już rzadko kto wdziewał.

Sobieski, który tu rzucił okiem przechodząc, rzekł do towarzyszącego mu Potockiego:

– Cały cekhauz, mości panie!

I westchnął.

W istocie dział i moździerz może tylko brakowało, ale nie gardłaczy¹⁶⁸ i hakownic¹⁶⁹.

Dalej izba zarzucona kupami kobierców, opon, tkanin wzorzystych flamskich¹⁷⁰ i całych postawów tkanin na obicia. Skąd one się tu wzięły, tłumaczyć tylko mogło to, że ci, co nie mieli z sobą nic na podarek stosownego, do sklepów i składów się wciskali, a że na elekcję perskich kupców, Ormian i tureckich przekupniów ściągnęło się dosyć, było więc w czym wybierać.

Niektóre ofiary mogły prawie obudzać śmiech, lecz szły z dobrego serca, a dowodziły tego przejścia się elekcją, a nienawiści ku panom, których zwycięstwo nie stłumiło. Nie tyle może

¹⁶⁰ B a c h u s (łac.) – u starożytnych Greków bóg wina i życiodajnych sił, tu: mowa o figurce wyobrażającej Bachusa

¹⁶¹ t u r k u s (z włos.) – półszlachetny kamień koloru błękitnego

¹⁶² k o n c e r z – czeski miecz prosty i szeroki, ozdobny, przypasywany do siodła

¹⁶³ s a h a j d a k, sajdak (z tat.) – kołczan wraz z łukiem i strzałami

¹⁶⁴ s z y l d k r e t (z niem.) – rodzaj żółwia morskiego, rogowe płyty, okrywające skorupę tego żółwia, używane były do wyrobu różnych drobnych przedmiotów

¹⁶⁵ s z y s z a k – ochronne okrycie głowy, pozbawione osłony twarzy, rodzaj hełmu

¹⁶⁶ t r y b o w a n y, trybować (z niem.) – wybijać na blasze w różnych wyobrażeniach kwiaty, liście itp., w taki sposób, aby one występowały ze swego tła na kształt płaskorzeźby

¹⁶⁷ m i s i u r k a – część zbroi rycerskiej, żelazne nakrycie głowy z siatką, także żelazną, spadającą na ramiona

¹⁶⁸ g a r d ł a c z – rodzaj broni w dawnej Polsce, strzelba z lufą szerszą u wylotu

¹⁶⁹ h a k o w n i c a – rodzaj dawnej strzelby, zapalanej lontem

¹⁷⁰ f l a m s k i – flamandzki, staroholenderski, z drobiazgowością wykończony, sprowadzany z Flamandii, z kraju dziś należącego do Holandii, Belgii i Francji

miłość to uczyniła – co owa niechęć przeciwko możnowładzcom, którzy przekupieni lekceważyli sobie tłumy i narzucić im chcieli, kogo im się podobało.

Rozumiano to bardzo dobrze i dlatego w sercu Sobieskiego i jego towarzyszków rodziło się tym większe pragnienie okazania siły – i pomszczenia sromotnej klęski. Całe miasto dnia tego nie mówiło o niczym, tylko o tym wysiłku ubogiej szlachty, która po pańsku wystąpiła.

Księcia Michała nie przygotowanym spotkało szczęście, które nazywało się u ludzi tym imieniem, a było w istocie brzemieniem nad siły. Nigdy nic nie mogło mu obiecywać podobnego losu, a natura i wychowanie nie usposobiły do niego.

Bezbronno więc od pierwszego dnia otoczyła się intryg, miał przeciwko sobie, wyjąwszy Paców, Lubomirskiego i biskupa Olszowskiego – całe możnowładztwo. Miłość ludu – jak się wyrażano pogardliwie – zwiększała niechęć ku niemu.

Prymas namyślał się, jak miał postępować, ale w sercu miał największą odrazę do tego człowieka, który go w oczach świata uczynił bezsilnym i odebrał mu owoc długich zabiegów.

W ciągu dnia z urzędu wszyscy byli przy królu nie uchybiając mu, niechętnie, ale senatorowie naradzali się o wyznaczeniu dnia koronacji. Sprawy wojenne i czuwanie nad granicami zajęło Sobieskiego. Milczący elekt słuchał, przypatrywał się, nie śmiejąc jeszcze ani się odzywać, ani brać w niczym udziału. Stanowiono bez niego. Ale zebranie na zamku dla formy nie miało w istocie znaczenia, dopiero wieczorem u prymasa miano się naradzić stanowczo – co dalej?

Prażmowski powrócił znużony i podrażniony, uczynił bowiem z siebie, co mógł, aby elekta pozyskać, a znalazł go dumnym, zimnym i obojętnym. Spodziewał się, że go opanuje łatwo, że król będzie szczęśliwy, pozyskując go sobie, tymczasem przestrzeżony dawniej o charakterze człowieka – młody Wiśniowiecki zbywał go milczeniem i nie dał się poruszyć.

Wieczorem u o.o. jezuitów naturalnie o niczym nie było mowy tylko o królu, o wyborze i o tym szalonym wybryku szlachty, która uboższego swego ulubieńca wyposażała.

– Gdyby człowiek na to nie patrzył, nie dotykał – wołał prymas – nie chciałoby się wierzyć tej baśni. To wygląda na powieść o jakimś Leszku lub Popielu. Dziś już mi mówili, że prawia, jakoby rój pszczoł siadł na chorągwi niby żywe znamię tego, że Pan Bóg chciał Piasta.

Głosy się odzywały różne.

– Nie wytrzyma na tronie – szeptał Morsztyn – nie ma poparcia, nie znajdzie siły, Sobieski go ani pytać, ani słuchać nie będzie, a Pacowie...

– Pacowie... – krzyknął prymas, który się gwałtownie i kurczył, gdy go gniew przejmował. – Słyszał kto o podobnej zdradzie!

– Pacowie lękali się stracić tego znaczenia, jakie świeżo pozyskali – odezwał się hetman. – Jestem pewny, że kanclerzyna go już może w myśli swata we Francji.

– Nie dziwiłbym się temu – przerwał Prażmowski – bo ja sam myśl tę miałem, ale Austria czuwa! ho! ho!

Ktoś z przytomnych zwrócił się ku przeszłości, chcąc dobrać przyczyn tej katastrofy, bo dotąd pozostawało nie rozjaśnionym, kto Kondeusza ekskludował, a Michała wyniósł na tron.

Wpływowi cenzury ks. Olszowskiego nic a nic nie przyznawano. Głębocy politycy szukali potajemnych sprężyn, nie mogąc uwierzyć w to, aby ta biedna szaraczkowa szlachta, ci prostaczkowie... mężów takich jak oni w pole wyprowadzić mogli.

Kondeusza – zgodzono się na to – chytry Chavagnac wypłoszył, ale nie mógł się starać o Michała. Przypuścić wypadku, woli Bożej, nie mógł nikt. Zostawało więc tajemnicą to, co zgotowało wybór syna Jeremiego, a prymas teraz posądził już Paców, że oni chyba, mając w tym interes zapewniony, usnuli to i dokonali.

O przyszłym królu zdania były najniedorzeczniejsze. W istocie nikt go nie znał. Widywano go dotąd nieśmiałym, cichym, skromnym, pobożnym, a nieco powolnym, ani wielkiego geniuszu, ani energii nikt mu nie przyznawał.

Prymas wprost sądził go nieudolnym do rządzenia.

– Utyskiwano na Jana Kaźmirza, że dawał sobą rządzić i słabym był, cóż będzie z tym kawalerem, który na podkomorzego dworu cesarskiego doskonale przystał, ale na króla...

Morsztyn poruszył ramionami.

– Wczoraj go u kanclerzynej łokciem potrafiłem, aby mi miejsce zrobił, i ustępował bardzo pokornie, a dziś go muszę w rękę całować...

– Nie! nie!... – powtarzał prymas – albo pójdzie tą drogą, jaką mu naznaczymy, albo... Wszak ci Jan Kaźmirz dał przykład, że abdykować można... a gdzie indziej siła wypadków, iż królów wyganiano i pozbywano się ich.

Rozprawy, utyskiwania i narady u Prażmowskiego trwały do późnej nocy, ale nie umiano postanowić nic i skończyło się na narzekaniach i odgrózkach.

Na zamku króla męczyli dopominający się posłuchania, przynoszący mu wieści, składający życzenia, przypominający się, jako starzy ojca służby. Michałowi tak tęskno było do matki, że w końcu wyrwał się z nieodstępnym Lubomirskim do niej. Tu się spodziewał spocząć i odetchnąć. Nie brał z sobą ani dworzan, ani komorników, ani orszaku, który by go zdradził, chciał być po staremu Michałem, tym wolnym... i szczęśliwym.

Hela powitała go w progu.

– Król! – zawołała głośno.

– A! nie – choć tu niech ja nim dla was nie będę – przerwał Michał, chwytając jej rękę – jam już tak zmęczony jednodniowym panowaniem.

Matka wyszła do niego z uśmiechem na ustach. Ona, ona, niestety, jedna się radowała w duszy temu tryumfowi, który dla niej zarazem był pamięci ojca oddaną pogrobową sprawiedliwością. Na jej twarzy widać było szczęście i ona męstwem syna się starała natchnąć.

– Helu kochana – zawołała – na zamku pustki, oni może jeść co nie mieli, przyjmże Najjaśniejszego Pana!

Wtem Lubomirski począł opowiadać o wyposażeniu przez szlachtę, a ks. Gryzelda spłakała się, nie ciesząc darami, ale miłością, co je przyniosła.

– Tak – dodał starosta spiski kończąc – ale, matuleńko kochana, mamy też całą armię wrogów nieprzejednanych z hetmanem i hetmanową na czele!

IX

Wszystko, co przychodzi niespodzianie – spada jak gromem na człowieka i na czas jakiś pozbawia go siły. Szczęście też zabijać umie, a ubezwładnia czasem na długo.

Taki ono skutek wywarło na Michale Wiśniowieckim, który przygotowanym do niego nie był wcale, a w rzeczy wybór króla tak mało go obchodził, że owej sławnej cenzury ks. Olshowskiego, w której o Piaście mowa była, wcale nie czytał.

Najzuchwalsze jego nadzieje nigdy nie sięgały ponad skromny jakiś urząd przy dworze i starostwo, które by mu odpowiednio imieniowi i pamięci ojca występować dozwalało. Matka też nie marzyła o wielkich powodzeniach, znając nieśmiałość syna, chciała go bogato ożenić i tym w dom znowu dostatek wprowadzić. O koronie nigdy się tu nikomu nie śniło...

Lecz wnuczka Zamojskiego z myślą jej prędzej się oswoiła niż skromny, cichy syn Jeremiego. Ona w tym widziała palec Opatrzności, widoczną wolę Bożą, natchnienie Ducha Świętego. Była tym dumną. Wielka radość zasłoniła przed nią niezmiernie trudności położenia i kolce tej korony cierniowej, której dźwigać nie miał siły wybrany.

Nazajutrz zaraz, gdy już ks. kustosz począł nalegać, aby ze dworku na kustodię się wyniosła – i przygotowania ku temu czynić rozpoczynano, pierwszy z przejednanych przybył do niej kanclerz Pac.

Był to jeden z możnowładców wielkiej energii, wpływu, znaczenia – i na niego liczyć było można. Przyjechał ks. Gryzeldę zapewnić, że na niego król młody liczyć może.

– Mości Książno – rzekł otwarcie – stajemy przy królu Imci i stać będziemy, niech w nas ma zaufanie... Postaramy się o to, aby mu zjednać przyjaciół i sług wiernych... Nie potrzeba się lękać, położenie króla, syna W. ks. Mości będzie trudnym – znam ks. prymasa, znam hetmana i hetmanową, wiem, że elekcja do rozpaczy ich przyprowadza, że gotowi do ostatecznych się rzucić środków, bodaj nawet zachwiać tronem, ale nas Paców ma król trzech, nie licząc młodszych, a my i na Litwie, i w Koronie coś znaczymy. Żona moja ma we Francji nie mniejsze i nie gorsze związki od pani hetmanowej. Potrafiemy nieprzyjaciółom stawić czoło.

Ks. Gryzelda załamała ręce.

– Sądźcie, panie kanclerzu – zawołała – że wybór ich nie przejedna? nie rozbroi? Cóż zyszczą wojując z Michałem? On nikomu złego nie życzy ani uczyni...

– Ale z namiętnościami ludzkimi liczyć się potrzeba – mówił kanclerz – a nie ma straszniejszej nad ambit upokorzony. Prymas i hetman wedle własnego mniemania byli panami sytuacji, zmuszeni się poddać, będą spiskowali i knowali. Musimy czuwać.

– A! – przerwała ks. Gryzelda, pochylając się do kanclerza z błagającym tonem. – Bądźcie niedoświadczonemu memu synowi opieką! Proszę was... Nie opuszczajcie go...

– Sobieskiego znam dawno i z bliska – dodała – miałam z nim, niestety, pieniądze sprawy – jest bardzo źle z ks. Dymitrem, ale ja sądzę, że, szlachetny w głębi duszy, nie dopuści się on przeciwko nam...

Kanclerz się uśmiechał.

– O Sobieskim mówiąc – rzekł – trzeba mieć też na myśli hetmanową, która nim rządzi – a tej ja się obawiam. Zresztą wierzę w to, iż miłość ku Rzeczypospolitej – nigdy mu się przeciw królowi za daleko posunąć nie da, zwłaszcza w tych strasznych czasach, gdy nam bunt i wojna z Turkami zagraża... Nie tu więc najniebezpieczniejszego antagonisty szukać potrzeba, ale w prymasie.

Kanclerz się skrzywił.

– Nie waham się przewidywać – mówił dalej – że tego nawet zupełnym poddaniem mu się – trudno będzie... rozbroić. Nie może on przebaczyć tego, iż został zwyciężony i w oczach obcych monarchów upokorzony. Około prymasa będzie zawsze skupiać się obóz nieprzyjacielski. Bądź co bądź – staniemy i my do walki – bez obawy. Niech tylko król zaufa nam i idzie za radami naszymi.

Ks. Gryzelda zapewniła również o wdzięczności swej, jak o powolności syna [dla] kanclerza.

– Nie ma doświadczenia Michał – rzekła – ale dalekim też jest od zbytnej w siebie wiary. Możecie być pewni, że da pokierować sobą.

Pac dotknął zaraz drażliwej materii, tego o co się naówczas wszystko rozbijało – rozdawnictwa wakansów...

– Dzisiaj – rzekł – największą siłą, jaką król ma w ręku, jeżeli nie jedyną, jest rozdawanie wakansów. Nimi on może sobie zjednać, rozbroić, pozyskać, ale powinien być oględnym. W pierwszej chwili do zbytku ulegać wymaganiom nieprzyjaciół, uszłoby za trwogę...

Kanclerz mówił dosyć długo, a na koniec pewien, że sobie pozyskał ks. Gryzeldę, odjechał. Pacowie byli w tych pierwszych dniach, razem z Lubomirskim i Olszowskim, nieodstępny, ale też jedynymi niemal przy królu.

W kilka godzin po Pacu oznajmiono hetmana, który na stopie przyjaznej był z księżną, choć na nią narzekał z powodu obrachunków. Sobieskiego polityka zmusiła zajrzeć tu teraz i powinszować staruszce.

Z pewną rubasnością, którą czasem przybierał, gdy znudziło mu się być Orondatem i Celadonem – wszedł, udając wesołego.

– Przychodzę powinszować W. ks. Mości – ozwał się całując podaną mu rękę.

– A! hetmanie – przerwała mu – myśmy tak wysoko nie sięgali myślami, a dziś więcej mamy obawy niż pociechy.

– Co Bóg da – przyjąć potrzeba – odparł Sobieski – choć nie taję, że spuścizna po Wazach niełatwa do dźwignięcia.

– Bądźcież synowi mojemu pomocą i podporą! – odezwała się księżna.

Milczący, bez odpowiedzi, nic nie chcąc przyrzekać, skłonił się hetman, wąsa kręcąc.

– Niech tylko król złych doradców nie słucha – odezwał się namyśliwszy – i wybierze sobie tych, co znają kraj, ludzi, a nieszczęśliwe położenie nasze. Ale – będzie, będzie miał co do czynienia. Szlachta niesforna, wojsko – lada podmuch gotowe do związków więcej niż do boju. Kozactwo rozpasane, Turcy uzuchwaleni nieszczęściami naszymi.

– Tak, ale wy hetmanem! – przerwała ks. Gryzelda – to najlepsza rękojmia zwycięstwa.

Hetman krótko zabawił, wizyta była więcej z obowiązku i grzeczności niż z serca. Na czole miał wypisane, jak się troskał i był skłopotany.

Resztę dnia spędzono we dworku na wybieraniu się z niego do kustodii ks. Fantoniego, gdzie matka króla trochę pokażniej przyjmować mogła. Całe staranie o dom spadało na Helę, która właśnie teraz roztargnioną była, nieprzytomną i chodziła jak jakiś cień, istota skazana i pokutująca.

Kiedy niekiedy z oschłych oczów dobywały się łzy, a ręka musiała uciskać pierś, w której duszno było i ciężko. Co jej po tym było, że Michał królem został okrzyknięty, gdy ona go utracić musiała. Nigdy wprowadzić nie miała nadziei, ażeby Michał do niej, ona do niego należeć mogła, ale się spodziewała skromnego stanowiska w jego domu, przy rodzinie, które by dozwalało pozostać z nim razem. A teraz! Już w ciągu tego pierwszego dnia zaraz obijało się o jej uszy, co Lubomirski mówił ks. Gryzeldzie, że dla ks. Michała jedno z dwojga: lub rakuśka arcyksiężniczka albo jedna z księżniczek krwi Francuzka przeznaczoną była... O tym ożenieniu, jako o konieczności, jako o związku, co miał dać siłę nową, szeptano już... Hela przeżona słuchała... Tak! – Michał był dla niej straconym. Nawet przybliżyć się, mówić, wkrótce nie wolno jej być miało.

Tego smutku wychowanki księżna matka, która coraz była weselszą i szczęśliwszą, wcale zrozumieć nie mogła. Brała je za zmęczenie pracą i pocieszała tym, że raz się przeniósłszy na kustodię, Hela sobie spocząć będzie mogła.

Spocząć! – myślała w duchu Zebrzydowska – teraz! My już wszyscy spokoju nie zaznamy! Los rzucił nas w wir, który miotać będzie nami – aż pochłonie!

Najprzykrejszym dla niej było, że teraz po całych dniach nawet wiedzieć nie mogła, co się z Michałem działo, ona, która była nawykłą śledzić krok jego każdy, a często, bardzo często niepewnym siebie – kierować! Z zamku dochodziły tylko głuche wieści, których dobrze wyrozumieć było trudno. Przynosił je czasem Lubomirski, niekiedy ks. Fantoni; sam król, choć najmocniej pragnął, nie miał chwili, aby się wyrwać do matki.

Myśląc, jakby na to zaradzić, krzątała się z wynoszeniem i zbieraniem ze dworku sprzętu, który się miał na kustodię przenosić, gdy wpadł Kiępsz. Był on teraz nieodstępnie na rozkazy króla, ale serce go ciągnęło do tego dworku i do Heli, która wiedziała bardzo dobrze o jego rozkochaniu i poruszała ramionami, patrząc na wesołego trzpiota.

Tym razem był on jej pożądanym, bo mógł przynieść jej z zamku coś o królu i myśl przyszła dziewczęciu wyzyskać przywiązanie Kiępsza, robiąc z niego sługę i posła.

Przyjęła go też nieco uprzejmiej, weselszą twarzą i zarzuciła pytaniami. Kiępsz, nie wiedząc, czemu to przypisać, niezmiernie był szczęśliwy.

– Możesz się pan teraz – rzekła – bardzo przysłużyć księżnie matce. Jesteśmy nawykłe z dawna wiedzieć o każdym kroku księcia, nie, króla – a z zamku mało kto przychodzi, powinienś parę razy w dzień przynosić nam wiadomości. Co pan masz tam do czynienia?

– Ja? – odparł Kiełpsz – ano, jestem tymczasowo dworzaninem pokojowym J. Królewskiej Mości, a więc na rozkazy przez cały dzień, ale, jeżeli księżna każe, ułożę się tak, abym mógł przychodzić.

– Zrób pan to – odezwała się Hela – jestem pewna, że i król wdzięczen będzie, bo i jemu tęskno być musi za matką, jak jej za nim.

– Ale ja z tego najszcześliwszym będę! – składając ręce zawołał Kiełpsz. – Dobrze! bardzo dobrze!

Hela zbliżyła się, cicho mu szepejąc:

– Ks. Gryzeldę najmniejsza rzecz obchodzi. Rada by wiedzieć, jak król znosi to życie trudzące, do którego nie nawykł, kogo widuje, jak panowie są dla niego. Wszystko! wszystko!

Ułożyła się więc, że na przyszłość pomiędzy kustodią, bliżej położoną od zamku, a zamkiem Kiełpsz miał być łącznikiem. Podjął się tego z wdzięcznością, bo się spodziewał pozyskać przez to względy Heli, w której coraz mocniej czuł się rozkochanym.

Na pierwsze danie – nie miał wiele do przyniesienia. Na zamku jeszcze się układało dopiero do nowego życia. Dworscy Jana Kaźmirza starzy rozpierzchli, urzędnicy mniejsi dworu ściągali się, dopominając posad dawnych i zajmując je po większej części. Michał dobrodusznie przyjmował te posługi, nie bacząc, kim się otoczy. W tym zbiorowisku ludzi różnych, więcej może niechętnie usposobionych niż życzliwych, starzy lekceważyli sobie to książątko ubogie, które się im wydawało bardzo poślednim po dynastii Wazów...

A że gawieź taka zwykle mierzy znaczenie człowieka jego dostatkiem, ów król ubogi, o którym wiadano, że kilka dni temu ledwie miał koni dziesiątek na stajni, wydawał się jej niezbyt poszanowania godnym. Obchodzono się też z nim, nie okazując mu zbytnej uległości i stara służba rządziła się samowolnie...

Michał za wiele miał na barkach, aby mógł podołać wszystkiemu. W nim samym dokonywał się ciężki ten proces przetwarzania się człowieka, który wczoraj własnej woli nie miał, a dziś rozkazywać musiał i kierować. Wszystko dla niego nowym było.

Wyrobić sobie nagle siłę woli, jasne pojęcie położenia, zrozumienie stosunków, jakie go łączyć miały z tym światem, wczoraj obcym dla niego – dla każdego byłoby trudnym, a dla leniwego i nieśmiałego umysłu Michała – zadaniem się stało niemal nad siły. Potrzebował rady, podpory, przyjaciela, któremu by mógł zaufać...

Instynkt mu wskazywał, że ci, co dopiero teraz zbliżyli się i podali mu ręce, więcej we własnych widokach to czynili niż dla niego...

Serca – nie było nigdzie... musiał po nie myśłą uchodzić do starego dworku na Miodową, do matki i do Heli...

Na zamku jeszcze się nie uspokoiło i nie poskładało wszystko w formy nowego życia, a już występowały ambicje, chciwość, zazdrości, wymagania... nie mówiono, tylko o rozdawaniu wakansów, a każdy chciał rozporządzać nimi. Pacowie oczywiście stali w pierwszym rzędzie, domagając się, aby król ich słuchał... Zarazem Sobieski dopominał się ustępstw, grożąc niejako, jeżeliby mu ich nie uczyniono.

Począwszy od prymasa, każdy miał protegowanych, a ci, co najnieprzyjaźniej występowali przeciwko Michałowi, sądzili, że za przejednanie mają prawo ceny wielkiej wymagać.

Michałowi wydawało się to wprost obrzydliwym. Milczący patrzył i nie mając nikogo więcej – zmuszonym był z Pacami trzymać, od których już Sobiescy oboje się oddalali. W języku towarzystwa ówczesnego, które dla dogodności nadawało wszystkim przezwiska, w rozmowach i korespondencji służące do pokrycia imion prawdziwych, Pacowie już zwali się – *bażantami*. Hetmanowa, dotąd połączona dosyć ściśle z kanclerzową, ostygła dla niej i usuwała się... Obie miały stosunki z dworem francuskim, które je rozdzieliły, do walki przeciwko sobie pobudzając.

Nowe związki, nowy świat tworzył się około króla Michała, ale w najszcześniejszym razie to, co się przy nim skupiało, nie miało jeszcze siły wiele i prymas z hetmanem pochlebiali sobie, że mogą stać się groźnymi nawet, jeżeli im król nie ulegnie.

Dla człowieka tak dotąd skromne zajmującego miejsce podrzędne, który począwszy od matki aż do szwagra musiał iść za wskazówkami rodziny – nagle pozyskanie władzy było przerażającym. Lękał się jej użyć.

Dodać do tego potrzeba nawyknienie umysłowe do zajmowania się fraszkami, które ks. Michałowi było właściwe, i wstręt do poważnej pracy. Dotąd najważniejszym zadaniem w jego życiu było – ubranie i elegancja, przywiązywał do powierzchowności swej wagę zbyt wielką. Twarz jego zastygła ożywiała się dopiero, gdy mówił o nowych strojach, o drobnostkach, które do nich należały. W tym przedmiocie miał nawet rozległe wiadomości i smak, który go prowadził drogą bitą, gdy w innych wahał się na każdym kroku. Śmiesznym więc nieraz wydać się mogło staroście spiskiemu, gdy po całym dniu nudów, w ciągu którego król zaledwie otwierał leniwie usta – wieczorem ujrzał go niezmiernie ożywionym – gdyż zajął się sprawą swej garderoby.

To co było zamówionym w Paryżu, mogło starczyć dla księcia Wiśniowieckiego, król potrzebował nieskończenie więcej. Miała nastąpić koronacja. Niektórzy byli tego zdania, aby się Michał przebrał po polsku, przypominając, że nawet Jan Kazimierz raz próbował się tym wkuścić w łaski u narodu. Wiśniowiecki oparł się temu stanowczo. Nawykłym był do peruki, do sukni europejskiej, do koronek, do tego półniewieściego stroju, który mu się wydawał jedynym pięknym i wyższą cywilizacją znamionującym.

Potrzeba było natychmiast wysłać zamówienia do Paryża, a rzecz ta tak gorąco zaprzątnęła króla, iż na prośby szwagra, nawet jej do jutra nie byłby odłożył, gdyby się nie okazało, że Francuz Tionville, którego użyć musiano do tego poselstwa, dnia tego nie był do wzięcia.

Późnym wieczorem król nareszcie znużony przypomniał o matce, a że ona już się była przeniosła do kamienicy ks. Fantoniego, udał się do niej. Ożywiony był bardzo, niestety – nie wiadomościami od kresów¹⁷¹ z Konstantynopola – ale wysyłką po garderobę do Paryża. Było to fraszka, ale ona charakter rysowała człowieka, który się królem nie czuł jeszcze. Wszystko, co się łączyło z obroną granic, leżało na Sobieskim, na księciu Dymitrze i na hetmanie Pacu.

Księżna Gryzelda uradowała się widząc syna wchodzącym z twarzą rozjaśnioną i wesołą, dorozumiewała się jakiegoś ważnego odniesionego zwycięstwa, gdy król całując ją w rękę, odezwał się żywo:

– Proszę o polecenia do Paryża, jutro wysyłam Tionvillę po suknie dla mnie. Najmniej cztery różne garnitury mieć muszę i każę mu je podług wzorów w Wersalu¹⁷² wziętych u najpierwszych zamówić krawców.

Matka wielkimi zdumionymi oczyma wpatrywała się w niego.

– Zdaje mi się – rzekła nieśmiało – że wiele rzeczy pilniejszych by było.

– A! nic! nic – przerwał syn namiętnie prawie. – Cóż bym ja począł w czasie koronacji, gdzie posłowie obcy przybędą. Muszę przecie wystąpić, jak przystało panującemu. Podskarbi, nie wątpię, dostarczy mi, choćby z własnej szkatuły, na ten wydatek pierwszej, niezbędnej potrzeby.

Hela, która stojąc z boku słuchała, poruszyła z lekka ramionami białymi. Michał dopiero teraz ją spostrzegłszy, z wyrazem największego poruszenia rzucił się ją witać i – nie zważając na Lubomirskiego, który zabawiał ks. Gryzeldę, odprowadził ją na stronę.

– A! Helo ty moja – począł z niezwykłym pośpiechem – jak mi za tobą tęskno... jak mi brak ciebie! Tak nawykłem się radzić tej mojej Egerii¹⁷³, że często nie wiem, co począć, i boję się stąpić kroku.

¹⁷¹ k r e s y – tu: poczta wojskowa

¹⁷² W e r s a l – (z franc.) – wspaniały pałac i park pod Paryżem założony przez Ludwika XIV. W przenośni: wytworne maniery, wychowanie dworskie. Tu: najnowsza moda

– Masz tylu lepszych doradców ode mnie – skromnie rzekła Zebrzydowska – ale mów, mów, proszę, jak się składają stosunki; jak się stawia Sobieski, prymas, Morsztyn, Dönhoffowie...

Michał nagle sposepniał.

– A! rad bym choć tu u was o tych nieznośnych zawikłaniach zapomnieć, które mnie męczyły przez dzień cały. Nie słyszę o niczym ciągle, tylko o tych wrogach moich. Prymas, hetman – obijają mi się o uszy... Mówmy już o czym innym.

– Ale to jest najważniejsze! – przerwała Zebrzydowska.

– Toteż ja – wtrącił król pośpiesznie – wszystko to zdałem na kanclerza Paca... Pójdę za jego skazówką...

Pomilczał chwilę i weselej dołożył:

– Mów, co ci Tionville ma przywieźć z Paryża? Ja mam na myśli dwie sztuki atlasu dla matki, dwie dla ciebie, koronki... pióra...

– Ale na cóż mnie to wszystko! – przerwała niecierpliwie Zebrzydowska – ja przynajmniej wcale tego nie potrzebuję. Jestem wprost sługą ks. Gryzelda i ani mi przystało...

– Ale! Cóż bo znowu! – począł król, chwytając ją za rękę. – Ja o tym ani chcę słuchać. Dla mnie – mówił z rosnącą żywością – każę wszystko na wzór króla i wedle mody paryskiej sporządzić.

Oczy mu błyszczały, usta się uśmiechały, a Hela patrząc na niego westchnęła.

– Że też wy, królu mój – rzekła smutnie – w takiej chwili stanowczej możecie myśleć o tym!

– Stanowczej! – podchwycił Michał – ale stanowcza chwila już przeszła. Panowie ci są przejeżdżani, poddali się i wszystko się ułożyć musi, dlaczegóż bym ja nie miał zająć się tym, jak się pokażę... Nie trzeba, aby dawne nasze ubóstwo zdradzało się...

Zebrzydowska milczała. Wtem matka, która spragnioną była syna, powołała go do siebie. Ją zajmował głównie prymas i Sobieski.

– Zdaje mi się – rzekł uspokajająco Michał – że się już pogodzili z położeniem. Pac zresztą dokona dzieła... Naturalnie potrzeba ich zdobyć ofiarami, ale ja do nich jestem przygotowany.

Pomilczał trochę i opanowany myślą ciągle jedną – wznowił o wysyłce do Paryża rozmowę.

– Co matka dla siebie przywieźć każe?

– Nic, dziecko moje – odparła staruszka. – Z dawnych splendorów znajdę jeszcze dosyć lam, aksamitów i atlasów, aby w potrzebie wystąpić, jak biednej wdowie przystało... Tych szat żałoby po moim niezapomnianym nigdy Jeremim nie zrzucę – nawet w dniu najuroczystszym, gdy syna jego koronować będą...

Michał westchnął. Widać było, że wielką miał ochotę powrócić do swojej garderoby i wysłańca do Paryża, ale ks. Gryzelda i Lubomirski zwrócili rozmowę na poważniejsze przedmioty i król, posłuchawszy ich trochę milczący, wstał odwołując z sobą Helę.

Poszła za nim posłuszna, a może rada, iż sam na sam, z dawną poufałością przemówić do niego będzie mogła... Zapytała umyślnie, czy widział prymasa.

– Nie – odparł z niechęcią król – pozostawuję kanclerzowi, jako dawnemu jego przyjacielowi, porozumienie z nim. Mam się przyznać? Ten stary obudza we mnie wstręt i obawę niewypowiedzianą. Ma coś w oczach, nawet gdy się przymila i najśłodziej przemawia – tryskającego nienawiścią. Nigdy pono nie przemożę się względem niego.

– Ale mu tego okazywać nie należy – szepnęła Egeria. – Księżna matka zarówno się go obawia, a niemniej by go rada pozyskać...

Michał poruszył ramionami.

¹⁷³ E g e r i a (łac.) – nimfa, doradczyni króla rzymskiego Numy Pompiliusza; w przenośni: doradczyni, towarzysza

– Mówię ci, zdałem to na Paców, oni jedni mogą coś, bo długo z nim byli razem i znają go lepiej od innych. Westchnął ciężko.

– A, Helo moja! Panowie, korona, jakaż to ciężka pańszczyzna! Zowie się to pięknie, ale w istocie jest niewola. Człowiek nie należy już do siebie... Jest na posługi wszystkim, odpowiada za wszystko... Gdy sobie przypomnę nasze wieczory w dworku przy Miodowej, nasze ranki wesołe, przy stoliku śniadania...

– A! te nigdy już nie powrócą – przerwała Zebrzydowska. – Jam je łzami pożegnała...

– A ja... – westchnął Michał – i wnet przybrał postawę energiczniejszą – ale nie! nie – rzekł – nie dopuszczę nigdy, abyśmy się rozłączyć mieli. Matkę i ciebie chcę mieć przy sobie. Nie wyżyłbym bez was, a gdy się moją myślą z wami, z tobą podzielić nie mogę, zdaje mi się, że nie mam prawa nią się pokierować. Ty często jaśniej, lepiej widzisz nade mnie!

– Nie – odezwała się Hela – ale tę nieszczęsną waszą nieśmiałość czasem mogłam zmienić w energię, której teraz właśnie najwięcej potrzebujecie, bo ze słabości będą korzystać.

Matka znowu przywołała syna do siebie, niespokojna chciała go spytać o kogoś... Potrzebowała wiedzieć, jak się względem niego znajdowali Branicki¹⁷⁴ marszałek, chorąży koronny (Sieniawski¹⁷⁵), wojewoda ruski szczególnie, na ostatku wojewoda kijowski, co mówił i myślał książę Dymitr. Od dawna pomiędzy nim a Sobieskim zatarg był, który się zaogniał coraz bardziej, a groził teraz następstwami nieprzyjemnymi. Dla wojny, która się bądź co bądź zapowiadała, zgoda dwu hetmanów była niezbędną.

Lubomirski już wnosił naówczas, co wkrótce do skutku przyjść miało, aby Dymitr starał się o pokrewną hetmana wielkiego księżniczkę Zasławską i Ostrońską. Spodziewano się zbliżając rodziny, pojednać ludzi. Ale tu, jak w każdym kroku Sobieskiego, wpływ żony Marii Kazimiry był przeważający, a ją tak trudno było pozyskać. Z despotyzmem nieubłagany kobiety, która zna swą siłę, rządziła ona mężem, poddanym jej najzupełniej.

Ks. Gryzelda gotową była dostojność swą przed dumną Francuzką ukorzyć i sama pierwsza uczynić kroki... Ale potrzeba było wprzód zapewnić się, że to upokorzenie nie zostanie odepchniętym wzgardliwie.

Wszystko to z chłodem niepojętej obojętności przyjmował król, zatopiony w myślach – niestety – bardzo dalekich od poważnych trosk matki. Rachował właśnie, ile garniturów potrzebować będzie i jaką sumę na nie od podskarbiego weźmie. Oprócz tego niepewien był, czy dwa najparadniejsze, zupełnie podobne, nie będą koniecznymi.

W tej chwili wszedł sąsiad, gospodarz i przyjaciel domu, ks. kustosz Fantoni, który się cieszył widząc ks. Gryzeldę u siebie. Król przywitał go uprzejmie, przypominał mu owe dawne, szczęśliwsze czasy.

Poczęto od różnych drobnostek dotyczących się domu, bo kustosz rad go był uczynić najwygodniejszym dla swej lokatorki, ale po krótkim porozumieniu wstał Fantoni i zwrócił się do króla, który z nim odszedł na stronę. Siedli jak niegdyś dawniej, a zacny kapłan z troskliwością przypatrywał się twarzy młodego pana.

– Wydajesz mi się, W. Król. Mość, zmęczonym bardzo – odezwał się – ani jest się dziwić czemu. Z życia spokojnego przejść bez żadnych pośrednich przygotowań w taki zamęt i na taką wyżyń!

Michał popatrzył na niego, nie śmiejąc skarżyć się zrazu.

– W istocie – odpowiedział – zmęczonym czuję się wielce, a dotąd nic a nic zrobić nie mogłem. Słucham, uczę się, nie rozumiem wiele, ale Pac mnie wyręcza.

– Staremu przyjacielowi pozwolisz W. Król. Mość być szczerym! – odezwał się kustosz.

– A! mój ojczu! – przerwał pochylając się ku ramieniowi jego – mój ojczu!... proszę, zapomnijcie o tej nieszczęsnej koronie.

¹⁷⁴ Jan Klemens Branicki (zm. 1673) – marszałek nadworny koronny

¹⁷⁵ Mikołaj Sieniawski (zm. 1683) – hetman polny koronny, jako chorąży koronny towarzyszył Janowi Sobieskiemu w wyprawie pod Chocim

– Oceniam wysoko przyjaźń i pomoc Paców – ciągnął kustosz dalej – ale potrzeba mieć własną wolę i powoli ze wszelkich się więzów wyswobodzić. Kraj po was, królu mój, wiele wymagać będzie, a nie zechce pamiętać na to, w jak ciężkich warunkach szlachta narzuciła tę koronę! Wojna wisi nad nami, z kozactwem nie ma końca, z Turkami nieunikniona walka. Polska jest otoczona nieprzyjaciółmi, Jan Kaźmirz wam ją przekazał osłabłą, zniszczoną, okrwawioną, zbolalą – a was – opasał kołem zawistnym i wrogów...

– Spodziewamy się ich pozyskać – wtrącił król nieśmiało.

– Nie wiem – mówił dalej kustosz – zjednać będzie trudno, trzeba ich przełamać. Energii na to i silnej woli! Spuścił oczy Michał, jakby nie śmiał ich obiecywać.

– Sobieski – rzekł – musi być pozyskanym, bo my go nie przemożemy. Wojsko ma w nim ufność, wodza drugiego jak on, nie uwłaczając ks. Dymitrowi, znaleźć trudno...

– Sobieski – ciszej odparł kustosz – nie tyle jest strasznym, co prymas... Z bólem serca muszę to mówić o głowie Kościoła. Tego by należało ująć, rozbroić, a to mi zdaje się prawie niemożliwym. Natura to skryta, mściwa i nie przebacząca... Klęski, jaką mu zadano, nie przebaczy nigdy...

– Ale mnie jej przypisywać nie może – odezwał się Michał. On wie lepiej niż inni, żem ani się starał, ani pożył, ani wiedział do chwili ostatniej, co mnie w polu elekcyjnym czekało.

– Tak jest – dodał Fantoni – ale na nikim innym pomścić się nie zdoła, tylko na W. Królu Mości. Mówię to nie dlatego, abym strwożył, lecz żebym obudził męstwo i bacność. Bóg dopomoże, lecz uzbrojcie się i czuwajcie.

To mówiąc powstał kustosz i widząc niepokój matki, ukazał ją królowi, który do niej powrócił.

Takim był początek tego panowania, które się zdało wolą niebios, natchnieniem Bożym w chwili krytycznej zesłanym, a miało być męczeństwem niewinnego, słabego człowieka, który podolać nie mógł zarazem nieprzyjaciółom zewnątrz i wewnątrz mu zagrażającym. Wojna zapowiadała się na granicach, wojnę wypowiadał mściwy Prażmowski. W pierwszych jednak początkach spodziewano się dni jaśniejszych.

Wkrótce nieuniknione małżeństwo młodego pana pierwsze przyszło na stół, aby prymasa zniechęcić i zemstę jego rozżarzyć na nowo.

Prażmowski chciał przynajmniej swoje zaprzeczenie dworowi francuskiemu tym opłacić, by króla z księżniczką Orleańską ożenić. Rozpoczął więc starania o to, pewien, że król młody szczęśliwym będzie i dumnym z tego połączenia, ale przeciwko Francuzce mówiły wspomnienia Marii Ludwiki i frymarki przedwczesne o koronę a intrygi Sobieskiej i kanclerzynie Pacowej. Nie mogła szlachta przebaczyć Kondeusza, złotem jej narzucanego. Wstręt do Francji był niezmierny i stanowczy, tak wielki, że przemógł nierównie bardziej wkorzeniony i starszy jeszcze do cesarskiego domu rakuskiego.

Z tego umiał korzystać książę biskup chełmiński Olszowski i zwrócił się z negocjacjami¹⁷⁶ do Wiednia o arcyksiężniczkę dla Michała.

Była właśnie na wydaniu arcyksiężniczka Eleonora, przeznaczona księciu Lotaryńskiemu, z którym – jak powiadano, łączył ją z dawną serdeczny węzeł, ale polityka nie zna spraw serca ani się lituje cierpieniem dwojga istot dla siebie przeznaczonych, gdy je rozerwać potrzeba dla dogodzenia swym planom.

Olszowski znalazł w Wiedniu poważne ucho i miłe przyjęcie. Z tradycjami domu zgadzało się to zameżcie. Dał Zygmuntowi III dwie żony¹⁷⁷, potem Władysławowi jedną¹⁷⁸, z chęcią w Wiedniu zgodzono się na połączenie z młodym królem, który znanym był tam i cenionym.

¹⁷⁶ n e g o c j a (z łac.) – prowadzenie układów

¹⁷⁷ Mowa o Annie Austriackiej (1573–1598) pierwszej żonie Zygmunta III, córce arcyksięcia Karola Ferdynanda. Drugą żoną Zygmunta III była rodzona siostra Anny, Konstancja (1588–1635)

¹⁷⁸ Mowa o żonie Władysława IV, Cecylii Renacie, córce cesarza niemieckiego Ferdynanda II

Wprawdzie wspomnienia jego pobytu w Wiedniu skromne były... i wcale przeczuwać nie dawały tak świetnej przyszłości.

Walka pomiędzy prymasem a ks. Olszowskim wszczęła się gorąca, zacięta, lecz Prażmowskiego przeznaczeniem było doznawać niepowodzenia mimo największych wysiłków.

Zapowiadało się więc ożenienie z arcyksiężniczką, król milcząco, zimno, z rezygnacją przyjmować się zdawał tę konieczność i następstwo nieuchronne. Obiecywało nowe połączenie to dla zagrożonego kraju pomoc, a przynajmniej poparcie moralne cesarstwa! Wszyscy przyjaciele króla, nie wyjmując Paców, mających tu ściśle z Francją i dworem jej stosunki, godzili się na Austriaczkę.

Prażmowski szalał i odgrażał się, i wściekał, ale musiał tłumić to w sobie, aby na jaw nie wydać z nową doznaną klęską. Mściwy starzec nie mógł przebaczyć Michałowi wszystkiego, co z jego powodu połknąć musiał i milcząco pochłonąć w sobie. Najzuchwalsze plany krążyły w znękanym starcu, który rozpaczą do nich był przywiedziony.

Całą swą więc siłę zwrócił on ku tym, których dawne stosunki z nim łączyły, aby ich zachować przy sobie i użyć przeciwko temu, którego za wroga swego uważał.

Sobieskiego szczególnie starał się utrzymać, rozjatrzyć i wszelkie usiłowania pojednania zniweczać. Tak też, dzięki jego zabiegom, zbliżenie się do Wiśniowieckich przez małżeństwo ks. Dymitra z ks. Susłowską przeszło na niczym. Stare spory i niechęci odżywiono.

Jednych Paców nie udało się prymasowi od króla oderwać. Ci mu pozostali tym wierniejsi, że Sobieski był połączonym z Radziwiłłem, a walka o przewagę na Litwie z nimi nie ustawała.

Król Michał niewielu sobie zdobyć potrafił przyjaciół – czuwał nad tym Prażmowski. Szczupła garstka wiernych tron chwiejący się otaczała. Chmurny horyzont, burzami brzemienny, zawisł nad Rzeczypospolitą.

Wybraniec szlachty niósł ciężki krzyż na ramionach – posępny i milczący dźwigał męczeństwo swoje.

Ożenienie z arcyksiężniczką Eleonorą, walkę, która go zewsząd cisnęła, miało przenieść do domowego pożycia, nieprzyjaciela posadzić u wezglowia, aby ani chwili jednej nie miał już spokoju i wytchnienia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Częstochowa, której wizerunek cudowny tysiące pielgrzymów ściągał od wieków, w tych latach była jeszcze nowym, świeżym okryta blaskiem wspomnień obrony od Szwedów.

Wszystko tu jeszcze przypominało te chwile walki nierównej, gdzie po jednej stronie stała ziemską pięści potęga, szwedzki żołnierz liczny, zbrojny, wprawny, uzuchwalony zwycięstwami, z drugiej garstka mnichów, gromadka ludzi, pościąganych losem pod chorągiew Matki Boskiej. Zwycięscy wszędzie Szwedzi, wysiliwszy się na zdobywanie małej twierdzy siłą niewidzialną bronionej, w końcu z niczym odejść musieli.

Rozgłos tej obrony, imię Kordeckiego¹⁷⁹, nadawały miejscu temu nowy blask, aureolę szeroko rozciągającą się nad błogosławną świątynią na niewzruszonej opoce. Świeże jeszcze pamiętki tych dni heroicznej walki, cierpień, niedostatku, trwogi, na przemian i nadziei, spotkać można było wszędzie. Tam tylko, gdzie tego wymagało bezpieczeństwo, pozalepiano wyłomy, pozapelniano szczyby, zakryto blizny chlubne; gdzie indziej sterczały w murach kule bezsilne, widać było drogi i ślady pocisków, które się rozbiły o słabe ściany kościoła i klasztoru.

Żyli jeszcze ludzie, którzy tu walczyli, co byli świadkami tych dni, już jako starożytne jakieś dzieje ozłoconych blaskiem legendy, opromienionych cudami.

Nie było w podwórzach, przy narożnych basztach, w krużgankach miejsca, z którym by się jakieś nie łączyło wspomnienie. Starzy dziadkowie kościelni drżącymi rękami pokazywali, gdzie stał Kordecki, którydy dobijali się Szwedzi. Nieme teraz też same działka niewielkie odpoczywały na murach, które ich zwycięsko obroniły.

Historia była tak cudowną, tak dziwną, iż słuchając jej pielgrzymi płakali, klękali i całowali ziemię, uświęconą tą łaską niebios.

Wszystko znowu powróciło na miejsca swe, co w obawie nieprzyjaciela naówczas skrywać musiano, owe skarby, które nęciły żołdaków dobyto, mnogie vota okrywały wspaniały, hebanowy ołtarz Ossolińskich, a lud podwojonymi zgłiszczami płynął z całej Polski, z sąsiedniego Szląska, z Rusi, do łaskami słynącego obrazu. Szczególniej we dnie czci Marii poświęcone mała twierdza, przedmieścia i wioseczki pobliskie nie mogły pomieścić pątników.

W końcu lutego następującego roku, chociaż żadna z tych uroczystości nie przypadała, Częstochowa–twierdza, miasteczko, okolice były przepełnione przyjezdnymi. Do klasztoru ani się docisnąć było można, liczne straże wojskowe ustawione były wszędzie i tłumowi napływać nie dawały. Nie był on też podobnym do tych gromad pobożnych wędrowców, które tu pieszo przyciągały z kijami w rękach i węzełkami na ramionach. Ogromne wozów tabory rozciągały się pod murami, namioty i chałupy, mimo pory zimowej, osłaniały ludzi i konie, nie mogąc się w murach pomieścić.

¹⁷⁹ Augustyn Kordecki (1603–1673) – ksiądz, przeor paulinów na Jasnej Górze, obrońca Częstochowy przed najazdem szwedzkim. Kordecki swoją nieugiętą postawą podczas oblężenia Jasnej Góry dał hasło do powszechnej walki z wrogiem i do wyparcia Szwedów z granic Polski. Kraszewski pamięć Kordeckiego uczcił w powieści pt. *Kordecki*

Nadzwyczajne przygotowania kazały się domyślać jakiegoś obchodu wspnianalego. We wrotach głównych widać było rusztowania świeżo pobudowane, a obok nich stosy zielonej jedliny i jałowców. Około kościoła, na drabinach, ludzie rozwieszali długie sploty gałęzi, mające przyozdabiać ściany. Wszędzie ruch i krzątanie się były nadzwyczajne, kominy buchały słupami gęstego dymu, a naprędce z kamieni i cegieł powznoszone kuchnie żarzyły się niezmiernymi ogniskami, przy których całe sztuki zwierzyny i różnego mięsiva się piekły. Strażom zbrojnym, chodzącym z halabardami, rozpędzającym tłumy, ciężko było je w granicach naznaczonych utrzymać. Krzyki dawały się słyszeć tu i ówdzie. Tymczasem dzwony zwykłym porządkiem wołały na modlitwę, a z kościoła słychać było brzmienie organów i dobywające się pieśni.

Niedaleko od wnijsia bocznego do kościoła, obok szeregu ławek, straganików i budek, w których sprzedawano obrazki, szkaplerze, medaliki, świece i vota różne, w gwarze ciągle płynącego dwoma prądami ludu, stało dwóch szlachty, ludzi średniego wieku – jeden chudy, z szyją długą, którą kołnierz kozucha lisiego po trosze osłaniał od zimna, drugi okrągławy, z twarzą mocno zaczerwienioną, z uśmiechem na ustach, w wilczurze podpalanej i ciepłych butach.

– A co? a co? – mówił żywo, spluwając ciągle baryłkowaty szlachcic – nasz król szlachec-ki, albo się to gorzej prezentuje niż ci, którzy go poprzedzili? Ot, jak wystąpił! a nie powiedzą też, aby się małżeństwem upośledził, boć bierze arcyksiężniczkę austriacką, cesarską córkę, którą sama cesarzowa aż tu, do Częstochowy, ma przeprowadzić! *Sub intelligitur*¹⁸⁰, że i posag musi być cesarski i splendor niemały spływa na naszego elekta!

Szlachcic z szyją długą słuchał obojętnie, oczyma biegając dokoła.

– No, no, panie Grzegorzu – odparł po namyśle – tak ono to się wszystko wydaje w łaskawych oczach waszych, ale... ba! ba! ba!

I ręką począł w powietrzu dziwnie kręcić, głową też potrząsać, a po ustach uśmiech szydski latał.

– Na oko, w istocie – mówił dalej – *splendissime*¹⁸¹ wszystko to wygląda. Można by sądzić, że pan nasz szczęśliwy, potężny, bogaty, i że mu ptasiego mleka tylko braknie – ano, w rzeczy samej wcale jest inaczej.

Grzegorz zdumiony zza pasa ręce okryte futrzanymi rękawicami wydobył.

– Co asindziej mówili – zakrzyknął – może to być? Szlachcic o długiej szyi strząsnął się, bo mu zimno być musiało i rzekł:

– Ja tu, mosanie, na mrozie i wietrze długo w konwersacji nie dotrzymam, chcesz pogawędzić, idźmy gdzie pod dach, bo wiatr smaga i mróz się wzmaga...

– A gdzie tu pod dach? – westchnął Grzegorz – wszędzie, jak nabito... Za husarzami, za hajdukami, za czeladzią królewską nigdzie się nie docisnąć...

– Ja tu mam braciszka znajomego, a po trosze i pokrewnego – przerwał z otuchą. – Mała figurka, bo nawet nie mszalny, tylko braciszek, ale wiele dziś znaczy, bo mu, słyszę – dozór nad spiżarniami i piwnicą powierzono...

– A jakże wy się chcecie do niego dostać? – zawołał Grzegorz. – To to właśnie, jak na lep, wszyscy muszą do niego się ściągać i oblegać.

Chudy głową potrząsnął.

– On nikogo nie wpuszcza do siebie – rzekł – a choć w sukni zakonnej chodzi, ale to taki zawadiaka, że sobie nikomu nie da imponować, a i siłę ma po temu, bo z jego garści trudno całym wyjść. Dlatego pewnie go na straży tych skarbów postawiono. Chodź no za mną, spróbujemy.

¹⁸⁰ *Sub intelligitur* (łac.) – samo przez się rozumie się

¹⁸¹ *splendissime* (łac.) – najwspanialej

Próbować w istocie trzeba było i nie bardzo szczęśliwie precyzyjnie się do klasztoru, bo im bliżej murów i wniść, tym tłum stał gęstszy, a gdzieś tam tak zbity, że na wpół zduszone niewiasty wniebogłosy krzęczały.

Nie byłoby się im może udało wniść do środka, bo tu straż wojskowa nie dopuszczała lada kogo, gdyby u drzwi bocznych klasztoru nie wybiegł w habicie paulinów, w czarnej, z futerkiem, czapeczce na głowie, mężczyzna olbrzymiej statury¹⁸², z twarzą rumianą, z oczyma na wierzch wysadzonymi, z wargami na wpół otwartymi, jakby nie dokończonym wołaniem.

– Ojcie Czesławie! – zawołał, rękę ku niemu wyciągając, w lisiurkę odziany – na miłość Bożą, pozwól nam we dwu przysiąc i spocząć u siebie!

Usłyszawszy ten głos błagający, skrzywił się niezmiernie zajęty i spieszący zakonnik, ale poznawszy mówiącego, twarz mu się rozjaśniła.

– A, Ireneusz... jak Bóg miły, a ty tu skąd? – zawołał.

– Nie pytaj, a ratuj – odparł chudy – boki mam poobijane, a uszy bodaj poodmrażane... Zlituj się!

– Wielu was jest? – zapytał Czesław.

– Dwu tylko, dwu! – daje słowo...

– Czekać tu na mnie, gdy powracać będę – rzekł głos zniżając zakonnik – zabiorę was z sobą...

Dokończywszy tych słów, a odpowiedzi nie czekając, puścił się o. Czesław pośrodkiem największego ścisku i ciżby i tak sobie umiał przejść zdobywając potężnymi rozmiarami, że się aż ślaniai ludzie. Znikł wkrótce gdzieś w stronie kuchni, a oczekującym nie pozostawiało nic, tylko rękami bić po plecach dla rozgrzania się i nogami tupać.

Chwila oczekiwania wydała się dosyć długą, ale tłum znowu falować i przeć się zaczął, a czarna czapeczka z uszami o. Czesława wypłynęła ponad głowy, a i mnich dał im znak, aby w ślad za nim postępowali.

Nie było to łatwym, bo miejsce sobie musieli przebojem zdobywać, ale w progu, z pomocą zakonnika, zsunawszy się po dwu stopniach w dół znaleźli się w korytarzu, gdzie już nie było takiego natłoku, mogli odetchnąć, chociaż i tu pusto nie było. Ruch panował wszędzie...

Szli w milczeniu dalej i coraz dalej krążkami aż do drzwi, które kluczem z kieszeni wydobyty otworzył o. Czesław, wpuścił ich do wnętrza i za sobą je zatrzasnął.

Nie była to cela zakonna, jak się spodziewali, ale rodzaj składu czy spiżarni, na ten czas w wielkim nieładzie.

O. Czesław witał ich uśmiechem.

– Dwa stołki może sobie gdzie znajdziecie albo zydeł, albo pustą faszeczkę, odpocznijcie, ja czasu nie mam. Patrzcie, co tu się koło mnie dzieje.

W istocie nie jedna, ale dwie izby dosyć obszerne, polepione, które para okien ponad samą ziemią umieszczonych olśniewała skąpo, bo w dziedzińcu ludzie stojący całkiem je prawie zasłaniai, wyglądały na spiżarnię na wpół zrabowaną.

Nie było czasu porządku utrzymać żadnego. Tuż przy drzwiach ogromną baryłkę czuć było octem, którego pełną być musiała, dalej parę beczek z liwarem i z balijkami ogromna fasa z nadwierzonymi obręczami, na podłodze konewki, wiadra – necki. Na ścianach półki zastawione były garnkami przeróżnej wielkości, czarnymi, czerwonymi, białymi, butlami i słojami. W drugiej izbie był wprawdzie stół jako tako z desek zbity i rondel przy nim, ale jedno i drugie zarzucone naczyniami i szmatkami, tak że miejsca tu sobie znaleźć nie było łatwo.

– Gospodarujcie, siadajcie, a mnie nie pytajcie – zawołał o. Czesław. – Nie mam na nic czasu. Zdano na mnie spiżarnię królewską, w części i klasztorną, głowę tracę. Gdzie tu temu

¹⁸² s t a t u r a (łac.) – postać, postawa, wzrost

wydołać!... A nakradną przy tej sposobności – strach pomyśleć! Cynamon, gwoździki, pieprze najprzedniejsze cetnarami im trzeba wydawać!

Chwycił się za głowę, ale nie tracąc czasu, mówiąc, ze stołu wziął gąsiorek próżny, powąchał go, przystawił z lejką do beczki, natoczył płynu bursztynowego koloru i postawił przed gośćmi, którzy na zydłu przysiedli... Oczyma poszukał kubków, prędko je zdjął gdzieś z półek i rzekł:

– Ogrzejcie się, ale nie przebierajcie miary.

Okrąglemu szlachcicowi cała twarz drgać i śmiać się zaczęła aż do najmniejszej zmarszczki. Zdawało się, że nawet włosy, trochę po zdjęciu czapki rozrzucone, wesołość tę oblicza dzielą.

– Dobroczyncą naszym jesteście – zawołał – bo to mróz, wiatr, że człowiek do szpiku kości przemarzł!

– To ostatki już zimy – przerwał zakonnik – dziś a jutro nastąpi odwilż i wiosna...

– Ej? ej? – pochwycił p. Ireneusz – a wy to skąd wiecie?

– Pijawki mi to powiadają, a to nigdy nie chybia – odpowiedział o. Czesław, który nie przerywając rozmowy ciągle się krzątał, chodził, coś dobywał, zawijał, mruczał, ważył na szalkach, a na chwilę nie spoczął.

– Panu Bogu dziękuję, gdy się to wszystko skończy – mówił – a najjaśniejsi państwo do Warszawy odjadą. Szczęść im Boże! Ale dziś dopiero wieczorem sam król przybywa, jutro ślub, uczta, potem wesele, tak że ledwie na św. Kaźmirz stąd wyruszą. Przez wszystek ten czas ani się pomodlić, ani zdrzemnąć. Modlitwy odmawiam chodząc, a często jedną pięć razy pocynam, nie mogąc dokończyć. Pan Bóg mi to przebaczy, bo i pierwsze posłuszeństwo niż nabożeństwo, wedle reguły zakonnej.

– Ale to na was zbyt wielkie włożono brzemię, kochany wujaszku – odezwał się chudy p. Ireneusz – żeby wam choć do pomocy kogo dali.

– Miałem ich dwu! – zawołał o. Czesław. – Cóż myślicie? Tylko mi przeszkadzali, a bałamucili. Wolę sam. – Otarł pot z czoła, bo mimo chłodu pocił się i cały był zdyszany.

Ireneusz spoglądał na niego z czułością wielką.

– Jak mi was żal – wyjąknął – ale dla króla to naszego czynicie, a to jest nasz król, nasz!

– Jak to, nasz? – zapytał zakonnik.

– Bo myśmy go, a nie panowie i senatorowie królem okrzyknęli – rzekł Piotrowski, gdyż on to był...

– No, to ja wam powiem – rozśmiał się o. Czesław, że choć się jutro z cesarzówną żeni, choć go splendory królewskie otaczają – ale nie musi wam być wdzięcznym!

– Jak to? Dlaczego?! – krzyknął Piotrowski. Zakonnik się rozmyślił, potarł ręką po twarzy, odetchnął i nie odpowiadając zapytał:

– Może byście co przekąsili?

– A! co tam, przekąsili! – podchwycił Piotrowski. – Nie o przekąskę idzie, ale coście powiedzieli? Dlaczego wdzięcznym być nie ma?

O. Czesław, który towarzysza swojego siostrzeńca nie znał, zamruczał tylko:

– Ciężka to rzecz korona. Ta, którą nam na głowie balwierz¹⁸³ wygoli daleko lżejsza i łatwiej ją nosić.

To mówiąc obrócił się do swych faszeczek i począł gospodarować. Orzeźwiająca woń korzennych przypraw rozeszła się po izbie. Kągły p. Grzegorz nosem ją wciągał z przyjemnością.

– Toć to będą łakocie – szepnął – a na te tłumy gości jak nastarczycie, dalipan ani wiem!

– Nastarczym – rzekł śmiejąc się o. Czesław – bo nas uprowidowano i my się sami też zmożli na zapas taki, aby lepiej co pozostało, niż odrobiny zabraknąć nam mogło. Co wy so-

¹⁸³ b a l w i e r z (z franc.) – golarz

bie myślicie, he? Zjedzą nam husarze i wojsko z senatorami razem czterysta wołów, cztery tysiące baranów, drugie tyle z czubem jagniąt, sto jeleni, pięciu łosiów, parę tysięcy zajęcy, kilkadziesiąt dzików, pięć tysięcy par kuropatw, sześć tysięcy indyków, trzysta bażantów, cieląt już nie wiem wiele.

Szlachta za głowy się chwyciła.

– Tak, tak – śmiał się z ich podziwienia o. Czesław – ale pamiętajcie, że król prowadzi z sobą pułki całe, a to naród żarłoczny. Czeladź i ciury też powietrzem nie żyją.

– A cóż oni wypiją?! – zawołał okragły szlachcic.

– O! tego ani wymierzyć, ani obliczyć! – pucował o. Czesław. – Samego przedniejszego wina hiszpańskiego i węgierskiego beczek dosyć naściągano.

– I co to kosztować będzie? – zamruczał Piotrowski. Zakonnik się rozśmiał.

– Króla IMci dosyć, a i klasztor niemało, bo my, choć zakonnicy ubodzy, nie możemy dopuścić, abyśmy też panu coś naszemu nie przynieśli. Gdyby mu to przynajmniej na szczęście było! – westchnął mnich – ale...

Ręką zamachnął i umilkł.

– A dlaczegoż nie miałby być szczęśliwym? – odparł Piotrowski.

Czesław długo nań patrzył.

– Bo te królewskie i cesarskie małżeństwa – rzekł – kojarzą się na los szczęścia. Nie znają się z sobą przyszli małżonkowie, a często jedno z nich kogo innego ma w sercu, a innemu rękę oddać musi. Na dwoje babka wróżyła!

– Nasz król – począł Piotrowski – nic mu ująć, młody, przystojny, wedle ich obyczaju ubrany i ufryzowany, grzeczny i układny, czemu by się podobać nie miał?

– Nie zapominajcie o tym, że z cesarskiego domu arcyksiężniczka – mówił ojciec – która może pamiętać, jak u dworu nasz król, naonczas podkomorując, chodził za stołem... nosem będzie pokręcać... – zamilkł chwilę ojciec Czesław. – Jako powiadam, po co mu było konieczne cesarzównę albo królową szukać – dodał – wybraliście Piasta, trzeba mu było Rzepichy poszukać, a byłaby się znalazła, z rakuskiego zaś domu...

Książd się zamyślił i urwał nagle. Do drzwi stukać zaczęto, wybiegł za głowę się porwawszy. Z pierwszej chwili słychać było głosy pomieszane. O. Czesław się spierał i fukał. Kuchmistrze nalegali i na ostatek poczęto coś wydawać, a szlachcice z dala świadkami byli, jak zabierano oberemkami¹⁸⁴ najkosztowniejsze przyprawy.

– Nam w domu czasem chrzanem, koprem i kminem obchodzić się trzeba – rzekł Grzegorz – i jakoś się z tym żyje, ale tu... Korzenno być musi a dostatnio. My też ogórkami się obcho-dzim, gdy im limonii¹⁸⁵ i pomarańcz mało.

O. Czesław powrócił, odprawiwszy kucharzy.

– Nie powstydzimy się choćby i cesarskiego dworu i cesarzowej matki, która córkę od-prowadza – rzekł. – Kuchmistrzów mamy, z których jeden pryncypalny u Jerzego Ossoliń-skiego¹⁸⁶ się aplikował¹⁸⁷, a potem kuchnię prowadził, inni też i za granicą u książąt różnych uczyli się swej sztuki. Obiecują też cuda! Sami cukiernicy, co budują do postawienia na sto-łach, to tylko iść, patrzeć a zdumiewać się, z taką oni sztuką piramidy całe wznoszą, jakby z marmurów, alabastrów i kryształów.

Piotrowski się uśmiechał, po troszeczkę wino cmoktając.

– A gdybyście byli króla tego naszego widzieli, gdy w dzień elekcji stał pod chorągwią, niepoczesny, skromny, zbiedzony... – począł spod wąsa – na pole przybył bodaj samotrzeć,

¹⁸⁴ o b e r e m e k – naręcz, wiązka

¹⁸⁵ l i m o n i a (z włos.) – cytryna

¹⁸⁶ J e r z y O s s o l i ń s k i (1595–1650) znakomity mąż stanu, marszałek sejmu, jako poseł Rzeczypospo-litej odbył słynny wjazd do Rzymu

¹⁸⁷ a p l i k o w a ć (z łac.) – tu: służyć bezpłatnie

konie – pozał się Boże, barwa wyczesana. I oto cośmy dokazali, dziś on cesarzównę zaślubi i tysiącami zamierza gości nakarmić.

– Ja zaś powiadam wam – przerwał zakonnik – aby tylko wdzięczen był... Nasza głowa Kościoła – prymas, cierpieć go nie może, choć musi, hetman także nieprzyjaciół, między senatorami dobrze połowa wrogi. Gdyby mogli, w łyżce wody by go utopili.

– Ale królem jest! – podchwycił Piotrowski gwałtownie. – Na jego miejscu wszystkich tych wrogów króla *a per consequens*¹⁸⁸ i ojczyzny nauczyłbym rozumu.

– Gdyby było komu pomóc – rzekł ciszej zakonnik – ale on bez mała sam stoi jak palec.

Zamilkli wszyscy.

– Teraz już mu szlachcie pomóc będzie trudno – odezwał się, pomyśliwszy, Piotrowski – ale jednak, gdyby bardzo prymas ze swymi bruździł, kto to wie? Możemy stanąć przy nim i obronić.

O. Czesław zamilkł.

– Biedny to człowiek – rzekł po chwili – wiem od tych, co go otaczają. Męczennikiem jest, a siły mu Pan Bóg nie dał do takiej walki nieustajnej, gdzie na każdym kroku trzeba patrzeć sidła i zasadzki. Powiadają, że czasem wszedłszy do gabinetu swego modli się a płacze... Czasem wybucha, ale to ogień słomiany; podrażni tylko nim nieprzyjaciół, a nazajutrz zmięknie... A przy tym – dodał ciszej zakonnik – szczęścia nie ma! Nic mu się nie wiedzie, Bóg go kocha, bo mu krzyże zsyla. Dlatego ja i tego małżeństwa więcej się obawiam, niż nim cieszę.

– Hm! – mruknął Piotrowski.

O. Czesław sparł się na stole i pochylił ku niemu.

– Ks. biskup chełmiński – ciągnął dalej – panu i królowi jak najlepiej życzył, swatając arcyksiężniczkę Eleonorę, ale czy o tym wiedział, co ludzie powiadają, że była przeznaczoną księciu Lotaryńskiemu i z nim od dzieciństwa w wielkiej i serdecznej poufałości? Jedzie tedy pewnie ze łzami do nas, a ze wstrętem do narzeczonego jej męża, a że krew w sobie czuje cesarską... Ten zaś potulny i łagodny jest – czego się tu spodziewać?

– Ale bo – gwałtownie podchwycił Piotrowski – wy, mój ojciec, widziecie wszystko tak czarno, że aż mnie się zrobiło straszno w duszy. Niech Bóg uchowa! Król mężczyzna, powinien się postawić tak, aby mu nikt nie śmiał...

Dobrodusznie O. Czesław począł się śmiać mocno.

– Ireneuszu mój – zawołał – widziałeś ty kiedy mężczyznę, aby nad niewiastą górę wziął? Nigdy w świecie! Dlatego ojcowie kościoła zowią ją kusicielką, istotą nieczystą, niebezpieczną. Grzech i kara na ziemię przez nią przysły.

– Ale też i odkupienie – przerwał Grzegorz.

Zakonnik zamilkł chwilę.

– Tak, ale na to było potrzeba istoty bez zmazy poczętej i nad wszystkie niewiasty wyniesionej – odezwał się poważnie. – Ano dosyć tej teologii, dosyć! Oto macie po kawałku piernika – dodał – pijcie wino, zakąście i wynoście się, bo ja muszę do ojca przeora, a potem do innych spizarni. Wszystko na mojej głowie.

Odprawieni w ten sposób goście dopili kubki i podziękowawszy za przyjęcie wyszli nazad w podwórcę, gdzie ścisk się jeszcze powiększył, bo ciągle nadjeżdżały wozy królewskie i sługi. A około murów, bram, pełno było drabin i ludzi na nich kończących przyozdobienia.

Kolebki na saniach właśnie zatrzymały się były za służbą – i jezdny, który im towarzyszył, wołał niecierpliwie, dopominając się stanowniczego¹⁸⁹, a niełatwo go było odszukać.

W tłumie szeptano, że z Warszawy przybyły panie dworskie z ochmistrzynią, które przyszelej królowej frauencymer składać miały, i w istocie zza firanek widać było wyglądające i kryjące się zaraz od ciekawych oczu twarzyczki kobiece.

¹⁸⁸ *p e r c o n s e q u e n s* (łac.) – w konsekwencji, w następstwie

¹⁸⁹ *s t a n o w n i c z y* – urzędnik dworski mający pieczęć nad przydziałem noclegów

Nim stanowniczy się zjawił, jeszcze młody dworzanin królewski pędem przybiegł do kolebek i począł do nich zaglądać, szukając kogoś znajomego. Był to Kiełpsz, a domysleć się łatwo, że kogo innego tak chciwie szukać nie mógł, tylko panny Heleny Zebrzydowskiej, o której wiedzieć musiał, że się tu znajdowała. Jakoż wykrzyk wesoły oznajmił, że ją znalazł, ale twarz, która się ukazała witając go, tak była blada i smutna, że nawet Kiełpsza wnet ostudziła.

– Czekamy, nie wiedząc, gdzie wysiąść i pomieścić się – odezwała się Hela obojętnie. – Nigdy tu nie byłam, a moją pielgrzymkę rada bym rozpocząć od ołtarza Matki Boskiej, bo ona tu panią i gospodynią. Ale same z panną Popielówną i towarzyszką moją nie trafiemy.

– Ścisk okrutny, ale wzięwszy jednego z czeladzi – odezwał się Kiełpsz – podejmuję się panie do kaplicy wprost poprowadzić.

Kobiety już wysiadać miały, gdy Sobolewski, stanowniczy, przypadł zdyszany i nie dopuścił mówiąc, że wyznaczone komnaty mają na dole, a z nich daleko łatwiej korytarzami dostać się do kościoła, nie potrzebując przez tłum się przebijać.

Tak się też i stało, on i Kiełpsz wysadzili wszystkie panie przed samymi drzwiami, u których straż stała i towarzyszyli im do sklepionych pokojów dla nich przeznaczonych, w których ciepło było i mniej więcej na przyjęcie gotowo. Rozumie się tylko, że przy takim natłoku panie się musiały obozowym na ziemi pościeleniem zaspokoić. Młode i wesołe, prawie wszystkie gościnę tę klasztorną przyjęły śmiejąc się i ochoczo.

Kiełpsz, który Helą wprowadził, nie miał siły się od niej oddalić, chociaż ona wydawała się tak zmęczoną, była tak milczącą, jakby jej wszelkie towarzystwo ciążyło.

– Każesz mi pani sobie pokazać drogę do kościoła? Jestem na usługi – odezwał się. – Gdyby nie to, nie byłbym natrętnym.

Kilka towarzyszek Zebrzydowskiej oświadczyło też chęć pomodlenia się naprzód przed cudownym obrazem i Kiełpsz, teraz tytułujący się krajczym przyszłej królowej, poprowadził je znanymi już sobie przejściami do kościoła i kaplicy.

Tu jednak, mimo godziny, w której się już żadne nie odbywa nabożeństwo, ścisk pobożnych był tak wielki, iż fraucymer królowej z największą trudnością się mógł dostać do kaplicy przepełnionej pobożnymi, z których wiele krzyżem leżało, płakało i modliło się głośno. Cisza panowała tam, tylko przejmującymi niekiedy przerywana westchnieniami pobożnych, a z podwórców głuchy zaledwie szmer dochodził.

Hela upadła na kolana i cała pogrążona w jakimś uczuciu głębokim zdała się zapominać, co się dokoła niej działo. Z oczyma wlepionymi w obraz ciemny modliła się gorąco. Kiełpsz, stojący niedaleko, dojrzeć mógł płynące po jej twarzy łzy. Długa chwila upłynęła tak, nim nareszcie zmęczone podróżą powstawać zaczęły, a jedna z nich szepnęła Heli, iż także powinna była iść, a spocząć.

Wstała więc i ona, powolnym krokiem z Kiełpszem idąc za swymi towarzyszkami.

– Króla się dziś spodziewamy – rzekł Kiełpsz – i radzi byśmy doczekać.

– Jedzie – krótko odparła Hela.

– Pani go pewnie widziała? – mówił dalej Kiełpsz – mnie się wydał, gdym go opuszczał, tak smutnym, że mi się aż serce ścisnęło. Kto by się domyślił, że na wesele jedzie?

Hela westchnęła.

– Pan wiesz, że go zmusili do tego – odparła smutnie Hela – ksiądz Olszowski głównie, który koniecznie chciał z domem cesarskim związku, bo się obawiał, aby francuskie intrygi nie uwikłały króla. Ale tak jedno, jak i drugie ożenienie – biednemu panu...

Nie dokończyła i zamilkła.

– O, już to, że biedny, to biedny – szepnął nowo mianowany krajczy – my, co się ciągle o niego ocieramy, wiemy to najlepiej. Prymas i hetman, w czym mogą i jak mogą, szkodzą, nękają, sprzeciwiają się, prześladowają, a on – zbyt dobry jest.

– A i to prawda – przerwała Hela żywo – nadto powolny i łagodny, ale natury jego nie zmienić nie potrafi. Co to małżeństwo mu gotuje – dodała – jeden Bóg wie... Miał dotąd przynajmniej czasem chwilę wytchnienia, teraz i tę mu ono odbierze.

– No – rzekł Kiełpsz – ja się tym pocieszam, że arcyksiężniczka młoda, król miły i umięjący serca pozyskiwać, nie może to być, aby ona się do niego, a on do niej nie przywiązał.

Na twarzyczce bladej panny Zebrzydowskiej nagle zjawił się rumieniec, oczy jej błysnęły ogniem jakimś dziwnym, wargi zadrgały, lecz nic nie odpowiedziała długo, a potem cicho szepnęła:

– Daj Boże! Daj Boże!

– Pani widziała jej konterfekt?¹⁹⁰ – zapytał Kiełpsz.

– Tak, król mi go pokazywał – odparła krótko.

– Dostyc przystojna – odparł krajczy.

– Ja tego nie znajduję – rzekła Hela – twarzyczka pospolita, a wyraz jej dumny... Zresztą malarze nie zawsze trafiają.

– I to też pani słyszeć musiała – szepnął Kiełpsz – bo to wszyscy powtarzają, że była słyszcz przeznaczona innemu... Lotaryńskiemu podobno, z którym się знаła od dzieciństwa.

– Żal mi jej – odpowiedziała Zebrzydowska – ale się za swój los na naszym panu mścić gotowa...

– Ja nie wiem – począł młody krajczy – ale mnie się zdaje, że naszego króla choćby kto miał nawet ochotę nienawidzić, on go swą dobrocią i łagodnością rozbroi. Prawda, że tego starego, nieznosnego klechy nie potrafi skruszyć, ale – to człowiek niedobry. Niech mu Bóg nie pamięta...

Szli tak, po cichu rozmawiając, powoli aż ku drzwiom pokojów, przeznaczonych dla frau-cymeru. Kiełpsz westchnął.

– Panno Heleno – rzekł po cichuteńku – kiedyż ja się doczekam tego, co dla mnie jest życiem lub śmiercią? Mam przyrzeczenie, że...

Hela podniosła oczy ku niemu.

– Panie Zygmuncie – odezwała się – cierpliwości! Myślmy teraz o królu, nie o sobie.

– Ale ja już czekam tak długo.

– Chcesz więc, abym prędej mu... podziękowała i powiedziała: „nie mogę”?

– A! Boże uchowaj! – krzyknął aż nazbyt głośno, zapominając się Kiełpsz. – Gotówem czekać, byle nie dostać grochowego wianka¹⁹¹. Ja wiem, iż jej wart nie jestem, panno Heleno, ale kocham tak...

Nastąpiło milczenie. Szli już do drzwi, Kiełpsz schylił się do jej ręki, pocałował ją i musiał odejść, a frauencymer wesoło wbiegł do przeznaczonego mu mieszkania.

Krajczy zadumany wolnym krokiem udał się ku wyjściu. Co chwila króla się spodziewano, a choć przyjęcie tego dnia nie miało być uroczyste, duchowieństwo, senatorowie i wojsko wyglądało przybycia.

Późno już kolebka, otoczona znacznym oddziałem jazdy, a za nią dwie inne, wszystkie na saniach, ukazały się we wrotach i król wprost udał się do kaplicy, na której progu biskupi, przeor i mnogi kler oczekiwał na niego. Lubomirski i jeden z młodych Paców mu towarzyszyli.

Przed ołtarzem padł na kolana i modlił się. W godzinę potem już sam jeden siedział z Lubomirskim zamknięty, wyprosiwszy sobie spoczynek. Marszałek dworu przyjmował gości w refektarzu... Wieczere dla króla podano mu osobno, ale tego dnia ów, co jeść zwykle lubił i był smakoszem, nic prawie nie tknął.

Lubomirski patrzył i ramionami poruszał.

– Zmęczony jesteś – rzekł z dumną poufałością do niego.

¹⁹⁰ konterfekt (z łac.) – portret, wizerunek, podobizna

¹⁹¹ g r o c h o w y w i a n e k – tu: dostać odmowną odpowiedź od panny, dostać odkosza

– Nie – odparł Michał – jestem jakimś przeczuciem, trwogą, niewypowiedzianą tęsknicą przygnębiony.

Załamiał ręce.

– Ja jej, ona mnie nigdy kochać nie będzie – począł chmurno. – Obojętną może pozostać, serca zmusić niepodobna; wiem, że kocha innego, ale mścić się zechce na mnie za to, że los mnie jej narzucił.

– To są urojenia! – rzekł Lubomirski. – Tak jak ów projekt wydania jej za Lotaryńskiego jest plotką. Tworzysz sobie troski przedwczesne...

Król westchnął i ręce na piersiach złożwszy chodzić począł.

– Wszystko to być może – rzekł. – Nazwij urojeniem, jak chcesz; czuję nadciągającą burzę nową. Powiedz mi, com ja zawinił, że tak pokutować muszę. Wiesz, co cierpię...

– Zawiniłeś, bracie mój a najjaśniejszy panie – odezwał się Lubomirski, usiłując rozmowę uczynić weselszą – tym, że wszystkich chcesz rozbrajać dobrocią, ujmować łagodnością.

– Próbowałem iść za radą waszą – przerwał król – sam wiesz, że kilka razy otwarcie i groźnie wystąpił. Cóż to pomogło? Podrażniło ich tylko.

– Bo wiedzieli dobrze, iż to nie wyszło z ciebie, ale z nas, że trwać nie mogło. Bądź nieubłagane surowy.

– Cóż to pomoże? – uśmiechając się smutnie, odparł król. – Prymasa złożyć nie mogę, skarżyć się na niego do Rzymu – nie pomoże nic. Hetmanowi władzy nie mam odebrać prawa. Ufają w to – i póki ja i oni żyją, wojna trwać będzie.

Lubomirski zamilkł.

Zapukano do drzwi, wszedł dworzanin służbowy.

– Co przynosisz? – spytał król.

– Cesarzowa stanęła na noclegu szczęśliwie i nasz posłaniec przybył oznajmić o tym. Zdaje się, że do jutra też i śnieg tajać zacznie, bo się na odwilż zbiera, kolebki więc nasze pójdą łatwo, a gościniec już ludzie spędzeni z okolicy znacznie oczyścili.

Król dał tylko znak głową, dworzanin wyszedł. Stał długo w miejscu zadumany.

– Gdy mnie okrzyknięto – odezwał się do Lubomirskiego chmurno – mimowolnie mi się wyrwało z ust: *Transeat a me calix iste*, dziś też same wyrazy powtarzam w duszy, ale kielich żywota mego pełen goryczy spełnić potrzeba do dna! Bądź wola Twoja!

II

Nazajutrz, d. 27 lutego, ironią losu wypogodziło się niebo, ociepiło powietrze, zaświeciło słońce, jak gdyby dniem tym przepowiadało długi szereg szczęśliwych! Wszyscy to sobie tłumaczyli gwiazdką pomyślną nowożeńców; błogosławieństwem bożym. Król nawet, choć blady i zmęczony, wstał uspokojony nieco, usiłując się z przeczuciem swoim pogodzić.

Od rana wszystko było w ruchu w klasztorze i na mieście i co miało towarzyszyć królowi, gotowało się wystąpić świetnie.

Już na granicy cesarzową matkę, odwożącą córkę mężowi przysłemu, półtrzecia tysiąca szlachty zbrojnej i strojnej z przepychem, na jaki się tylko zdobyć mogła, przywitało swą królową.

Jechała ona nie tylko w towarzystwie swej matki, ale razem ciotki swej Marii Anny Mantuańskiej i młodszej siostry. Rodzina ta zdawała się rozstawać z obawą z przyszłą królową i dodawać jej męstwa do spełnienia ofiary, której cesarz Ferdynand III¹⁹² wymagał po córce.

¹⁹² F e r d y n a n d III (1608–1657) – cesarz niemiecki

Nie było tajemnicą, że Eleonora jechała zalewając się łzami, narzekając na losy, oburzając przeciwko temu gwałtowi, jaki jej polityka ojca zadawała. Musiano przez całą drogę łączy jej osuszać, pocieszać, utulać rozżaloną, ale razem oburzoną i gniewną przeciwko swemu przyszłemu małżonkowi.

Szeptano o tym i w otoczeniu króla po cichu, pocieszając się tym, iż czas złagodzi tęsknotę, zbliży i przejedna. Senatorowie królowi oddani i wszyscy, co o cześć jego i narodu dbali, wysilali się teraz, aby przyjęcie cesarzowej i dostojnych jej towarzyszek uczynić prawdziwie królewskim i wspaniałym. Wysilano się na wystawność, na okazanie bogactwa Rzeczypospolitej. Ze skarbca wszystko, co mogło uświetnić przyjęcie, pomnożyć jego wspaniałość, przywieziono z Krakowa. Kościół i sale, w których gości miano przyjmować, zawieszono całe przepyszными kobiercami¹⁹³ tymi, wedle rysunków Rafaela¹⁹⁴ i Giulio Romano¹⁹⁵, które stanowiły jedną z najkosztowniejszych spuścizn po Jagiellonach, jaką się żaden naówczas królewski skarbiec poszczycić nie mógł. Wszystkie srebra i klejnoty koronne, najpiękniejsze naczynia, najrzadsze i misterne rzeźby z kruszców drogich, zdobiły kredensy częstochowskie.

Zarówno też orszak towarzyszyć mający królowi, konie i kolebki, dobrane były najtroskliwiej. Ubogi ów królik szlachecki widział się otoczonym bogactwem i wytwornością wyszukaną, którą lubił i cenił wysoko.

Sama liczba pocztów, jakie z nim przybyły do Częstochowy, mogła dać pojęcie wysokie o zasobach Rzeczypospolitej, a dobór młodzieży rycerskiej, starszyny poważnej, składał się na obraz niezrównanie uroczysty i świetny. Od łam złocistych, klejnotów, którymi okryte były uzbrojenia, rzędy na koniach, dywdyki, sahajdaki i tarcze – jakby deszcz ognisty sypał się i oslepiął. Oprócz owych półtrzecia tysiąca szlachty, która od granicy towarzyszyła cesarzowej Eleonorze do noclegu i z niego wróciła do króla, aby się z jego połączyć orszakiem, miał Michał przy sobie pięciuset halabardników w barwie królewskiej, kosztownie przybranych i jeszcze około dwóch tysięcy szlachty z całym przepychem, na jaki się zdobyć mogła, ciągnącej na straży osoby króla. Nie mniej nad osiemdziesiąt kolebek złocistych i srebrych, obitych aksamitami, wyściełanych łamami i adamaszkami, wiozło urzędników, senatorów, dwór pański. Kolebka przepyszna, w której jechał król aż do miejsca wyznaczonego na spotkanie z cesarzową, zaprzężoną była ośmiu końmi białymi, a trzy jej podobne szły przeznaczone dla przyszłej królowej i jej orszaku. Za powozem króla masztalerze i koniuszy prowadzili cudnej urody wierzchowca, którego miał dosiąść dla spotkania cesarzowej.

Niemym, zamyślonym, bladym jechał król. Na samym wsiadającym w Częstochowie trafił chciał, że spotkał u drzwi nadchodzącą z innymi paniami Helę Zebrzydowską, oczy ich zeszyły się we wzroku smutnym, łzami osłoniętym. Michał chciał się zatrzymać, aby przemówić do niej słowo, zawahał się, lecz nieubłagane konieczności etykiety dworskiej zbliżyć mu się do niej nie dozwoliły.

Król sam jechał w swej złocistej kolebce, strojny z wykwintnością największą, okryty sobolową delią¹⁹⁶, której spięcie samo karbunkulami¹⁹⁷ ogromnymi jak słońce grzało.

Nie dojeżdżając do Chłęczowa dano znać, że powozy cesarzowej widać było na gościńcu. Zatrzymały się orszaki, stanęła kolebka i królowi podano konia, którego dosiadłszy, otoczony wyborem młodzieży i senatorów, wyprzedził pochód, aby powitać swą przyszłą. W chwili, gdy mu podawano złote strzemie, którego miał dosiąść, pośliznął się na topniejącym

¹⁹³ Mowa o słynnych arrasach wawelskich, wyrabianych w XV w. głównie w mieście Arras we Francji. Były to wzorzyste gobeliny, ręcznie tkane, przedstawiające różne sceny z Biblii

¹⁹⁴ R a f a e l S a n t i z U r b i n o (1483–1520) – genialny malarz włoski, malował obrazy o treści religijnej i portrety, spod jego pędzla wyszły słynne freski w Watykanie. Według kartonów Rafaela wykonano także wiele gobelinów i arrasów

¹⁹⁵ G i u l i o R o m a n o (1492–1546) – malarz i architekt włoski, uczeń Rafaela, pozostawał pod wpływem swego mistrza i pomagał mu w wykonaniu najcenniejszych jego dzieł

¹⁹⁶ d e l i a (z tur.) – płaszcz podbity futrem, noszony dawniej przez króla i szlachtę

¹⁹⁷ k a r b u n k u ł (z łac.) – nazwa drogiego kamienia koloru czerwonego

śniegu i upadł na przednie nogi. Nie trwało to jednak nad jedno okamgnienie i pochwycił się natychmiast pełen ognia, tak że zaledwie bliżej stojący ten *omen*¹⁹⁸ fatalny dostrzegli.

Stosunkowo do wytworności pocztów i powozów królewskich nadciągające cesarzowej nie wydawały się bardzo świetne, ale w tym ich zaniedbaniu i braku ozdób i świecideł była powaga jakaś i majestat, na których orszakowi króla zbywało.

W wielkiej kolebce siedziały cesarzowa matka, której rysy nosiły inacze na sobie ślady piękności przekwitłej, narzeczona króla – Eleonora, a naprzeciw nich księżna mantuańska i młoda księżniczka, siostra Eleonory.

Zatrzymały się powozy u namiotów rozbitych, do których droga suknem była wysłana i tu pierwsze, uroczyste, z mowami i podziękowaniami nastąpiło powitanie. Przyszli małżonkowie spojrzeli na siebie, ku wejrzeniu tym cała przyszłość się zawierała. Wzruszenie nawet nie przeszkodziło arcyksiężniczce Eleonorze we wzroku, jakim zmierzyła męża, zawrzeć groźby i niechęci. Szyderski uśmiech zadrgał na jej ustach, a źrenice jasne, od płaczu zarumienione, jakby strzałą przeszły Michała, który zdawał się błagać litości.

Postawa jego skromna, wyraz twarzy łagodny, nie rozbroiły narzeczonej, wzrok jej nie stał się słodszy ani mniej groźny. Mówił, że pozostanie nieprzebraną.

Cesarzowa matka za siebie i za córkę musiała okazywać uprzejmość i wesele, twarzą już nawykłą do tego przymusu dworskiego, który uczy śmiać się i smucić na rozkaz dany, choćby serce płakało i krwią zabiegało.

Takimi wyuczonymi uśmiechy witały króla dwie księżne pokrewne. Michał, chociaż powagę swą królewską dobrze utrzymać umiał, nie potrafił jednak ukryć całkiem wrażenia, jakie na nim uczyniło wejrzenie przyszłej żony, które, ile razy spotykał, powtarzało mu tę samą groźbę przyszłości.

Królowa nie wydała mu się piękną, chociaż świeża jej twarzyczka, płeć delikatna, rysy dosyć szlachetne nadawały jej fizjonomię wyrazistą – ale nie było i w niej nic sympatycznego, pociągającego, niewieściego, a duma rodu cechę na niej piętnowała odstręczającą. Dziecię Cezarów zdawało się mówić całym obliczem, iż nikomu z sobą na równi stanąć nie dozwoli.

Powitanie też było, pomimo uprzejmości cesarzowej matki, zimne i suche, a narzeczona widocznie unikała potem, aby się jej oczy nie spotkały ze wzrokiem przyszłego męża.

Wysłuchano mów i powinszowań, w czasie których królowa przyszła dawała znaki zniecierpliwienia, i orszak znowu złożył się jak wprzód, z tą różnicą, iż król konno jechał u kolebki po stronie, z której siedziała Eleonora.

Przez cały ciąg drogi do Częstochowy, w czasie którego muzyki przygrywały, a potem bicie we dzwony i wystrzały z dział, rozmowy i wymiany choćby kilku słów czyniły niepodobną, król jechał milczący, oczyma sięgając na próżno w głąb kolebki, w której siedząca pani zdawała się rozmyślnie spojrzenia jego unikać.

Wszystko zresztą ściśle podług programu dopełnionym zostało. W kaplicy, przed obrazem cudownym, młoda królowa zdawała się nabierać męstwa i lzy już nie uroniła. Uklękła na modlitwę, w dłoniach zanurzyła twarz i pozostała tak chwilę długą, dopóki matka nie przyszła ją wyrwać z tej zadumy pobożnej.

Młoda para sama jedna w obszernej komnacie sypialnej, której środek zajmowało szkarłatnym pawilonem na złożonych kolumnach okryte szerokie łóżce, stała niema przeciwko sobie.

Zmuszona spocząć na chwilę obok małżonka, zaledwie drzwi się zamknęły za odchodzącą cesarzową matką, zerwała się szybko Eleonora i osłaniając płaszczem białym ze złotym szykiem, który miała przygotowany, drżąc, poruszona, wybiegła, oddalając w głąb komnaty. Z trwogą i groźbą razem w oczach spoglądała w stronę, gdzie mąż pozostał.

¹⁹⁸ o m e n (łac.) – wróżba

Michał podniósł się też żywo i z początku stał niepewny, potem krokiem powolnym zbliżyć się począł do żony. Ale w miarę, jak do niej podchodził, Eleonora usuwała się przed nim, a doszedłszy do stołu, na którym przybory toaletowe rozłożono – podniosła głowę, i wzrokiem odpychającym rzuciła na męża.

Michał zatrzymał się i jak winowajca czekał wyroku, czując, że ów mu zagraża.

Nierychło z ust królowej dobył się głos łkaniem tłumiony.

– Najjaśniejszy panie – rzekła wysilając się, aby spokój i powagę odzyskać – proszę mnie posłuchać...

Król głową skłonił.

– Zostałam zmuszoną oddać wam rękę – ciągnęła dalej – nie pytano mnie o serce. Ono od dawna do kogo innego należało. Jestem otwartą i szczerą, oznajmuję mu to. Połączono nas przed ołtarzem, winnam mu posłuszeństwo, ale nie dam sobie zadać gwałtu, a spodziewam się, że nie zechcesz z praw swych korzystać.

Poruszyła się żywo i chwyciwszy ze stołu flaszeczkę lareadryny¹⁹⁹ przyłożyła ją do twarzy, aby orzeźwiającym jej zapachem odetchnąć. Oczy nabrały blasku rozpaczliwego, cała drżąc oczyma trzymała osłupiałego Michała w oddali od siebie...

Król długo nie mógł odpowiedzieć.

– Bolesny to wyrok na mnie – rzekł nareszcie, ale potrafię mu się poddać, dopóki okoliczności go nie zmienią. Pani może poznaś mnie lepiej...

– Ale postanowienia mojego nie zmienię nigdy! nigdy! – powtórzyła z naciskiem Eleonora. – Dla oczów ludzkich muszę być żoną jego, ale żadna siła zwolnić mnie nie może poddać się narzuconemu mi jarzmu nienawistnemu... W. Królewska Mość wiedziałeś o tym, bom mu znać dała przez osobę zaufaną, że mężem moim być nie możesz. Należało zerwać układy.

– Nie zależało to ode mnie – słabym głosem odparł Michał. – Nawet najjaśniejszy ojciec wasz nie byłby zezwolił na to.

Eleonora potrząsnęła głową i jakby sama do siebie pomrukiwała ciągle:

– Nigdy! nigdy!

Wtem uczuła, że osłabła od wzruszenia, drżały pod nią nogi i padła na stojące blisko krzesło. Głowę sparła na rękę, nie patrzyła już na męża, po twarzy widać było kroplami spadające łzy, których nie ocierała...

Michał stał jak wryty.

– Co mi pani rozkażesz? – zapytał chłodno.

– Abyś się W. Królewska Mość oddalił – rzekła żywo. – Zmęczenie podróży, wzruszenie będzie tłumaczyć potrzebę spoczynku.

Słuchał król, lecz nie ruszył się z miejsca.

– Zbyt to byłoby upokarzającym dla mnie – odezwał się. – Oczy wszystkie są na nas zwrócone, na cóż mamy złośliwym dostarczać karmy.

– Mnie to bynajmniej nie obchodzi – żywo przerwała królowi, poruszając się. – Dziś lub jutro wielka tajemnica ta, że ani ja, ani serce moje nie należą do W. Królewskiej Mości, zostanie odkrytą i powszechnie wiadomą. Potrzeba przygotować się do tego.

– Może to być pani obojętnym – odparł król powoli – ale ja, jako panujący, mając dosyć nieprzyjaciół, nie chcę się im dawać na pośmiewisko. Nie dopominam się praw moich, lecz zachowanie form pewnych warować sobie muszę!

– Prawa! warować! – pogardliwie i gwałtownie podchwyciła Eleonora. – Ja żadnych praw nie uznaję ani ich sobie dyktować pozwolę...

I dumnie spojrzawszy z góry na nieszczęśliwą swą ofiarę odwróciła się ze wstrętem. Powolnym krokiem Michał przeszedł się po komnacie zamyślony.

¹⁹⁹ l a r e a d r y n a – rodzaj wody kolońskiej

– Pozostanę tu parę godzin – odezwał się, z dała na sofie, na sposób turecki wysłanej, zabierając miejsce.

– W. Królewska Mość możesz iść na spoczynek i namiot nad łóżem zapuścić.

Obojętność, z jaką te wyrazy wymówił Michał zdawała się uderzać królowę, spojrzała z ukosa na niego, jakby chciała wziąć miarę siły jego i charakteru. Na pytanie odpowiedzi nie dając pozostała w krześle, rzeźwiąc się ciągle oddychaniem woni, którą przy ustach trzymała.

Nastąpiło długie, głuche milczenie. Nieporuszony, z oczyma wlepionymi w posadzkę, siedział król Michał. Eleonora niespokojna rzuciła się na siedzeniu. Z dała zegar wieżowy bił powolnie godzinę.

Rozmowa zerwana nie zawiązała się już więcej, aż w chwili gdy po godzinie upłynionej król powstał ze siedzenia. Eleonora poruszyła się, mierzając go wzrokiem.

– W. Królewska Mość – odezwał się zimno, zabierając odchodzić małżonek – pozwolisz mi, abym z najjaśn. cesarzową matką otwarcie pomówił jutro? Nie godzi się i sumienie mi nie pozwala kłamać przed nią – milczeniem nawet. Powinna wiedzieć, w jakim położeniu zostawia mnie i panią.

Eleonora krótko się zamyśliła, brwi ściągnęła.

– Nie rozumiem – rzekła – na co się to przydać może, gdyż ani rozkaz matki, ani żadna przemoc nie zmusi mnie zmienić mego postanowienia. Będę dla W. Królewskiej Mości i dla świata – królową, ale żoną jego – nigdy! Pytać mnie o to, co masz uczynić, nie potrzebujesz, W. Królewska Mość. Oskarżanie mnie przed matką nie polepszy stosunków naszych, zwiększy tylko tę niechęć, ten wstręt, który miałam i mam do niego i tać go nie będę... Czyń W. Królewska Mość, jak mu się podoba...

Michał milcząc uklonił się i wyszedł. Nazajutrz w przepysznie przystrojonym refektarzu zastawione stoły czekały na młodą parę, która wraz z cesarzową matką pod baldachimem na podwyższeniu zasiadła, mając przy sobie dwie księżniczki.

Dwór przepelniał salę, w której dostojniejsza część towarzystwa przy osobnych stołach się mieściła, a reszta w kurytarzach i dolnych izbach klasztornych rozdzieloną była. Małżonkowie dotąd nie zamienili słowa nawet, a cesarzowa matka sama tylko niekiedy przerywała uprzykrzone milczenie. Szumnie huczna muzyka usprawiedliwiała je po części.

Król jednak co chwila obracał się do żony, na ustach drgały mu pytania, ale ostre wejrzanie oniemiało. Parę razy Kiełpsz z dała dostrzegł, iż Michał, zwrócony do żony, mówił coś do niej i widział też, jak krótko, niechętnie, zbywając go, odpowiadała Eleonora.

Po twarzy cesarzowej matki, która przy królu siedziała, przebiegały widoczne oznaki niepokoju i frasunku, po kilkakroć przechylała się do córki, starała wzrok jej spotkać i oczyma jej coś powiedzieć, lecz nie odniosło to żadnego skutku, królowa Eleonora pozostała jakby sztywną lalką, wyuczona do pewnych ruchów, które z lodowatą obojętnością spełniała... Michał wysiłał się na wesołość pozorną, na ożywienie, które udawać musiał.

Uczta w tych warunkach przeciągająca się długo dla form, które jej towarzyszyły, stokroć jeszcze nieznośniej dłuższą wydać się musiała obojgu królestwu. Przed oczyma ich obraz ten przesuwał się zamglony, niewyraźny, a odgłosy wesołe, okrzyki brzmiały jak urągowisko.

Na ostatek owoce, cukry i olbrzymie piramidy ozdobne z napisami i godłami oznajmiły koniec tej męczeńskiej biesiady.

Kiełpsz, który jako nowo mianowany krajczy posługiwał ciągle swej pani miał jednak dosyć czasu, aby drugiej, tej, która go stokroć więcej pociągała ku sobie, pozostać wiernym i dać dowód, że nie zapomniał o niej. Dwór niemiecko-włoski i polski młodej królowej siedział u drugiego stołu, a jedno z przedniejszych miejsc przy nim zajmowała, jako powinowata królowi, Helena Zebrzydowska. Wśród mnóstwa ładnych twarzyczek, które jak grzęda kwiatków całą stronę osobnego stołu zajmowały, Hela odznaczała się tak klasyczną regularnością rysów i wyrazem ich niemal surowym a tragicznym, iż wszystkich oczy ściągała na siebie.

Ubrana wykwintnie, ale z prostotą, o ile ona przy uroczystym wystąpieniu zachowaną być mogła, Zebrzydowska miała w sobie coś zagadkowo pociągającego.

Mimowolnie pytał się każdy patrząc na nią – kto być może ta młoda istota, piękna, poważna a tak smętna, jakby od kolebki chodziła w żałobie. Miejsce jej u stołu tak szczęśliwie wyznaczonym zostało, że miała naprzeciwko siebie króla i królowę, a oczy jej nie schodziły z obojga, szczególnie z Eleonory.

Badła ją wzrokiem, starała się odgadnąć i sięgnąć do głębi duszy, a doznane wrażenie ścigało jej brwi, chmurzyło twarz i czyniło coraz posępniejszą. Kielisz coraz to podbiegał nieznacznie.

– A cóż, królowa? – szeptał.

Hela nic nie odpowiadała.

Za drugim czy trzecim razem szepnęła do niego:

– Słyszałeś ją mówiącą?

– Dotąd nie, ani mówi, ani jeść raczy, talerze odbieramy nie tknięte. Napiła się wody z winem.

– A król? – cicho dodała Zebrzydowska.

– Król próbował parę razy pytać o coś, ale nie ręczę, czy odpowiedź otrzymał.

Po uczcie tańce się rozpocząć miały, do których przystępowano z taką ochotą jak do stołu.

Cesarzowa zajęła miejsce pod baldachimem, wymawiając się od tańca.

Król, z sześciu senatorami za sobą, panie najdostojniejsze przeprowadził kilka razy po sali. Tym samym powolnym krokiem, przy dźwiękach muzyki, Michał przeszedł się z arcyksiężniczką, królowa podała rękę Pacowi, zmieniły się pary.

Eleonora, posłuszna wskazówkom, podawała rękę, szła wyprostowana, z oczyma wlepionymi gdzieś w obicia ścienne, powracała, siadała, wstawała, podobniejsza do automatu niż do żywej istoty.

Król też w końcu, pomimo wysiłku, aby się okazać szczęśliwym i ożywionym, zeszywniał, ostygł i z tą samą obojętnością znudzoną, spełniał, co mu z kolei wskazano.

Muzyka tylko szydersko urągała weselem, które nie odbrzmiewało wśród ścian głuchych.

Programatowi dnia nie było jeszcze końca. Naprzeciw krużganków na piętrze, na których siedzenia kobiercami i futrami pookrywane przysposobione były, mistrz ogniów sztucznych i kierownicy uroczystości przygotowali widowisko, dla oglądania którego całe towarzystwo wyjść musiało. Król podał żonie rękę, którą z lekka odtrąciwszy przeszła do matki, musiał więc zbliżyć się do Marii Anny Mantuańskiej i z tą razem stanął patrzeć na zapalone i oświecone łuki triumfalne, w powietrze wystrzelające cyfry połączone, deszcze iskier różnobarwnych, kaskady ognia, kule gorejące – cały szereg pupilów fejerwerkera²⁰⁰ cekhauzu warszawskiego, który usiłował pokazać wiedeńskim gościom, że cesarskim nie ustąpi.

Tłum stojący w podwórcach, ciżba ludu za murami twierdzy, na polu, głośnymi okrzykami radości witały każde nowe zjawisko, które na ciemnym niebie pisało wróżby szczęścia i *vivaty*.

Dwory króla i królowej, cesarzowej matki, panowie senatorowie, panie z Warszawy przybyłe, pomiędzy którymi jedno z pierwszych miejsc zajmowała kanclerzyna Pacowa – towarzyszyły królestwu.

Eleonora zawczasu wymówiła to sobie, na co się zgodzić musiano, że oprócz polskiego swego fraucymeru i urzędników, trzymać będzie mogła sługi, do których była nawykłą. Zgodzono się na to tym łatwiej, iż wszystkie królowe rakuskiego domu zawsze z sobą przynosiły to niemiłe wyposażenie, które się do tego przyczyniło, aby żadna prawie z królowych nigdy do polskiego języka i obyczaju nie nawykła.

²⁰⁰ fejerwerker, fajerwerkier (z niem.) – dawniej podoficer w artylerii; tu: ten, co urządza ogień sztuczne

Kiełpsz, który z wielką ciekawością obliczał już tych, co pozostać mieli przy królowej, dnia tego dopiero dostrzegł postać, która mocno zwróciła jego uwagę. Był to niemłody już, z twarzą dziwnie pomarszczoną, w peruce wielkiej, ale dosyć zaniedbanej, charakterystycznej i niemiłej powierzchowności mężczyzna, którego mu wskazano jako sekretarza królowej. Jedni go mianowali Włochem, Niemcem drudzy, a twarz tylko cechowała zgryźliwą, nieprzystępną, zamkniętą w sobie osobistość, która nie okazywała najmniejszej ochoty ani obeznać się, ani zbliżyć do tych, z którymi żyć jej było przeznaczonym. Z rękami w kieszeniach, przygarbiony, drżąc od zimna, sekretarz ów wpatrywał się na pozór w ognie sztuczne, lecz daleko pilniej badał oczyma niespokojnymi każdy ruch królowej i tych, co ją otaczali.

Wyraz tego zmęczonego już życiem oblicza nie był wcale pociągający, ale w oczach błyskała inteligencja i wielka wiara w siebie. Dwór polski wcale się nie zdawał czynić na nim wrażenia. Obejście się jego z ludźmi do służby i dworu królowej Eleonory należącymi wskazywało, że zajmował stanowisko wysokie i miał prawo rozkazywania. Zostawiony sam sobie sekretarz miał bardzo nieprzyjemny pozór człowieka, który czuje się nie na swym miejscu. Brwi siwe nawisały mu aż na powieki, usta się zamykały silnie, fałdy i marszczki występowały na długiej żółtawej twarzy wyraziście, lecz gdy się kto zbliżał i zwracał jego uwagę, lice wygładzało się, łagodniało i starało przypodobać wyrazem uprzejmości. Szło mu widocznie o to, aby robić znajomości i zasięgać informacje, bo zaczynał z kolei po niemiecku, po włosku i po francusku wszystkich, co mu się nastręczali. Kiełpsz wcale dobrze mógł mówić po niemiecku. P. sekretarz widział go usługującego królowej jako kraja czego i teraz, gdy przypadkiem czy przez ciekawość młody krajczy podsunął się i zbliżył ku niemu, nadzwyczaj nadskakująco spróbował z nim zawiązać rozmowę.

Natrafiwszy na język niemiecki niezmiernie się ucieszył. On sam mówił nim wprawnie bardzo, ale zaraz na wstępie prezentując się p. krajczemu oznajmił, że był Włochem, że się zwał Toltini, a od dziecka będąc przy dworze, języka niemieckiego nauczyć się miał sposobność.

Rozmowa rozpoczęła się od wielkich pochwał, jakie sekretarz oddawał wspaniałości przyjęcia, wytworności stołu, wybornym winom – a na ostatek nawet świetnemu fajerwerkowi...

– Wszystko to dla naszej królowej pani – odparł Kiełpsz – zdaje się straconym, tak dziś uderza i nas, i każdego smutek jej twarzy.

Toltini żywo bardzo zwrócił się do krajczego.

– A jakże się temu możecie dziwować – przerwał. – To było dziecię ukochane, pieszczone, które nigdy, na chwilę nie opuszczało matki. Sama ta myśl, że się z nią rozstać musi, napęłnia ją boleścią. Sama jedna, zostanie wśród obcych.

– My też – rzekł Kiełpsz z podejrzanym uśmieszkiem dwuznacznym – nie dziwimy się uczuciu bardzo naturalnemu, ale ubolewamy nad tym i radzi byśmy tylko wiedzieć, czym by ta tęsknota i smutek rozproszyć się dały.

Toltini obejrzał się z jakąś obawą dokoła i rzekł z wahaniem pewnym:

– Na to jedno jest lekarstwo – czas! I wnet, zwracając rozmowę, Włoch począł badać krajczego – o króla, o jego charakter, upodobania, usposobienie itp. Krajczy rad był może tym pytaniom.

– Nie tylko ja – rzekł – ale wszyscy to panu zgodnie powiedzą o królu jedno, że nad niego lepszego człowieka i serca nie znaleźć, ale w tym właśnie i największa przywara, bo zbyt jest łagodnym i dobrym.

Toltini podniósł brwi ruchem, który mu był właściwy i opuścił je. Cała skóra na czole poruszała mu się tak, że peruka z nią nawet to niżej opadała, to się ponad czoło dźwigała.

– A! a! – rzekł – jak na króla-rycerza, kraju w ciągłych wojnach zmuszonego się bronić, gdzie wiele energii potrzeba, w istocie zbytnia dobroć może się stać szkodliwą, ale w domowym pożyciu...

Toltini dokończył takim samym poruszeniem skóry na głowie i czole.

Pomyślał chwilę.

– Królowa też, którą i my wam przywieźli – odezwał się – perła naszego dworu, odznacza się wielką serca dobrocią, ale – pieszczona... kobieta... nawykła mieć swoją wolę, musi z wolna nawyknąć do zastosowania się z wolą cudzą.

Wyszeptał to poufnie, chcąc Kiełpszowi tonem i miną okazać wartość tego poufnego zwierzenia się.

– A – odparł krajczy – spodziewam się, że na despotyzm naszego pana uskarżać się nie będzie. Toltini przyjął to wdzięcznie.

– Ja pozostaję tu przy królowej pani – rzekł. – Nawykłem do Wiednia, trudno mi bardzo się z nim rozstać było, ale nasza pani potrzebowała zaufanego do korespondencji człowieka. Cesarz ojciec życzył sobie tego, musiałem się poświęcić, uczyniłem to chętnie.

– Zostawiłeś pan rodzinę w Wiedniu? – zapytał Kiełpsz.

Włoch na parę kroków się cofnął.

– Ja! rodzinę? – począł śmiać się. – Nie miałem jej nigdy. Rodzice dawno mnie odumarli, a nigdy nie byłem żonaty. Poświęciłem się całej usługom najjaśniejszego pana, duszą i ciałem do niego należę.

I Toltini, zawiązawszy kilka węzełków na nitce słów, które mu bardzo łatwo z ust płynęły, dosyć zręcznie o króla rozpytywać począł.

Dotknął delikatnie, ostrożnie, ale za wcześnie przy nowej znajomości stosunków króla z płcią piękną.

Kiełpsz ramionami zżymnął.

– Nasz król – zawołał – wychowany przez bogobojną matkę, nieśmiały z natury, nigdy nie okazywał najmniejszej skłonności do zbliżania się ku płci niewieściej.

– A! – podchwycił Toltini – ale dwór polski za Władysława i Kaźmirza słynął z bardzo swawolnych miłości!

– Nie wiem – rzekł Kiełpsz – bom nie był wówczas na dworze. – Co się tyczy króla, ten wychował się jak panienka.

Toltini słuchał z niedowierzaniem.

– Przecież jakieś upodobania mieć musi, coś w życiu musi go nęcić – odezwał się. – Nie ma człowieka, który by skłonności jakichś nie okazywał. Myślistwo? Konie?

– Bardzo pomieranie się nimi zajmuje – mówił Kiełpsz. – Jeżeli znowu przyjdzie do wojny, zapewne zajmie się wojskiem i stanie na czele jęgo. U nas król hetmanem być musi.

Włoch zamilkł, a po chwili wychwalać znowu zaczął elegancją i przepych, z jakim wystąpił dwór i król.

– Otóż pan trafiłeś – przerwał Kiełpsz – na istotną słabość pana naszego. Lubi on wytworność i wykwinne stroje, wszystko co uszlachetnia człowieka i czyni go przyjemniejszym nawet powierzchownością.

– Jest to gust wielkim rodom właściwy – rzekł Toltini.

– Nasz też król z panującego domu pochodzi – zamknął Kiełpsz.

Gdy tak rozmawiali, w krużgankach ruch powstał, bo ognie się ostatnie spaliły, a marszałek szepnął królowi, iż czas było powracać do sal, w których jeszcze jedna dnia tego ceremonia odbyć się miała.

Nigdzie wspanialej jak w Polsce nie występowano z weselnymi podarkami.

Obejść się bez nich nie mogło, tym bardziej że oprócz królowej, której należały ze zwyczaju, Michał musiał jakąś ofiarą upamiętnić ten dzień cesarzowej, jej siostrze i młodej siostrze żony.

Ceremonia oddawania darów zwykle następującego dnia po weselu się odbywała, lecz cesarzowa nagliła z powrotem do Wiednia, potrzeba więc było przyspieszyć.

Król podarki swe żonie złożył już był rano, teraz przyniósł je matce i dwom księżniczkom, a senatorowie po nim poczęli z kolei przynosić i składać u stóp królowej Eleonory podarki najrozmaitsze.

Nie grzeszono nigdy skąpstwem w takich razach, cóż dopiero, gdy trzeba było iść w zawody z drugimi?

Wysadzali się panowie dygnitarze, wojewodowie, kasztelani, a nawet niektórzy biskupi na te dary, przy tej zręczności popisując łaciną i włoszczyzną.

Poczynając od klejnotów, łańcuchów, naszyjników, pasów, do sreber, roztruchanów²⁰¹, miednic, nalewek, kubków, kosztowne futra, wschodnie kobierce, wzorzyste makaty i obicia lamowe, stosami leżały u nóg młodej królowej.

Cesarzowa, siostra jej i młoda arcyksiężniczka zachwycone były i ubawione widokiem tych skarbów, na które królowa tylko patrzyła z tak widoczną obojętnością i niemal pogardą, iż matka po kilkakroć jej do ucha szeptała, zapewne usiłując skłonić, aby trochę wdzięczniejszą twarzą starała się to przyjmować.

Cesarzowa też, wyręczając ją po kilka razy odzywać się musiała do zbliżających panów, aby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie na nich chłód i duma królowej czyniły.

Król Michał wyręczał także żonę, która siedziała zastygła, jakby obca temu, co się dokoła niej działo.

Tym, którzy na to zwracali uwagę, mówiono po cichu:

– Czegóż bo chcecie od niej! Pierwszy raz rozstaje się z matką. Dajcie jej odboleć rozłączenie się z rodziną.

Zabawy i tańce miały się potem przedłużyć jeszcze, zagrała muzyka, poruszyła się młodzież na dany znak króla, lecz ten chłód, jaki od początku obwiewał wszystko, paraliżował i pląsy niewesołe, urywane, które się wprędce skończyły, bo królowa uskarżała się na zmęczenie, a cesarzowa odjazdem wymawiała.

Męskie tylko towarzystwo u marszałkowskich stołów zasiadło, już podochocone zapijać za zdrowie obojga królestwa, a po kątach zauszniczy prymasa siali już rozmaite pogłoski i zbierali plotki.

Dlaczego im jednym podobała się ta królowa z taką dumą i nieczułością witająca kraj, któremu panować miała, to tłumaczyć tylko mógł instynkt ludzki, przewidujący, co mu za narzędzie służyć może.

Przyjaciele króla spoglądali na nią z trwogą w sercach.

III

Rozpoczęło się życie nowe z przybyciem królowej Eleonory do Warszawy. Znekana oporem i niechęcią przeciwko sobie, źle ukrywaną lub objawianą otwarcie, która go ścigała na każdym kroku, król wchodząc do swych komnat na spoczynek znajdował w nich milczenie, wejrzenia wrogie, antagonizm we wszystkim i przekorę. Dość było, ażeby zażądał czegoś, natychmiast ze strony królowej odpowiadano przeczeniem i odmową.

Zaledwie wymóc było można na królowej, aby publicznie występując powstrzymała się od okazywania wstrętu, wzgardy i gniewu przeciwko małżonkowi. Lice jej nie rozjaśniło się nigdy, chyba gdy listy przyszły z zagranicy i mogła się zamknąć ze starym Toltinim dla odpowiadania na nie. Kraju tego, który ją przyjął gościnnie i serdecznie, ani poznać, ani się zbliżyć do niego nie chciała, nie patrzyła na nic, nic ją nie obchodziło.

²⁰¹ r o z t r u c h a n (z kirgisk.) – dawny puchar metalowy do win, bogato ozdobiony

Co tylko królowi miłym być mogło i pożądanym, dla niej stawało się wstrętnym. Nie obcowała z nikim oprócz tej garstki ludzi, która z nią do Polski przybyła; powiernikiem i prawą ręką był sekretarz Toltini.

Dnie jej schodziły w samotności, zamknięciu, nudach i gniewach.

Dla oka ludzkiego król Michał musiał po kilka razy na dzień przechodzić do komnat żony, czasem obok niej pokazywać się publicznie. Nikt nigdy nie był świadkiem ich pożycia z sobą i stosunków poufanych. Czasem gdy król wszedł, panowało głucho milczenie, jak gdyby nawet nieraz pragnęli rozmowy; niekiedy przeze drzwi dawał się słyszeć donośny, rozkazujący głos królowej, cichy króla, wybuchy jakiegoś, a po nich grobowe milczenie. Wychodząc od żony Michał zwykle był blady, znękany, zadumany, a powróciwszy do sypialni oddychał dopiero swobodniej.

Nikomu się jednak nie zwierzał z tego, co cierpiał, nadto był wstydlivy razem i dumny. W początkach, choć bystre oko dworzan widziało ten stosunek lodowaty młodego małżeństwa – spodziewano się zmiany i polepszenia, tymczasem, przeciwnie, z każdym dniem rozstrój stawał się wyrazistszym. Mechanicznie, jakby zmuszona, pokazywała się królowa w swej łoży czasu nabożeństwa u Św. Jana, klękała na modlitwę, podnosiła się po skończeniu obrzędu i znikała... Nie bawiło ją nic, nie żądała niczego.

Zmuszona przyjmować polskie panie, zaledwie raczyła się do nich odzywać, a bardzo często przemawiała szydersko i otwarcie wyśmiewała obyczaje polskie. Z duchowieństwa, z senatorów ci tylko znajdowali u niej lepsze przyjęcie, których wszyscy znali jako przeciwników króla i nieprzyjaciół. Dla nich bywała prawie uprzejmą.

Toltini, który w przeciągu bardzo krótkiego czasu poznał głównejsze działające osoby i potajemnie zbliżył się do najczynniejszych, musiał dostarczać skazówek.

Oprócz niego, który się wciskał wszędzie, cały dwór niemiecko-włoski królowej zupełnie się wydzielał na zamku od królewskiego. Dodane Eleonorze Polki wprawdzie przychodziły na służbę do niej, trwały w swych obowiązkach, ale królowa nigdy ich do niczego nie używała. Na zapytania ich nie odpowiadała, unikała otarcia się o nie, a fraucymer ją w tym reflektował. Mały wyjątek stanowili cudzoziemcy, będący w służbie króla, ale i względem nich nieufność okazywano.

Jedynym węzłem między tym światem zamkniętym młodej pani a resztą ludzi był Toltini, człowiek niezmordowany, zręczny, nie potrzebujący wiele czasu na rozpoznanie ludzi, nadzwyczaj uprzejmy i przebiegły. Skromne stanowisko sekretarza podnosił on do znaczenia daleko większego i miał nawet pretensje, by go kanclerzem osobistym królowej zwano. Nadawał sobie powagę przesadzoną i w bardzo krótkim czasie przeciągu miał już wstęp do wszystkich znaczniejszych domów, z których wynosił wiadomości, jakich potrzebował, ale nigdy się z niczym nie zdradził.

Gdy się starano go wypytywać o królowę, zbywał pełnymi uwielbienia ogólnikami, ale ze słów jego nie można było żadnego wyciągnąć wniosku. Zręczny bardzo, gdy mu na pytanie odpowiadać było niewygodnie, parę razy poruszał skórą na głowie, brwiami, czołem i udawał, że nie słyszy, a naglony zbywał pytających zupełnie nie stosownymi odpowiedziami.

Nie wiadomo, kto go wprowadził do prymasa, ale pewnym było, że bywał u niego w godzinach różnych i że czasem przesiadywał tam długo. Z ks. Olszowskim grzecznie był, ale zimno i z daleka.

W kilka miesięcy po zawarciu małżeństwa w Częstochowie nieznośne te stosunki młodych państwa, które za przemijające z początku uważano, zaczęły się ustalać i utrwalać, stały widocznymi – pogorszyły o tyle, że już nawet nie starano się ich osłaniać.

Helena Zebrzydowska, uczyniona ochmistrzynią dworu królowej, znalazła się w najprzykrzejszym w świecie położeniu, gdyż pani, zapewne uwiadomiona o stosunkach, jakie ją łączyły z królem, szczególną niechęć jej okazywała.

Łagodna i dobra Hela zastraszyć się nie dała wcale. W tym czasie Kiępsz zaczął nalegać mocno i los jego miał się rozwiązać. Z tego powodu Zebrzydowska, która teraz Michała widywała tylko z daleka lub na krótko, zażądała posłuchania. Michał kazał jej oznajmić, że sam też od dawna pragnął się z nią zobaczyć i nazaczył swobodną godzinę.

Zebrzydowska znalazła go w gabinecie nad stołem papierami i listami zarzuconym, siedzącego bez zajęcia, z oczyma wlepionymi w ścianę. Wydał się jej straszliwie zmienionym. Zobaczywszy we drzwiach wchodzącą wstał i z rękami wyciągniętymi ku niej pospieszył. Twarz mu się trochę wypogodziła. Oboje długo patrzyli sobie w oczy, nie mogąc przemówić. Hela nieznacznie powieki otarła, król się na uśmiech wysilał.

Z przestachem prawie Zebrzydowska się przypatrywała tej znanej osobie, niedawno jeszcze świeżej i młodej twarzy, która nagle jakby zwiędła i zestarzała, zdradzała okrutnie cierpienie.

– Unikałem spotkania z tobą – odezwał się Michał po cichu i oglądając dokoła. – Czuję, że nie powstrzymałbym się od skarg, a one się na nic nie zdały. Domyślasz się zresztą, jakie jest moje pożycie i życie. Dla kogóż to tajemnicą! Mam na czole wypisane, że jestem nieszczęśliwy.

– Męstwa! męstwa! – przerwała Hela, usiłując je też w sobie obudzić. – To są początki, wszystko się zmienić może.

– Mnie się to wydaje skończonym – odparł król, zbliżając się i głos aż do szeptu zniżywszy. – Nie wiesz nic, muszę ci wyznać wszystko.

Chwilę namyślał się król i twarz jego jeszcze się stała smutniejszą.

– Królowa pierwszego wieczora – ciągnął dalej – oświadczyła mi otwarcie, że nigdy żoną moją nie będzie. Sto razy potem słyszałem to powtórzone z jej ust, że mnie nienawidzi, że serce jej należy do kogo innego, że wyszła przymuszona... Rozumiesz teraz, jak żyjemy z sobą. Rad bym ocalić choć pozory, wstyd mi ludzi, serce mi krwawi. Jestem najnieszczęśliwszy. Wiesz, co mam do zniesienia od prymasa i jego przyjaciół, jak się oni ze mną obchodzą, jak w każdym kroku stawiają mi opór i nie dopuszczają nawet obrony kraju, która by moim była dziełem. Ręce mam związane... Wszyscy ci, co są ze mną, nie podążają hetmanowi i Prażmowskiemu. Dodaj do tego utrapienie, nędzę moją domową, nieprzyjaciela we własnej żonie, a będziesz mieć obraz mojej doli.

Zebrzydowska słuchała, ale nie było to dla niej rzeczą nową.

– Potrzeba jednak – rzekła – choćby się przyszło do ostatecznych uciec środków, rozkuć z tej niewoli.

– Jak? – pochwycił król i pomilczawszy dodał:

– Pacowie, ich przyjaciele i moi – szukamy tych środków i znaleźć ich nie możemy. Prymas woli, ażeby Rzeczpospolita szwank poniosła, niżby on miał ulec i uznać się zwyciężonym. Przepowiadają mi na pewno, że sejmy wszystkie zerwane będą, że żaden nie dojdzie, że żadna uchwała nie stanie, choćby największe zagrażało niebezpieczeństwo. Dostatek jest jednego człowieka złej woli, aby owoc kilkudniowych narad spełził na niczym.

Zebrzydowska załamała ręce.

– Ale trwać tak nie może! – zawołała.

Michał podniósł oczy do góry.

– Rad bym, aby mnie Bóg wyzwolić raczył – odezwał się – ale on jeden to uczynić może – ja nie mam siły.

Hela na dobre płakać zaczęła, a król poruszony tymi łzami usiłował wrócić do apatii swej powszedniej. Wziął ją za rękę.

– Mówmy o sobie – odezwał się – wiem, że chciałaś się mnie radzić. Łatwo mi odgadnąć, o co. Kiępsz poczciwy, zacny chłopak, kocha cię, chce się żenić – ja mam dla was wyposażenie obmyślane, zatrzymałem dwa starostwa – idź za niego. Zabezpieczysz sobie przyszłość.

Zebrzydowskiej głos się z trudnością dobywał ze ściśnionej piersi.

– Ja kochać go nie mogę – rzekła potrząsając głową.

– Ale mu szacunku odmówić nie możesz – dodał król. – Przyszłość niepewna wielce, jam nie długowieczny. Nie będą mogli inaczej, dadzą mi truciznę. Znajdą takiego, co się im zaoferuje mnie zgładzić. Zostaniesz sierotą. Dla spokoju mojego – idź za niego.

Hela oczy spuściła, nie odpowiadając; myśl jej zwróciła się już do króla.

– Nie przerażajcie mnie tą trucizną – odezwała się. – Będę się teraz nieustannie jej obawiała. Są przecież sposoby zabezpieczenia się od niej.

– Braun stary – przerwał król – czuwa nad tym, daje mi nawet *antidota*. Nad kuchnią i piwnicą nadzór jest pilny, lecz któż ujdzie swojemu przeznaczeniu?

Zadumał się.

– Śmierć jest niczym – zamruczał zamyślony. – Cierpienia się boję.

Zebrzydowska pochwyciła rękę wychudłą króla i całować zaczęła, oblewając ją łzami. Michał zdawał się uspokajać.

– Nie mówmy o tym – odezwał się żywiej – wróćmy do Kiełpsza.

– A ja proszę, nie mówmy o nim – westchnęła Hela. Wahala się chwilę.

– Nie moglibyście sobie Toltiniego pozyskać? – zapytała. Ma wpływ wielki na umysł królowej, jest u niej wszystkim. To pomocnik jej myśli, przyjaciel-sługa.

– Wiem o tym – rzekł król zimno – lecz Toltini jest już w ręku nieprzyjaciół i spiskuje z nimi. Co knuje, o tym nie wiem, lecz że na wspólnie działają, to pewna. Chcieliby się mnie pozbyć, ale ja tej cierniowej korony, właśnie dlatego, że mi dolega, nie zrzucę. Mają jeden ten tylko sposób – truciznę.

– Nie posuną się aż do zbrodni – odparła Zebrzydowska. – Nienawidzę tych ludzi, ale nie sądzę, aby zdolnymi byli zejść tak daleko.

– Znajdzie się ktoś, co im usłuży – począł Michał zimno. – Zresztą, któż wie, co poczną, aby mnie zgładzić, sposobów jest wiele.

Widząc dziewczę rozpaczającym, król nagle zamilkł, zrozumiał, że na próżno ją trapił tymi domysłami, gdy ona powiernicą tylko być mogła bezsilną.

Nagle Zebrzydowska poruszyła się żywo i przystąpiła do króla bliżej.

– Dobrze – odezwała się – zgodzę się oddać rękę Kiełpszowi, ale wy go przywiążcie do osoby swojej, niech on was nie odstępować, krajczym królowej uczynicie, kogo chcecie, on powinien być waszym krajczym, stolnikiem, podczaszym, wszystkim. On jeden kocha was i potrafi czuwać. Ze dworu waszego oddalacie podejrzanych. Poruszył ramionami król Michał.

– Ja nie wiem, ani komu ufać, ani kogo podejrzewać – odezwał się zadumany.

– Wszystkich obcych – przerwała Zebrzydowska. I u nas są źli ludzie, ale zdrady nikt się tak podłej nie dopuści. Dzięki Bogu, nie jest to w obyczaju naszym. W innych narodach namiętność i złość dochodzą aż do czyhania potajemnego na życie, u nas napad zbrojny i zabójstwo rzecz powszednia, ale nie nikczemna trucizna!

Mówiła gorąco, Michał spojrzał na nią i zdawał się dzielić jej przekonanie.

– Masz słuszość – odparł – cudzoziemców oddalić muszę.

Zegar wybił godzinę, westchnął król słysząc ją i z obawą jakąś spoglądając na stos papierów, który leżał przed nim na stole.

– Helo, wojna – rzekł głosem przejętym uczuciem. – Proszę cię, nie oddalaj się od dworu. Nie mam nikogo, czasem słowo twoje... doda mi męstwa, tracę siły, tracę odwagę, tracę głowę...

Zastukano do drzwi i Zebrzydowska szybko uszła drzwiami bocznymi, gdy drugie otwierały się i ks. biskup chełmiński wchodził z papierami pod pachą.

Nie był on już tym zwycięzcą dni dawnych, pełnym nadziei i ufności w siebie, walczył mężnie wprawdzie, ale był znużonym i chwilami ogarniało go zwątpienie.

Jak każdy człowiek prawego charakteru, który w boju z wrogiem nie może użyć ani zakazanego oręża, ani środków, nikczemnych, ani ludzi wzgardzonych, Olszowski musiał się czuć słabym, widząc przeciwko sobie występujące siły, w których nie czyniono wyboru.

Dla prymasa i ludzie, i środki dobre były, byle go wiodły do celu. Posługiwał się wszystkim, co mogło mu zapewnić zwycięstwo.

Przed królem Olszowski ukrywał swe zwątpienia chwilowe, ale w sobie cierpiał wiele, w tym wybrańcu szlachty widział męczennika i ofiarę, która bezsilna mordować się dozwalała, opierając tylko – wytrwaniem.

Biskup poufale powitał króla, papiery rzucając na stół.

– Nie pytam was o nowiny – odezwał się Michał – bom zawsze na najgorsze przygotowany.

– Nie wiem, czy je tak nazwać można – rzekł Olszowski – gotuje się niezawodnie wojna, mnie się zaś zdaje, że ona ocalić może. Niepodobna, by nawet najgorsi ludzie niebezpieczeństwem ustraszeni nie zostali. Sobieski – chociaż Prażmowski nim włada – kocha kraj i nie zdradzi go. Sejm musi uchwalić i pobory, i pospolite ruszenie, jeżeli Kozacy na nas Turków naprowadzą. Hetman przeciwko Turkom jest wodzem, jakiego równego znaleźć trudno. Bądź co bądź wspólne niebezpieczeństwo jedna i zbliża.

Boleśnie uśmiechnął się król Michał.

– Nie wiem, co myśli hetman – rzekł – ten może lepiej jest uwiadomionym, ale prymas i jego partia szerzą pogłoski, że wojna jest zmyśleniem, urojeniem, że niebezpieczeństwo nie istnieje, że ja chcę szlachtę zniszczyć, wyciągając ją z domów.

Poruszył ramionami.

– Ale się to utrzymać nie może! – przerwał Olszowski.

– Szerzy się to przekonanie, umyślnie rozsiewane przed sejmem – odezwał się król – wiercie mi. Łatwo jest wpoić to człowiekowi, czego on sobie życzy. Szlachta ma wstręt do pospolitego ruszenia, do wojny, zleniwała. Prymas bije w to, co jej miłe. Sejm się zbierze na próżno i zostanie zerwanym.

Westchnął.

– Ja lepszego się spodziewam – odparł Olszowski.

Unikając dalszej rozmowy o tym, podkanclerzy rozłożył papiery i począł o tych nieszczęsnych wakansach, które stanowiły zawsze najdrażliwszy z przedmiotów.

Nieprzyjaciele króla zuchwale się domagali nadań starostw, urzędów. Michał, w nadziei przejednania, gotów był do ustępstw zawsze, Olszowski się im przeciwiał.

I teraz spór się wszczął pomiędzy nimi.

Biskup miał słuszość – dowodził on, że lepiej było obdarzać przyjaciół i tych, których pozyskać się spodziewano, niż nadaremnie próbować przejednania. Nazajutrz po przypieczątowaniu przywilejów ci, co je otrzymali, najczęściej się przechwalali tym, że strachem je wymogli na królu, i szli dalej w zajadłym oporze przeciwko niemu. Walka o każdy nowy przywilej między królem a podkanclerzym kończyła się zwykle milczącym uleganiem ostatniego.

Olszowski na ostatek zawiadomił pana o kilku drobnych wybrykach nieprzyjacielskiego obozu, po czym rozstali się, wdychając oba.

Król dalej codzienne swe obowiązki spełniał z rezygnacją odrętwiałego cierpieniem człowieka. Każdego dnia musiał pójść do królowej, która go nie zawsze przyjmowała. Zasiadli później do wspólnego stołu, przy którym nie było prawie rozmowy, jeżeli królowa Eleonora nie znalazła przedmiotu jakiegoś do urągania i dokuczania małżonkowi. Wyśmiewanie wszystkiego, co tu spotykała, było dla niej najmiłą zabawą. Zwykle król słuchał milczący. Czasem próbował ją rozbroić łagodnością, która zdawała się przeciwny spodziewanemu skutek wywierać. Gniewało [to] królowę. Zrywała się od stołu pod pozorem bólu głowy i rzucała go samego.

Życie było do niezniesienia...

Lata w ten sposób upływały, przedłużała się walka, sejmy były widowiskami gorszącymi, podburzającymi umysły. Prażmowski, gdy się posunął do ostateczności i obudził niechęć przeciw sobie, ukarzał się pozornie, przychodził rękę króla całować ze skrucą, a nazajutrz rozpoczynał podstępą swą grę na nowo. Do ostateczności przywieziony, złamany klęskami sromotnymi, upokorzony traktatem w Buczaczu²⁰² zawartym, Michał wycieńczony, znużony upadł na siłach.

Okolo niego osnuwała się tymczasem sieć najobrzydliwszych knowań i spisków. Toltini, który potajemnie ciągle uczęszczał wieczorem do prymasa i zupełnie się z nim porozumiał, pracował teraz nad tym, ażeby go zbliżyć do królowej. Zdawało się to niepodobieństwem.

Kiełpsz, który czuwał tam, gdzie się inni wcisnąć nie mogli, pierwszy pochwycił nie nowego spisku, którego doniosłości niepodobna było objąć, a nawet znaczenia wyrozumieć.

Porozumienie prymasa z królową zdawało się niepodobieństwem, niemożnością – cóż bowiem mogło mieć na celu?

Gdy po raz pierwszy Prażmowski z rana się ukazał na pokojach Eleonory, która go ze szczególnymi oznakami poszanowania przyjęła – doniesiono o tym natychmiast królowi.

Michał pomyślał nad tym chwilę i nie dopatrzył w tym nic, nad chętkę dokuczenia mu. Ramionami poruszywszy, obojętnie to przyjął.

Przy obiedzie królowa była promieniejąca, zdawała się tryumfować.

– Miałam przyjemność – odezwała się żywo – poznać dziś bliżej i dłużej rozmawiać z arcybiskupem.

– Wiem o tym – rzekł król obojętnie.

– Jest to człowiek spotwarzony – dodała. – Podobał mi się wielce, ma rozum, polityk i statysta niepospolity, ale tu regułą jest ogólną – nieudolnych powoływać, a zdolnych odpychać.

Ironiczny uśmiech zaigrał na jej ustach.

– W. Królewska Mość... nie lubisz go? – zapytała.

– Wyplacam mu wzajemnością – odparł Michał zawsze apatycznie – od początku mego panowania ten człowiek się nie kryje z nienawiścią dla mnie, zrywa sejmy, kraj podburza, wietrzy...

– Walczy za swe przekonania – przerwała królowa – zresztą słyszałam, iż ma prawa wielkie, a granic ich nie przekracza. Najlepszym tego dowodem, że W. Królewska Mość nic mu uczynić nie zdołasz.

– Duchownym jest, to go osłania – odparł król.

– I ma więcej przyjaciół w kraju od W. Króla Mości – dodała Eleonora, z widoczną przyjemnością dokuczając mężowi.

Michał, nawykły do tych przekąsów, obojętnie jadł tymczasem i cały się zdawał jedzeniem zajęty.

To upodobanie w wykwintnej kuchni, które było słabością biednego króla, obudzało w Eleonorze rodzaj obrzydzenia, z którym się nie tała. Niekiedy szydersko się wyraziła o obżarstwie, a sama umyślnie nie jadła prawie przy stole.

Tego dnia przez cały ciąg obiadu prymas był przedmiotem rozmowy, którą król podsycił mało. Pod koniec Eleonora wstała, nie czekając na Michała i zostawując go przy owocach.

Odwiedziny prymasa były tego dnia pogłoską i nowością, która wszystkich zajmowała.

Prażmowski stary i schorzały zdawał się odżywionym i pokrzepionym. Zamknął się po obiedzie i długo nad listami pracował. Twarz miał pod wieczór rozjaśnioną, tryumfującą.

Gości swych zwykłych odprawił wcześniej – czekał na kogoś.

²⁰² Traktat w Buczaczu został zawarty 18 października 1672 pomiędzy Turcją a Polską, na mocy którego Kamieniec z województwem podolskim pozostał w ręku Turków, Ukraina została oddana Kozakom, a Polska zobowiązała się płacić Turcji corocznie daninę po 22 tysiące dukatów

Późną już bardzo godziną, bocznymi drzwiczkami wpuszczono po cichu Toltiniego, który w pół zgięty, pokorny, uśmiechający się, pośpieszył do ucałowania ręki starca, nadzwyczaj też łaskawie i serdecznie przyjmującego gościa tego. Na próżno sekretarz Eleonory wymawiał się od tego honoru, Prażmowski posadził go też obok siebie.

– Jestem jeszcze cały przejęty – odezwał się po cichu – wrażeniem, jakie na mnie uczyniła królowa... najnieszcześniejsza istota pod słońcem. Córka Cezarów! Żona tego niedołęznego i przewrotnego książątka! Co za los! Ubolewania godzin...

– Tak – potakiwał z wielkim przejęciem Toltini – męczennicą jest... żywot to do nieznieśnienia.

Spojrżeli sobie w oczy dwaj spiskujący i prymas długo na ucho szeptać coś począł sekretarzowi Eleonory. Zdawał się obawiać szmeru nawet tego cichego mruczenia – tak coś straszego zwierzał Włochowi. Nawzajem, Włoch więcej wyrazistymi rąk ruchami niż słowy, mu odpowiadał. Pomimo takiego zabezpieczenia się od posłuchów i zdrady prymas rzucił oczyma dokoła i dopiero po namyśle, drżącą ręką dobył zza sukni przygotowany list, wcisnął go Toltiniemu i nie dając mu ani na chwilę trzymać na oczach, zmusił do schowania w boczną kieszeń. Znowu szepty się rozpoczęły, twarz prymasa na przemiany wyrażała to radość, to niepokój. Toltini też nie bardzo się okazywał spokojnym i wkrótce mieszkanie Prażmowskiego opuścił.

Z rana Kiełpsz doniósł królowi, że sekretarz królowej został wysłanym do Wiednia.

N. Panie – odezwał się – królowa bez Włocha tego obejść się nie mogła. Zaszła więc jakaś okoliczność niepospolitej wagi, kiedy się go, choćby na krótki czas, pozbyć była zmuszona. Widziałem Toltiniego na samym wyjeździe. Zapomniał widać o tym, iż sam mi mówił, że rodziny wcale nie ma, skłamał bowiem przede mną, że uprosił sobie dni kilka, stęskniwszy za rodziną. Wszystko to razem dowodzi, że coś się knuje?

– A cóż gorszego się jeszcze knuć może? – przerwał król obojętnie.

– Nie wiem – odezwał się Kiełpsz – ale i to znak niedobry, że Toltini wczoraj był nocą u prymasa...

Spojrzał Michał na mówiącego i poruszył ramionami.

– Cóż oni uczynić mogą? – rzekł zimno. – Wyczerpali już wszelkie środki.

– Jednakże... potrzeba by... coś począć? – odezwał się nieśmiało dworzanin.

Zmarszczył się na to król i potrząsnął głową.

– Słyszałeś kiedy bajkę o bazyliisku?²⁰³ – zapytał.

Krajczy stanął zmięszany – po ustach króla smutny uśmiech przebiegł.

– Tak jest – dodał – o bazyliisku! Mówią o nim, że sam się ukąszeniem i własnym jadem zabija. Ja sądzę, że źli ludzie tak własną złością na koniec giną. Niech czynią, co chcą.

Kiełpsz nic już więcej mówić nie śmiał, ani się przyznać do tego, co na własną rękę począł. Przekonanym był, iż Toltini z ważnymi papierami musiał być wyprawionym do Wiednia. Nie wątpił, iż one, jak wszystko, co przedsiębrała królowa, przeciwko mężowi były wymierzone.

Całą noc męczył się i niepokoił tym krajczy, a nad rankiem, wiedząc, że Toltini do Wiednia jedzie dnia tego, znalazł ludzi, dobrał im dowódcę i wyprawiał ich przodem, aby Włochowi po drodze papiery, jakie wiozł z sobą, odebrali. Zalecił im, ażeby staremu nic nie czynili złego i dla niepoznaki tylko obedrzeć go musieli, aby napaść na prostych rabusiów złożoną być mogła.

Wybrani przez Kiełpsza tak się doskonale uwinęli, że nie czekając nocy, w lesie Toltiniego zaskoczywszy, obrali go ze wszystkiego, co miał, do koszuli. Z początku jednak listów przy nim żadnych znaleźć nie mogli i dopiero zaszyte w odzieży odkryli. Był między innymi papierami królowej list do matki, do ojca i prymasa do Ferdynanda. Toltini odarty, przestraszo-

²⁰³ b a z y l i s z e k (z greck.) – potworny jaszczur mający według podań ludowych zabijać wzrokiem

ny, tegoż dnia na noc powrócił do Warszawy potajemnie i straszna za powrotem jego burza na zamku powstała. Królowa Eleonora z gniewu rozchorowała się i położyła w łóżko.

Król o niczym nie wiedział. Kiełpsz, sprawca tego śmiałego napadu, tak pomyślnym uwięźzonego skutkiem, mógł nim być dumny, ale wiedział, że Michał mu tego nie pochwali.

Wieczorem, gdy król wieczerzę sam z Pacem zjadłszy rozbierał się i miał iść do łóżka, rzucił mu się do nóg Kiełpsz, wyznając, co popełnił. Król mocno się oburzył z początku, połajął za zbytnią gorliwość krajczego, ale w końcu papiery odebrane Toltniemu podać sobie kazał.

Sądził Kiełpsz, że je rozpieczętuje, przeczyta i jawnej zdrady mając w ręku dowody, użyje ich na pogębienie wroga. Król tymczasem z wielką trwogą i troskliwością opatrzywszy pieczęci, czy nie zostały naruszone, papierów ani tknął i zamknął je pod klucz.

Ciekawym był Kiełpsz, co z nimi potem pocznie. Michał postąpił sobie ze szlachetnością, charakterowi jego właściwą. Królowa, ochłonawszy nieco po pierwszym wrażeniu, nazajutrz wstała z łóżka i do wspólnego przysła stołu. Michał idąc na ten obiad zabrał z sobą papiery. W chwili, gdy Eleonora wchodzić miała do jadalni, spotkał ją w gabinecie, w którym ją poprzedzał. Zapytał naprzód o zdrowie, na co otrzymał niedorzeczną odpowiedź – królowa chciała, nie przedłużając rozmowy, iść do sali, ale Michał jej zastąpił drogę grzecznie i zatrzymał.

– Musiałaś pani wczoraj kogoś wysłać do Wiednia z listami – odezwał się.

– Alboż mi nie wolno? – oburzyła się Eleonora.

– Nikt jej tego nie zaprzecza – odezwał się Michał – lecz należy z listami wyprawiać ludzi pod osłoną. Zdaje się, że wczorajszy poseł wpadł w ręce jakimś opryszkom, którzy go odarli, bo moja straż i myśliwcy pochwycili ich potem z papierami, które szczęściem do rąk się moich w całości dostały.

Królowa bladła i rumieniła się – rzuciła na męża wzrokiem jadowitym. – Gdzie są te papiery?! – krzyknęła.

Michał powoli dobył z szerokiej bocznej kieszeni sukni pakiet i grzecznie wręczył go królowej.

Chciewie naprzód rzuciła się na pieczęcie, co widząc król rzekł z uśmiechem łagodnym:

– Pieczęci są w całości – miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co też ks. prymas może pisać do Jego Cesarskiej Mości, lecz nie śmiałem łamać pieczęci.

Odetchnęła królowa, ale nie myślała się tłumaczyć i uniewinniać, powróciła jej duma i zuchwałość, milcząca poszła do stołu. Przez cały jednak czas trwania obiadu siedziała, nic do ust nie biorąc i nie mówiąc ani słowa. Michał dnia tego jadł długo, jadł wiele i Eleonora, zniecierpliwiona pod koniec, odsunęła krzesło powracając do swych pokojów.

Po południu ks. Olszowski przyszedł do króla, który mu poufnie opowiedział, co się stało. Biskup chełmiński rzucił się wołając:

– Gdzie ten list? gdzie! – a dowiedziawszy się, że król zwrócił go żonie, wpadł w rozpacz niemal. Przywodził tysiące przykładów przejmowanych korespondencji osób podejrzanych dowodząc, że gdzie szło o najwyższej wagi sprawy krajowe, król miał prawo nie szanować tajemnicy listów. Co więcej składał dowód, że Zamojski listy króla Zygmunta III przejęte, na sejmie pokładał.

Michał odpowiedział obojętnie:

– Wstręt miałem do użycia takiego środka. Cóż bym się zresztą dowiedział z listu prymasa? Nic – oprócz tego, że mię zapewne przed teściem obwinia.

Przez dni potem kilka Toltni się nie pokazywał. Na dworze mówiono, że leżał chory. Wstał potem i z dawną swą wstrętliwą twarzą zjawił się na pokojach. Był on zwykłym pośrednikiem pomiędzy królem a Eleonorą, gdy czegoś wymagała, bo nie można powiedzieć, aby kiedy prosiła o co. Zobaczywszy go z daleka, Michał podszedł ku niemu:

– Cóż to? Byłeś chory? – zapytał go po włosku.

– Tak jest N. Panie – odparł sekretarz, kłaniając się nisko. – Przyszedłem właśnie W. Królewskiej Mości wytłumaczyć się z tego, że listy przy mnie od ks. prymasa znaleziono. Ja o nich nie wiedziałem, oddała mi je najjaśniejsza pani. Miałem zlecenie tylko wręczyć je cesarzowi imci.

Popatrzył mu król w oczy zimno.

– Weźże waszmość z sobą ludzi kilku, gdy z listami ważnymi jechać będziesz. Szczęściem tym razem, że się przypadkiem do rąk moich dostały.

Odwrócił się i odszedł.

Królowa nie dała sobie wmówić, iż papiery zabrane Toliniemu trafem do rąk króla doszły – była pewną, że czatowano na jej sekretarza, ale pojąć nie mogła, jak starając się zdobyć listy, potem z nich nie korzystano i pieczęci nie naruszono. Wypadek ten zatarły inne, po sobie następujące.

Turcy chcieli zmusić do zachowania sromotnych, w Buczaczu zawartych, traktatów, które Polskę czyniły hołdowniczą państwu Ottomanów. Roczny haracz nie opłacony miał ściągnąć dzicz na granice, których szlachta z obojętnością niepojętą bronić nie chciała, bo przewrotny prymas krzyczał ciągle, że nieprzyjaciela nie ma, że krajowi nic nie grozi.

Schorzały starzec rzucał się bezsilny, wietrzył, ani sam nic nie mogąc królowi zrobić, ani jemu nic począć nie dając. Szczęściem, chociaż związany z nim Sobieski i również nienawidzący Wiśniowieckiego, czuwał na granicy i bolał nad klęskami poniesionymi, usiłując je powetować. Utracony Kamieniec, pokój ohydny, niesforność wewnątrz, obudziły w nim miłość kraju.

Ks. Olszowski tylko nie mógł się uspokoić po przejętych listach prymasa do cesarza, odgadnąć nie umiając, co on tu mógł knować? Na próżno starał się pomiędzy duchowieństwem, otaczającym Prażmowskiego, znaleźć kogoś, co by tajemnic jego był świadomym.

Wiedzano że, od niejakiego czasu, prymas miał z Wiedniem ściślejsze stosunki, do których wchodziła królowa, ale nikt się domyśleć nie mógł, co one miały na celu.

Różnymi drogami wyprawiano listy do Wiednia, Prażmowski otrzymywał odpowiedzi, lecz zamykał je i z nikim się tajemnicami nie dzielił. Można było tylko dorozumieć się, iż zemstę obiecywał i jakieś króla upokorzenie, gdyż chory starzec cieszył się tym, iż pokona nieprzyjaciela.

– Pozna siłę moją!

Ks. Olszowski doszedł i tego, że jeden ze starszych duchownych archikatedry gnieźnieńskiej przez prymasa potajemnie został wysłany do Rzymu do Ojca Ś-go.

Okoliczność ta wcale by zresztą na siebie nie zwróciła uwagi, bo stosunki ze Stolicą Apostolską były ciągle i żywe – uderzało to, iż ksiądz scholastyk²⁰⁴ nie miał nic danego na piśmie i ustnie poselstwo swe miał sprawić.

Sieci intryg płatały się tak gęste, tak na wszystkie strony przeciągane, iż się z nimi ciągle trzeba było spotykać i walczyć. Król do tego nie czuł się stworzonym.

Zdrowie jego prócz tego coraz się pogorszało. Bliżsi posądzali już, że mu zapowiadaną truciznę zadano. Często całe dni w łóżku z boleściami okrutnymi przepędzać musiał, a zaledwie z niego powstawszy spotykał wiadomości, które rozpaczliwe położenie kraju przynosząc, resztę sił mu odbierały.

Hela niekiedy wciskała się niespokojna ze słowami pociechy do chorego. Podnosił wówczas oczy i odpowiadał na jej pytania:

– Iść trzeba, iść, walczyć i zginąć.

²⁰⁴ s c h o l a s t y k (z łac.) – tu: kanonik, członek kapituły

IV

Nigdy na zamku warszawskim smutniej nie bywało, jak teraz – nawet gdy Zygmunt August leżał tu chory, wyglądając zgonu, gdy Anna Jagiellonka dręczyła się elekcją i broniła praw rodu swego, ani za Zygmunta prześladowanego przez rokoszanów, ani za następców jego. Nigdy też dwór królewski nie rozpadał się tak na dwa nieprzyjacielskie obozy, które, wojny sobie nie wydając, nie przychodząc do walki, wzajemnie śledziły, podsłuchiwały i szkodzić sobie usiłowały.

Wszystkie próby jakiegoś przejednania, zgody, zbliżenia, zbolełą królową Eleonorę znajdowały oporną, a czas zdawał się tylko wstręt jej do męża powiększać. Łagodność jego i dobroć nawet obudzała w niej tylko śmiech i politowanie. Korzystali z tego nieprzyjaciele króla, który miał nieubłaganych wrogów, a wśród tych, co przy nim stali – po większej części przyjaciół wystygłych, zmęczonych i myślących o sobie.

Znaczenie i potęgę hetmana Sobieskiego rosły z dniem każdym, prymas na nim się też opierał. Czynny, przytomny, w potrzebie umiejący z siebie i imienia zrobić ofiarę, u wojska mający miłość i wiarę, rosł w oczach ten wódz, z którym się już nikt mierzyć nie mógł.

W miarę tej siły, jaką zdobywał, znaczenie króla zmniejszało się. Wybraniec ów szlachty nawet u niej tracił na powadze, bo wiary w niego nie miano.

Męczył się życiem, ludźmi, sobą i nieznośnym związkiem z żoną. Ks. Olszowski jeden, wylany, mu oddany, broniący go – sam na ostatek zwątpił i o sobie, i o królu. Odrętwienie, bezsilność ogarnęły wszystkich.

Jedyną nadzieją, smutną bardzo, ks. podkanclerzego było, że Prażmowski chorzał i zdawał się długiego nie obiecywać życia. Po zgonie jego wiele zmienić się mogło. Nie rozpaczano o zbliżeniu się do Sobieskiego, chociaż srogie przeciwko niemu podrażnienie Paców stawało na przeszkodzie.

Ks. biskup chełmiński od dawna śledził niezrozumiałe dla siebie konszachty prymasa z dworem wiedeńskim i przypadek dopiero odsłonił mu tajemnicę, której z początku nie chciał dać wiary.

Zgryźliwy prymas miał przy sobie ks. kanonika Rostowskiego, niegdyś wielkiego ulubieńca, któremu z wszystkiego się zwierzał. Dumny, zdolny, uzuchwalony Rostowski, któremu nigdy dosyć benefisów²⁰⁵ i dochodów nie było, poczynił sobie z chorym na ostatku prymasem jako ze starcem dzieciniałym.

Znosić to musiał długo Prażmowski, obawiając się swego przeciwnika, lecz w końcu wymagania jego doszły do takich rozmiarów, że ich w żaden sposób zaspokoić nie mógł.

Ks. Rostowski wcale nie miał litości nad starcem, który w nim nie obudzał szacunku. Dla kanonika prymas był szczeblem, aby się podnieść w górę, narzędziem tylko, tak jak dla Prażmowskiego ulubieniec ten również wygodnym sługą.

Znali się bardzo dobrze. Ks. Rostowskiemu naprawdę nic zarzucić nie było można. Surowego obyczaju, nie miał w sobie pobożności gorącej, ale obowiązki spełniał ze ścisłością do przesady posuniętą. Jako kapłana szanowano go i obawiano się. Niechętnie szli do niego ludzie do spowiedzi, gdy zasiadł u konfesjonau; z kazalnicy rzucał pioruny, ale też życie jego własne zgadzało się z tą zasadą surowością.

W politycznych sprawach ks. Rostowski bystrością umysłu i pracowitością swą był nieocenionym, w nich też dawał Prażmowskiemu się prowadzić, na niego składając i odpowiedzialność za kierunek, jaki im dawał.

²⁰⁵ benefis (z franc.) – tu: w znaczeniu dochody, podatki, zysk korzyść

Nagle nieprawdopodobna wieść się rozeszła, że ks. Rostowski, postradawszy łaski Prażmowskiego, do Gniezna na wygnanie skazany, miał Warszawę opuścić.

Ks. Olszowski, który ze wszystkiego korzystał, szukał też środka, aby się zbliżyć do kanonika.

Spotkali się u ks. jezuitów przypadkiem.

– Słyszałem – odezwał się biskup do Rostowskiego – że ks. kanonik opuszczasz Warszawę, a podobno i Łowicz. Kanonik skłonił głowę.

– JM. ks. prymas mnie wysyła...

Początek ten rozmowy głośny skłonił biskupa do zaproszenia ks. Rostowskiego na obiad do siebie.

– Jeżeli się ksiądz kanonik nie obawiasz zapowietrzonego – dodał Olszowski.

Kanonik wesoło odparł, że nie miał już nic do stracenia.

Przy obiedzie, który dnia tego oprócz kapelana nie sprowadził nikogo do podkanclerzego, mówiono o rzeczach obojętnych, ale już z wyrażen kanonika wnosić było można, iż z prymasem zupełnie zerwał. Z tym większą więc ciekawością zaprosił go na poufałą rozmowę do sypialni biskup chełmiński.

– Przrzekam wam zachowanie tajemnicy – rzekł do kanonika – ale zaspokójcie ciekawość moją, co was z Prażmowskim poróżniło?

Rostowski nie dał się nawet prosić bardzo.

– Wszystko ma swe granice – rzekł. – Służyłem Prażmowskiemu w jego robotach potrzebnych, w sprawie publicznej, lecz zażądał wreszcie kooperacji²⁰⁶ w tym, czego sumienie nie dopuszczało.

I po chwili milczenia Rostowski dodał:

– Prażmowski pracuje nad wyrobieniem rozvodu królowej i razem na złożenie króla z tronu, a wprowadzenie Lotaryńskiego, który ma ją zaślubić!

Olszowski stał osłupiały.

– Duchownemu, biskupowi być do takiej nieczystej sprawy pierwszym bodźcem... nie godzi się. Powiedziałem mu to otwarcie. Ale już kroki są poczynione. Cesarz się zgadza podobno. Stąd spór, naleganie, odmowa – i niełaska, w którą popadłem.

Olszowski stał jeszcze zamyślony, mówić nie mogąc.

– A królowa? – szepnął.

– Zdaje się, że ona pierwsza myśl tę podała – mówił Rostowski – i najgorliwiej pracuje nad przyprowadzeniem jej do skutku. Prymas, któremu się zwierzyć miała, utrzymuje, że rozwód bardzo łatwym będzie, gdyż nigdy z sobą nie żyli – *matrimonium votum, sed...*²⁰⁷

Biskup chwycił się za głowę.

– Cała ta sprawa – mówił kanonik – właśnie jest w biegu. Wymogła na ojcu Eleonora, iż się zgodził na to. Prymas zaręcza, iż na tron go z pomocą Sobieskiego wprowadzi. Nieszczęśliwy król nie wie o niczym, a o nieszczęśliwym kraju nikt nie myśli.

To zwierzenie się ks. Rostowskiego – można sobie wyobrazić, jakim było ciosem dla Olszowskiego.

– A Rzym – zapytał – nie wiecie, jak się na to zapatrują w Rzymie? Papież był bardzo dobrze usposobionym dla króla.

– I jest nim zapewne – dodał Rostowski – ale głowa kościoła ma tu niejedną sprawę na barkach swoich, a znajdują się ludzie, co mu ją przedstawiają tak, jak cesarzowi potrzeba. Dodajcież wpływy tego dworu w Rzymie i – mówmy otwarcie – pieniądze, którymi królowa nie omieszka poprzeć swój rozwód.

Ks. Olszowski, który nie mógł w końcu nie uwierzyć Rostowskiemu, tak był przybity odkrytą tajemnicą, iż na chwilę energią utracił.

²⁰⁶ k o o p e r a c j a (z łac.) – współdziałanie

²⁰⁷ m a t r i m o n i u m, v o t u m, s e d... (łac.) – małżeństwo zaślubione, lecz... (domyślne: niedokonane)

Podziękował najczulej kanonikowi i zamknął się tego dnia w domu, aby obmyśleć, jak postąpić należało dla zapobieżenia następstwowi niegodziwej intrygi. Miałli otwarcie o niej oznajmić królowi czy działać na swą rękę i milczeć, aby mu nowego strapienia oszczędzić? Ciężkie to było do rozwiązania pytanie, gdyż w zupełnej nieświadomości utrzymać go prawie nie było podobna.

Ks. Olszowski postanowił otwarcie się z królem rozmówić, bo ważniejszym było zapobieżenie zgorszeniu i niebezpieczeństwu niż oszczędzanie zmartwienia. Dzień spędziwszy na rozmyślaniach, nazajutrz biskup udał się z rana do króla, niosąc już na twarzy zapowiedź nowych trosk.

Znalazł króla, jak zazwyczaj, samego, spartego na rękach, z cierpieniem na licu wyrytym – ale razem z tym rodzajem nieczułości, która już dawniej Michałowi zwykłych wybuchów zniecierpliwienia nie dopuszczała.

Zwrócił się ku podkanclerzemu i wskazał mu siedzenie naprzeciw siebie.

Ks. Olszowski złożył przyniesione do podpisu papiery i milczał długo. Król nie odzywał się także, nie spytał nawet o nie. Czekał.

Na ostatek biskup zebrał się na odwagę.

– Niedobre przynoszą wiadomości – rzekł – aleś W. Królewska Mość nawykł do nich, a te krzyże, które Bóg zsyła, przyjmujesz jako dowód łaski Jego. Rad bym zataić.

Wtem Michał przerwał gwałtownie.

– Na Boga, tylko nic nie taić! Nic nie skrywajcie przede mną, wolę od razu wiedzieć, co mnie czeka.

Oczy trwożliwie nieco zwrócił na biskupa.

Sprawa to domowa, nie publiczna – rzekł biskup – ale niemniej boleśna. Unikałem zawsze i pytań, i mieszania się w stosunki W. Królewskiej Mości z najjaśniejszą panią, ale dziś dotknąć ich musimy.

– Wszyscy wiedzą o tym – odezwał się król z obojętnością zupełną – że w małżeństwie moim miłości nigdy nie było i nie ma.

– Tak, boleliśmy nad tym wszyscy – dodał Olszowski – że nawet w pożyciu domowym pociechy nie masz W. Król. Mość, ale...

Zatrzymał się myśląc, jak przystąpić do oskarżenia; żał mu było króla, który czekał wyroku z natężoną ciekawością.

– Prymas i w to się wmieszał – mówił dalej biskup – i jemu tylko to przypisać należy, iż w Wiedniu przyjęto myśl rozwodu. Prażmowski, jak się zdaje, zrobił im nadzieję, że tron będzie wolnym i że rozwiedziona królowa nowo wybranego ks. Lotaryńskiego poślubi. Mam dowody, że układy o to się potajemnie rozpoczęły, za zgodą i współnictwem n. pani, co dziwniej, z wiadomością cesarza.

Michał słuchał, błędniejąc. Twarz mu się boleścią wewnętrzną zmieniła. Nie znalazł na odpowiedź słowa, usta mu zapadły, milczał długo.

– Spodziewać się tego można było – rzekł w końcu – lecz w Wiedniu... Poruszył ramionami.

– Tak, prymasa to jest dzieło, czuję w tym rękę jego. Wszystko to było tak zręcznie ukrywane, a raczej tak monstrualnie nieprawdopodobne, iż mogli bezkarnie działać, a nikt nawet posądzać ich nie śmiał.

Podniósł głowę i popatrzył na biskupa.

– Cóż czynić myślicie? – zapytał. – Ja otwarcie się rozmówię z królową – dodał z boleścią – może sobie oszczędzić zachodów i zgorszenia. Trochę cierpliwości. Ja długo żyć nie będę, czuję i niechęć, i niemoc do życia... Mniej należy obwiniać słabą kobietę, ale ten, ten...

Nie dokończył król i otarł czoło zimnym okryte potem.

– Tak – rzekł na wpół do siebie – wypić trzeba ten kielich upokorzeń aż do dna. Prymasowi nie przebaczę nigdy...

– Słyszę – przerwał ks. Olszowski – że starzec nie wstaje już z łóżka, a stary doktor Braun, którego też do niego wzywano, mówił mi, iż życie w nim wyczerpały namiętności.

Michał milczał obojętny, a cały w sobie.

– Rozmówię się z królową – dodał po długim milczeniu – wy, nic... wiem, chcielibyście pojechać do cesarza, aby mu wymówić jego współnictwo?

– Cesarz nie przyzna się do niego – odparł Olszowski – a my piśmiennych dowodów nie mamy...

– Nic więc czynić nie myślicie? – zapytał król.

– Musimy to rozważyć – odpowiedział Olszowski.

Michał się zadumał, w rękę pochwycił papier gniotąc bezmyślnie.

– Dziękuję wam – odezwał się głosem już ostygającym po pierwszym wybuchu. – Zostawcie mi dzień dzisiejszy.

Przez litość biskup chełmiński, już dłużej o tym przedmiocie nie mówiąc, przedłożył królowi bieżące sprawy, a Michał mechanicznie ujął pióro i z kolei podawane mu papiery podpisywać zaczął, myślą będąc gdzie indziej.

W pół godziny ta praca milcząca dokończoną została, podkanclerzy zebrał papiery rozrzucone i powstał.

– Pozwól mi W. Królewska Mość – odezwał się, zabierając się już odejść – prosić, abyś nie brał do serca sprawy, która prawdopodobnie pozostanie tylko prośbą nieudaną i skutków za sobą nie pociągnie żadnych.

– Wszakci – zimno odparł Michał – ostrzelany jestem, bądź spokojny.

To mówiąc odprowadził do drzwi wiernego sobie biskupa i gdy się one zamknęły za nim, zadzwonił na dworzanina.

Kiełpsz, na czatach będący, wszedł natychmiast.

– Oznajmcie o mnie do królowej – rzekł głosem podniesionym król – i powiedzcie, że widzieć się z nią muszę.

Nie siadając już, niespokojny, z rękawiczkami i kapeluszem w rękę, czekał król w pośrodku sypialni. Kilka razy poruszył się ku progowi sądząc, że Kiełpsz powraca, który dosyć czasu potrzebował na przyniesienie odpowiedzi.

Stał w progu i szepnął tylko, że królowa czekać miała. Szybkim zrazu krokiem rzucił się król ku drzwiom, lecz natychmiast go zwolnił. Przesuwając się przez długi szereg pokoiów jak i korytarzy, szedł zadumany nie widząc tych, których spotykał. Między innymi nastrecał mu się z pokornym ukłonem Toltini, na którego [nie] spojrzał nawet.

Królowa Eleonora oczekiwała już w salce swej posłuchalnej na małżonka, sparta o stół, jakby tym chciała mu zapowiedzieć, że długo nie miał pozostać.

Od progu rzucił na nią posępne spojrzenie Michał. Podeszedł, nie kłaniając się i nie witając.

Głos mu drżał, gdy mówić zaczął.

– W interesie waszym – rzekł – jest, aby to, z czym przychodzę, niekoniecznie obcych doszło uszu: Raczcie się upewnić, że nas wasz dwór nie podsłucha.

Wcale niezwykajne to zagajenie widocznie zmięszało królową Eleonorę. Krokiem żywym podeszła ku drzwiom jednym, otworzyła je gwałtownie, spojrzała i milcząc na swe, miejsce powróciła.

Król, zwykle tak apatyczny, tym razem miał wyraz twarzy szyderski.

– Sądziłem – rzekł – iż W. Król. Mość, przecierpiawszy już ze mną czasu tyle, zechcesz być do niedalekiego końca cierpliwą, przekonywam się, że tak nie jest i że się wyczerpała cierpliwość W. Król. Mości. Wiem o jej staraniach z pomocą prymasa rozpoczętych o rozwód ze mną... w nadziei, że mnie tronu pozbawią.

Uśmiechnął się boleśnie.

– Wszystko to wywołałoby zgorszenie dla cesarskiej rodziny waszej nieprzyjemne. Przycho-
dząc więc radzić jeszcze nieco cierpliwości. W. Król. Mość widzisz sama, iż życia nie star-
czy mi na długo, ja sam to czuję.

Pierwszy raz od stąpienia Eleonory na tę ziemię, która jej była tak wstrętliwą, z dumnej,
śmiałej i zuchwałej, królowa stała się niemal pokorną, złamaną, tak ją przeraziły te słowa.

Wargi jej zadrżały, potoczyła oczyma obłąkanymi dokoła, kilka razy chciała zacząć coś
mówić i chwyciła się za piersi, nareszcie podeszła prędkim, niepewnym krokiem do króla.
Nigdy jej tak nie widział.

– Ja o niczym nie wiem! Sprawa to nie moja, jestem jej obcą. Nie obwiniajcie mnie.

Michał dumnie zamilczał. Upokorzenie to Eleonory, zmuszonej się wypierać, uwalniało go
od wyrzutów i sporu, trochę litość wzbudziła, gdy na oczach jej ujrzał łzy i w całej postawie
niewypowiedziane pomieszanie.

– To są zapewne sprawy tych, co się mną opiekują, widząc mnie nieszczęśliwą – dodała
Eleonora, podchodząc jeszcze do męża, który cofnął się kroków parę. – Ja nie wiem o ni-
czym, o niczym.

Głos jej drżał.

– Cieszę się więc, że W. Król. Mość mogłem w czas przestrzec – rzekł Michał. – Skandal
bezużyteczny... trzeba go unikać.

To mówiąc skłonił się i zawrócił ku drzwiom. Królowa niespokojna szła za nim aż do pro-
gu, ale się ku niej nie zwrócił. Pomieszana stanęła na chwilę, niepewna, co pocnie, i po odej-
ściu króla wołać zaczęła na swą zaufaną ochmistrzą, która przestraszona przybiegła.

Królowa już się rzuciła w krzesło i głosem osłabłym zawołała:

– Toltini, Toltini!

Raz pierwszy była złamaną. Obawa ojca, który mógł być wmieszany w zawikłanie dla nie-
go wstrętliwe, strach skandalu, mogącego się rozejść po Europie, odejęły jej odwagę.

Włoch, którego pochwycono gdzieś na korytarzu, biegł przelekły, przewidując coś nie-
przyjemnego.

Eleonora w krzesło, z chustką na oczach, bezsilna, była dla niego zjawiskiem tak nowym i
dziwnym, iż osłupiały z trwogi stanął przed nią.

Zerwała się nagle.

– Toltini – zawołała – zdradzona jestem, król był przed chwilą, przyszedł mi czynić wy-
rzuty, wie o wszystkim. Załamała ręce. Włoch zagryzł usta.

– Jeśli jest w tym czyja wina oprócz przypadku – odezwał się – to chyba starego tego pry-
masa, którego namiętność często czyni nierozważnym. Co do mnie...

Żywym krokiem, nie słuchając go już, Eleonora się przechadzać zaczęła po sali, sama coś
szepcząc do siebie. Włoch po kilkakroć rozpoczynał rozmowę, nic mu nie odpowiadała.
Postać pokornie w progu, dała znak, że go nie potrzebuje.

Wyszedł.

Nadeszła godzina obiadowa – król oznajmić kazał, że czując się niezdrów do stołu nie
przyjdzie.

Trafiało się to nie jeden raz, a Eleonora wcale nie troszczyła się o małżonka – tego dnia
zmieniła obyczaj i wysłała komornika swego, aby się o zdrowie króla dowiedział. Mówiono o
tym po całym dworze jako o wypadku niesłychanej wagi.

Kiełpsz, do którego zapytanie przyszło, nie donosząc o nim królowi, odpowiedział, że nie-
dyspozycja Najjaśn. Pana nie zdaje się być groźną, ale bolesną.

W postępowaniu Michała nie było od dni powszednich żadnej prawie różnicy, Kiełpszowi
się wydał tylko śmielszym i więcej ożywionym.

Nad wieczorem króla już na zamku nie było, ale służba miała rozkaz nie rozgłaszać o tym i
mówić dowiadującym się, że leżał chory. Do tego wszyscy byli nawykli.

Późnym wieczorem Prażmowski leżał pod szkarłatnym pawilonem, a u wezgłowia jego stary balwierz, do którego usług był nawykłym, ucierał coś w małym mózdzierzyku kamiennym, z ukosa spoglądając na chorego.

Obraz tego starca, który walczył z niemocą i nadchodzącym sporem, każdego innego, nad tego sługę, co od dawna oswojony był ze swym panem i gorączkowym jego temperamentem, napęliłby niepokojem. Stary i od kilkunastu lat przy osobie arcybiskupa zostający cyrulik, zimnym okiem patrzył na rzucającego się po łożu, szarpiącego na sobie okrycie, mruczącego niewyraźnie coś, co można było raz wziąć za modlitwę, a wnet potem za przekleństwo. Gdy kołdry spadały, cyrulik stawiał swój mózdzierz, poprawił je, siedział znowu na miejscu i obojętnie proszek zacierał w doniczce.

Prymas niekiedy wołał wody, naówczas dawał mu stróż przegotowaną jakąś i mętną tyzannę²⁰⁸.

Na twarzy starca straszliwie wymęczonej i boleścią wewnętrzną pokrzywionej – cierpienie, gorączka i stan ducha niespokojny razem się malował. Niekiedy poczynął się modlić i modlitwa zamierała na wargach, chwycił się za piersi, za boki i jęczał, potem kładł na poduszki, twarz osłaniając rękami, usiłując uspokoić i usnąć, lecz wysiłek ten trwał krótko, porwał się gwałtownie i głosem ochrypłym wołał znowu wody. Nie mówiąc słowa cyrulik podawał kubek, poprawiał kołdrę i siadał, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

Późno już było. Z dała donośne dały się słyszeć kroki, a że tu wszyscy około chorego zwykli byli chodzić na palcach, Prażmowski posłyszawszy chód ten, z trwogą niewysłowioną dźwignął się na łożu. Cyrulik też biegł już do drzwi, które się otwarły nagle i – w progu ukazał się król.

Prymas, jak gdyby widmo ujrzał, ze słabym okrzykiem oczy sobie zasłonił.

Michał podszedł aż do łoża i stanął. Była chwila milczenia i oczekiwania, którą tylko ciężkiego oddechu prymasa odgłos przerywał.

– Potrzebowałem widzieć waszą pasterską mość – odezwał się król głosem dosyć podniesionym.

Zwrócił się do stojącego tuż, przełękłego balwierza i dał mu znak, aby odszedł precz.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Michał przystąpił bliżej jeszcze łoża.

– Nie wiem którego z nas – odezwał się – pierwszej Bóg na sąd swój wezwie. Między wami a mną on sprawę rozstrzygnie. W ciągu tych lat przebaczałem nieraz, wyciągałem rękę, na próżno. Byliście i jesteście mi wrogiem. Nie przyszedłem was prosić za sobą – ja nic nie mam do stracenia, proszę was, abyście majestatowi temu królewskiemu Rzeczypospolitej oszczędzili sromu i zgorszenia, a nie dawali go ludziom na pośmiewisko. Wiem o waszych stosunkach z cesarzem, któregoście uwikłali w sprawę rozwodu, z ujmą czci domu rakuskiego, wiem o wszystkich knowaniach waszych. Ja i wy stojemy oba nad grobem. Rozwód mojej żonie niepotrzebny, śmierć nas bez papieża rozwiedzie.

Zamilkł król na chwilę, wzruszenie głos mu odejmowało.

Prymas łkał, jedną ręką twarz osłaniając, drugą chwytając bezmyślnie okrycie.

– N. Panie – rzekł...

– Nie tłumaczcie się – przerwał król – byłoby to próżnym. Ja do was nawet żalu nie mam, skracając mi życie, skróciliście cierpienie. Ale wy jesteście głową Kościoła, namiestnikiem Chrystusa na ziemi tej... a dalsze przykład nienawiści, zjadłości, prześladowania. Przez was kraj ten stoi bezbronny, waszą sprawą, gdy nieprzyjaciół na granicy czyha, wewnątrz walczą bracia z sobą. Godnymi! to kapłana, głowy Kościoła? Wnijdziecie w sumienie wasze... Bóg nas osądzi! Bóg nas osądzi! Bóg nas osądzi!

Podniesionym głosem wyrzekłszy te słowa, król zmierzwił wzrokiem słabnącego starca, stał jeszcze milczący moment krótki i krokiem powolnym wyszedł z sypialni.

²⁰⁸ t y z a n n a (z franc.) – odwar z kaszy jęczmiennej, kleik, napój dla chorych

Gdy balwierz biegnąc ku łóżu przypadł do niego, aby na ratunek chorego pospieszył, znalazł go wijącego się na łóżu, z przekleństwami na ustach, rozszalałego gniewem.

– Precz, precz – wołał nieprzytomny – precz, wszyscy zdrajcy, precz ode mnie!

Odepchnięty stary sługa powracał, podając napój, okrywając zrzucanymi kołdrami. Prymas był w stanie bezprzytomnym, nie do opisania. Potrzeba było natychmiast wezwać doktora.

Tymczasem zamiast niego Włoch Toltini, którego zawsze nie pytając wpuszczano, nadbiegł, domagając się do prymasa i zdyszany stanął nad jego łóżem.

Ale Prażmowski zobaczywszy go i poznawszy, podniesionym, jeszcze krzykliwszym głosem zawołał:

– Zdrajcy! Zdrajcy! Precz ze zdrajcami!

Dla balwierza jawnym było, iż mogło zbliżyć się konanie. Tym pilniej wysyłał co chwilę po doktora, który nie nadchodził. Kapelan, który nadbiegł i począł nakłaniać do usposobienia i modlitwy, doznał takiego samego, jak Włoch przyjęcia. Prymas odepchnął go, wołając:

– Zdrajca! Wszyscy zdrajcy! Precz ode mnie, nikogo nie chcę!

Prawie gwałtem balwierzowi się udało wreszcie uspokajającą miksturę²⁰⁹ wlać mu w usta, która po chwili odrętwiająco działać zaczęła. Wołania i jęki wrywały się jednak z ust starca, dopóki sen sztuczny, ciężki, gorączkowy nie zamknął mu powiek.

Okolo łóża powoli ściągnęło się co było starszych sług i dworu Prażmowskiego. Wszedł na ostatek i wynaleziony z trudnością zwykły lekarz Prażmowskiego, Almer, Niemiec. Poszeptawszy z balwierzem krótko zbliżył się do łóża, wyszukał ręki i pulsu, głową potrząsnął i padł na siedzenie u wezgłowia.

W tymże momencie jeden z synowców Prażmowskiego wpadł przelekły do sypialni. Wiedział już o odwiedzinach królewskich i łatwo mógł przewidzieć ich skutek.

Ze zwieszoną nad łóżem głową powstał chwilę i zwrócił się do Almera.

Niemiec ręce rozpostarł, podniósł je do góry, westchnął, dając poznać, że stan chorego był rozpaczliwy.

Godzina może upłynęła w złowrogim milczeniu. Coraz szybszy i cięższy oddech chorego słyszeć się dawał, oznajmując jakby tę ostateczną walkę życia ze zgonem, która tu zapowiadała się ciężką i męczeńską. Chory otworzył nagle oczy, usiłował się podnieść, padł bezsilny na wezgłowie i usta wyjąknęły:

– Wody!

Doktor podał mu napój przygotowany, ale wlać go było potrzeba, bo starzec nie miał siły do przyjęcia.

Oczy, gorączkowym jeszcze blaskiem zapalone, biegały dokoła.

– Sen! to był sen? – szepnął – król? sen? król?

Almer potwierdził to ruchem głowy.

Chory nieco się uspokoił, poznał synowca i poruszył ręką, która bezsilna opadła. Kapelan zbliżył się z książką i krzyżem.

Prymas głową skinął, aby czekał, ale oddech stawał się coraz trudniejszym, a niepokój chorego większym coraz. Ksiądz ukląkł u łóża i modlitwy półgłosem odmawiać zaczął.

Było to nadchodzące już konanie.

Stary balwierz płacząc podniósł naprzód poduszki, poprawił je, potem wysunął jedną. Widać było wysilenia chorego ostatnie, aby się podnieść jeszcze. Usta poruszały się szeptem niezrozumiałym. Wlano mu w nie napój, który się rozszedł na wezgłowie.

Zapalono gromnicę, ale palce umierającego już jej ująć nie mogły.

Pomimo zdającego się co chwila nadchodzić zgonu, walka się przedłużała. Gdy wszystko skończonym już sądzono, chory wzdychał, otwierał na wpół powieki i konanie ponawiało się równie ciężkie i bolesne, jak wprzód.

²⁰⁹ m i k s t u r a – lekarstwo w postaci płynu

Przez zasłony w oknach dzień już zaczynało, gdy synowiec powieki zmarłego zamknął płacząc i twarz oblekła się siną barwą, którą zastąpiła krwawa, i przeszła wprędce w zielonawy kolor trupi.

W mieście uderzono w dzwony.

Król po powrocie na zamek nierychło mógł usnąć, sen potem, ciężki ze znużenia, objął go tak twardy, iż zwykła godzina, w której zawsze się z nałogu budził, minęła.

Dzień był biały, gdy paż, drzemiący u drzwi, posłyszał wołanie.

– Która godzina?

Zegar wskazywał ósmą. Kiełpsz, czatujący na przebudzenie, wchodził właśnie, głos króla posłyszawszy.

– Dlaczegoście mnie nie zbudzili? – zapytał Michał.

– W. Królewska Mość byłeś nadto znużonym wczoraj – rzekł Kiełpsz – a nie było nic pilnego.

Wtem odgłos wszystkich dzwonów rozkołysanych, jęczących uszy króla uderzył.

– Co to jest? – zapytał.

Zawahał się z odpowiedzią krajczy.

– Musiał ktoś umrzeć – szepnął cicho.

– Ale biją po wszystkich kościołach, we wszystkie dzwony – niespokojnie dodał Michał i paziowi wskazał, aby szedł się dowiedzieć. Chłopak nie potrzebował iść na zwiady.

– Ks. prymas umarł – rzekł spokojnie.

Król zbladł nieco i spojrzał na Kiełpsza, który odpowiedział na wejrzenie krótko:

– Jeszcze wczoraj się tego spodziewano.

Prawie w tym samym czasie Włoch wchodził do pokoju królowej, która roztargniona u śniadania siedziała. Myślami była tak objęta, iż nawet odgłosu dzwonów niezwykłego nie zdawała się słyszeć i uważać.

Twarc i postawa Toltiniego ją uderzyły. Zbliżał się powolnymi krokami do stołu.

– Cóż to za święto dzisiaj? – zapytała Eleonora – te dzwony tak rano?

Włoch wahał się nieco.

– Po umarłym dzwonią – rzekł cicho i poczekawszy, dorzucił z westchnieniem:

– Prymas zmarł tej nocy.

Twarc królowej bladością się okryła, dłońmi zasłoniła oczy, zaczęła płakać. Toltini cofnął się kroków parę. Nie śmiał pocieszać nawet. Eleonora siedziała długo, jakby zapomniawszy o nim. Włoch czekał uspokojenia z uszanowaniem i cierpliwością, dopiero gdy łzy ocierać zaczynając wzrok ku niemu zwróciła królowa, zbliżył się do stołu tronu.

– Przed samym zgonem – rzekł cicho – król był u niego, zdaje się nawet, że to zgon mogło przyspieszyć, chociaż mu go od kilku dni przepowiadano.

Usłyszawszy o królu Eleonora zacisnęła usta, zmarszczyła brwi, zadumała się, chociaż płaczem i niepokojem zmęczona, wstała i palce kładąc na ustach, szepnęła do Toltiniego:

– Wszystko się odmienić musi, król jest też chory niebezpiecznie, godziny jego policzone. Pytałam Brauna, powiada, że się to przeciągnąć może, ale choroba nieuleczona. Będę dobrą i łagodną.

Spuściła oczy ku posadzce, stała jakiś czas zadumana i nie zwracając się już do Toltiniego, wyszła.

V

Wybuchy takie gwałtowne, nagle otwieranie się uciśnionego ducha, a po nich znowu powszednia apatia i obojętność na wszystko, milczenie uparte, były cechą temperamentu raczej niż charakteru króla. Początek nieszczęśliwy panowania nauczył go, że walka z nieprzyjaciółmi była nad siły, a poparcie przyjaciół za słabe. Zamykał się więc w sobie, cierpiąc, starając tylko nie zdradzać boleści przez rodzaj dumy.

Zwątpienie o zwycięstwie po kilku próbach nadaremnych czyniło go już na przebieg spraw obojętnym, nie żył już, ale wegetował.

Ale ten stan bierny wyczerpywał go także i przychodziły momenta stanowcze, w których krew się w nim poruszała, słowo napierało z ust – chciał pokazać, że chociaż milczał tak chłodno, rozumiał, widział i czuł wszystko. Żona szczególnie i prymas obchodzili się z nim, okazując lekceważenie, dlatego w końcu i jej i jemu gorączkowo rzucił w oczy prawdę, ale wybuch taki nie miał u niego żadnych następstw i ciągu. Ostygła, zamykał się w tej żółtawej skorupie obojętności – powracał do znieczulenia.

Nazajutrz też po zgonie prymasa król Michał ostygły wyszedł tylko, aby żadnej z form i zwyczajów nie chybił i nie zaniedbał. Twarz wprawdzie nosiła ślady doznanych wrażeń, lecz one mogły uchodzić za następstwo choroby.

Daleko silniej dzień ubiegły, wystąpienie męża, śmierć prymasa podziały na królowę. Z Wiednia też nadeszły listy, które zmianę zapowiadały ze strony cesarza. Ojciec wymagał, aby Eleonora wytrwała do końca jako żona, ściśle spełniająca swe obowiązki. Choroba Michała, przepowiadany mu zgon – czyniły bezużytecznymi starania wszelkie, zawsze cień mogące rzucić na królowę i na cesarską rodzinę.

Wszystko to razem, po rozmyśle, po płaczu, skłoniło królową do zupełnej zmiany w postępowaniu.

Chciała się, na pozór przynajmniej, pojednać z mężem, wejść w jego życie i w oczach ludzi uchodzić bodaj za małżonkę przywiązaną.

Wprawdzie z dnia na dzień tak zmienić ton, zachowanie się, nawet sam tryb życia – było zanadto uderzającym. Musiała stopniować swe nawrócenie, aby Michał uwierzył, że szczerym było. W sercu jej nie zmieniło się nic, uczucia może tylko nienawiści, gniewu, jeszcze się spotęgowały, ale pozory – z doskonałym instynktem przebiegłości kobiecej – Eleonora obmyślała bardzo trafnie.

Smutek głęboki poprzedził to mniemane nawrócenie, złagodniała naprzód ogólnie dla wszystkich, nim poczęła łagodność większą okazywać mężowi.

W następstwie nie chciała, aby król Michał tylko widział i czuł zmianę, pragnęła ją na jaw wprowadzić, uczynić widoczną wszystkim.

Poczęło się to bezzwłocznie.

Król nierychło mógł to postrzec, bo znowu pogrążonym był w siebie.

Jednymi chwilami jaśniejszymi dla niego były te, które spędzał u pani krajczynej. Hela Zebrzydowska długo się opierając, uległa wreszcie i podała rękę Kiełpszowi. Król, jako powinowatej, sprawił wesele okazałe, krajczemu na Litwie nadał tenutę znaczną i korzystną, ale oboje Kiełpszów zatrzymał przy sobie.

Mówił otwarcie.

– Nie mam nikogo, jestem sam, nawykłem do Heli – niech czasem mam się choć przed kim poskarżyć. Rzadko jednak, aby nazbyt oczów i języków nie zwracać na siebie – król o ile możliwości nieznacznie wykradał się do Kiełpszów, którym dał pomieszczenie na zamku.

Nie mogło to ujść baczного oka takich przebiegłych szpiegów, jak Toltini i niewieści dwór królowej. Wiedzano, że Zebrzydowska była powinowatą, widziano w niej coś więcej może, Hela wcale się o to nie troszczyła.

Chcąc dokuczyć mężowi, królowa Eleonora próbowała wprzód różnymi sposobami pozbyć się Heli z zamku, ale spotkała opór tak stanowczy, choć chłodny, iż musiała się wyrzec postawienia na swoim.

Za to wszelkimi możliwymi sposoby starała się przy każdej zręczności, uroczystości dworskiej itp. upokorzyć krajczyńnię, zepchnąć ją w ostatnie rzędy, okazać jej niechęć i odrazę.

I to nie skutkowało, bo Kiełpszyna miała charakter i takt, wytrzymujący wszelką próbę. Gdy potrzeba było, mogła nie widzieć, nie słyszeć i nie rozumieć. Gdy niespodziany zwrot nakazywał teraz królowej – zmienić całą taktykę postępowania, zrozumiała, że i względem Heli powinna się być inaczej postawić, bo ta wielce jej użyteczną być mogła. Ostrożną jednak być musiała, bo czytała w oczach Kiełpszynej, że ta się łatwo uwieść nie da.

Bardzo zręcznie rozpoczęła od zbliżenia się do kilku pań polskich, najmniej jej wstrętliwych, zapraszając je na obiady. Mniej uderzającym było, że przy obcych zwracała się czasem do męża i wciągała go w rozmowę. Król Michał zdziwiony w początku, chociaż w szczerość przejedwania nie wierzył, rad był choć pozorami jakiejś zgody.

Między ludźmi zaczęto mówić o tym, że królowa przestała być tak dla męża obojętną jak dawniej, przypisując to politowaniu nad stanem zdrowia jego. Michał, gdy mógł być spokojniejszym, więcej nic nie wymagał. Wpadał w to swe odrętwienie i zadumę i nie skarżył się.

Przypadało to właśnie na czas, gdy hetmanowa Sobieska z rozkochanym mężem swoim była w tak naprężonych stosunkach, iż nawet straszny wyraz – rozwód – zabrzmiał w ustach męża. Pobyt długi w Gdańsku, wyjazd do Francji i przeciągnięte tam zamieszkanie Marii Kaźmiry przyprowadziły hetmana do rozpacz.

Gniewał się już i groził, a nadąsana pani, pewna swej przewagi, odpowiadała listami, w których męża nie oszczędzała, stawiała mu warunki, nie chciała się zakopać na wsi.

Z tej niebytności w kraju hetmanowej, która rozdrażnienie męża podtrzymywała – korzystano, usiłując go pogodzić z Pacami, ułożono wydanie pokrewnej Sobieskiego Radziwiłłówny za księcia Dymitra Wiśniowieckiego, starano się zbliżyć do siebie i przejednać Paców z hetmanem. Sobieski, niesłuchanie zajęty wojskiem, czuwaniem nad granicami, zapobieganiem związkom żołnierskim, wymykał się, trzymał z dala ode dworu i przeciągał podanie ręki nieprzyjaciółom.

Królowa, wchodząc po raz pierwszy w życie czynniejsze, pochwyciła zręczność tę, aby się stać użyteczną i naprzód zbliżyć do pań polskich, a przez nie pomóc królowi.

Wszystko to było rzeczą tak nową, tak dziwną, że ludziom patrzącym wierzyć się nie chciało w zmianę, gdy król Michał śmiercią prymasa i rozkazami z Wiednia nadesłanymi wykladał to sobie.

Nie mógł już przywiązać się do żony ani nawet zmuszać [się do ufania] szczerości tych objawów – ale one życie czyniły znośniejszym. Rad był i temu.

Sprawy krajowe wikłały się tymczasem coraz straszniej i tylko czujności Sobieskiego, jego wierze w to, iż Rzeczpospolita dźwignąć się mogła i miała siły po temu, winien był kraj ocalenie.

Trudnym jednak było odrodzenie moralne tego stanu szlacheckiego, który sam jeden był wszystkim. Wypadki, począwszy od pierwszych elekcji królów, rokosze, związki wojskowe, sejmy nawet zuchwale zrywane, coraz zmniejszająca się władza i powaga królów, coraz pomnażający zamęt w pojęciach obowiązków i praw – mnożyły zamieszania i anarchię. Stan szlachecki widział tylko przed sobą prawa swoje – ciągle obawiając uszczerbku w nich, a znać nie chciał swych obowiązków.

Wyszukiwano ustawy uwalniające od wszelkich służebności, ograniczające władzę królewską, a ciężary zrzucano z siebie. Odmawiano poborów, nie chciano ani słyszeć o pospolitym ruszeniu, wyrzucano królom zaciągi wojsk obcych, a wymagano, aby nimi bez szlachty

bronili sami Rzeczypospolitej. Wyciągnawszy w pole szlachcic, po upływie kilku tygodni, wracał do domu krzycząc: – płąć albo rozpuszczaj!

Jakże się było zewnętrznemu obronić nieprzyjacielowi skutecznie, gdy wojska się z rąk wyślizgały, wiązały przeciwko hetmanom, samowolnie zajmowały zimowe leże, narzucały na majątność ciężary, a na sejmie niebezpieczeństwom od granic wierzyć nie chciano.

Logika wypadków jest nieubłaganą, chociaż nie zawsze chód jej się daje wykazać. Elekcje wprowadziły przekupstwo, zaczęto potem tak samo za pieniądze nabywać nadania, starostwa, urzędy. Płacono za nie królowi lub królowej.

Prywata rozpościerała się coraz bezwstydniej i pojęcie obowiązków znikło. Zatem szło, że w całe życie szlacheckie wciskał się interes osobisty, że żołnierz wymiatał bezbronnego ziemianina, ziemianin na sejmie myślał nie o Rzeczypospolitej, ale o własnej korzyści z każdego kroku i głosu.

Nawet ów kataklizm kozacki, straszliwy gniew Boży – nie potrafił przywieść do upamiętania.

Zadanie rządzących w kraju, w którym bezrząd był stanem normalnym, stawalo się niesłychanie trudnym. Potrzeba było energii razem i przebiegłości, aby pokierować niesfornymi i zmusić do posłuszeństwa.

Wśród takiego zawichrzenia król, jakim był Michał, musiał być ofiarą – niemal beczynną.

W końcu jednak obezwładnienie i oczekiwanie jakiegoś składu szczęśliwszego okoliczności stało się Michałowi nieznośnym. Czuł się wyczerpanym, chciał raz skończyć – i powtarzał sobie nieustannie: – walczyć, zginąć!

W takim usposobieniu ducha przyszedł raz, na lasce się opierając, przedwcześnie zestarały, wycieńczony, do Kiełpszów. Ile razy myśli własne wprawiały go w stan niepokoju – szedł pociechy szukać u przyjaciółki młodości – użalić się przed Helą. Umiała złagodzić cierpienie słowem jakiejś nadziei, otuchą szczęśliwego zwrotu.

Sobieski ciągnął z wojskami naprzeciwko Turkom. Wzywany po kilkakroć do Warszawy, wymawiał się ciągle obowiązkiem nieoddalania od obozów, czuwania, aby się nie formowały związki. Przybywszy do stolicy bawił w niej krótko i ująć się nie dawał.

Od kilku dni król Michał, odbierając wiadomości o ruchach wojsk, o opóźnieniu się Litwy i Paca, który umyślnie, jak utrzymywano, ociągał się [z] przyprowadzeniem posiłków, aby Sobieskiego na sztych wystawić – okazywał niepokój nadzwyczajny.

Hela, śledząca każdy ruch jego, rozpytująca co dzień doktora Brauna, posyłająca męża, aby jej przynosił o królu wiadomości po kilka razy na dzień – ujrzała go z pociechą wielką wchodzącego nieśmiało do skromnego mieszkania, które z mężem na zamku zajmowała.

Na bladej twarzy króla malowało się rozdrażnienie jakieś niezwyczajne i zaledwie przywitawszy kuzynkę, trzymając jeszcze jej ręce drżące – odezwał się:

– Wiesz, wiesz, co postanowiłem? Dłużej tak gnuśnie gnić nie mogę, postanowiłem wyruszyć z gwardią i stanąć na czele wojsk obok Sobieskiego.

Gdy to mówił, a twarz mu się zapalem rodzącym rozjaśniała, zarazem oddechu mu zabrakło i obejrzał się szukając krzesła – kilkadziesiąt kroków, trochę wzruszenia, wyczerpały go. Hela patrzyła zdumiona.

W tej chwili wszedł krajczy, któremu oznajmiono, że król był w odwiedzinach u jego żony.

– Słuchajże – odwracając się do niego odezwała się Hela – król w tym stanie zdrowia postanowił, na nic się nie oglądając, jechać do wojska i objąć nad nim dowództwo.

Kiełpsz ręce załamał.

– Ale to po prostu jest niepodobieństwem! – zakrzyknął. – Potrzeba naprzód zdrowie i siły odzyskać.

Michał poruszył się żywo na siedzeniu.

– Właśnie to mi może dać zdrowie – rzekł. – Naprzód uspokoję się, potem powietrze, ruch, zajęcie, mogą mnie orzeźwić.

– N. Panie – przerwała Hela – słyszałam to z ust doktora Brauna, potrzeba nade wszystko spoczynku, wygod, regularnego życia, pokarmów dobranych do stanu zdrowia. Tego wszystkiego nie można mieć na wojnie. To byłoby wprost samobójstwem!

Król zapatrzonny w okno zdawał się nie słyszeć.

– Braun? stary Braun – rzekł z przekąsem – co on wie? On nas i chorób naszych nie rozumie. Ludzie krwi rycerskiej w pokoju gniją i wniwecz się obracają, wojna ich pokrzepia. Na koniec jest to nad siły moje wytrwać tu z dala bezczynnie, z rękami założonymi, gdy tam Sobieski laury zdobywać będzie. Już dziś on tu jest więcej bohaterem, królem, panem – niż ja. Pobje Turków, ale razem i mnie dobieje, bo ja po jego zwycięstwach jeszcze nikczemniejszym wydawać się będę. Nie, nie! – dodał z zapalem – choćby przyszło nałożyć głowę, pójdę!

Hela się sprzeciwiać wręcz nie śmiejąc, szepnęła mężowi na ucho, ażeby Brauna przyprowadził, a sama się zajęła przygotowaniem szklanki lemoniady, która czasem chwilowo ulgę królowi sprawiała w boleściach, na które cierpiał.

Przyniesiony napój Michał, całując jej ręce, połknął chciwie i zadumał się.

– Będzie temu z pół roku – począł po cichu – nie powtarzaj tego nikomu... proszę cię, przywidzeniem to jest może, posądzam grzesznie. Lemoniada twoja mi to przypomniała. Siedziałem w sypialni, kazawszy sobie przygotować taki sam napój, który czekał na mnie w sali posiadanej. Posłałem był po Toltiniego. Usłyszawszy szmer otworzyłem drzwi i ledwie miał czas dojrzeć, jak pochylony nad szklanką w niej się rozpatrywał, odskoczył nagle. Wszedłem, nie patrzałem na lemoniadę. Toltini mnie gniewał. Począłem mu robić wymówki, tłumaczył się. Zmęczony pochwyciłem szklankę, która czekała na mnie i wypilem ją duszkiem. Smak dziwny mnie uderzył, całe usta wewnątrz ściągnęła jakaś cierpkość. Zapach napoju był niezwykle, jak gdyby czosnkiem go zaprawiono. Odepchnąłem szklankę. Wieczorem było mi niedobrze... od tej pory cierpię więcej, mogę powiedzieć, że ani jednego dnia zdrowia nie miałem.

Błada słuchała Hela. Tak rozbierając to wszystko doszła do przekonania, że gdyby, jak król posądzać się zdawał, w napój rzucono truciznę, nie mogłaby ona działać tak wolno. Pospieszyła więc uspokajając.

– N. Panie – rzekła – w tym napoju nic przecie być nie mogło. Naprzód, że w tak zbrodniczy zamiar nie mogę uwierzyć, po wtóre, że trucizna, gdy już to straszne słowo wyrzec potrzeba, tak powolnie nigdy nie działa.

– Mylisz się – żywo przerwał Michał – umyślnie czytałem wiele. – Są trucizny, których działanie na lata się rozkłada... a Toltini jest Włochem.

Spuścił król głowę.

– Nie mówmy o tym – dodał – tak posądzam może niewinnie. Morsztyn powiada, że ja się sam niezdrowymi truję pokarmami, ale cóż ja tak niezdrowego jadam! Węgrzyn, raki, które lubię.

Hela poruszyła ramionami, nie chcąc przedłużać rozmowy o tym przedmiocie. Właśnie też wchodził stary Braun, posuwistym krokiem, ociężale. Był to już trzech czy czterech królów z kolei nadworny doktor, nie zagłębiający się w księgach, nie studiujący Hipokrata²¹⁰ i Gale-
na²¹¹, ale mający praktykę ogromną i nieocenione doświadczenie. Wzrok jego chwycił oznaki choroby dla drugich niedostrzeżone – wyroki jego zawsze prawie były przepowiedniami nie-
ochybnymi. Hela pospieszyła naprzeciw niemu.

²¹⁰ H i p o k r a t e s (460–377 p. n. e.) – najslawniejszy lekarz starożytności, pozostawił wiele dzieł z zakresu medycyny

²¹¹ K l a u d i u s z G a l e n (131–201) – znany lekarz starożytności, w pismach swoich zawarł on niemal całą ówczesną wiedzę lekarską

– Wzywam pana na ratunek – odezwała się – król nagle postanowił jechać do wojska i iść z nim na nieprzyjaciela! Jestże to podobieństwem? W tym stanie? Patrz pan!

Braun poprawił perukę flegmatycznie.

– Zdaje mi się – rzekł – że przy największej chęci Najjaśniejszy Pan tego nie potrafi doka-
zać, siły braknie. Należy je wprzód odzyskać. Życie regularne, dieta...

Michał ręką niecierpliwie poruszył.

– Mówicie mi ciągle jedno – odezwał się – słucham was; czy mi się w najmniejszej rzeczy polepszyło? – i nic a nic. Pozwólcie spróbować czego innego – ruchu, powietrza, a nade wszystko wewnętrznego uspokojenia. Dziś ja z samego niepokoju choruję.

Braun nieznacznie poruszył ramionami.

– N– Panie – rozpoczął.

– Niczego słuchać nie chcę – przerwał Michał – nie mogę. Wierzcie mi, że gorzej już nie będzie, jak jest; nie ma nic do stracenia. Po całych dniach trawi mnie wewnątrz jakieś poczu-
cie niby głodu – próżni nienasyconej. Jem dziwnie, a potem boleści, boleści...

– Przestrzegam od jedzenia – szepnął Braun.

– Tak, ale nie znasz tego, co ja doznaję, gdy głodny – rzekł król. – Naówczas ogarnia
mnie prawie szaleństwo. Muszę jeść. Przynajmniej przez ten czas, gdy spożywam, mam
chwilę wytchnienia.

Doktor słuchając głową potrząsał.

Nagle Michał zamilkł, spuścił głowę i próżną szklankę wyciągnął ku Heli. Ta spojrzała na
Brauna, który cukier i cytrynę widząc na drugim stole dał znak przyzwolenia, chociaż i temu
napojowi nie bardzo rad się być zdawał.

– Ale o wyprawie pod Chocim, czy Kamieniec, czy ja tam nie wiem gdzie – mówiła Kiełp-
szyna – mowy być nie może.

– A przynajmniej nie powinno – potwierdził lekarz. Zmarszczył się król.

– Waćpan będziesz przy mnie – szepnął – zawsze więc czas zatrzymać, gdyby... choroba
istotnie się pogorszyć miała.

Braun westchnął.

– Z tej podróży nic być nie może – zamruczał. Dosłyszawszy tych wyrazów, król się
uśmiechnął szydersko.

– Nie wierzysz więc – rzekł – abym miał tyle siły nad sobą? Przekonasz się...

– Nawet przy największym wysiłku jest to wprost niepodobieństwem – zamknął Braun – i
poważnie przystąpiwszy do króla ujął jego rękę wychudzoną, długo puls badając. Twarz miał
zadumaną i smutną. Z wolna opuścił potem rękę Michała i odstał na kilka kroków, milczą-
cy. Po chwili nie było go już w pokoju.

Hela chodziła niespokojna, nie wznowiając rozmowy o wyjeździe, Michał dosyć wesoło
coś rozповідаć zaczął o pobycie Sobieskiej we Francji, o którym rozmaite chodziły wieści,
o ostudzeniu dla niej męża, a nawet o projektach wyniesienia się ich obojga z Polski.

– Nie przyjdzie to nigdy do skutku – odezwał się Kiełpsz – Sobieski musiałby się wyprze-
dać, ma mnóstwo spraw w sądach i interesów, które myśleć nawet o tym nie pozwalają.

Zabawiwszy nieco jeszcze Michał wstał, żegnając gospodynię.

– N. Panie, ta podróż? – zapytała.

– Jest postanowioną – odparł król zimno. – Jeżeli na drodze zabraknie mi sił, zawsze czas
się do łóżka gdziekolwiek bądź położyć.

I mówiąc to wyszedł, unikając przedłużenia rozmowy.

Hela, którą parę razy już królowa Eleonora pod różnymi pozorami wzywała do siebie, te-
goż wieczora posłała prosić ją o posłuchanie, które z nadzwyczajną uprzejmością, nigdy
wprzód nie praktykowaną, udzielone zostało.

Zdawało się krajczynej, że król dla żony zmuszony do pewnej względności i powolności,
da się jej może powstrzymać od wyprawy.

Eleonora przyjęła nienawistną sobie krajczynę tak mile i przyjaźnie, jakby spragnioną była jej widzenia.

– N. Pani – odezwała się przybyła – dowiedziałam się od męża, iż król JMość postanowił jechać do wojska. Stan jego zdrowia, zdaniem doktora Brauna, nie dopuszcza nawet myśleć o tym. Zdawało mi się, że obowiązkiem moim było donieść o tym W. Królewskiej Mości.

Eleonora wiadomość przyjęła z podziwieniem i żywym zajęciem.

– Ja o tym nic nie wiem jeszcze – rzekła – gorący biorąc udział w tej sprawie, ale nie omieszkam pytać go i będę się starała odradzić... W istocie król jest – osłabiony... Braun może trochę przesadza i stan jego zbyt groźnym wyobraża, ale inni lekarze także mu spokój nakazują. Czy potrafię królowi to wyperswadować? Nie zawsze prośby moje u niego dobrym skutkiem są uwieńczone – dodała z ironicznym uśmiechem – co nie przeszkadza, bym spełniła obowiązek...

A po krótkim milczeniu dorzuciła:

– W każdym razie, jeżeliby król uparcie stał przy swoim, moje miejsce jest przy nim, pojedę także, choćby dla czuwania nad zdrowiem jego.

Hela zamilkła.

Królowa rozwodzić się zaczęła z wielką obfitością słów nad stanem zdrowia męża, nad jego sposobem życia; przyznała, że w ostatnich miesiącach pogorszyło mu się znacznie i starała się okazać nadzwyczajną gorliwość.

Krajczyna, chwilę zabawiwszy, po głębokim ukłonie odeszła.

Nazajutrz już na zamku nie było tajemnicą, że król się do wyjazdu sposobił. Wydane zostały rozkazy do przysposobienia wozów, namiotów, koni, do ściągnięcia pułków, które mu towarzyszyć miały. Młodzież się radowała wyprawie, starsi przewidywali w niej coś groźnego.

– Co tu mówić o wojowaniu – mrucał starszy koniuszy, Terczak – kiedy on dwóch godzin na siodle nie wytrzyma. Konia mu trzeba dać, co by nogi miał i na łeb nie leciał. Szkapą, co nogi ma – trzęsie, a król utrząśnięcia nie znosi.

Kuchmistrz, Francuz, usłyszawszy o podróży, przysposabiał długie rejestra zapasów, których potrzebował niezbędnie, inaczej się nie podejmując króla karmić, bo mu dogodzić było trudno.

Nie bardzo jednak wierzono tej zachciance, gdyż wszyscy widzieli na twarzy króla wycieńczenie, a choć jego częste spoczynki – opieranie na lasce, świadczyły, jak mu każde żywsze poruszenie się było trudnym.

Braun protestował, krajczyna biegała niespokojna, wszystko to jednak nie mogło powstrzymać przygotowań do podróży, a król nie tylko, że nie zmieniał wydanych rozkazów, lecz co dzień przynaglał i pytał, czy je spełniono.

Królowej projekt wyprawy był bardzo na rękę – dawał jej sposobność okazania się litościwą i troskliwą o zdrowie męża. Przy obiedzie naprzd zagaiła o tym, zapytując męża, czy prawdą było, że miał zamiar do wojska się udać i że do wyjazdu czyniono przygotowania.

Trochę zadziwiony tym zajęciem Michał, pomilczawszy nieco, odparł chłodno, że musiał jechać do wojska...

– Ale doktor Braun uznaje to niemożliwym – poczęła żywo Eleonora. – Dowiedziawszy się o wydanych rozkazach, wierzyć im nie chciałam, mówiłam o tym z lekarzem... Sprzeciwia się stanowczo...

– Chociażby nawet było jakie niebezpieczeństwo – odparł król chłodno – są wypadki, w których się na nie narazić jest obowiązkiem.

– A więc pozwolisz W. Królewską Mość – przerwała królowa – abym, widząc go w takim stanie, spełniła też obowiązek i towarzyszyła mu do obozu...

Wielkimi oczyma spojrział król na żonę, nie odpowiadając długo.

– Nie jest to przejażdżka dla rozrywki – rzekł tonem, w którym się trochę zniecierpliwienia przebijało – a dla W. Król. Mości podróż taka, nawet przy dobrym zdrowiu, nie lepszym jest niepodobieństwem niż dla mnie chorego. Jestem mężczyzną i nawykłem do niewygód. Na ostatek i niebezpieczeństwo...

– Jeżeli względy te nie wstrzymają was – poczęła królowa z wielką gorącością, doskonale udaną – nie powinny i mnie strzymywać. Ja koniecznie proszę i domagam się o to.

Powtórnie król spojrział zdziwiony i dosyć sucho odparł:

– Nie mogę zgodzić się na to...

– Ja ustąpić nie mogę – dodała królowa...

Wstawano od stołu i na tym się pierwsza rozmowa skończyła.

Wróciwszy do swoich pokoi Michał długo stał zadumany, wpatrzony w ścianę, myśląc o tej metamorfozie Eleonory, której – pomimo całej swej dobroduszości – nie wierzył. Było coś w głosie, wejrzeniu, w każdym ruchu tej kobiety, co, pomimo największego starania o to, aby się okazać szczerą, przejętą, nawróconą – ostrzegało i znamionowało fałsz i udanie.

Nie rozumiał tylko król, na co się to jej przydać mogło.

Towarzyszyć sobie w podróży nie myślał dozwolić – oburzało go to... Jedynym dobrem w tej rozpaczliwej wyprawie do wojska było, że miał być swobodnym, że mógł nie widzieć jej i nie karmić się tym fałszem, który mu sprawiał obrzydzenie. Prosty jednak zakaz był niemożliwym. Zdawało się, że Eleonorze szło o rozgłos tego poświęcenia, postanowił więc kancle-rzynie Pacowej i innym paniom zlecić to, aby królowę starały się zatrzymać w Warszawie. On zaś niewzruszoną miał wolę stanąć przynajmniej tam, gdzie wołał obowiązek...

Nieszczęśliwa krajczyna przekonała się po kilku nadaremnych wysiłkach, że żadna już siła ludzka nie mogła zachwiać tym postanowieniem, które się wyrobiło długą rozwa-gą i rozpaczliwym położeniem.

Ohydny traktat buczacki – haracz, poddaństwo niewiernym, stracony Kamieniec, dniem i nocą brzemieniem leżały na jego piersi – życie dać, aby się obmyć z tego sromu nie było nadto. Hela zaklinała go, aby się dla lepszej zachował przyszłości.

– Nie ma jej dla mnie – odpowiadał gwałtownie – zostanie czarna w dziejach karta, której nic nie wydrze. Żyć z tym łańcuchem na szyi, dławić się tym bólem – nie mogę dłużej. Potrzebuję przynajmniej zginąć na wojnie i pobłogosławię tę kulę, która mnie oswobodzi i oczyści! Związano mi ręce, a bezwładnemu zarzucają beczynność! Muszę więc iść, abym okazał, że życie dla ojczyzny nie żałował. Ofiara też to niewielka, tak było gorzkie!

Stało się, czego może życzyła sobie królowa, ofierze jej towarzyszenia królowi nadano rozgłos wielki. Panie z kolei jechały błagać i odradzać, straszyć tymi tatarskimi ordami, które Marią Ludwikę zmusiły zawrócić od Krasnegostawu²¹².

Wiedziano w całej Warszawie o gotowości królowej Eleonory do poświęcenia się dla męża, mówiono o tym wiele, pisano... Przyjaciele pod niebiosą ją wynosili. Król nie rozprawiał już z nią o tym, milczał uparcie, ale rozkazów do podróży nie wydawał.

Natomiast przyśpieszano przygotowania wyjazdu dla chorego króla. Braun wyznaczonym był, aby mu towarzyszył. Kiełpsz jechał także, a płacząca krajczyna szeptała cicho: „Ażeby bliżej być, pojedę do Lwowa...”

W kraju, w wojsku, to nagłe postanowienie królewskie przyjęte było ze zdumieniem. Jedni mówili: „za późno”, drudzy znajdowali to próżnym.

Rycersko mógł się tylko zalecić w pierwszych panowania początkach. Wiedziano, że chorował, nie miano mu nawet za zasługę, iż ostatkiem sił chciał służyć ojczyźnie.

Nieprzyjaźni szydzili, urągając mu, że na widok jego ani się podda Kamieniec, ani Turcy pierzchną. On sam pochlebiał sobie, że za sobą pociągnie tę szlachtę, która go niegdyś na tron wyniosła, a potem opuściła tak haniebnie.

²¹² K r a s n y s t a w – miasto na lewym brzegu Wieprza w województwie lubelskim

Ale nie ruszał się nikt – długi nieład wszedł w nałóg, przebąkiwano, że nim stoi Rzeczpospolita...

Widziano ją już rozszarpaną za Kaźmirza, a jednak nie rozpadła się i żyła jeszcze, nie wierzono, ażeby Turek z Kozakiem pożyć²¹³ mogli, choć osłabłą.

Na dworze tymczasem trwała komedia królowej, napierającej się, aby towarzyszyć mężowi – i opór bierny ze strony męża, który dziękował, uśmiechał się zimno, z goryczą w duszy.

Stan jego co dzień się pogarszał – pobożny ofiarował Bogu męczeństwo swoje, lecz postradał wiarę w ludzi, ochotę do życia, smak do niego. Przyszłość mu się już nie uśmiechała – pragnął końca. Widziano go tylko dumniejszym coraz, zimniejszym, obojętniejszym na wszystko... Na próżno ks. Dymitr, który sobie pochlebiał, że z Sobieskim potrafi dojść do zgody i przyjacielskich stosunków, usiłował podnieść upadłego na duchu, na próżno Pacowie obiecywali teraz, po zgonie prymasa, zupełną zmianę i rozbitcie obozu nieprzyjacielskiego – Michał nie wierzył. Posłuszny im spełniał, co życzyli, czynił kroki pojednawcze, wzywał listami hetmana do siebie – Sobieski składał się nawalęciem zajęć, brakiem czasu, obiecywał, a widocznie króla unikał i coraz postępował samowolniej, aby to, co czynił, nikomu, tylko jemu było przyznane. Z każdym też dniem człowiek ten, który był istotnie zesłanym i przeznaczonym na ratunek, rosł i olbrzymiał w oczach wszystkich.

Gdy mowa była o nieszczęsnych traktatach buczackich, o haraczu obiecanym Turkowi, jednogłośnie się odzywano:

– Sobieski skruszy ich potęgę...

Na niego, nie na króla, się oglądano. I gdy wieść się rozeszła, że Michał wyruszył do obozu, nie uczyniła ona wrażenia najmniejszego, a hetman zawiadomiony przyjął ją kwaśno. Król dla niego był zawadą i kłopotem tylko. Słuchać go nie mógł, zdać nań dowództwo – śmiesznym było. Osobą swoją nie budził w żołnierzu męstwa... po cóż przybywał?

Po cichej rannej mszy, wysłuchanej u św. Jana, pobłogosławiony w podróż, w towarzystwie podkanclerzego i dosyć licznych dworu, król puścił się ku Lwowu i Glinianom²¹⁴.

Ale zaraz pierwszych dni podróży przekonać się mógł, iż zbyt liczył na swe siły. Przybywał na noclegi tak znużony, iż musiał natychmiast iść do łóżka. Nie skarżył się jednak i ani słowo nie zdradziło cierpienia. Służba odgadywała tylko wysilenie, jakiego potrzebował, ażeby znużenie pokonać i boleści nie okazywać. Braun zalewał go lekarstwami, które nie skutkowały. Oczy zapadały coraz głębiej, skóra żółkła, oddech się stawał cięższy, a pragnienie i głód paliły go nieustannie. W drodze stawano często, aby choć kilku ugotowanymi jajami wewnętrzzną tę czczość na chwilę zapełnić. Lecz, zaledwie uspokojona, wracała znowu.

VI

Jak niebo do ziemi – obóz i dwór Sobieskiego nie podobnym był do dworu króla.

Michała smutek i zwątpienie udzielało się wszystkim, co się do niego zbliżali, przynieść tu wesołej twarzy nikt nie śmiał ani się odezwać głośniejszemu, ani poruszyć żywiej. Sam widok tego schorzałego, jakby opuchłego i nabrzękłego, z licem wychudłym i nalany razem, przedwczesnego starca, opierającego się na kij, okiem szklanym przyglądającego i nie widzącego nic, zatopionego w sobie, zapominającego się co chwila, którego nic odżywić i poruszyć już nie mogło – odejmował męstwo i wlewał zwątpienie.

²¹³ p o ż y ć (starop.) – zniszczyć, pokonać

²¹⁴ G l i n i a n y – miasteczko w pobliżu Przemyśla.

Ci, co przybywali tu pełni życia – odchodzili złamani. Rzadko kto mógł się dostać do niego oprócz najpoufalszych, a przypuszczony, zasadnie słów kilka z ust jego usłyszawszy, wynosił wrażenie najboleśniejsze.

Gorętsi wprost się odzywali:

– Ale to trup jest... tyle tylko, że go nie pochowano. Sobieski nie miał jeszcze lat pięćdzieściu i chociaż często cierpiący, bo życie czynne i przebyte boje zostawiły po sobie pamiątki – był jeszcze w pełni sił i życia. Wśród współczesnych jaśniał naówczas jako jedna z najpiękniejszych postaci, nad swój czas i ducha wieku stojąc wyżej, rycerskimi szczególniejszymi przymiotami.

Lecz zarazem w tym bohaterze, który walczył już, od Zborowa²¹⁵ począwszy, we wszystkich prawie wojnach za Jana Kaźmirza, w tym nieodrodnym wychowawcu Czarnieckiego²¹⁶ było dwu ludzi różnych: i Sobieski, jakim go tradycje domowe, wychowanie macierzyńskie, nauki ojcowskie, obozowe życie wychodowało, i Celadon, zawczasu opanowany przez ulubioną wychowanicę Marii Ludwiki, zepsutą i pieśczoną pannę d'Arquien, tę najśliczniejszą Marysienkę, która najzgubniejszy wpływ na szlachetnego, lecz zbyt dla niej słabego, kochanka wywierała.

W tym właśnie momencie swojego życia Sobieski, od dawna już rozłączony z żoną, która jakiś czas bawiła w Gdańsku, potem podróżowała i zatrzymała się we Francji, mniej wystawiony na jej wymagania i rady, więcej był sobą samym, niż uległym sługą dziwacznej, chciwej i ambitnej kobiety. Dlatego może w tym okresie widzimy go z takim zapalem poświęcającego się obronie Rzeczypospolitej, oddającego własne mienie na jej potrzeby, niezmordowanie zajętego sprawami wojskowymi, czuwającego w obozie, aby związków nie dopuścić.

Długa rozłąka z żoną wkrótce, niestety, skończyć się musiała. Maria Kaźmira, rozrachowawszy się, wracała do tej Polski, z której męża chciała wyciągnąć, przekonawszy się, iż we Francji znaczenia tego, jakie tu miała, zdobyć nie potrafi.

W czynnym życiu bohatera ta chwila była może jedną z najpracowitszych i najrozmaitszymi zatrudnieniami przepełnionych. Rozległe majątności i ciężące na nich procesa i wierzytelności, gospodarstwo, potrzeba nieustanna pieniędzy przy ogromnych wydatkach, obowiązki czuwania nad wojskiem, sprawy rodzinne, zawikłania wynikające ze starych antagonyzmów między rodzinami – nie dawały mu spoczynku. Mnóstwo ludzi cisnęło się pod jego skrzydła, tysiące spraw opierało się o niego. Oprócz tego namiętny myśliwiec, chciwy nowości i książek czytelnik, chętny do rozpraw filozoficznych i wieczornych dyskusji z duchownymi i uczonymi – Sobieski zarzucony był ludźmi i sprawami najróżnorodniejszymi. Rzadko długo mogąc na miejscu wysiedzieć, przenosił się ze swych posiadłości do obozu, do Lwowa, do Żółkwi²¹⁷ lub Jaworowa²¹⁸.

Pomimo już objawiającej się skłonności do utycia zbytniego, które mu później ciężarem się stało, był jeszcze naówczas hetman jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu i typem męskiego polskiego oblicza. Dosyć słusznego wzrostu, postawy okazałej, pańskiej twarzy wdzięcznej, wśród której czarne ogniste oczy błyskały, zawsze życia pełne – celował on we wszystkich rycerskich ćwiczeniach, dosiadał konia i po kilkanaście godzin mógł wytrwać na siodle, strzelał celnie i bawił się po staremu, z łuku dokazując cudów, po całych dniach przesiadywał w kniejach, na niedźwiedzie i dziki czatując – w salonie umiał zabawić najwykwintniejsze sfrancuziałe towarzystwo, a pozostał przy tym owym rubasznym szlachcicem polskim, któremu zawsze w kontuszu było najwygodniej.

²¹⁵ Z b o r ó w – miasteczko w Małopolsce, gniazdo rodzinne Zborowskich

²¹⁶ S t e f a n C z a r n i e c k i (1599–1665) – wojewoda kijowski, hetman polny koronny, znakomity wojownik polski, walczył z Kozakami i Szwedami

²¹⁷ Ż ó ł k i e w – miasto w Małopolsce, założone przez Stanisława Żółkiewskiego

²¹⁸ J a w o r ó w – miasto położone na północny zachód od Lwowa, ulubione miejsce pobytu Jana III Sobieskiego

Nie można się dziwić, że Maria Kaźmira czasem ku niemu wstręt niemal okazywała, że się z jego życiem pogodzić i do niego zastosować nie chciała, że uciekała od tego namiętnego kochanka, który własnymi rękami sadził drzewka i kwiaty, pilnował budowy powozów i sypał tam pieniędzmi, gdzie ona by je wyciągnąć chciała. Celadon rozkochany nie dosyć był Francuzem dla niej i nigdy się nie dał tak zepsuć i zbeszcześcić, aby cel życia widział z nią razem w z bogaceniu i zaspokojeniu dumy nienasyconej.

W obozie pod Glinianami zapominał Sobieski o wszystkim oprócz zbliżającej się rozprawy z Turkami, których siły liczone na krocie – i nadziei prędkiego potem zobaczenia najśliczniejszej Marysieńki, która wracała rada nierada, nie spiesząc wcale do stęsknionego małżonka.

Tu go doszła jednego ranka niespodziewana wiadomość, iż król Michał do obozu przybywa.

Przyjaciół od serca, równie jak Sobieski znakomita rycerska postać swojego czasu, wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski²¹⁹, wchodził właśnie do namiotu, gdy hetman z listem otwartym w rękę stał nad stolikiem zadumany.

Nie mówiąc nic, Sobieski pismo rozłożone podał Jabłonowskiemu, który je przebiegł oczyma, okazał pewne zdziwienie, ramionami zżymnął i kartę rzucił na stół.

– Fantazja chorego człowieka – rzekł obojętnie. – Nie idzie za tym, aby się ona spełnić miała. Piszą mi z Warszawy, że Michał był i jest mocno chory, że trzyma się wprawdzie i nie chce dać złamać, ale ani Braun, ani żaden z lekarzy długiego życia mu nie obiecuje. Spróbuj może do Ujazdowa przejażdżki i zawrócić się będzie musiał.

– W dodatku – śmiejąc się rzekł Sobieski – piszą mi, że i królowa, płacąc za długą obojętność mężowi, chce mu towarzyszyć, aby czuwać nad nim.

Spojrżeli sobie w oczy.

– Spóźniona czułość – rzekł wojewoda ruski. – Wszystkiemu temu nie chce mi się wierzyć.

– Król był na wyjeździe – mówił hetman – stanowniczych przodem wysłano. Zdaje mi się, że on na swoim postawi, ale nie idzie za tym, abyśmy go z sobą brać mieli ku Kamieńcowi lub Chocimowi. Byłby to ciężar, zwłoka, zawada tylko. Przytomność tego króla, którego wojsko nigdy na czele swym nie widziało, wcale mu męstwa i zapału nie doda, a fantazja niedoświadczonego, który rolę najwyższego wodza odgrywać zechce – może dla nas być przeszkodą do swobodnego ruchu. Wcale co innego jest dla mnie iść niezależnemu, gdzie wskażą okoliczności i potrzeba, a być pod rozkazami króla, który kierować zechce nieudolnie i szyki mi mieszać może.

– Tak jest – odparł siadając wojewoda ruski – ale ja, z tego, co mi donoszono wnoszę, że podróż ta króla będzie tylko nieudalą próbą. Nieszczęśliwy i nieudolny chce okazać przynajmniej dobrą wolę i gotowość do ofiary, a tego mu za złe wziąć nie można.

– Ubolewałem i boleję nad jego losem – począł Sobieski – ale sam winien sobie, gdy się dał szlachcie wciągnąć i przyjąć na barki to, czego dźwignąć nie mógł. Nie powinien był przyjmować korony.

– Tak, lecz komuż by się ona uśmiechnęła – rzekł Jabłonowski – rodzina zresztą nie przebaczyłaby mu była tego zrzeczenia się. Sam siebie nie znał może, a ludzie widzieli w nim tylko syna Jeremiego.

– Który do ojca najmniejszego nie ma podobieństwa! – podchwycił hetman. – Jeremi! A! Ten był przynajmniej żołnierzem i wodzem szczęśliwym, jakich mało... Ale Michała w Wiedniu²²⁰ na dworaka wychowano. Peruka zgniotła mu ducha polskiego pod czaszką...

²¹⁹ Stanisław Jabłonowski (1634–1702) – wojewoda ruski, odznaczył się już w wojnie w r. 1655 podczas oblężenia Krakowa przez Szwedów. Walczył z Tatarami, brał udział razem z Sobieskim w r. 1673 w walce pod Chocimem

Westchnęli oba – hetman machinalnie sięgnął po list i raz jeszcze oczyma go przebiegać zaczął, potrząsając głową.

– Musimy się do odebranych zastosować wiadomości, będziemy na niego czekali, chociażbym co najprędzej rad wyciągnąć, aby nawałę turecką uprzedzić, a może ją na przeprawach i wąwozach zahamować, nim do nas wtargnie. Nierad bym im dać przekroczyć granic.

– Z drugiej strony – dodał Sobieski – Pac²²¹ też się opóźnia, nie przybywa, może go doczekamy i razem będziemy mogli z Litwą ułożyć plan przyszłej kampanii.

– Pac od dawna tu już się stawić był powinien – rzekł Jabłonowski.

– A ja naglę go nieustannymi posły, aby przyspieszał – mówił hetman. – Składają się wcale niedorzecznymi wymówkami... i nie przyciąga.

Jabłonowski zmarszczył się.

– Nie mamy się co łudzić – rzekł. – Ja to widzę jak na dłoni. Zgoda żadna nie zapobieży zazdrości i współzawodnictwu. Pac rachuje na to, że Sobieski rzuci się pierwszy na świeże jeszcze tureckie siły, że odpartym być może, a on skorzysta z tego i na znużonych pohańcach odniesie świetne zwycięstwo.

– Rachuba to możliwa i całe ludzka – rozśmiał się Sobieski – ale chybić może. Sobieski ten nie rzuci się zbyt zuchwale ani się da napaść nieopatrznie, bo mu potrzeba być zwycięzcą, a on – tu podał rękę Jabłonowskiemu – z panem wojewodą ruskim, nawet bez Litwy, nie tak bardzo Turków się boją. Liczą ich na krocie zawsze i być może, iż wojska sułtana zalegają przestrzenie ogromne, ale to jest szarańcza, której wielka moc nie ma koniecznie wielkiej siły. Konie ciurów, lada jakiego pospólstwa tam tłumi. Jeżeli im się nie uda nawałą nieprzyjaciela zmóc w pierwszym napadzie, wszystko to potem pierzcha, dusi się, topi i ginie w ucieczce szalonej. Nasz jeden pułk za ich dziesiątek stanie. Nie przestrasza mnie liczba, bylebyśmy stanowiska zajęli dobre, a w pierwszym zetknięciu się odeprzeć nie dali.

Po chwili milczenia wojewoda ruski powrócił do króla, którego zapowiadano.

Zaczęli obiadowywać, kiedy się go spodziewać mogli; obu im oznajmione przybycie nie w smak było.

– Ja się tym pocieszam tylko – dodał Sobieski – iż wyperswadować potrafimy choremu, z pomocą starego Brauna i mojego Janacza, że na niebezpieczną, jesienną porę, wyprawę, niepodobieństwem mu się pokazać.

Oba razem wyszli spod namiotu, przed którym stała zatknięta hetmańska chorągiew, buńczuki i straże chodziły gęste. Mały taborek wozów otaczał to obozowisko w obozie. Małeńka wyniosłość, na której rozłożonym było, dozwalała stąd okiem ogarnąć rozległą przestrzeń, zajęłą wojskiem, oczekującym na znak do dalszego pochodu.

Poranny ruch ożywiał całe to mrowisko – miasteczko i, jak okiem zajrzeć było, okolicę. Z dala dochodziły odgłosy trąbek, bębnow, okrzyki ludzi, zwady, brzęk szabel, szczęk łańcuchów, spętanych koni i cały ten głuchy szmer a warczenie tysięcy, które znamionuje budzące się życie. Dzień był pogodny, ale chłodny; przymrozek ziemię ściągnął... Około namiotów dymiły gęste ogniska.

Sobieski, okiem zmierzwszy cały ten obraz posmutniał i nazad do namiotu zawrócił. Jabłonowski pożegnał go, siadł na koń i jechał do swoich.

W drugim oddziale wielkiego namiotu hetmana trzech pisarzów czekali na niego. Kupą tu leżały doniesienia, listy, gazetki pisane, prośby, na które odpowiadać było potrzeba – czekano na skazówki pana. Wziął się natychmiast do pracy...

W obozie już podsłuchana wiadomość o spodziewanym króla przyjeździe przebiegała z namiotu do namiotu. Witano ją zdziwieniem, niedowierzaniem, a gdzieś tam śmiechami.

²²⁰ Aluzja dotyczy wychowania Michała Wiśniowieckiego pod Opieką królewicza Ferdynanda III na dworze w Wiedniu

²²¹ Michał Kazimierz Pac (zm. 1682) – wojewoda wileński, hetman wielki litewski.

Król ani miłości wielkiej, ani też niechęci nie budził – mało kto to o nim myślał i do jego czynności przywiązywał wagę.

– Król – mówili starsi rotmistrze – a cóż on tu robić będzie? Tyle tylko, że nas dla mustry na plac ku niemu wyprowadzą i będziemy się musieli poubierać na okaz, krzyknąć: *vivat*, a potem pod szalasy powrócić. Żeby nam choć parę kwartałów zaległego żołdu przyniósł z sobą, dopiero byśmy mu wiwatowali z całego serca, ale o tym nie słysząc!

Insi nie dowierzali tej plotce, wielu mówiło:

– Piąte koło do wozu! Jako żywo nie dowodził nikomu i na wojnach nie bywał... Co nam po nim!

Na tak przygotowujące się tu przyjęcie wojsk – król Michał powoli zdążał ku Glinianom – podróż szła niesporo. Doktor Braun pozoznaczał stacje małe, wypoczynki długie. Niekiedy jesienne powietrze i słońce wstrzymywały po gospodach i opóźniały o dni całe.

Z Warszawy Kiełpszyzna, jadąca do Lwowa, przyłączyła się wraz z mężem do królewskiego orszaku, postanowiwszy tak długo towarzyszyć Michałowi, jak tylko będzie można. Dla króla osamotnionego było to wielce pożądanym, chociaż w początku niepokoił się nieco tym kobiecym towarzystwem, nie chcąc dopuścić złośliwych tłumaczeń, ale pani krajczyna tak umiała uczynić się nieznaczną, niepostrzeżoną, tak niknęła wśród tej gromady służb i czeladzi, iż nikt prawie nie zwracał na nią uwagi.

Dla króla, pogrążonego ciągle w jakiejś chmurnej zadumie, wieczorem ten znany głos przyjazny, przypominający szczęśliwsze młodości lata, był chwilowym orzeźwieniem, które, choć niedługo trwało, dawało wytchnienie i rozrywkę.

Lecz im się bardziej ku Glinianom zbliżano, tym Michał niespokojniejszym i chmurniejszym się stawał. Podróż, choć się do tego nie chciał przyznać, nużyła go coraz mocniej. Środki, jakimi usiłował Braun i on sam wyczerpujące się siły rozbudzić na nowo, rozdrażniały więcej, niż krzepiły. Jedzenie, napoje, zamiast wzmocnić, czyniły go ociężałym, sennym i wywoływały bólesci; potrzeba było ciągle czymś słabnącego orzeźwiać, poić, podsycać sztucznie.

Wśród tych cierpień jedna tylko rozmowa z Helą umiała go na czas jakiś oderwać od smutnej rzeczywistości.

Po drodze ciągle nadchodziły wiadomości i gońce, na przemiany – z Warszawy i z obozu.

Nie przynosiły one nic pocieszającego. Sobieski chłodno oznajmował tylko, że Turcy nadciągają, że Litwy dotąd nie ma – i że wojska będzie mało powitać Najjaśniejszego Pana. Poufnie pisma, przychodzące do różnych osób króla otaczających, zawierały po większej części zwiększone obawy pogłoski o Turkach i Tatarach, którzy, w nigdy dotąd nie bywałej liczbie, nieprzeliczonym zastępem, mieli spaść na Polskę.

W innych, które przed królem starannie ukrywano i tajono, zawartą była wiadomość, że sułtan, z mocy traktatu zawartego, uważając króla polskiego za opłacającego haracz hołdownika swego, miał mu wysłać kaftan, jakim zwykle obdarzano poddanych Porcie²²² książąt, zarazem dopominając się nie opłaconego haraczu.

Nie bez przyczyny wszyscy, otaczający chorego i rozdrażnionego Michała – chcieli mu tego sromu oszczędzić, obawiając się, aby nie dobił nieszczęśliwego. Musiano więc czuwać i nad pismami, i nad ludźmi przybywającymi, ażeby który z nich nie zdradził się z tym doniesieniem.

Kiełpsz i cały dwór czatować musieli na przybywających posłańców i gości, po drodze bowiem szlachta, zawiadomiona o przyjeździe pana, więcej z ciekawości niż przywiązania do niego, wyjeżdżała na spotkanie, a na noclegach i popasach liczne często gromadki domagały się posłuchania.

²²² P o r t a O t t o m a ń s k a – rząd turecki, państwo tureckie

Naówczas Kiełpsz, młody Pac i inni towarzyszący Michałowi wychodzili pierwsi do tych gości, prosząc ich, aby chorego oszczędzali, a o niczym mu smutnym i groźnym nie donosili.

Król resztki sił szafował na te posłuchania, które znowu często zbytnią wesołością i rubaszością szlachty raziły go i męczyły.

Wlokło się tak nieznośnie dla wszystkich to podróżowanie przeciągające się do zbytku.

Zbliżając się już ku Glinianom, krajczyna w ostatku musiała zawrócić do Lwowa. Zapowiedziane to pożegnanie zasmuciło Michała, który ją przyjął czulej jeszcze i wdzięczniej niż zwykle. Hela nie łudziła się wcale, ani Braun się z tym przed nią nie ukrywał – król miał się coraz gorzej. Podróż wycieńczyła go i znużyła. On sam jednak nie chciał się przyznać do tego. W progu izdebki, którą dnia tego zajmował, przywitał pożyczanym uśmiechem towarzyszkę lat młodych.

– Widzisz – rzekł prostując się i podnosząc głowę – jestem coraz rzeświejszym i mam nadzieję, że będę mógł obok hetmana konno objechać wszystkie pułki, obejrzeć wojsko całe bez znużenia. Byle Pan Bóg dał porę znośną.

Hela popatrzyła na niego smutnie.

– Ale na tym nie koniec – poczęła siadając u komina, przy którym król zziębnięty się ciągle ogrzewał – wojsko będzie wkrótce musiało wyciągnąć w pole, gdzie już ani stanowniczych, ani obmyślonych, przygotowanych noclegów nie znajdziecie, w kraju, w którym często wody nawet do picia nie dostanie, gdzie o żywność będzie trudno. Po całych dniach na koniu, a choćby w powozie niewygodne noclegi, prywacje²²³ wszelkiego rodzaju – choremu – jak przetrwać przyjdzie? Drzę na myśl samą.

Michał usiłował się uśmiechnąć.

– Ja nie mam obawy – rzekł zmuszając się mówić przeciwko przekonaniu – właśnie może ten rodzaj życia nowy, te prywacje, ruch przymusowy, wpłyną na mnie lepiej niż długi ten spoczynek.

– Ale kiedyżeście wy spoczywali? – przerwała Helena. – Pozornie chyba. Nie dano wam nigdy odetchnąć swobodnie.

– Siedziałem zamknięty – rzekł król – to mnie zniszczyło. Rachuję na ruch. My, dzieci rycerzy, stworzeni wszyscy jesteśmy do czynu, do działania, do konia, nie do zatęchłych izb i tych więzień, w których nas trzymają obowiązki. Wierz mi, ufaj, wyzdrowieję na powietrzu. Zresztą, sam widok wojska doda mi otuchy – mówił dalej – wszyscy przyznają, że Sobieski ma siły znaczne i jak najpiękniej wyćwiczono go żołnierza... A ten Pac! – dodał zaciskając ręce – ten Pac... który Litwinów dotąd zebrać nie mógł i tak się ociąga. Nagłę go i zaklinam listami codziennie. Nie wiem nawet na pewno, gdzie jest w tej chwili.

– W. Królewska Mość – smutnie poczęła Hela – macie ufność w Pacach...

– Bo oni jedni zostali mi wierni, od pierwszej chwili stojąc przy mnie – wtrącił Michał żywo.

– Tak – niestety – ciągnęła dalej krajczyna – ale oni to więcej pono czynią przez niechęć ku hetmanowi Sobieskiemu niż przez miłość dla was.

Zawahała się nieco i spuściła oczy.

– Mój mąż, któremu jako Litwinowi chodzi wielce o to, aby Litwa nie pozostała w tyle... dowiaduje się pilno o tym, co się tam dzieje na Litwie. Utrzymuje on, że Pac mógłby od dawna połączyć się z Sobieskim, gdyby chciał, i że antagonizm tylko wstrzymuje go.

– A! to być nie może! – zawołał gwałtownie Michał. – Nie chcę, nie wierzę temu. Miałaby Pac dla własnego interesu narażać Rzeczpospolitą w chwili, gdy całych jej sił potrzebujemy, aby nie tylko odeprzeć Turków, ale odzyskać Kamieniec... Kamieniec! – westchnął – tę perłę, tę jedyną twierdzę graniczną, ten klejnot, który mi zasnąć nie daje, którego strata dla

²²³ p r y w a c j a (z łac.) – przymusowe obywatelstwo, przykrości wynikające z braku czegoś

mnie istnym cięży kamieniem... Pozostaje on w rękach niewiernych, to zapowiedź daleko większych później strat i upokorzeń: Kamieniec!

Widząc ten wybuchający gwałtem żal króla, Hela się wstrzymała.

– W. Królewska Mość – rzekła po małym przestachu – piszcie do hetmana Paca stąd jeszcze, mój mąż obmyśli posłańca, który to pismo zanieś i doręczy. Zaklnijcie go, aby pośpieszał.

– Pisałem wczoraj, wysłałem list z Warszawy – westchnął król – sędzę, że chyba zupełna niemożliwość wstrzymała Litwę.

Kiełpsz stał u okna.

– N. Panie – szepnął – hetman Pac może zbyt wiele sobie obiecywał, nie zgromadził sił, jakie mieć chciał i pod pozorem tym się ociąga, ale tu już nie prosić i zaklinać go, raczej nakazać pod stratą łaski królewskiej należy, aby niezwłocznie i pośpiesznie zdążał ku Glinianom.

Niespokojny Michał obrócił się, oczyma szukając czegoś czy kogoś.

– Ks. Olszowski? – rzekł głosem poruszonym.

– List ja napisać mogę – przerwał Kiełpsz, przybliżając się do stolika.

– Dobrze – pisz go po swej myśli – zawołał Michał – zgadzam się na to, rozkaz mu wysłać nagłący, niecierpiący zwłoki.

Krajczy już się sposobił do pisania, a Hela podała przygotowany napój, którego spiekłymi już ustami król szukał.

– Tak – szepnął – Sobieski rad temu będzie, bo w ostatnim liście żali się także na Paca... Kiełpsz – dodał nalegająco – powtórzę Pacowi, że ja sam do Glinian jadę, że ja, nie hetman, oczekuję tam na niego, że ja, nie Sobieski, wymagam, aby Litwa, jak jest, stanęła mi do boku bez zwłoki. A! te niezgody, które nas dzielą – westchnął – one to, a nie Turcy i kozactwo, dobiją tę Rzeczpospolitą!

– Dzięki Bogu – poczęła uspokajająco Hela – nie pozostało już zwaśnionych nad Sobieskiego i Paców.

– Dodaj Radziwiłłów i Paców – rzekł król wzdychając, powinowatych jednych i drugich.

Głos zniżył, zamilkł.

Kiełpsz spieszyl z listem. Nadał mu formę poufną, aby pieczęci żadnej, oprócz sygnetu²²⁴, na kopercie nie potrzebował, obawiając się zwłoki lub uwag ks. Olszowskiego, które mogły wysłanie opóźnić.

Nie czytając prawie, ręką drżącą podpisał król, kilka słów dodając uprzejmych i swobodnie odetchnął.

– Widzicie, czynię, co mogę – rzekł – a będzie li wina czyja, spadnie na mnie. Spętany odpowiadam za wszystkich. Zwycięstwa pójdą na rachunek hetmanów, klęski na mój tylko – taka jest dola moja.

– Raczej wszystkich panujących – przerwała Hela – oddadzą wam sprawiedliwość, chcieliście dobra Rzeczypospolitej.

– Cóż chęci znaczą! – uśmiechnął się Michał. – One w żaden nie idą rachunek...

– Ależ zła samego naprzód przewidywać nie godzi się – poczęła krajczyna – byłoby to zwątpieniem w Opatrzność. Owszem, wszystko się obiecuje jak najpomyślniej. Wasza Król. Mość możesz mieć słuszny żal do hetmana, lecz jako wódz nikt inny by go nie zastąpił. Wszyscy go wynoszą i sławią, troskliwym jest, nieznuzonym.

– Tak – gdyby nie Radziwiłłowie – rzekł Michał – ja bym go już może z pomocą Dymitra mógł sobie pozyskać. Wszystko się rozbiło o nich. Ożenił się Dymitr, ale pozostał im obcym, a ja wrogiem.

²²⁴ s y g n e t (z łac.) – pierścień z wrytym herbem lub literami, używany zamiast pieczęci

– To sprawa Paców – wtrąciła Hela. – Michał popatrzył na nią, ironicznie się uśmiechając.
– Tak, nie wyjdziemy z tego czarodziejskiego koła... Pacowie i Radziwiłłowie, a ja w pośrodku bojujących – ich ofiarą.

Wieczór cały spłynął na cichych rozmowach u komina. Ile razy krajczyna wstała, aby się oddalić, król ją wstrzymywał. Jakieś smutne przeczucia go dręczyły, dodawał sobie odwagi, ale zaledwie się ożywił, opadał na siłach...

Dosyć już było późno, gdy Kiełpsz przyszedł, dał znać Michałowi, że przypadkiem powracający z Glinian przyjaciel Sobieskiego, który umyślnie jeździł dla widzenia się z nim, biskup warmiński Wydźga, nocował tu także i mógłby mu może dać wiadomości jakie o hetmanie.

Słyszał on wówczas jako jeden z najdowcipniejszych ludzi swojego czasu, choć więcej po łacinie niż po polsku, lub na wpół tymi językami obu – koncepta w śmiech puszczał. Znał go król, ale nie liczył do swoich, bo Wydźga hetmana był przyjacielem.

Dla tej wziętości jednak, jaką miał u ludzi, dla wielkiej głowy, rozumu i czci, jaką wyznawał dla pamięci Marii Ludwiki, którą król też jako swą pierwszą opiekunkę wspominał zawsze z poszanowaniem, wypadało prosić biskupa.

Wyszła więc Hela, cichym głosem na progu szepnąwszy:

„Do widzenia”, a w chwilę potem żywo, z wesołym obliczem, ukazał się biskup, witając króla swoim obyczajem, łacińskim cytatem Wirgiliusza²²⁵.

Smutny, musiał Michał dla niego przybrać ton, który by stanu duszy jego nie wydawał.

– Krzyżują się nasze drogi – rzekł, sadzając biskupa – wy, pasterzu, wracacie z Glinian, ja tam jadę.

– Niech Bóg błogosławi – odparł Wydźga – hetman oczekuje tam na was – *bene praeparato pectore*²²⁶. Wojsko wygląda pięknie, a idzie z ochotą na nieprzyjaciela.

Król westchnął i nie mógł się wstrzymać od wyrażenia tego, co mu na sercu leżało.

– Pac się spóźnił! Boli mnie to niezmiernie – rzekł.

– *Si vis pacem, para bellum*²²⁷ – odpowiedział, siłąc się na niezręczny dowcip, Wydźga. – Hetman nasz tymczasem przygotował się na ewentualność wszelką, a nie przyjdzie *pax* – pociągnie z panem [na] wojnę.

Usiłował tak króla rozweselić biskup, bo mu jego chmurne oblicze przykre czyniło wrażenie.

– To tylko źle – dodał – że Wasza Królewska Mość nic bardzo zdrów tam jedziesz, gdzie wiele sił potrzeba.

– Spodziewam się je odzyskać – rzekł Michał prędko. – W drodze nawet czuję się lepiej. Hetman ode mnie starszy, bo podobno około pięćdziesięciu sobie liczy.

– Hetman – przerwał biskup – on sobie wcale liczyć nie dozwala, a na twarzy mu kwitnie rumieniec. Jako młodzik się zwija...

– Szczęśliwy! – szepnął Michał pośpieszając – ale każdy ojczyźnie przynosi to, co ma.

Spojrzał na Wydźgę, w którego oczach malowało się współczucie, i dodał:

– Znacie, ojcze, życie moje – nie miałem nigdy szczęścia, bo i tej chwili, gdy mnie niespodzianie elekcja spotkała, ani dla siebie, ni dla Rzeczypospolitej za szczęśliwą nie liczę – i teraz, gdy rad bym krew przelać – zastyga ona i krzepnie. Staram się podźwignąć, jak mogę, a uczynię, co zdołam...

– Któż by więcej wymagać śmiał po was, Najjaśniejszy Panie – przerwał biskup – stajecie z dobrą wolą na miejscu wyznaczonym, resztę uczyni Bóg. Wszyscy, z hetmanem na czele, mamy teraz nie nadzieję, ale przecucie, że Bóg da zwycięstwo, pocieszy nas i osłodzi wam żywot, w którym wiele goryczy mieliście do wypicia... Ale na pociechę wspomnijcie sobie,

²²⁵ Publius Maro Vergilius (70–19 p. n. e.) – poeta rzymski, autor rzymskiej epopei narodowej pt. *Eneida*

²²⁶ *bene praeparato pectore* (łac.) – dobrze przygotowana pierś, tu w znaczeniu: gotowy do boju

²²⁷ *Si vis pacem, para bellum* (łac.) – jeżeli chcesz pokoju, gotuj wojnę. *Pax* (łac.) – pokój

czego doznał *antecessor*²²⁸ wasz, król Kaźmirz, co ucierpiała anielska nasza a bohaterska królowa, i was też, miłościwy królu, nim się fortuny obróci koło – wszystkim nam do tego skłaniać jest obowiązkiem, abyście *savienti fortunae animum tenacem*²²⁹ przeciwstawili.

– Jednego tylko pragnę – przerwał król z zapalem – mieć tyle siły, abym mógł na placu stanąć, piersi nadstawić i – zgiąć, a! – wielką by to pociechą było dla mnie!

Gdy to mówił, lice mu zapłonęło – rumieniec się zjawił na policzkach i cała postać przybrała rycerski charakter. Ale stan ten zaledwie trwał krótką chwilę – głowa mu opadła na piersi, opuściły go siły, obejrzał się za służbą, czując palące i zeschłe wargi. Uderzył w dłonie.

Kiełpsz wybiegł i spojrzawszy tylko podał mu przygotowany napój. Wydźga patrzył i liść coraz wyraziściej się odbijała na jego twarzy.

Uprowadzony przeciw królowi – nie lubił go nigdy, w towarzystwie Sobieskiego nasłuchiwał się wszystkiego, co przeciwko niemu wyciągano i wymyślano, ażeby niechęć obudzić, lecz z bliska patrząc na tego męczennika, uczuciem ludzkim poruszyło mu się serce.

– N. Panie – rzekł żywo. – Z uwielbieniem słucham was i patrzę – ale nie pojmuję, jak dostojna małżonka wasza, a na ostatek i lekarz mógł dozwolić w tym stanie podjąć podróż, a myśleć nawet o wojnie.

Słyszając to król się zerwał z siedzenia.

– Łudziecie się, mój ojczu! – zawołał. – To są momentalne, zwykłe moje od wielu lat, przechodzące cierpienia, na które ja zważać nie zwykłem... Niech Bóg broni, aby mi się kto śmiał przeciwiać teraz, gdy mam wolę niezłomną, gdy iść muszę... Ojczu! – dodał – Kamieniec! Z Kamieńcem na piersi kładnę się, wstaję, chodzę; Kamieniec, nie choroba mnie zabija, traktat buczacki mnie dusi. Na moim panowaniu i imieniu srom ten, nie zmazany krwią pozostawić, a!

Zakrył sobie oczy rękami.

Wydźga skłonił głowę nie mówiąc nic, a król dorzucił głosem drżącym:

– Umrę! Zginę! Ale ja tego pragnę! Ale to mi się jedno uśmiecha, króla znajdziecie łatwo, a ja żyć tak dłużej nie mogę.

– Najjaśniejszy Panie – powstając z krzesła z powagą odezwał się Wydźga – wasze imię Michael niech wam będzie otuchą. Wiecie, co ono oznacza? *Quis ut Deus!*²³⁰ – kto nad Boga! Ten Bóg będzie waszą pociechą i obroną, a ulituje się niewinnego męczarni.

Biskup łzy miał na oczach.

– Godzina spóźniona – rzekł. – Czas, abyście odpoczęli, N. Panie, a ja krzyżem świętym was błogosławiąc, rad bym w duszę wlać pokój!

Rozstali się w progu.

Znużony wszystkim, co tego wieczora doznał, król natychmiast się położył, ale przeciwko rozkazom Brauna, który rozkazał dzień wytchnienia, polecił mieć wszystko w gotowości do dalszej podróży.

Im się zbliżał bardziej do celu, tym [nie]cierpliwość rosła.

– Nie odetchnę, nie będę spokojnym, aż gdy stanę wśród wojsk i obozu. Tam dopiero wypocząć będę mógł.

Krajczy, który pozostał w krześle przez noc całą, z boleścią się przekonał, iż przez całą noc nie zmrużył oka. Rzucił się po łożu jęcząc, siadał na nim, dopytywał o godziny, usiłował zasnąć, na próżno.

Braun, który wezwany przyszedł nade dniem, usłyszawszy od krajczego o stanie króla i przekonawszy się, że przedłużenie męczarni ulgi by nie przyniosło, zgodził się na podróż i ze dniem Michał w kolebce zamkniętej, drzemiący i rozmarzony jechał dalej ku Glinianom...

²²⁸ *antecessor* (łac.) – poprzednik, przodek

²²⁹ *savienti fortunae animum tenacem* (łac.) – mężnego ducha, srożącemu się losowi

²³⁰ *quis ut Deus!* (łac.) – któż jak Bóg!

VII

Wieczór był jesienny, na zachodzie roz pogodzone niebo płowożółtym blaskiem świeciło, a szare, porwane chmury uciekały ku wschodowi. Chwilami wiatr chłodny przelatywał, szumiąc i niosąc z sobą zapowiedź mrozu.

Na rozległej równinie pod Glinianami obóz Sobieskiego poruszał się życiem wieczornym, pędzono i prowadzono konie od wodopojów, czeladź krzątała się pod szopami dla nich skleconymi, wieczorne ognie połyskiwały tu i owdzie, a dym od nich z wiatrem rozkładając się, unosił nad ziemią. Szum i gwar dzienny powoli ustawać zaczynał, jednakże tu dnia tego więcej niż zwykle widać było jezdnych i część wojska czekała przy osiodłanych koniach, a niektóre oddziały stały w gotowości jak do występu, chociaż mrok padał i wieczór nadchodził.

Szeregiem od obozu, na gościńcu, stali jezdni ustawieni tak, aby się widzieć mogli na czatach, a oczy ich zwrócone w stronę przeciwną, wypatrywały oczekiwanego jakiegoś znaku.

Na wzgórzu, gdzie stały obok siebie namioty hetmańskie i wojewody ruskiego Jabłonowskiego, widać było też przygotowania jakieś, jakby się na przyjęcie gościa przybierano.

Służba liczna Sobieskiego, czeladź, dworscy w barwie świątecznej kręcili się dokoła namiotów, sam hetman ukazywał się niekiedy u wnijsia, a wierzchowego konia jego osiodłanego masztalerz przeprowadzał.

Oczekiwanie to, domyśleć się łatwo, spowodowane było obiecanym króla przybyciem, ale zamiast Michała, który zmuszony był osłabieniem wcześniej stanąć na spoczynek, aby się zbyt zmęczonym nie pokazać przed wojskiem, nadbiegł posłaniec tylko z ustnym zawiadomieniem, że król Michał z powodu uszkodzenia kolebki (tak mówić kazano) nazajutrz mógł przybyć dopiero.

Rozstawione więc na drodze czaty szybko się nazad do obozu ściągać zaczęły, a hetman, odebrawszy wiadomość, wszedł do namiotu, aby zrzucić paradny strój, który też w gotowości był, uśmiechnął się z politowaniem.

– Szczęściem – zawołał wesoło [Jabłonowski] – nie nagli nic, lecz, abyśmy tak na wodza czekać musieli wobec nieprzyjaciela, mogłoby się nam za to dostać po tebinkach²³¹.

– Z tego co wiem, miarkując – odparł Sobieski, który śpieszno rozdziewał się ze swych atłasów i aksamitów, aby przywdziać wygodny kożuszek popielicowy – król nie tylko nie ma się lepiej, ale zdrowie mu się pogorszyło znacznie. Niepodobieństwem jest, abyśmy go z sobą pod Chocim²³² brali, gdzie by nam zawadzał tylko. Braun mu podróż odradzał, nie posłuchał. Pisz mi jeden z moich Koryckich, który jest przy dworze, iż się uparł tak, że go nawet ukochna powinowata jego, mająca nad nim moc wielką, krajczyna Kiełpszyna pohamować nie mogła.

Pięknie to z jego strony, ani słowa, lecz spóźnił się z tą rezolucją. Braun słyszę, otwarcie powiada, iż żyć nie będzie długo, a tą podróżą jeszcze sobie skrócić może ostatki tego mizernego żywota.

– Wiesz – dodał Sobieski – nie byłem mu nigdy przyjacielem, walczyłem z nim, stałem przeciwko niemu, a raczej przeciw tym, co z nim idą, czy też jego prowadzą, ale, słowo ci daję, teraz mi go szczerze żal.

Nie żądał tej męczeńskiej korony, wypraszał się od niej – gwałtem mu wciśniętą na skronie opłacił ciężko. Żona! Zamiast pociechy przyniosła mu domową troskę i pomnożyła liczbę

²³¹ d o s t a ć p o t e b i n k a c h – dostać chłostę

²³² C h o c i m – miasto i twierdza w Besarabii w pobliżu Kamieńca Podolskiego. Chocim jako twierdza graniczna, był ważnym stanowiskiem w wojnach przeciwko Turcji.

nieprzyjaciół. Dopóki żył Prażmowski, spiskowała z nim jawnie, aby męża z tronu zepchnąć, a Lotaryńskiego wprowadzić. Dziś zmieniła taktykę, ale nie uczucia. Stała się czułą, bo się dwór rakuski brzydkiej intrygi zawstydził, która na jaw wyjść groziła. Zważ, co ten człowiek wycierpieć musiał.

Pacowie nas oskarżają, żeśmy mu trucizny zadać kazali. Nie potrzeba było więcej nad tę, jaką mu życie przynosiło, a w ostatku i on sam niepomiernie jedząc...

To mówiąc stanął Sobieski przed przyjacielem, który pilno słuchając w oczy mu patrzył, i dokończył:

– Kondeusz tedy znowu wystąpi jako kandydat najmocniejszy, a tym razem szlachta już mu się przeciwieć nie będzie.

– Jeżeli jej milszego nie poddamy kandydata – przerwał wojewoda ruski. – O ewentualnościach elekcji ani mówić można, nawet w przededniu, co dopiero zawczasu.

Nie zawsze ta ciżba, której głosy przeważają, godną jest, aby na nią Duch Święty zstąpił, ale dziwnie czasem kości padają. Kondeusz będzie pewnym, a Polanowskiego okrzykną.

– Dajże mi pokój z tym pocziwym Polanowskim, który się gniewa, gdy mu tym królestwem w oczy, jak urągowskiem rzucają – daj mi pokój i z wszelkim jakimkolwiek bądź Piastem. Spróbowaliśmy Michała, *tamquam satis*²³³.

Uśmiechnął się Jabłonowski.

– Nie łapmy ryb przed niewodem – dodał.

– Jutro tedy doczekamy się króla – westchnął Sobieski – a ja bym wolał w miejscu jego Paca mieć, naówczas ruszylibyśmy wesoło, pozbywszy się najjaśniejszego.

– Jeżeli on da się tak pożegnać i odprawić – rzekł Jabłonowski. – Człowiek chory i zbolący upartym jest...

Nastąpiło milczenie. We dwu tak ci druhowie, których najczulsza przyjaźń łączyła, spędzili wieczór na przypomnieniach wojen, w których albo oba razem, lub pojedynczo udział brali.

Nazajutrz ostry przymrozek, wedle zapowiedzi wieczora poprzedzającego, ściągnął ziemię, a wiatr, zwróciwszy się ku północy, smagał nielitościwie, ale dzień był jasny, choć barwa słonecznych promieni tak zimną się wydawała, jak powietrze.

Przez znaczniejszą część dnia po trosze wyglądano króla i wieczór nadchodził znowu, gdy oznajmiono nareszcie, że część taboru, wcześniej z noclegu wyprawiona, do Glinian przybywała, król zaraz za nią miał nadażyć. Sobieski z Jabłonowskim, oba konno z oddziałem pancernych, wyjechali na kraj obozu, aby pana powitać.

Tu też dwór stary, drewniany opróżniony był i już przysposobiony na przyjęcia Michała, któremu pod namiotem trudno by wytrwać było.

Ani dnia tego o uroczystym myślano przyjęciu.

Za wozami pokazał się orszak wojskowych, gwardie i hajducy, towarzyszący Michałowi, potem tabory znowu, na ostatek kolebki dworskie. W poszóstnej, wielkiej, jechał, na wół leżąc Michał, mając Brauna i ks. Olszowskiego przy sobie. Kiepsz konno u drzwiczek asystował.

Zawczasu oznajmiono królowi, że się do obozu zbliżali, od popasu już ubrał się i z niepokojem niewymownym wyglądał, rychło li wojsko zobaczy.

Na twarzy jego malowała się trwoga i Braun, widząc wzruszenie, kroplami na cukrze mu podawanymi starał się nerwy uspokoić, sił dać, choćby kosztem późniejszej prostracji²³⁴.

Stała w końcu kolebka, a u drzwiczek jej pokazali się na dzielnych koniach dwaj wodzowie – Sobieski i Jabłonowski, otoczeni świetną gromadką dobranego rycerstwa.

Byłby to najpiękniejszy w świecie orszak, gdyby nie odwrotna strona jego, król ten schowany i wybladły, przestraszonymi oczyma patrzący z zazdrością na hetmanów swoich.

²³³ *tamquam satis* (łac.) – jak gdyby dosyć

²³⁴ *prostracja* (z łac.) – wielki upadek sił, osłabienie, załamanie

Wspaniała postać Sobieskiego, niemniej rycersko i pięknie prezentujący się Jabłonowski, poza nimi wąsate oblicza pancernych, husarzy, rotmistrzów, chorążych, w pozłocistych mi-siurkach z czepcami i pióropuszcami, konie w bogatych rzędach, broń połyskująca, jak ze sre-bra ulana, nad głowami szeleszczące, długo puszczone proporce.

Za Sobieskim buńczuczny jego i orle skrzydło hetmańskie – giermek z tarczą. On sam w białym żupanie ze srebrzystej lamy, w niebieskim kontuszu, w delijce sobolowej szkarłatnej, Jabłonowski czarno, purpurą i złotem ustrojony, stanowili przepyszną grupę.

Król, rozkazawszy sobie otworzyć kolebkę, wysiadł, aby okazać swą rzeźwość, w zwy-kłym francuskim stroju, w peruce i kapelusiku na niej z piórami, z mieczykiem u boku mi-sterne ze stali wyrzeźbionym u rękojeści, z szarfą na piersiach, z koronkami pod szyją, gdy na chwiejących się, cienkich nogach stąpił na ziemię, potrzebował usługowej ręki Kiełpsza, czuwającego nad nim, aby nie upaść. Witął, siłąc się na uśmiech i podnosząc nakrycie głowy, hetmana i wojewodę, ale głos jego cichy, ochrypliwy, zaledwie uszu ich dochodził. Zsiadali właśnie z koni do ręki królewskiej.

Powitanie ze strony Michała było nadzwyczaj uprzejme, Sobieski i Jabłonowski szanowali w nim majestat królewski, a teraz i ten drugi majestat boleści, który obu ich przejmował współczuciem.

Dosyć było spojrzeć na króla, aby odgadnąć, jaki gwałt sobie zadać musiał, aby stanąć tu, pomimo bezsilności i cierpienia.

– Opóźniłem się – począł – przemijająca niedyspozycja mnie wstrzymała. Czuję się lepiej teraz i rad jestem, żem tu stanął, aby z wami trud dzielić. Panu hetmanowi winienem dzięki za zebrane siły, za niezmierną jego pracę. Nie będę ja mógł, odpłaci to wdzięczna Rzeczpospo-lita.

Sobieski wąsa podkręcał.

– N. Panie – odezwał się – zapłaty nie żądam, spełniłem obowiązek. Prawda, iż nieraz ciężko przychodzi tego dopełnić. Dziś mamy już siłę do odparcia gotującej się napaści.

– Paca tylko co nie widać – dodał oczy spuszczone król ciszej – rad bym go wytłumaczyć – nie umiem. Po stałym *iterum iterumque*²³⁵ nagląc, spodziewam się skutku.

Pomilczał nieco hetman.

– Nie może nas w chwili tak stanowczej opuścić – rzekł powoli. – My byśmy w najgor-szym razie obejść się może potrafili bez niego, ale on bez spełnienia powinności nie zdoła się obejść, boby srom uczynił sobie.

Podniósł król oczy na dobraną garstkę towarzyszków – pozdrowił ich, lice mu się uśmiech-nęło i począł chwalić.

– Jutro dopiero – przerwał Sobieski – będę miał to szczęście W. Królewskiej Mości spre-zentować wierne jego rycerstwo, które całe wystąpi i okaże się. Dziś pora spocząć W. Kró-lewskiej Mości, a my towarzyszyć jej będziemy.

W przewidywaniu potrzeby był wierzchowiec dla Michała przygotowany, którego masz-talerz za kolebką prowadził, król dosiąść go chciał, ale Braun się sprzeciwił.

– Dosyć będzie jutro trudu – rzekł – a dziś...

– Dziś i potrzeby nie ma fatygi tej – dodał Sobieski – mrok nadchodzi, w obozie zabierają się do spoczynku.

Kilku słowy jeszcze podziękowawszy, Michał zwrócił się nazad ku swej kolebce, a Sobie-ski z Jabłonowskim mogli się przekonać z niepewnych i ociężałych ruchów jego, że na ju-trzejszy występ niewiele liczyć było można.

Poprzedzając króla, hetman i wojewoda doprowadzili go do dworu, gdzie już służba przo-dem posłana oczekiwała i zarazem posiłek wieczorny, którego zawsze czczością wewnętrzną chorobliwą dręczony król potrzebował.

²³⁵ *iterum iterumque* (łac.) – znowu i znowu, wielokrotnie

Do stołu razem z nim zasiedli zaproszeni hetman i Jabłonowski, a starszyzna wojskowa obok miała drugi, który czekał też zastawiony obficie. Wszystkich oczy ciekawe zwracały się pilno i niespokojnie na przybyłego pana, który czując to, że siedział jakby pod pręgierzem, zmagał się na rzeźwość i wesołość. Zdradzało go jednak znużenie, które brało górę, gdy się cokolwiek zapomniał. Dla najmniej nawet upornych oczu złudzenie możliwym nie było. Wiedziano w nim chorego, który chciał się krzepkim ukazać – i padał.

Litość, jaką już wprzód mieli dla niego Sobieski i wojewoda, wzmogła się żywym widokiem człowieka tak srodze umęczonego. Zdziwienie tylko pewne wywołało wkrótce niepomierne króla żarłocтво, bo nad siły jego było powstrzymać się od niego. Żaden z tych śmialków, nie będąc lekarzem, nie umiał rozróżnić apetytu zdrowego człowieka od tego pochłaniającego jadła gorączkowego i zabójczego. Hetman więc wniósł po prostu, że mimo osłabienia natura oddziaływa i może jeszcze nad chorobą wziąć górę. Przy wieczerzy znowu Turcy, Tatarowie i Kozacy na plac wyszli i o nich tylko rozprawiano, a Sobieski nalegał, aby pospieszać, nimby owe tysiące czas miały się przeprawić i wtargnąć na Podole.

Sławna wiktoria pod Chocimem odniesiona nęciła znowu pod mury tego zamku wróżbą dobrą i hetman gorąco pragnął się potykać z Turkami.

O siłach ich tak przesadzone prawiono dziwy, że im wiary dać nie było można.

– Gdyby w istocie – rzekł w końcu – szarańczy tej plugawej tyle było, co jej zapowiadają, i tak ona jeszcze we mnie zbyt nie budzi obawy. Dla samej żywności i przekarmienia koni Turcy jednym oddziałem skupionym ciągnąć nie mogą, rozdzielać się muszą. Nasza rzecz, nie dać się im połączyć, a pojedyncze kupy rozbijać, co, przy łasce Bożej a języku, którego Lipkowie dostarczyć powinni, możliwym być sądzimy.

Zaczęto tedy i o Lipkach tych, Tatarach z Litwy przesadzonych, którym niezbyt dowierzano. Tak się wśród ożywionej rozmowy skończyła wieczerza, a Sobieski i wszyscy goście pospieszyli króla pożegnać, o godzinę spytawszy, o której wojsko chciał oglądać.

Choć było co czynić, chcąc pułki wszystkie widzieć choć pobieżnie, nieznaczono zbyt rannej pory, aby Michałowi dać czas do spoczynku.

Ledwie się za ostatnim z gości drzwi zamknęły, gdy Kiełpsz ujrzał króla, który przy krześle stał, upadającego na nie. Oczy mu się zamknęły mimowolnie, przemogła niemoc i na zapytania nie odpowiadając, zadyszany zbyt długo przeciągniętym wysileniem, król pozostał nieruchomy, dysząc tylko ciężko.

Wzruszenie, rozmowa, potem nagle przyjęty pokarm, w którym miary nie znał, sprowadziły ten stan prostracji, z której Braun, narzekając i utyskując, starał się wyprowadzić ciągle aż do skutku zadawanymi lekarstwami, nie bacząc, że i one chorego nużyły.

W nocy przyszedł sen niespokojny i gorączka, a o odłożeniu przeglądu wojska król sobie mówić nie dawał. Zdradzić się obawiał ze słabością. Braun ani się śmiał odezwać, a Kiełpsz, ile razy coś podszeptał, w odpowiedzi odbierał wybuch zniecierpliwienia i gniewu.

Nazajutrz więc z rana konia najspokojniejszego, siodło jak najwygodniejsze przysposobiono wcześniej, a Braun doradził, aby i kolebka z dala stała na zawołanie w pogotowiu.

Wcześniej nadto porwawszy się z łóżka, Michał kazał podać śniadanie. Łudził się tym zawczasem, iż pokarm obfity równie wielkie miał mu dać siły. Zwierciadło, w które spoglądał, pokazywało mu twarz zmęczoną, w której on jednak upatrywał lepszą cerę i odżywienie.

O przywdzianiu choćby lekkiej zbroi nie marzył sam król nawet, boby jej nie mógł dźwignąć, strój więc zwykły, ze zwierzchnim futerkiem, buty z szerokimi obkładami i szpada u boku stanowiły całe uzbrojenie.

Ze swojego dworu nie potrzebował brać orszaku, bo mu hetman miał towarzyszyć i stanowić straż jego. Przybył też w porę Sobieski, przybrany dnia tego we zbroję, szyszak i wiodąc za sobą cały zastęp urzędowy, który dostojęństwa jego był oznaką. Obyczajem wschodnim

niesiono przed nim buńczuk²³⁶ ozdobny, orle skrzydło na wysokim drzewcu osadzone, giermek niósł złotą Sobieskich „Janinę”²³⁷, chorąży proporzec jego, a on sam buławę dzierżył w ręku. U siodła, obyczajem swym, miał oprócz koncerza przytwierdzony srebrny bębenek, w który uderzał pałeczką, gdy chciał kogo przywołać.

Król ze swą peruką, kapeluszem i mieczykiem cienkim za oręż cały, obok tego wspaniałego hetmana, tak biednie, a co gorzej, cudzoziemsko i obco wyglądał, iż najżyczliwszych mu smutek czoło okrywał.

Kiełpszowi łzy się kręciły w oczach, młody Pac ramionami zżymał. Widocznym było, iż się narażał na pośmiewisko tego żołnierstwa, które porównywając go z Sobieskim, śmiesznym i biednym widzieć musiało.

Ale na to nie było ratunku.

Sam on nie czując może, aby się mógł wydawać śmiesznym, obawiał się o jedno tylko – o wytrwałość, o siły. Strach sprowadzał uderzenia krwi do głowy i żarem go oblewał na chwilę, po którym następowały dreszcze.

Dzień wietrzny był i chłodny – ale suchy. Na całej przestrzeni pułki stały porozstawiane z chorągwiami rozwiniętymi, w całym blasku najwspanialszego uzbrojenia. Byłoli ono odpowiednim już ówczesnym nawet wymaganiom sztuki wojskowej, rzecz to więcej niż wątpliwa, ale nawet uprzedzeni cudzoziemcy oddawali sprawiedliwość chorągwiom²³⁸ usarskim, szczególnie pancernym kopijnikom, hajdukom, iż na oko piękniejszego żołnierza widzieć nigdzie nie było można. Popisywano się usarzami skrzydlatymi przed dworem francuskim i postawę ich a malowniczy strój wychwalano, ale naówczas już ci, co ich w boju widzieli, o zmianach w uzbrojeniu mówili i zamierzali je dokonać.

Żołnierz piękny był, ale niski i nieobrotny, to co dźwigał na sobie, pętało go.

Jedną z najlżejszych broni było kozactwo regularne w wojsku koronnym, a oto jak współcześni ryszturnek rotmistrza, a raczej sotnika²³⁹ opisują. Musiał on mieć na sobie nie lekką do dźwigania koszulę drucianą, na głowie misiurkę z czepcem, u boku pałasz, muszkiet albo łuk i sahajdak na plecach. U pasa całe wisiało gospodarstwo – szydło, krzemień, nóż, sześć łyżek srebrnych, wchodzących jedna w drugą w worku safianowym czerwonym, u pasa też zawieszony był pistolet niemałych rozmiarów, chustka paradna, czarka ze skóry wygotowanej do czerpania wody, szabałtas na papiery, pieniądze, grzebień i inne drobnostki, pęk jedwabnych sznurów do wiązania niewolników. Wszystko to wisiało z prawego boku, bo po lewej był pałasz. U siodła zaś pozaczepiane – czasza drewniana do pojenia koni, trzy pęta skórzane dla wypuszczania na paszę. Nie liczy się ładownicy do muszkietu, rogu na proch i innych drobnostek. Husarze ze skrzydłami u siodła, z ogromnymi koncerzami, często z tarczami, sahajdakami, łukami i kopiami długimi, we zbrojach, koszulach, misiurkach albo hełmach, więcej jeszcze mieli do dźwigania.

Lecz w polu, gdy to się w szeregach rozwinęło, a długimi barwnymi proporcami wiatr szeleścił, gdy słońce tysiącem iskier osypało rzędy wysadzone – blachy złożone siodła, czuby i trzęsida na głowach koni, gdy w tych żelaznych piersiach zagrzmiała „Bogarodzica”²⁴⁰, ozwały się trąby i kotły, konie zarżały, duch rycerski ogarnął tych dobranych chłop w chłop, rozrosłych jak olbrzymy, wojaków – obraz z nich złożony jak baśń jakaś stara stał się oczom zdumionym.

²³⁶ b u ŋ c z u k (z tur.) – sztandar turecki, składający się z ogona końskiego, zawieszony na szczycie drążka

²³⁷ J a n i n a – nazwa herbu Sobieskich. Herb ten przedstawiał w polu czerwonym tarczę fioletową albo brunatną

²³⁸ c h o r ą g i e w – tu: oddział wojska

²³⁹ s o t n i k (z ukr.) – przełożony nad stu ludźmi, stu żołnierzami

²⁴⁰ B o g a r o d z i c a – najstarsza pieśń na cześć Najświętszej Marii Panny, hymn ten był śpiewany przez rycerstwo polskie przed rozpoczęciem bitwy z nieprzyjacielem

Żołnierz to był tak kosztowny ze swymi lamparcimi skórami i kobiercami perskimi na ramionach, z rzędami jak strumienie turkusów i rubinów, spływającymi na grzbietach koni, ze srebrem i złotem kutymi skrzydły orlimi – iż kraj, co go dostarczał, musiał chciwość łupieżców nęcić. Cóż dopiero, gdy się k'temu dołożyły wozy, co szły za każdym z towarzyszków, często sreber i kosztownego naczynia, futer i odzieży drogiej pełne.

Takim wspaniałym widowiskiem w promieniach jesiennego słońca Sobieski witał króla. Nie po raz pierwszy przedstawiało się ono oczom Michała, ale nigdy w takiej rozciągłości, z taką barw różnaitością nie oglądał wojska swojego. Z dumą a otuchą wielką musiało mu się poruszyć serce, a Sobieski też, ukazując te pułki, z których każdy nazwać umiał, a o każdym coś na cześć jego powiedzieć – mógł się pochłubić, że mu hetmanił i mieć nadzieję, że ono zbiegowisku wpołnagich Tatarów na drobnych szkapach, z lichymi łukami – pobić się nie da.

Zaśmiało się lice królowi, zarumieniły policzki i przed chorągwiami, które mu się schylały pozdrawiając, zdejmował nisko kapelusz. Słabo z początku, potem żywiej nieco, odzywały się: *Vivat Rex!*²⁴¹. Iść na czele tych zastępów, walczyć razem, polec na placu bodaj – zdawało mu się szczęściem niewysłownym po męczeńskim żywocie.

Najpiękniejsze pułki już objechali razem, a Michał nie czuł jeszcze znużenia, dreszcze tylko niekiedy czuć mu się dawały. Nagle, gdy okiem mierzył rozległość placu, jaki jeszcze przebywać musieli, jakby obłok mglisty przesunął mu się przed oczyma; czuł, że blednieć musiał, zimny pot występował mu na czoło, wewnątrz niewysłowne jakieś ssanie ścisnęło mu wnętrzności. Nie wiedząc sam co czyni, powstrzymał konia. Sobieski, jadący obok, nierychło dostrzegł, co się działo, gdy nieco dalej odsunięty Kiełpsz podbiegł i chwycił konia. Lecz znalazł się tuż Braun, hetman też z konia już zsiadłszy, zbliżył się do niego z Jabłonowskim.

Wysilał się na próżno, aby utrzymać się na siodle i przemóc mdłość – musiano stanąć, otoczono go natychmiast, dwór pozeskakiwał z koni i na rękach jego Michał znalazł się na ziemi. Nogi mu się zginały, ale mocując się nieco, potrafił na nich utrzymać. Wracała mu przytomność i pierwszym staraniem było odepchnąć sługi, a rękami sięgnąć po cugle konia. Lecz znalazł się tuż Braun, hetman też z konia zsiadłszy, zbliżył się do niego z Jabłonowskim.

– N. Panie – wzruszony począł Sobieski – zbrodnią jest samobójstwo! My na to nie możemy dozwolić, abys Wasza Królewska Mość wszystkim nam drogie życie swe poświęcał nadaremnie.

– To było – to było... przemijające, chwilowe, pozwólcie – rzekł błagającym głosem Michał – już mdłość przeszła.

– Ale za chwilę powrócić może – odezwał się przystępujący Braun.

– Siadaj Wasza Królewska Mość do kolebki – nalegać począł Jabłonowski – i powracaj do dworu. Niepodobieństwem jest w takim stanie zdrowia myśleć o wojnie i o podróży nawet.

Królowi pod wrażeniem bólesci duchowej zrobiło się słabo znowu, wsparł się na ramieniu Kiełpsza, bledniejąc trupio – i z ust okrytych jakby pianą białą wyrwało się niewyraźne:

– Kamieniec!

W tym stanie zesłabnięcia, z którego kroplami, jakie miał przy sobie trzeźwić go usiłował Braun, zaniecono Michała do kolebki.

Kiełpsz z doktorem siedli z nim razem, a Sobieski z Jabłonowskim jechali dalej oglądać resztę pułków.

Wieść o zasłabnięciu króla piorunem się rozeszła.

W wielu obudziła ona współczucie dla niego, ale ci, co go nienawidzili, podżartowywali sobie.

– Jeżeli on obejmie dowództwo, które mu należy, jeśli się przy wojsku znajdować będzie – dobrze wyjdziemy, boć jeszcze ani prochu nie powąchał, ani świstu strzał tatarskich nie słyszał!

²⁴¹ *V i v a t R e x!* (łac.) – Niech żyje król!

W sercu hetmana może po raz pierwszy dla znienawidzonego króla prawdziwa, szczerza obudziła się litość. Był pod wrażeniem potwarzy, które o nim, o jego nieczułości, obojętności i dziwactwach rozgłaszano. Prymas zmagął się na to zohydzenie Michała. Sobieski go teraz oglądał, odczuł jego dołę, przypomniał sobie całe panowanie i – litość go zdjęła. Jeden ten wyraz, wyrzeczony mdlejącymi ustami – „Kamieniec!” – nawrócił go. Żał mu się zrobiło, iż nieraz go był zmuszonym prześladować.

Po odjeździe króla na poły omdlałego, hetman prędko dokończył przeglądu i pośpieszył z Jabłonowskim do swego namiotu. Tu wylał się przed przyjacielem z tym, co czuł.

Wojewoda ruski przyznał się naówczas, że król i na nim zrobił toż samo wrażenie bardzo nieszczęśliwego człowieka.

– Dołącz do tego – rzekł – że żona go zdradza, dręczy i ostatek dni mu zatruwa, a w istocie miłosierdzia godzien ci się wyda. I to rozumiem dobrze – dodał wojewoda – że dla oczyszczenia siebie, dla ulżenia w sumieniu, chce z nami iść, ale możemyż my na to zezwolić?

– Nigdy w świecie! – zawołał Sobieski. – Pewne względy należą królowi, cóż dopiero choremu, te względy nas będą paraliżowały w pochodzie, dla jego bezpieczeństwa będziemy musieli najlepsze oddziały gwardii odłączać, w pochodzie się ociągać, a ostatecznie niewygody go zabiją.

– Niepodobieństwem jest go wziąć – potwierdził Jabłonowski. – Do Warszawy niesporo mu wracać, niech jedzie do Lwowa i tam pozostanie bliżej teatru wojny.

– Ale daż się on namówić?

– Krajczy ten, jakże się zowie – przerwał wojewoda – ma nad nim moc. Słucha go. Jest to mąż jego kuzynki Zebrzydowskiej, potrzeba go do nas zaprosić i z nim poradzić.

Sobieski nie odpowiadając wyszedł z tej części namiotu, w której stali, klasnął na kozacka.

– Maszka – rzekł – siadaj na konia, jedź do dworu, który król zajmuje i proś do mnie pana Kiełpsza. Ale sobie dobrze zapamiętaj nazwisko, bo jak mi inną rybę ułowisz, dostaniesz po karku. Powiedz, że hetman pilno prosi na dwie słowie.

Kozaczek pierchnął, bo u Sobieskiego wszystko duchem słuchało.

Nie upłynęło pół godziny, a krajczy zsiadał z konia u namiotu, ale jak noc posępny.

– Musiałem was wezwać – rzekł hetman witając go. – Z królem jest źle, a będzie gorzej, gdy się uprze jechać z nami. Śmiech i żal mówić nawet o tym.

– Tak – przerwał Kiełpsz – ale nie pojedzie z wami, to że zgryzoty i żalu zamrze.

– Prędzej wyzdrowieje – rzekł Sobieski. – My na to pozwolić nie możemy, o żywot jego chodzi. Na wyprawie się nam nie zdał, boby ją hamował. Do Lwowa tymczasem go odwieźcie, bliżej będzie. Na to wy, gdy zachowanie u niego macie, namówić powinniście.

– Alem ja sługą tylko – odparł Kiełpsz – powagi nie mam. Wie, że go kocham, że życie dla niego dać gotów, ano tego mało. Młody jestem.

– My z panem wojewodą poczniemy – mówił dalej Sobieski – wy popierajcie. Powiedźcie to ks. Olszowskiemu, on też w ten sens odzywać się powinien.

– Jakże teraz jest? – zapytał w końcu hetman.

Kiełpsz głową potrząsnął.

– Leży w łóżku, sparty na rękę i duma, a niekiedy rzuca się, jakby go piekło. Powróciwszy do dworu musieliśmy go poić i karmić, ażeby te wewnętrzne bóle stłumić, ociążał potem, drzemał, teraz rozbudzony zaczyna cierpieć znowu.

– Można z nim będzie widzieć się dzisiaj? – spytał Jabłonowski. – Im prędzej, tym lepiej będzie, gdy do Lwowa wyprawimy, tu ani wygod, ani apteki, ani doktora nie ma. Powinniście wyruszyć natychmiast.

– Wieczorem król właśnie życzył sobie widzieć się z panami hetmanami, będziemy więc czekali.

– Przygotujcie go do tego, z czym my idziemy.

Zaledwie Kiełpsz odjechał, gdy Braun wózkiem się kazał do Sobieskiego przywieźć, zamierzając o toż samo go prosić, co on miał na myśli.

– Niewiele w nim już życia jest – rzekł wzdychając stary – dobijać się go nie godzi bez korzyści dla nikogo. Na wojnę jechać ani może myśleć, daj Boże go dowieźć do Lwowa.

Król sam się już może nie łudził, ale zawsze jeszcze chwilami wmawiał w siebie, że jechać musi i pojedzie. Kiełpsz poruszał ramionami, nic mu nie odpowiadając, z naleganiem bowiem czekał na przeważną inicjatywę hetmana.

Oznajmiono o nim nareszcie, przybył ks. Olszowski i wszyscy obsiedli łóżko króla. Braun stał w odwodzie²⁴².

– N. Panie – odezwał się Sobieski – przychodzimy nie od siebie, ale od całego wojska W. Król. Mości prosić go, abyś zaniechał podróży i naprzód myślał o zdrowiu. Da-li Bóg je odzyskać, w każdej chwili będziesz mógł połączyć się z nami, tymczasem ja, na Paca nie czekając, iść muszę, a Wasza Królewska Mość nie do Warszawy a do Lwowa, bliżej wojsk możecie się udać na spoczynek.

Michał ze spuszczoną głową milczał.

Potwierdził ks. Olszowski, poparł to Jabłonowski, zamruczał na ostatek Braun, iż inaczej być nie może.

– Nie przeczę – odparł powoli Michał – że ja nie zdałem się wam na nic, bo ze mnie ani wódz, ani żołnierz, ale dla mnie sroga niewola, nie być tam, gdzie o cześć narodu będzie oręż rozstrzygać. Wolałbym umierać przy waszym boku od tatarskiej strzały, niż mizernie konać w gospodzie, myśląc o Kamieńcu, o was i o wyprawie... a nie wiedząc, co się dzieje...

– Będziemy W. Królewskiej Mości gońcami o każdym naszym donosić kroku – dodał Sobieski – ale do Lwowa jedźcie i to nie omieszkając, bo w Glinianach ani wygody, ani pieczy, ani spokoju mieć nie będziecie. My też ruszamy i jutro obóz zwijąć zaczniemy.

Nie było sporu, bo konieczność nakazywała się poddać, począł tylko zwrócony do hetmana król modlić się.

– Panie hetmanie, na krew Pańską, dawajcie mi znać o krokach waszych – a, da Bóg, zwycięstwach. Jako nieboszczyk ojciec mój miał szczęście przeciwko kozactwu, tak wy je macie przeciw Turkom. Pobjećcie ich, odzyszczcie Kamieniec, ale tego już oczy moje widzieć nie będą.

– N. Panie – wtrącił Jabłonowski – potrzeba się otrząsnąć z tych złych myśli. Macie siły, wiek was nie przygniata. Spoczynek i starania lekarzy zdrowie wam przywrócą.

– Nie – odparł sucho król – gdybym nawet wiadomość odebrał, że Kamieniec rekuperowany, nie wiem, czy i to by mi życie wróciło.

Schwycił się ręką za piersi.

– Ssie mnie coś wewnątrz i życie wyssało.

Znowu głowa mu opadła.

Chwilę jeszcze bawiono go rozmową, aż znużenie widząc wielkie, hetman pierwszy wstał żegnać, oznajmując o ludziach, których miał dać królowi dla odprowadzenia go w straży do Lwowa.

Michał milcząco już zgodził się na wszystko.

Łzy stanęły w oczach Sobieskiemu, gdy go żegnał, pewnym będąc, że już żywym nie ujrzy. Ks. Olszowski wyszedł też przeprowadzając hetmanów, a Braun zbliżył się, przynosząc krople.

– N. Panie – rzekł – stanowniczego na całą noc wysyłam do Lwowa, aby dla W. Królewskiej Mości i dworu mieszkania przygotował. Część taboru też wyjdzie zaraz.

Nie sprzeciwiał się już Michał, leżał na pościeli w myślach pogrążony. Wracał mu coraz ten wielki żal, że na wojnę pójść nie mógł.

²⁴² o d w ó d – tu: na wszelki przypadek, na pomoc

– I tej pociechy Bóg mi odmówił – wzdychał. Kiełpsz go tym pocieszał, że Braun rychłe polepszenie obiecywał, a wyprawa się przeciągnąć mogła, lecz temu on nawet, spragniony, nie wierzył. Wieczorem, gdy wszystko ucichło, a z obozu tylko trąbki czasem dawały się słyszeć, poruszał się drżący, nasłuchiwał, potem głowa upadła na poduszki i modlił się.

Kiełpsz słyszał na przemiany:

– Kamieniec! i ...bądź wola Twoja.

Gdy nazajutrz około dziesiątej wyszedł król, przez dwu paziów podtrzymywany, siadać do kolebki, nadjechał jeszcze Sobieski i zsiadł z konia, z czułością niemal witając razem i żegnając nieszczęśliwą ofiarę.

– Jedź, W. Królewska Mość – rzekł – z dobrą otuchą. Czuję, że pobijemy tę hołotę i że buczacki traktat na szablach rozniesiemy, a śladu po nim nie zostanie. Kamieniec odbierzemy!

Z tym szczęśliwym w uszach prorocstwem usiadł Michał albo raczej położył się w kolebce, która powoli, jak żałobny pochód, mijając obozowisko, gościńcem wąskim posunęła się do Lwowa.

Tam już zawiadomiona krajczyna, do której mąż wysłał umyślnego, oczekiwała płacząc gościa i gotowała się na służbę swą siostry miłosierdzia, a serce jej mówiło, że ona była ostatnią dla biednego brata posługą. Chciano dać znać królowej, lecz sam Michał wstrzymać się z tym rozkazał.

W drodze chory był ciągle na wpół śpiący, budząc się pił i jadł chciwie i znowu w sen głęboki wpadał.

VIII

W drodze do Lwowa otrzymał król wiadomość, że Pac i Litwa połączyli się z Sobieskim i wojsko spiesźnie postępowało przeciw Turkom, którzy pod Chocimem leżeli obozem, w nieprzeliczonych, jak mówiono, tłumach, osłonięci rzeką, skałami, przekopami i twierdzą samą, panującą nad okolicą.

Było to pociechą dla Michała, iż ci, na których liczył, pomimo niechęci i sporów z Sobieskim, stawili się, gdzie ich powoływał obowiązek. Podróż do Lwowa powolna, niezbyt nużąca, nie pogorszyła już stanu zdrowia jego. Ks. Olszowski tylko i Kiełpsz nieustannie odpowiadać musieli na pytania, którymi ich król zarzucał, dopraszając się coraz świeżych od wojaka wiadomości.

Lwów nie poruszył się wcale na przyjęcie króla, Sobieski liczył tu więcej i gorętszych przyjaciół, z obojętnością dowiedziano się o chorobie i powrocie Michała.

Jedna tylko krajczyna przyjęła go ze wzruszeniem, ręce jego całując.

– Widzisz – odezwał się do niej słabym głosem – nie przyjęto mnie, nawet mi pocziwie umrzeć nie wolno! Skazany jestem na łożo i bezczynność.

Dosyć było spojrzeć na niego Heli, aby sobie ten wyrok wytłumaczyć, tak zastała go w krótkim tym przeciągu czasu straszliwie zmienionym znowu. Oblicze zdawało się już jakby napiętnowane tym znakiem śmierci, która cechuje ofiary swoje, nim je pochwyci.

Kiełpszyna, choć ją ten widok do łez pobudzał, starała się udawać wesołą i niemal dziecinnymi nadziejami króla odżywiać.

– Najjaśniejszy Panie – mówiła, krzątając się około niego – wkrótce powrócicie do zdrowia. Pocziwy stary Braun jest doskonałym lekarzem, ale oczy jego nawykły patrzeć na was, nie dostrzegają wiele, bo się z tym oswoiły. Lwów ma kilku doktorów, przywołamy ich na radę. Nade wszystko spocznijcie nie tylko ciałem, ale duchem, zaufajcie wojskom i wodzom – wszystko się pomyślnie ułoży i Kamieniec odzyskany zostanie.

Wstrząsł się cały, słysząc ten wyraz król, brzmiał on mu w uszach bez przestanku.

– Kamieniec! – powtórzył głucho. – Kamieniec... a potem gotów jestem umierać.

Któż następnych dni wrażenia wyliczyć potrafi. Niecierpliwość czyniła je niesłychanie długimi, wiadomości przychodziły rzadko, nie wszystkie można było podawać królowi. Osób około chorego mało się gromadziło, wiernych garstka i trochę ciekawych.

Pomimo pogorszenia, jakiego doznał Michał w Glinianach, tu zdawał się stan zdrowia polepszać cokolwiek. Nie potrzebował leżeć po dniach całych, przechadzał się niekiedy o lasce jednej, bez pomocy paziów, brał czasem książkę do ręki, a cierpienia regularnym życiem się zmniejszały. Sam on teraz wyznawał, że powrót do Lwowa był koniecznym.

Dano znać do Warszawy o zmienionym postanowieniu i stanie zdrowia, ale Michał wyraźnie wskazał, aby królowa nie ruszała się stamtąd i nie przybywała do niego.

Wiadomość o zasłabnięciu króla w Glinianach w istocie wielkie wrażenie uczyniła w Warszawie, szczególnie na królowej. Zdawała się ona przepowiednią zgonu, na który tu z niecierpliwością oczekiwano.

Goniec pobiegł do Wiednia, a Toltini ofiarował się jechać sam do Lwowa, aby się o stanie zdrowia króla naocznie przekonać. Włoch, z tego co słyszał, spodziewał się króla Michała zastać na łożu, może dogorywającego.

Tymczasem zawiodły go nadzieje, przybywszy dowiedział się zaraz z ust Brauna samego, że król znacznie się miał lepiej. Włoch jednak, nie dowierzając postanowił sam dotrzeć do chorego i nareszcie się przekonać o tym mniemanym polepszeniu. Miał listy i papiery od królowej. Natychmiast o nim oznajmiwszy, krajczy wpuścił go do sypialni. Dnia tego król był ubrany, siedział w krześle i twarz jego mniej może śladów cierpień przebytych okazywała po nocnym spoczynku. Toltini też, choć wcale przeciwnego doznał wrażenia, usiłował okazać nadzwyczajną radość i pociechę z polepszenia stanu zdrowia. Żywo począł mówić o tym, jak królowa Jej Mość gorąco sobie życzyła przybyć sama dla czuwania nad zdrowiem męża.

Michał przyjął to oświadczenie dwuznacznym uśmiechem.

– Wcale nie życzę sobie tego, aby królowa JMość, której zdrowie wymaga pohamowania, w tę brzydką porę jesienną narażała się po bezdrożach na trud i niewygody. Ja zaś, jak tylko cokolwiek sił odzyskam, spodziewam się także nie pozostać tu bezczynnym, ale połączyć się z hetmanami.

Dla lepszego zbadania stanu rzeczy Włoch nie spieszył z powrotem. Polepszenie, z którego się tak cieszył na pozór, w istocie mieszało szyki. Nużby król Michał miał przyjść do sił i wyzdrowieć? Dla królowej byłoby to okropnym, bo jej nadzieje przez to znowu by gdzieś w mroki przyszłości ustąpić musiały.

Włoch, szczególnie dla zbadania położenia, przywiązywał się do doktorów, z których kilku razem ze starym Braunem, używanych było do rady. Jeden z nich, Zboiński, uczeń bolońskiej akademii, który dobrze mówił po włosku, nie posądzając o złą wolę Toltiniego, służył mu chętnie.

Był to człowiek młody jeszcze i bystrego umysłu, a szczęśliwego oka.

– Zdaniem moim – rzekł Zboiński, naglony, aby bez ogródki prawdę wypowiedział – to polepszenie na zdrowiu króla JMci jest pozornym i przemijającym. Wewnątrz siedzi uparta choroba jakaś, na którą by noża może więcej niż lekarstwa potrzeba, a tam, kędy ona się mieści, żelazo nie sięga. Będą więc alternatywy polepszenia i upadku, aż póki gwałtowne jakie wzruszenie, które wstrząśnie całym organizmem, smutnego nie sprowadzi końca.

Radzi byśmy – ciągnął dalej Zboiński – przedłużyć drogocenny żywot króla JMci, ale pod te czasy czujności zaprawdę wielkiej potrzeba, aby mu wzruszeń oszczędzić. Szczęściem nie wie dotąd o tym, o czym ks. Olszowski jest uwiadomiony, a co by go pewnie dobić mogło.

Toltiniemu oczy zaświeciły, pochylił się pożądliwie ku doktorowi, jakby wyssać z niego chciał tę wiadomość, która zabójczą być mogła.

– O czym? o czym? – zapytał natarczywie. Zboiński, mało świadom dworskich stosunków sądził, że sekretarz, a jak go grzeczniej zwano, kanclerz królowej, musiał być we wszystko wtajemniczony i dodał swobodnie:

– Toć wiecie pewnie, że sułtan wysłał do króla posła, który się ma zaległego z traktatu buczackiego haraczowi domagać, a wiezie razem sromotną ową suknię poddańczą, ów kaftan niewolników dla króla, którym odziewają hołdowników. Nie ma wątpliwości, iż gdyby król dowiedział się o tym pośle, o tym kaftanie, który mu wiozą, nie przeniósłby tej hańby i sromu. W stanie jego zdrowia i sił byłoby to zabójczym. Wszystkie więc starania hetmana Sobieskiego skierowane po temu, aby posła pochwycić i nie dopuścić do Lwowa, a nasze na to, aby król nie dowiedział się nawet o tym.

Toltini po raz pierwszy o tym słyszał i ledwie mógł radość swą utaić z pochwycenia tak ważnej wieści. Szatańska myśl natychmiast powstała w głowie jego. Miał w ręku oręż, którym bez narażenia siebie ani królowej mógł zadać cios śmiertelny.

Król był chciwy nowin, a Toltiniemu nikt nie nakazywał milczenia. Szło więc tylko o to, aby dobrać chwilę i sam na sam z królem, pod pieczęcią tajemnicy, podszeptać mu o tym kaftanie i haraczowi. Krok to był jednak, na który, aby się ważyć, Włoch potrzebował rozmyśleć się dobrze. Nużby przepowiednia doktora Zboińskiego nie ziściła się, a Michał przetrwał mężnie ten cios i podstęp Włocha wyszedł na jaw?

Cokolwiek sił nabrał był król... Toltini się wahał.

Co kilka dni tymczasem z pochodu przez Bukowinę dochodziły pocieszające do Lwowa wiadomości. Królowi przyjaźni, którzy wiedzieli, jak one skutkowały odżywiająco, nie wahali się je zmyślać, a drobne powiększać dla niego. Nie domyślał się wcale tego pobożnego oszukaństwa.

Głucho mówiono już o tym, co się w istocie sprawdzić miało wkrótce, a co było dziełem potajemnym Sobieskiego, że Mołdawianie²⁴³ na posilek przez Seraskiera wezwani przeciwko Polsce, mieli zamiar zamiast na nich, z nią razem na Turków się obrócić. Posilek ten znaczny, niespodziewany, nie tylko zmniejszył potęgę Seraskiera²⁴⁴, ale dawał Sobieskiemu siłę nową.

Radość z tego była wielka, choć jeszcze przedwczesna.

Toltini nie dawał temu wiary, a tymczasem wypatrywał chwili, w której by mógł obmyślany plan swój szatański przyprowadzić do skutku.

Nikt nad niego teraz pilniej nie dosiadywał w antykamerze²⁴⁵ króla, na wszelkie gotów posługi, patrząc tylko, jakby się wkraść do sypialni, a króla sobie zjednać.

Mówiono zarazem, że wchodząc na Bukowinę hetman spotkał do króla z kaftanem wyprawionego posła i bez względu na charakter jego poselski, ponieważ wojna była wypowiedzianą, kazał go ująć i pod strażą osadzić.

Toltini i temu wierzyć nie chciał, przecząc, aby Sobieski ważył się uwięzić posła.

Ks. Olszowski i troskliwy Kiełpsz stali na straży, aby żadna wiadomość niepotrzebna nie dostała się do uszu chorego. W istocie hetman spotkał agę²⁴⁶ na Bukowinie i w pierwszej chwili myślał go wysłać na zamek jakiś aż do końca wojny, lecz ostrożność nakazywała nie budzić przedwcześnie Turków i na tym się ograniczono, że pod pozorem straży, dla bezpieczeństwa otoczono agę, tak aby mu nie dać żadnego uczynić kroku.

Jechał on do Lwowa, ale tu czuwał Olszowski.

Król miał się lepiej – cieszyło to wszystkich, on sam obiecywał sobie, że na koń wkrótce sięść będzie mógł. Jednego wieczora dowiedział się nareszcie na pewno Włoch, iż aga z do-

²⁴³ M o ł d a w i a n i n – mieszkaniec Mołdawii, jednego z księstw naddunajskich (dziś Rumunia). Mołdawia w XVI wieku dostała się pod opiekę Turcji. Początkowo posiadała zapewnioną niepodległość, następnie rząd turecki narzucił jej swoje prawa

²⁴⁴ H u s s e i n P a s z a S e r a s k i e r (z tur.) – naczelny wódz, dowodzący na wojnie, wielki wezyr

²⁴⁵ a n t y k a m e r a (z włosk.) – sień, przedpokój

²⁴⁶ a g a (tur.) – naczelnik, dowódca janczarów w Turcji

daną mu eskortą, ze szkatułką, kaftan od sułtana przysłany zawierającą, z firmanem²⁴⁷ jego, przybył do Lwowa... ale go gęstymi tak otoczono czatami, iż ani się mógł ruszyć, ani do niego nikt dostąpić oprócz przez ks. Olszowskiego wysłanych urzędników, którzy dla choroby króla przyjęcie posła zwłóczyć mieli polecenie.

Toltini miał postanowienie niewzruszone zamiar swój doprowadzić do skutku, co tym łatwiej mu przyjść mogło, że król przed nim utyskiwał ciągle na to, iż pod pozorem zdrowia, tajono przed nim wiele, nie mówiono mu prawdy.

Wejście na tę Bukowinę, tylekroć nieszczęśliwą i klęskami Polaków pamiętną, szczególnie go niepokoiło. Toltini w rozmowach swych z królem głośno potępiał to zachowywanie w sekrecie wiadomości, których brak go bezczynnym być zmuszał.

Na wieczrę tego dnia ulubione Michałowi dano pieczone cyranki, których zjadł może za wiele, z tą żarłocznością chorobliwą, której sam się wstydził.

Wkrótce potem położył się w łóżku, dosyć ożywiony i wesół, a Włoch, czatujący na to, aby go samego pochwycił, wcisnął się do sypialni, gdy w niej nikogo nie było, bo wszyscy aż do paziów u drzwi wieczerali.

Zasiadł więc, korzystając z tego, u wezgłowia Toltini i zabawiać począł Michała różnymi powiastkami z Warszawy przywiezionymi.

– Mało mnie te wasze plotki obchodzą – rzekł król dosyć wesoło – wolałbym nad nie coś pewnego się dowiedzieć o Sobieskim i Pacu. Pisał do mnie, skarżąc się ostatni, iż przodem ciągnący hetman koronny kraj mu ogładza tak, że on, idąc za nim w ślad, wojska nie ma czym przekarmić. Od kilku dni brak mi świeżych wiadomości.

– Zbyt to może troskliwość o zdrowie W. Król. Mości – począł Włoch – ale naganić jej trudno, gdy z dobrego serca pochodzi, chociaż, zdaniem moim, zbyt słabym i wrażliwym sobie W. Król. Mość wystawiają ks. podkanclerzy i dwór cały. Mnie się zdaje, że otwarte zawsze donoszenie o wszystkim, przygotowujące do wszelkiej ewentualności, byłoby daleko zbawiennejsze.

– Tak jest – odparł żywo Michał – bo ja, wiedząc o tych zachowywanych ostrożnościach, o tym oszczędzaniu mnie zbyt czułym, niepokoję się więcej, domyślając gorszych może, niż spotkać mnie mogą, ewentualności.

Toltini się uśmiechał, znacząco oglądając dokoła, jak gdyby się obawiał być podsłuchanym.

Król natychmiast powziął myśl, że Włoch coś wiedzieć musi, i że od niego mógłby się czegoś więcej dowiedzieć.

– Bądźże ty otwartym, jeśli co wiesz – rzekł zwracając się do niego.

– Gdybym nawet wiedział – odparł Toltini – nie ważyłbym się, tak surowo zakazano W. Królewskiej Mości cokolwiek bądź bez kontroli ks. biskupa donieść. Niech mnie Bóg broni, byłbym zginiony.

Król się poruszył mocno.

– Na Boga! – zawołał. – Anim tak chory, ani tak zdzieliniałem, abym miał kontroli podobnej podlegać, mnie to gniewa.

Włoch ramionami poruszył i milczał.

– Ale mówże, jeśli masz co do powiedzenia nowego – począł król – mam dosyć siły, aby posłyszeć prawdę i nie obawiam się jej.

– Nie mogę – rzekł cichuteńko, schyliwszy się do uszu prawie Toltini. – Wasza Królewska Mość mimo woli moglibyście się zdradzić, a że nikt tu nie był, oprócz mnie, padłoby to na mnie i nigdy by mi tego nie przebaczone.

– Ale ja nikogo nie zdradziłem w życiu – odezwał się Michał tonem błagalnym. – Proszę cię, maszli co powiedzieć takiego tajonego przede mną, mów; prawdziwie wdzięczny ci będę.

²⁴⁷ f i r m a n, ferman (persk.) – rozkaz wielkiego wezyra wydawany w imieniu sułtana

To kończąc król, który znał wielką chciwość Włocha, pomyślawszy nieco, z wysiłkiem ściągnął z wychudzonego palca lewej ręki piękny pierścień ze szmaragdem i podał go Toltiniemu, który dla ceremonii nieco się wzdragał i przyjął go z wielkim pokłonem, całując rękę Michała.

Oczy króla gorzały pod budzoną ciekawością i niepokojem, naturalnie, to co przed nim ukrywano, pomyślnym być nie mogło. Drżał cały!

– To, z czego oni czynią tajemnicę – począł cicho bardzo Włoch – wcale nie zasługuje na taką baczność, ani ma tak wielką wagę, jaką przypisują.

– A! – przerwał król – ten pocziwy mój Kiełpsz i kuzynka moja, pani krajczyna, w istocie obchodzą się ze mną jak z dziećciem. Więcej mam męstwa i wytrwałości nad nich, całe moje życie tego dowodem.

Zwrócił się do Toltiniego.

– Mów! Cóż tam takiego! Włoch się uśmiechać począł.

– Moim zdaniem rzecz ta nie ma żadnego znaczenia. Sułtan wysłał pono do Waszej Królewskiej Mości posła z podarkiem, a że on ma się ograniczać do kosztownego kaftana, który hołdowników jest cechą i że razem dopominają się haraczu.

Mówiąc to patrzył na króla i uląkł się sam widząc wrażenie, jakie uczynił na słuchającym chciwie panu. Lice jego zbladło jak chusta, drzeć począł cały, pot kroplisty wystąpił na czoło, zasłabł i rękami wesprzeć się musiał. Milczał, słychać było oddech przyspieszony i trudny, w piersiach mu chrzęszczało.

– To nie ma żadnego znaczenia – dodał Toltini.

– Przybył? Przybył ten poseł?! – podchwycił król gorączkowo.

Włoch się zawahał i uląkł.

– Nie wiem z pewnością, prawdziwie nie wiem – dodał – mówią jedni, że jest tu, ale go zamkniętym trzymają w gospodzie, drudzy że ma być w drodze, inni że go hetman ująć kazał.

– Mówią o tym, że się upomina o haracz, że mnie jak hołdownikowi posyła kaftan! – zalał rękę. – Mówią już o tym! Gdyby nawet fałszem było, co za srom, iż na mnie to rzucić można, a znajdują się ludzie, którzy uwierzą.

Błędymi rękami zakrył sobie twarz, pochylił ku ścianie, makatą okrytej i pozostał tak pogrążony w sobie.

W antykamerze słyszeć się dawały kroki, Włoch przestraszył się, aby go na gorącym nie pochwycono uczynku i począł błagając:

– N. Panie, zaklinam Waszą Królewską Mość, abyście mnie nie gubili, dając poznać, iż zdradziłem tajemnicę. Ale król ani słuchać, ani się nie zdawał słyszeć. Wstał Toltini i pochylił się nad nim, pochwycając szklankę z napojem, który mu zwykle dawano. Król nie patrzył i nie mógł dostrzec tego, aż zimny kubek ręki jego dotknął. Porwał go i wychylił. Oczy miał jakby oplakane.

– Bądź spokojny – rzekł – nie obawiaj się, w potrzebie obronię cię, twierdząc, iż zmusiłem.

– Ja się w żadnym razie nie przyznam! – wtrącił Włoch. Domawiał tych słów, gdy Kiełpsz się pokazał w progu i jednym okiem rzutem rozpoznawszy stan króla, podbiegł do łóżka.

– Co to jest? – zapytał groźnie Włocha.

– Nie wiem, nic nie wiem – począł Toltini – przed chwilą N. Pan rozmawiał swobodnie, bardzo był rzeźwy, chwilowa jakaś niedyspozycja.

– O czymże mówiliście? – badał krajczy.

– O Warszawie, o rzeczach starych i obojętnych – dodał Włoch.

Toltini nie chciał odejść bez pożegnania. Siłą prawie pozbyć się go musiał krajczy, gdyż wiedział, że przy nim Michał był zwykle ostrożnym i zamkniętym. Opierając się, strwożony Toltini głośno pożegnawszy Michała, który nic nie odpowiedział, z sypialni się wysunął.

Kiełpsz pochylony, wylękły, cichymi słowy łagodnymi usiłował z tego stanu prostracji wyprowadzić króla. Wiedział on bardzo dobrze, iż ilekroć ona postępowała tak nagle, zawsze przyczyną jej było jakieś wrażenie, na duchu odniesione.

Nie wątpił, że i teraz niezręczność Włocha, jakieś przypomnienie przeszłości, musiało po-
działać na chorego.

– N. Panie – odezwał się – jesteście sami. Mamli kazać Brauna przywołać? Cóż się stało! Toltini musiał zmęczyć.

Z wolna zwrócił król wybladłą twarz ku niemu, ujął go za rękę i rzekł cichym głosem:

– Nie obwiniaj Włocha, dajcie mu pokój, słabo mi się zrobiło, nic więcej, to przejdzie.

– I zaledwie to wymówiwszy wlepił oczy zaognione w krajczego.

– Macie jakie wiadomości?

Nim Kiełpsz zdołał odpowiedzieć, weszła, ostrożnie drzwi uchylając, żona jego. Wiodło ją jakieś przecucie. Zbliżyła się do łóżka śpiesznie i nie potrzebowała, aby jej mąż oznajmił, iż coś króla dotknęło. Zawołała po cichu:

– Włoch stąd wyszedł. A! to jego sprawa! Kiełpsz palec położył na ustach.

– Musicie mieć jakieś wiadomości od wojska, od hetmanów, może od Turków... Wszystko taicie przede mną, ta myśl mnie zabija... dorozumiewam się, zgaduję srogie rzeczy. Mówcie mi, jeśli co jest!

– Nowego nie ma nic – odparł Kiełpsz. Jak skoro od hetmana przyjdzie cokolwiek, natychmiast przyniesiemy.

Michał niespokojnie na łóżku się obracał. Nadszedł Braun, przystąpił do łóżka, ujął za rękę i zachnął się.

– Skąd to wzruszenie? – zapytał.

Nie umiano mu odpowiedzieć, Michał spojrzał na niego.

– Daj mi co uspokajającego – rzekł – w istocie niepojęty jakiś niepokój mnie opanował. Lękam się, sam nie wiem, czego.

Stan króla, który z rana jeszcze się polepszał, tak nagle znowu zdawał się zmieniony na gorsze, iż Braun natychmiast posłał po Zboińskiego i trzeciego lekarza, którego przybierał do rady. Tymczasem napojono go kroplami, zmuszono położyć się i wszyscy w milczeniu czu-
wali nad nim.

Gorączka wzmagala się. Braun coraz to badający puls, postęp jej upatrywał z trwogą. Nadeszli dwaj towarzysze jego nie byli też z tego stanu kontenci. Szukano przyczyny, nie mogąc jej odgadnąć.

– Ktoś królowi, ze służby może, nieostrożnie napomknął o przybyłym adze.

Kiełpsz wybiegł do sieni brać na spytki dworzan, komorników i służbę. Nikt z nich nie przyznał się do tego, aby coś doniósł królowi. Szemrano tylko, że Toltini bawił długo, szeptał coś po cichu, a ciekawy paż Maszkowski widział przez otwór od klucza, jak pochylony nad łóżkiem królowi coś opowiadał zniżonym głosem w sposób tajemniczy.

– A! – zawołała Kiełpszyna – ten niegodziwy Włoch, on jest wszystkiego przyczyną. Po-
sądzam go tak samo o złe słowo, jakbym posadziła o truciznę. Do wszystkiego jest zdolnym, a co czyni, to zawsze z obrachowaniem i przewidywaniem skutku.

Na próżno domagał się król osłabłym głosem, aby się wszyscy rozeszli i samego zostawili ze zwykłą strażą nocną, nikt odchodzić nie chciał. Krajczyńę tylko zmusił, aby się oddaliła.

Po północy dopiero nastąpiła niespokojna drzemka, przerywana wykrzyknikami i zrywa-
niem się jakby ze strachu.

Kiełpsz z podziwieniem usłyszał:

– Haracz... aga... sułtan...

Nie było już dla niego wątpliwym, iż ktoś musiał zdradzić tajemnicę, a nie mógł to być nikt inny, tylko Toltini. Nad rankiem, zawiadomiony o tym ks. Olszowski, postanowił go bez pożegnania z królem do Warszawy odprawić.

Gdy król po bardzo złej nocy się przebudził, dopominając rannej polewki, był tak osłabionym, że kilkanaście godzin tak okrutnie znowu wycieńczyły go, iż Braun głowę stracił. Ks. biskup tymczasem, w kilku słowach porozumiewając się z królem, przywołać kazał Włocha do siebie.

– Wolą jest N. Pana – rzekł – abyście dziś jeszcze powracali do Warszawy. Listy nadejdą później zwykłymi kresami. Macie królowę pozdrowić i oznajmić jej, że król ma się lepiej, choć chwilowo na siłach opadł. Nie powinna się niepokoić, my tu czuwać nie przestaniemy.

Toltini musiał być posłusznym, ale czuł się wysłedzonym i odkrytym, o co mu zresztą niewiele chodziło, byle dopiął tego, czego sobie życzył.

W ciągu dnia nie tylko, że nie było polepszenia, ale gorączka ciągle się wzmacniała i rosła. Razem z tym i trwoga wszystkich otaczających.

Michał nie tracił przytomności, lecz zaledwie mu się do snu przymykały powieki, natychmiast wykrzykiwał i nie pamiętał już, co mówił. Jeść nic nie chciał, pragnienie paliło go tylko.

Na chwilę około południa sam na sam pozostawszy z krajczyzną, król się obejrzał i szepnął:

– Aga przybył od sultana!

– Jaki aga? – zapytała.

– Z kaftanem, z pętami, z kajdanami, które chce włożyć na mnie!

Krajczyzna podniosła ręce.

– Królu mój – zawołała – co za myśli? Jakie przewidzenia! Ktoś chyba fałszywą was i głupią gadką zaniepokoił. Aga – przybył w istocie turecki posłaniec, ale ani kaftana, ani żadnych nie przyniósł wymagań. Wprost tylko dowiadywać się mu polecono, co znaczy wojsk zbieranie się na granicy. To są niepoczczywe plotki!

Uwierzył temu zapewnieniu czy nie, zamilkł Michał, zatopiony w myślach, które gorączka dziwacznie targała i czyniła z nich mieszaninę bezładną. Choremu wszystko się na myśl ciśnieło razem, wspomnienia młodości, męczarnie panowania, walki, w których wszystkich miał przeciwko sobie, prześladowanie żony, nadzieje ostatniego z orężem w dłoni obmycia się w oczach ludzi, niemoc, która go do łoża przykuła. Nie miał ani przywiązania, ani ochoty do życia, ale umrzeć w tej godzinie stanowczej, gdy ohydny traktat buczacki polską szablą rozciąć miała – zamknąć, gdy światło nareszcie przyjść miało – było ciosem strasliwym.

Na próżno go Hela starała się pocieszyć.

– Przeznaczenie jest nieubłagane – mówił oprzytomniając – ani łzy, ani modlitwy, ani pokora, nic nie zmoże wyroku żelaznego. Umrę właśnie wtenczas, gdyż życie by mi mogło się uśmiechnąć jeszcze.

Szczęściem, wśród tych boleści, nadeszła znowu wiadomość od hetmana.

Wielkie, szlachetne serce jego, które litość uczuło dla tej ofiary, skłaniało Sobieskiego do oznajmiania, choć z wielkim trudem, królowi o każdym niemal kroku, wlewając w niego nadzieję bliskiego zwycięstwa. I tego dnia nadbiegł także kursor²⁴⁸ z listem do ks. Olszowskiego, a chociaż Michał marzył chwilami nieprzytomnie, biskup przyszedł, niosąc mu wieść pocieszającą.

– N. Panie – rzekł – hetman oznajmuje, że lada chwilę, wraz Pacem uderzy na Seraskiera Hussejna–Paszę. Turcy w znacznej liczbie leżeć mają pod samą twierdzą Chocimem, na tym samym obozowisku, skałami i wałem osypanym, na którym ojciec Sobieskiego²⁴⁹ odniósł pamiętne nad nimi zwycięstwo.

Most rzucony przez rzekę łączy ich z drugim jej brzegiem, ale ten zburzonym będzie lub opanowanym, a hetman pewien jest, iż nieprzyjaciela pokona. Mołdawianie, na których Sera-

²⁴⁸ k u r s o r (z łac.) – goniec, posłaniec

²⁴⁹ J a k u b S o b i e s k i (zm. 1646) ojciec króla Jana III, kasztelan krakowski. W roku 1621 służył pod dowództwem hetmana Chodkiewicza i walczył z Turkami, następnie brał udział w układaniu traktatów chocimskich

skier rachuje, z pewnością przejść przyrzekli na naszą stronę, hetman potajemnie widział się z ich wodzem i umówił.

Tym odstępstwem ustraszy się nieprzyjaciela, bo się go najmniej nie spodziewa.

Michał słuchał, gorączkowo dysząc.

– O, Boże! – zawołał – a mnie, mnie tam nie ma, ja tu konam zwyciężony i sromotą okryty... kaftanem, kajdanami.

Biskup począł zbijać ową powieść o pośle i kaftanie, lecz król zadumany go nie słuchał.

– Potrzeba dziękować Bogu – dodał biskup – cieszyć się i radować. Hetman jutro obiecuje drugiego posła, który przyniesie potwierdzenie pierwszych wiadomości.

Nie mogąc niczym wpłynąć na ukołysanie tego niepokoju, Olszowski, jako kapłan wreszcie, radził i zalecał modlitwę.

Michał posłuszny złożył ręce, usta jego coś szeptać poczęły, lecz niedługo trwała modlitwa, myśli ją smutne przerwały i zatopiony w nich król wpadł w stan gorączkowy.

Tymczasem odprawiony z rozkazem wyjazdu pilnego Włoch, zatrzymał się potajemnie we Lwowie. Z tego, co mu przekupiona czeladź przynosiła, wnosił, że król długo pożyć nie może, chciał być pierwszym, który szczęśliwą ową nowinę żałoby przyniesie Eleonorze.

Ukryty na przedmieściu... czekał.

W mieście już wieść się rozchodziła, że król dogorywa. Kupki ciekawych, chłodne, stały w ulicy i pod oknami, szepcząc, dowiadując się, ale nikt nie okazywał najmniejszej oznaki współczucia. Umysły wszystkich i serca były z Sobieskim na kresach.

Król ten, który nigdy miłości nie miał, bólem swym nawet litości nie mógł obudzić. Druga taka próżniaków gromada otaczała gospodę turecką, w której pilno strzeżony Aga siedział, dumnie się dopominając, aby go do króla prowadzono.

Na próżno składano się tym, iż leżał chory, obezwładniony. Aga słuchać nie chciał. Nim go uwięzić było można, co bez rozkazu króla lub hetmana stać się nie mogło, trzeba było zabawiać i wypraszać się u niego. Dwór tymczasem posła, jak zwykle, rozkładał przyniesione bez cła towary i nimi frymarczył.

Agę tłumacz trzymał na pół prośbami, wpół nadziejami obfitszych podarków, jeżeli choremu da czas przyjść do siebie.

Nie domyślał się wcale ten dawny posłaniec sułtański, że liczne wojsko w tej samej chwili zabierało się Seraskiera otoczyć i złamać.

Noc upływała na czuwaniu, wszyscy znużeni rozeszli się wreszcie; jedna tylko krajczyna z mężem pozostała, modląc się i płacząc.

Żywiła ona jeszcze jakąś nadzieję, że Michał po tym przesileniu, wywołanym niepocziwą zdradą – powróci do siebie, odzyska siły – żyć będzie. Z myślą tą, osierocenia zupełnego, oswoić się nie mogła. Dla niej biedny towarzysz młodości, którego ona jedna знаła tylko, był całym światem. Dla niego ona poświęciła wszystko i aby mu nieść pomoc, a nie oddalić się od niego, oddała rękę obojętnemu człowiekowi.

Po północy wszedł Braun rozespany, chcąc się przekonać o stanie króla.

Na palcach podszedł do łoża, przyłożył głowę do piersi, aby się oddechowi przysłuchać, wziął leżącą na kołdrze rękę i odstąpił po chwili.

Hela poszła za nim.

– Panie mój, pociesz mnie – szepnęła. – Stan króla polepszył się? Uratujemy go?

Lekarz milczący patrzył na nią.

– Bóg czyni czasem cuda – odezwał się głosem słabym – ale tu już by cudu potrzeba na przywrócenie mu życia wyczerpanego. Chcecież, aby dłużej się męczył?

Gwałtownie zachodzić się cichym płaczem zaczęła kobieta. Braun, z tą zimną krwią nawykłego do patrzenia na śmierć człowieka spoglądał na nią.

– Ja nie wyrokuję nic – rzekł – ale i obiecywać nic nie mogę. Niestety! Dobito jakąś wiadomością, przyniesioną niewczesnie, jakąś zatrutą strzałą, od której myśmy go zasłonić nie zdołali.

Wśród tego milczenia i płaczu Michał się przebudził, wołając:

– Na mury! do szturmu! tędy! za mną! Jeremi idzie przed nami, Turcy uchodzą, Kamieniec otwiera bramy!

Syknął boleśnie.

– Ojcie mój – rozpoczął zmienionym głosem – jam niewinny. Jam życie dać był i jestem gotów... wyrwano mi oręż z ręki, zamknięto... żona stanęła w progu... prymas mi nałożył kajdany... ale wszystko to minęło – jestem wolny... Sobieski ze mną... Pacowie przy mnie – na Turka... Zdeptałem ten kaftan... poszarpany ten traktat... wszystko minęło – nad Wiśniowcem znowu słońce wschodzi. Ojcie! ojcie...

Głos się zniżył. Słuchając płakała Hela. Szmer już tylko wychodził z ust jego i jakby łkanie... modlił się urywkami psalmów pokutnych.

IX

Z dnia dziewiątego na dziesiąty listopada noc jesienna, śnieżysta, mokrą zapowiadała się szarugą, deszcz ze śniegiem na przemiany przynosił wichry i ziemię już rozmiękną w błotniste zmieniał kałuże. Na niebie szarym niekiedy przedarte obłoki jaśniejszymi świeciły plamami, lecz wkrótce nadciągające szybko chmury je zakrywały. Żadne żywe stworzenie nie wychylało się z jamy, barłogu ani gniazda, żaden głos, oprócz gniewnego szumu wichru, nie dawał się słyszeć. W tym szumie, który na przemiany zmieniał się w wycie, ryk, świsty i jakby głuchoe gromów głosy – zdawała się brzmieć jakaś tajemnicza rozmowa żywiołów, na ziemię gniewnych i grożących jej zagładą.

Ponad brzegami Dniestru, gdy nieco światła padło na skały, parowy i zamknięte nimi pochylności, oko dostać mogło – jakby kretowiskami zaległe przestrzenie, pomiędzy którymi gdzieniegdzie przysłonięte, czerwono migotało ognisko.

Były to dwa nieprzyjacielskie, rozłożone naprzeciw siebie w pewnej odległości, obozowiska. Ponad nimi na niebie ciemnym, czarno jak katafalk podniesione w górę mury zamczyska o czterech basztach na węglach stać się zdawały na straży.

Do jednego boku tej twierdzy tuż przyległ okolony skałami, z jednej strony opasany wałem obóz Seraskiera Hussejna–Paszy, z graniczącym z nim i wałem tylko oddzielonym obozowiskiem Mołdawianów. Kiedy niekiedy na wyżynach wałów i skał mignął czarny cień straży, która, ukazawszy się zaledwie, zniknęła poza usypami. Osiemdziesiąt kilka tysięcy głów, wedle powieści szpiegów, leżało tu czekając na hasło do boju, siedemdziesiąt dział stało z paszczami otwartymi, skierowanymi ku obozowi polskiemu.

Hussejn–Pasza ogłosił okolicę na kilkadziesiąt mil wkoło, żywność dla ludzi i koni gromadząc obfitą.

O połowę mniejsze siły, które tu przyprowadzili z sobą Sobieski i Pac, w ciasniejszym zamkniętym obrębie – zdawały się przeznaczone poganom na pożarcie. Dowodzący Turkami Hussejn słynął jako wojownik i zwycięzca – jego żołnierz był już w mnogich bitwach zahartowany – zielona chorągiew Proroka²⁵⁰ powiewała nad niezliczonymi namioty i szałasami. Głucho milczenie na pozór usypiony obóz zalegało.

²⁵⁰ P r o r o k – tytuł Mahometa (571–632) założyciela religii, wyznawanej przez Turków

Naprzeciw – na wzgórzu wyniosłym wybrzeża, rozbite namioty hetmanów we dnie do-
zwalały stąd widzieć znaczną część tureckiego obozu i sterczące na wałach działa.

Godzina już była spóźniona, w namiocie Sobieskiego świeciło jeszcze życie, a ruch nie
ustawał. Hetman z inżynierem Francuzem, ze starszymi rotmistrzami, z Jabłonowskim i pod-
skarbisem Modrzewskim²⁵¹, żywą zajęci byli rozmową.

Na twarzy Sobieskiego zawsze życiem płonącej, dwakroć teraz więcej niż zwykle widać
było blasku i zapału. Poruszał się niecierpliwy, podnosił głos, a energia, z jaką występował,
wszystkich otaczających go powoli zdawała się rozbudzać i przejmować.

Kiedy niekiedy niespokojny wzrok hetmana zwracał się ku wnijściu do namiotu, gdy silny
wiatr poruszył zamykające je osłonki, jakby się przyjęcia czyjego spodziewał. Oznaki nie-
cierpliwości objawiły się na pięknym obliczu hetmana. Wszyscy towarzyszący mu, wyrazem
twarzy równie jak słowy, zdawali się z nim w zupełnej zgodzie i jedności. Rażno i dziarsko
poruszał się Jabłonowski, Modrzewski mówił głośno i uśmiech wywoływał na usta Sobie-
skiego, Francuz inżynier, z głową spuszczoną, przypatrywał się planowi na stole leżącemu,
hetman spoglądał coraz na duży zegar gdański leżący obok, który już dziewiątą wskazywał,
klasnął w dłonie. Nadbiegł młody Korycki.

– Cóż mówił hetman litewski? – zapytał.

– Że natychmiast przybywa – odparł dworzanin.

Korycki zniknął, Sobieski kubki stojące na stole ponalewał.

– Chocim – rzekł sam do siebie, ale głośno. – Zawsze nam bywał szczęśliwy.

Na te słowa, którym nikt nie myślał zaprzeczać, uchyliła się zasłona we drzwiach i szero-
ka, z czarnym wąskim sznurkiem wąsa, marsowa, posępna, dumna, ukazała się twarz hetmana
Paca, który długie, na ramiona spadające włosy z mokrego śniegu otrząsał.

Sobieski pośpieszał na powitanie. Przed chwilą ożywiona gromadka towarzyszków Sobie-
skiego – zamilkła i spoważniała. Chmurne oblicze Paca wniosło tu z sobą jakiś chłód i zadu-
mę.

Hetman wskazywał siedzenie, ale Pac potrząsnął głową.

– Stawię się – rzekł zimno – na rozkazy wasze.

– Prosiłem was na ostatnią, na stanowczą radę wojenną – odezwał się Sobieski. – Stojemy
twarz w twarz naprzeciw nieprzyjaciela. Wszystko tak się składa, jak przewidywałem, lub
nawet lepiej, niż mogłem się spodziewać. Nie pozostaje nam nic nad uderzenie, w imię Boże,
najeźdźców... niżeli oni stosunkową naszą słabość obliczą.

Mniej nas jest, to prawda, aleśmy nawykli siłę naszą, nie liczbę mierzyć – jest nas dość, by
ich zwyciężyć.

Mówił z wielkim zapałem, a twarz Paca, który słuchał w ponurym milczeniu, przyoblekła
się jakby chmurą czarną.

– Postanowiłem, wypatrzwszy godzinę, gdy modlitwą będą zajęci – mówił Sobieski –
uderzyć na ich obóz od strony wału nowo usypanego, bo ta jedna przystępna.

Pac słuchał, czekając końca, a gdy hetman zwrócił się do niego, wzywając, aby objawił
swe zdanie, począł z wolna i zimno:

– Nie miejcie mi za złe – mówił – iż ja wszystko dobrze rozważywszy, ważyć się na wy-
zwanie do boju nie mogę. Idąc tu nie rachowaliśmy na taką nieprzyjaciela siłę ani na takiego
wodza, jakim jest Hussejn, ani na pozycję tak obronną, pod skrzydłami zamku. Ważyć się na
niepewne losy spotkania z przeważną liczbą nieprzyjaciela, który tu przyprowadził waleczne-
go i w Kandii²⁵² zaprawionego żołnierza, my, z naszymi pościąganyymi naprędce młodymi i

²⁵¹ A n d r z e j M o d r z e w s k i (zm. 1683) – rotmistrz wojsk królewskich, podskarbi nadworny koronny, brał udział w elekcji w 1669 r. Poległ w bitwie pod Wiedniem

²⁵² K a n d i a – wyspa Kreta na Morzu Śródziemnym. Należała do Wenecji. Po wojnie w latach 1645–1669 przeszła w ręce Turcji

niedoświadczonymi ludźmi – nie możemy. Ustąpić stąd potrzeba i czekać pomyślniejszych dla nas warunków.

Sobieski się wstrząsnął całym.

– Nie doczekamy się nigdzie i nigdy pomyślniejszych – zawołał – mogę to już głośno w tej chwili zapowiedzieć, czego pewien jestem, że Mołdawianie przejdą na stronę naszą.

Pac rzucił ramionami.

– Zdrajcy! – zawołał – ileśmy to razy za zaufanie im przypłacili. Podejście jest, którego się obawiać potrzeba. Przejdą na naszą stronę, aby nas wziąć we dwa ognie.

– I ja bym nie dowierzał im – odparł Sobieski – lecz mam rękojmię pewne, a ten krok, jaki uczynili do mnie, jest dowodem, iż przewidują nasze zwycięstwo. Turcy są znużeni, zbyt ufają swej liczbie, na ściśniętych w obozie i jakby uwięzionych dosyć wpaść, aby rzeź sprawić, rozwinąć się nawet nie będą mogli, i albo ich w Dniestrze potopimy, lub wyrzeżem.

Wszystkim towarzyszom Sobieskiego lica się zaśmiały potakująco. Pac tylko pozostał zimnym i chmurnym.

– Na tak zuchwałą rachubę los ojczyzny ważyć ja nie mogę – rzekł zimno.

– Jam postanowił i spełnię, com zamierzył – odparł Sobieski. – Dosyć by było na piędz jedną się zacząć cofać, aby Turkom dać zuchwalstwo, którego nie mają. W cofaniu się – zginiemy nas na miazgę, popłoch ogarnie. Zgubieni jesteśmy, naprzód iść potrzeba!

– I nadaremnie ginać? – wtrącił hetman litewski. – Nie, ja mojego żołnierza szczędzę i ochraniam, dać go na pastwę nie mogę. Bądźcie pewni, panie hetmanie, że bez dojrzałej rozważagi zdania tego nie rzuciłbym płocho. Znam, jak wy, położenie, siły, zasoby, widzę więcej niż niebezpieczeństwo – przewiduję pogrom niechybny. Wpadliśmy w matnię; myśleć trzeba, jak się z niej wydobyć.

Jasne oblicze Sobieskiego nieco się chmurzyć zaczynało, a raczej niecierpliwością zadrgało. Oglądał się na swoich, jakby na pomoc ich przyzywał, i Jabłonowski wystąpił.

– Turek i Tatar – rzekł – tylko naówczas straszni, gdy się mają miejsce rozsypać, rozpędzić i uderzyć kupą. W ciasnych wałach zamknięci ani serca, ani wprawy do walki nie mają. Choćby ich więcej jeszcze było w tej gęstwinie, połowa beczynną zostanie. W tym pewnośc wygranej.

Hetman litewski słuchał.

– Z tą ufnością w siebie i ślepotą – odezwał się – sami chodzim na zgubę własną! Na Boga, zaklinam was, chłodniejszą krwią zmierzcie. Mówicie nie jak wodzowie, ale jak rycerze. Gdyby tylko o to szło, jak ze sławą ginać, głosowałbym za wami, ale losu ojczyzny ważyć – nie mogę.

– Losy ojczyzny – przerwał w uniesieniu Sobieski – już są rozstrzygnięte, jeżeli my w tej chwili, jutro ich nie dźwigniemy zwycięstwem. Musimy pomścić srom tego ohydneho buczackiego traktatu, oswobodzić się spod haraczu i poddaństwa, odzyskać postradaną sławę i cześć. Zginiemy? No – to padniemy po rycersku i krwią zmażemy plamę, lepiej ginać, niż niewolę znosić. Lepiej ginać!

Jabłonowski, Modrzewski i cała gromadka starych rotmistrzów za Sobieskim wykrzyknęła:

– Lepiej ginać!

Pac słuchał zimno, pobladał nieco.

– Co do mnie – odezwał się – ja ginać gotów jestem, ale powierzonego mi wojska gubić nie mam prawa. Możemy się obronną wycofać ręką, czas jeszcze wyczekać do sposobniejszej chwili.

Sobieski, któremu oczy czarne świeciły ogniem okrutnego zapału i gniewu, mówić mu nie dał.

– Panie hetmanie – zawołał – nie będę was zmuszał, choć główne dowództwo jest przy mnie. Pozostaniecie więc beczynnym widzem naszej walki, zgoda i na to, ale ja – uderzył się w piersi – ja jutro idę na obóz, szturmuję i staczam walkę... Będzie, co da Bóg! Ja ufam

Wszemmocnemu Panu zastępów, że chrześcijańskiemu wojsku swojemu da zwycięstwo... czuję to, wierzę najmocniej.

Hetman litewski milczał, z wolną rękę spuszczoną za pas założył.

– Boli mię to, że was przekonać nie mogę – rzekł – ani się dać przekonać. Stoję przy swoim – czterdzieści na osiemdziesiąt stawać nie możemy. Mój żołnierz spod strzechy, pierwsze pole, nie dostoi... pierzchnie jeden pułk, popłoch pójdzie – zginiemy wszyscy. Na Boga... ojczyznę zgubiemy!

– Ocalim ją, uratujemy! – zawołał Sobieski z ogniem wielkim. Posłuchajcie żołnierzy pod namiotami. Wrą wszyscy niecierpliwością i żądzą pomszczenia się. Nigdy Polska niczyją hołdownicą nie była, nigdy pęt nie nosiła na sobie – rozkazywała i siała trwogę! Myśmy dopiero padli tak nisko, że Turek nam haracz narzucił, że śmie kaftan słać królowi i wymagać poddaństwa. A my w takiej chwili wahać się mamy, iść – życie dać – ginąć, aby upodlonymi nie żyć!

– Życie dać – zamruczał Pac – to najłatwiej, lecz nim okupić wyzwolenie... Rozpatrzcie się baczniej, panie hetmanie, nie spożyjemy ich... zgniotą nas liczbą swoją.

– Właśnie położenie obecne – przerwał Jabłonowski – ten atak nam czyni mniej groźnym, ściśnięci rozwinąć się nie mogą.

– Tak – rzekł Pac zimno – ale za to coraz świeże pułki przeciwko naszym stawać będą i w końcu nas złamać muszą.

– Nie znacie Turków – oparł się Sobieski – tej rachuby, tej krwi zimnej u nich nie ma. Gdy nie pokonają nieprzyjaciela pierwszym miotem – uchodzą, żadna siła ich nie wstrzyma. Wojsko ich w ucieczce nie broni się nawet, daje się wyniszczać i ginie. Wszystko to, cośmy tu zastali – dodał – było przewidziane i spodziewane. Zszedłem z zamiarem stoczenia walki i od niej nie odstąpię. Polska albo się jutro wyswobodzi, lub nigdy już nie będzie wolną. Wszyscy, ilu nas jest, pragniemy, wołamy, domagamy się boju i wierzym w zwycięstwo. Wam, panie hetmanie, nie daję rozkazów, nie narzucam woli mojej, czyńcie, jak wasze przekonanie wam dyktuje, będziecie świadkami, żeśmy, ojczyźnie dług spłacając, legli jej wierni, jeżeli Bóg nas skazał na to.

Odstąpił krok i otarł czoło. Wszyscy milczeli, a wśród ciszy tej wicher zawył z daleka. Pac stał dumny, nie przekonany, uparty, milczący. Stali tak dwaj starzy zapaśnicy naprzeciw siebie, jeden z twarzą wypogodzoną, pełną rycerskiego męstwa wyrazu, drżącą wzruszeniem – drugi chłodny, upokorzony nieco, ale pan siebie i nie dający się pokonać.

Sobieski, jakby na tym miała się skończyć rada wojenna i spór cały, który za rozstrzygnięty uważał, uprzejmie się zbliżył do Paca, zmienionym głosem, spokojnym zapraszając go na kubek wina przygotowany.

– Różnica zdań – odezwał się – nie powinna wpływać na osobiste stosunki, panie hetmanie... ani wy mnie zuchwalstwa mego za złe nie bierzecie, spodziewam się. Szedłem tu, życząc tylko, aby los mi pozwolił walczyć pod murami Chocima. To dla mnie *omen* i otucha.

Hetman litewski na próżno twarz, zazwyczaj chmurną, starał się trochę rozjaśnić.

– Szczęśliwego tego przeczucia ja, niestety, podzielać z wami nie mogę – odezwał się, powoli kubek biorąc do ręki. – Życzę wam, aby się ono sprawdziło, a da li Bóg, cała zasługa i sława wam należeć będzie. W moich oczach wszystko się składa najniefortunniej, a Mołdawianom nie wierzę. Jak niewolnik chytry jest i przewrotny. Znana to sztuka jego – wszystkim obiecywać, a nie dotrzymać nikomu.

– Postawię go tak, abym się go w żadnym razie nie mógł obawiać – rzekł Sobieski – a na jego posiłek wcale nie rachuję – tylko na ten popłoch, jaki zdrada rzucić musi. Pora w istocie gorszą już być nie może, ale na pogodę czekać nie mamy o czym, bo nam paszy i chlebow zbraknie. Żołnierz, dzięki Bogu, rwie się jeszcze, później znużony ostygnie i ducha straci. Jutro więc lub nigdy! Stójcie, a patrzcie, panie hetmanie – dodał z uśmiechem – jam jednego pewien – że nie dotrzymacie beczynnie, serce wam w piersi uderzy i trąby do boju zagrają.

To mówiąc ręce zatarł i rozśmiał się wesoło Sobieski.

Narada była skończona. Pac nie mówił nic, przybity tym, że sam jeden z ostrożnym swym zdaniem pozostał. Chwilę jeszcze zabawiwszy pod namiotem Sobieskiego, pożegnał go, siadł na koń i odjechał.

Rotmistrze też odebrawszy rozkazy, radzi z nich, gotowi wszyscy porozjeżdżali się do pułków swoich. Ostatni Jabłonowski, w chwili pożegnania rzucił się w objęcia przyjacielowi. Uścisnęli się milczący, ale pełni nadziei i ufności, że jutro przynieść musiało zwycięstwo.

Po odejściu Jabłonowskiego hetman przed obrazkiem N. Panny rzucił się na kolana i modlił krótko, ale gorąco. Wstał i zadumał się.

Przed oczyma jego stanął ten wymęczony, nieszczęśliwy król, który tam gdzieś z dala konał, miotany trwogą, bez pociechy, bez nadziei może. Litość, która w serce raz wstąpiła, odezwała się odżywna.

– Winienem mu choćby ostatnią osłodzić chwilę – rzekł do siebie. – Ze Lwowa piszą, że dni jego policzone; jakżebym rad, aby wiadomość o zwycięstwie jeszcze go przy życiu zastała!

Zawołał Koryckiego.

– Przygotujcie tak wszystko – rzekł – aby jutro, gdy Bóg da żyć, posłaniec najbystrzejszy do Lwowa był gotowy. Są rozstawione konie? Dziś nie posłę już listów żadnych... jutro...

Takim był przeddzień chocimskiego zwycięstwa.

A we Lwowie? Król leżał na łożu, z którego już po Toltiniego odwiedzinach podnieść się nie mógł. Wzmagaly się cierpienia, rosła gorączka. Braun chodził, nie odpowiadając na pytania.

Heli zaledwie się z rana udało przekonać niepokojącego się Michała, iż żadnego posła dotąd we Lwowie nie było, iż słyszano o jakimś, ale ten przez Sobieskiego był zatrzymanym, a o żadnych wymaganiach haraczu nikt nie wiedział.

Zapewnienia jej tak były stanowcze, zaręczenia tak silne, że król w końcu umilkł przekonany, choć zawsze trwożny.

Tymczasem w istocie gotowało się coś, co nieszczęśliwego, konającego dobić mogło.

Straże postawione przy gospodzie tureckiej z wolna zaniedbywać się zaczęły, ubezpieczone tym, że aga czekać obiecywał, aż król pozdrowieje. Turek też przezorny nikomu się nie przyznał do tego, iż zamierzał niespodzianie, gwałtem się królowi narzucić. Traktat buczacki zuchwałym go czynił, obchodził się tu ze wszystkimi jak z hołdownikami pana swojego.

Poprzedzającego dnia wzbronić mu nie można było przejażdżki po mieście. Przeciągnął z kilku swoimi kawasami po ulicach, przypatrywał się zamkowi. Ormianin²⁵³, tłumacz usłużny, wskazywał mu różne miejsca i opowiadał dzieje.

Nazajutrz z południa zamierzył, też z tym samym tłumaczem się umówiwszy, wyjechać na miasto i gwałtem wtargnąć do króla.

Było to zuchwalstwo, które tylko ów nieszczęsny haracz i traktaty usprawiedliwić mogły. Aga czuł się tym obrażonym, że jemu, posłowi Padi-Szacha, odmawiano przystępu do króla, którego sobie lekcewał, a w chorobę jego ciężką wierzyć nie chciał. Zmusić więc zamierzał królewskich urzędników i dwór, aby go do króla wpuścili.

Zawczasu przysposobioną szkatułę ową, zawierającą kaftan, obwiniętą jedwabnymi chustami, miał sobie powierzona starszy sługa, a firman sułtana na piersiach z sobą zabrać chciał aga.

Spisek ten uknuty był z taką pozorną obojętnością, iż nikt się go spodziewać, nikt przewidywać go nie mógł.

²⁵³ O r m i a n i e – uciskani przez Turków we własnej ojczyźnie Armenii, szukali schronienia w sąsiednich krajach. Do Polski przybyli w XII wieku i osiedlili się na Wołyniu i Podolu

Kiełpsz i ks. Olszowski wiedzieli o tym, że dnia wczorajszego aga się rozpatrywał i przejeżdżał po mieście. Niepokoilo to krajczego, ale dodany Turkowi urzędnik tłumaczył się tym, że oprzeć się nie mógł, a aga oburzał się i tak na rodzaj niewoli, w jakiej go trzymano.

Michał leżał w gorączce, chociaż przytomność mu powracała, bolejący – otoczony przez najulubieńsze swe sługi. Nikt w świecie nie domyślał się podstępu i uknutego spisku, gdy z południa, przyodziawszy swe najparadniejsze szaty, aga na najpiękniejszym ze swoich koni, z małym poczem, wrzekomo na przechadzkę wyruszył.

Mówiono już o nim wiele w mieście – około gospody stało zawsze ciekawych dosyć, a wieść o przejeździe jeszcze ich więcej zgromadziła.

Szczęściem jakimś dworzanin króla, Masłowski, który już się o owej szkatułce i kaftanie nasłuchał, dostrzegł, gdy na koń wsiadali, iż jeden z towarzyszących adze zabierał z sobą spory węzeł, obwinięty w jedwabne chusty.

Uderzyło go i to, że dzisiejszy strój Turka, który wczoraj bardzo był odziany skromnie, jakby uroczyste jakieś wystąpienie zwiastować się zdawał.

Przestraszony tym przypuszczeniem, które na myśl mu przyszło, iż aga może gwałtem chcieć się dostać do króla, a samą wzbudzoną wrzawą choremu spokojowi zakłócić, Masłowski pędem się kopnął do królewskiego mieszkania.

Tu nikt się wcale żadnego nie domyślał niebezpieczeństwa, ks. Olszowskiego nawet przy królu nie było.

Kiełpsz z żoną siedzieli w ciemnym, z pozapuszczanymi oknami sypialnym pokoju, pod słuchując oddech ciężki, wyrrywające się z ust wyrazy i bolesne jęki. Wśród tego spokoju jak piorun spadł Masłowski, wywołując Kiełpsza do sieni.

– Panie krajczy – zawołał – turecki ten pies znowu na miasto się wybrał, nie mogli go wstrzymać. Nie było, to nie było... alem na moje oczy widział, gdy za nim wynoszono jakieś zawiniątko spore, które sługa wiezie pod płaszczem. Wystroił się też pan aga, jakby na posłuchanie jechał, kat go wie, sprzykrzyło mu się, gotów tu gwałtem wpaść na króla.

– Pilnują go stróże! Nie może to być! – zawołał Kiełpsz. – Nie będzie śmiał!

– A ja bym mu nie wierzył – rzekł Masłowski. – Jużcić, choćby i przyjechał, nie dopuścim go, ale wrzasku Turcy narobią, bo wiadomo, jak oni kwiczeć umieją.

Kiełpsz rozmyślać począł. Wczorajszego dnia Turek wcale w ulicy się tej nie pokazywał; wyprowadził Masłowskiego, aby naglą, czy się nie skieruje w tę stronę, tymczasem i gwardii dał rozkaz, aby więcej żołnierza stanęło przy królewskiej kwaterze i niespokojny do ks. Olszowskiego wysłał z oznajmieniem.

Trwoga cała jeszcze się zdawała nieusprawiedliwioną niczym oprócz popłochu, jaki rzucił Masłowski, gdy wysłany wrócił nagle krzycząc, że aga już był w ulicy i wprost zmierzał ku królewskiej kwaterze.

Nie ulegało wątpliwości, że tu zuchwale wtargnąć zamierzał. Ks. Olszowskiego nie było, ani nikogo, co by mógł stanowcze wydać rozkazy, ale Kiełpsz miał dosyć odwagi, aby dla ocalenia króla, największą odpowiedzialność wziąć na siebie.

Straży oddziałem przy domu dowodził towarzysz stary – namiestnik Świderski, a temu do zuchwałego kroku nigdy na męstwie nie zbywało.

Wybiegł krajczy do niego.

– Panie namiestniku – zawołał – króla ratować musimy. Turek, ten zuchwalec, jedzie wprost, bodaj tu do chorego [się] dobijać. Potrzeba go po prostu wziąć i uwięzić. Nie mamy nic do stracenia, bo tam się i tak Sobieski już z nimi ściera.

– A gdzie ta bestia? – krzyknął Świderski – w to mi graj!

Zawołał na ludzi swoich i sam już siedział na koniu.

Z dała w ulicy, widać było klusem podążającego agę, któremu Ormianin dom przez króla zajęty wskazywał. Świderski z kopyta ruszył przeciwko niemu, na ludzi wołając, aby otoczyli i nie puszczali dalej.

Turek, widząc wybiegającą tłumnie gwardię, nie domyślał się zrazu, że przeciwko niemu wymierzona była, aż gdy go zewsząd opasali żołnierze, wołać zaczął na tłumacza.

Przestraszony Ormianin podbiegł do Świderskiego.

– Co pan najlepszego robisz?! – krzyknął. – Wszak to poseł sułtana, do króla jadący!

– A kto mu do króla pozwolił jechać? – odparł Świderski.

– Albo on o pozwolenie będzie pytał?! – zawołał Ormianin. – Co wam się zdaje?

– Mnie się zdaje – rzekł namiestnik – iż ja go z moimi ludźmi na gospodę odprowadzę po dobrej woli albo i po niewoli. Jak mu do gustu. Ani kroku dalej – powiedz mu to ode mnie. – Skoczył Ormianin do agi z przestachem, oznajmując, że dalej puścić nie chciano.

Turek się rozsierdził i na swoich skinął. Dobyli szabel. Gwardia też nie czekała i stała w pogotowiu, a Świderski pistolety podsypać kazał i wnet je pośpiesznie dobyto. Aga stał błądy, trzęsąc się z gniewu – już, już do bójki przyjść miało, gdy od królewskiego dworu znowu kupka żołnierzy z muszkietami biegiem nadciągnęła.

– Powiedz swojemu adze – krzyknął Świderski – że ja na żadne jego poselskie przywileje względu mieć nie będę, ruszy mi się krokiem dalej, każę ognia dać.

Turcy się policzyli, że opór był niemożliwy. Krzycząc i łajając zabierali się do odwrotu. Ale odwrót był zaparty. Objęto ich tak dokoła, że się ruszyć nie mogli.

Świderskiemu rozochoczonemu na tym nie było dosyć.

– Powiedz temu skurczypałce – krzyknął do Ormianina – niech szable natychmiast oddają. Biorę ich do niewoli, bo swobodnie puścić nie mogę, kiedy tu po mieście broją.

Tumult się wszczął pomiędzy Turkami, Świderski nie ustępował.

– Niech mi zaraz broń składają – krzyczał – a nie, to ja ich w pień wszystkich wyścinam!

I wywijał szablą w powietrzu.

Aga błądy był ze złości jak ściana, ale gdy się obejrzał, że tu i wojska i ludu coraz więcej się ściąga, a pospólstwo, rozgrzane przez Świderskiego, przybiera coraz groźniejszą postawę, począł się prosić przez Ormianina:

– Odprowadźcie mnie do gospody, będę czekać spokojnie.

Świderskiemu chciało się na swoim postawić.

– Broń niech złożą! – wołał – nic nie pomoże.

Zaczął się parlamentowanie próżne, Turcy radzi nieradzi, widząc się w saku²⁵⁴, z wrzaskiem i przekleństwami szable na bruk ciskać zaczęli, które Świderski pilno kazał pozbierać, bo taka broń warta coś była.

– A teraz – zawołał – choć mam w trokach sznurek jedwabny na wiązanie jeńców, niech idą, jak stoją, do gospody, tylko ich z oka nie spuszczać.

Już tedy aga zawrócił się i Świderski z nim, z dobytą szablą, poważny, węża kręcąc jechał, odprowadzając go do gospody, tryumfując, aż nadbiegł za nimi Trzeciak z kancelarii króla.

– Panie namiestniku – krzyknął – toście nam dopiero kaszy nawarzyli! Wiecie wy, co to znaczy posła w niewolę brać i ignominie²⁵⁵ mu taką wyrządzić? Taż to *ius gentium laesum est!*²⁵⁶ Co my teraz poczniemy?!

Świderski się rozsierdził.

– E! co mi tam *ius gentium!* Sobieski ich tam płata już, a my tu będziemy szanowali. Chciał nam tu pod nos kurzyć! A zasię! Co z woza spadło – to przepadło.

I dał znak, aby prowadzono więźniów dalej, a Trzeciakowi tylko rzucił na odjezdnym:

– Odprowadzę go do gospody, straż postawię, a potem się z ks. podkanclerzym rozmówię.

Tak się stało. Turcy, jak niepyszni, musieli do gospody nazad, ale im pałaszów nie oddano i Świderski strażę postawiał w rzędzie, dając im rozkaz: zechce który się wymykać precz – kulą w łeb.

²⁵⁴ w s a k u (hebr.) – w matni, w potrzasku, w sieci

²⁵⁵ i g n o m i n i a (z łac.) – hańba, niesława

²⁵⁶ i u s g e n t i u m l a e s u m e s t (łac.) – zostało pogwałcone prawo narodów

Sam wprost stamtąd pojechał na kwaterę do biskupa i zastał go właśnie, gdy od arcybiskupa powróciwszy się przebierał. Kazał się oznajmić Świderski. Biskup wyszedł natychmiast.

– Co mi tam W. Mość powiesz dobrego? – zapytał.

– Fraszka, księże biskupie, Turków do niewoli wzięłem, co mam z nimi robić?

– Gdzie? jakich?! – zawołał przestraszony biskup.

– Ano, tego agę! Wiercił mi się po ulicach, gwałtem chcąc do króla, ażem musiał go osaczyć i zmusić do złożenia oręża. Ksiądz Olszowski pobladł i zaczął się trząść ze strachu.

– Jezu! Mario! – wykrzyknął. – Cóżes to waćpan najlepszego uczynił! Poseł jest, nietykalna osoba! Świderski ramionami ruszył.

– Ja tam o tym nie wiem nic, a bruździ mi i chce samowolnie do króla – a zasię! Dałem go pod wartę. Co z nim czynić...

– Albo ja wiem – mruknął rozmyślając podkanclerzy – niech tak zostanie, jak jest, ale patrz waćpan, aby mu włos z głowy nie spadł. Turcy larum²⁵⁷ narobią i mścić się będą.

– Mnie się widzi, księże biskupie, że ich tam nasz hetman rozumu nauczy i ani pisaną. Tymczasem o zdrowie króla JMci chodziło.

I Świderski odszedł zwycięski, ale po mieście trwoga się wzięła wielka, że posła śmiano w niewolę zagarnąć.

Wieczorem na pewno spodziewano się posłańca spod Chocimia.

Stan króla był zawsze ten sam, tylko ku wieczorowi, jak zwykle, gorączka się powiększała, później od rzeczy mówił i majaczył.

Braun pytany albo nie odpowiadał nic, lub mruczał:

– Księdza więcej mu potrzeba niż doktora, ja mu nie poradzę ani stu nas, gdyby było.

Wśród głuchoj ciszy w całym domu leżał tak Michał marząc, a tych marzeń przedmioty czasem się odgadywać dały z urywanych wyrazów, które mu z ust się dobywały.

– Są listy? Jest co od hetmana? – pytał. A nie otrzymawszy odpowiedzi padał jęcząc na poduszki.

Drzemał, budził się i zrywał znowu.

– Kamieniec wzięli! Kamieniec wzięli!

Nikt nie odpowiadał i twarz sobie rękami okrywając – milczał.

Wśród takiego rozgorączkowania nadszedł wieczór, obawiano się pogorszenia.

Tymczasem stało się całkiem przeciwnie. Przebudził się król zmienionym, słabym, ale naturalnym głosem pytając o godzinę.

Krajczyna, będąca przy łóżku, odpowiedziała mu, zapytując czyby pić nie chciał. Potrząsnął głową.

Twarz straszliwie wychudła miała wyraz inny, ostygły. Zdawało się, że jakieś przesilenie zajęć musiało wewnątrz. Mówił zimno i przytomnie.

Uradowało to niezmiernie krajczych oboje i Kiełpsz skoczył po Brauna, oznajmiając mu, że król zdawał się pod wieczór znacznie lepiej.

Pospieszył natychmiast doktor i najpierwsza rzecz, za puls pochwycił... okazując podziwienie wielkie.

W istocie, choroba zdawała się ustępować, gorączka znacznie się zmniejszyła, umysł był zupełnie przytomny, król sobie przypominał wszystko i uskarżał tylko na osłabienie.

Polepszenie było tak widoczne, a tak wielkie, iż we wszystkich nadzieja wstąpiła. Ks. Olszowski przybywający oczom i uszom wierzyć nie chciał. Braun ramiona ścisnął.

Na dzień ten obiecana była wiadomość od wojsk, którą Sobieski dać przyrzekł, gdy na miejscu pod Chocimem stanie i siły nieprzyjaciela a położenie swe będzie mógł ocenić. Oczekiwano więc z niecierpliwością. Tymczasem król spowiednika zażądał.

²⁵⁷ l a r u m (z włosk.) – alarm, wrzawa, zgiełk

W ciszy i bez żadnego rozgłosu, który by ludzką ciekawość mógł budzić, odbyło się przyjęcie ostatnich sakramentów, chory leżał uspokojony i niemal uśmiechnięty.

Co chwila tylko kazał się dowiadywać o posłańca od hetmana.

– Widzę go – mówił – widzę! Jedzie... listy mi wiezie...

I ręce składał, ku niebu je podnosząc. Niekiedy oczy zamykał i drzemał lekko, potem otwierał je i coś szeptał.

Tak do późnej godziny nie chcąc usypiać, broniąc się niemal od snu, oczekiwał ciągle, aż istotnie zastukano do wrót, goniec przybył.

Ks. Olszowski wybiegł nieznacznie, aby listy naprzód odczytać, nimby je mógł królowi ukazać... obawiał się złej wiadomości, która by znowu stan jego mogła pogorszyć.

Ale list hetmana, własną jego pisany ręką, był pełen najpiękniejszych nadziei.

– Mogę wciąż moją szlachecką i rycerską zaręczyć, że Turków pokonamy... Leżą w tak ciasnym obozie, że mi się wymknąć nie będą mogli. Wiem, że hetman Pac bitwy wydawać nie będzie życzył, ale ja muszę iść i muszę zwyciężyć, i będą pomszczone klęski i traktaty – jako na niebie Bóg... zwyciężymy...

Z tym listem rozradowany wszedł ks. biskup chełmiński. Król już tym jasnowidzeniem, jakie miewają chorzy, przeczuł posłańca i domagał się pisma.

Ze złożonymi rękami, podniósłszy się, siedząc, słuchał czytania... a z oczów mu łzy popłynęły. Wielka radość na wymęczonej odmalowała się twarzy.

Podniósł oczy do góry i rzekł:

– *Nunc dimitte servum tuum, Domine*²⁵⁸.

Z wolna pochylił się na poduszki... uśmiechnął dziękczynnie podkanclerzemu i spokojnie legł jak do snu... oczy mu się zamknęły... odstępili wszyscy – oddech słaby słyhać było.

Kiełpszyzna uklękła przy krześle i modliła się.

Wśród ciszy nagle ciężkie dało się słyszeć westchnienie... Podbiegła ku niemu.

Król nie żył.

KONIEC

²⁵⁸ *Nunc dimitte servum tuum Domine* (łac.) – Teraz odeślij w pokoju sługę Twego, o Panie!

POSŁOWIE

W powieści *Król Piast* Kraszewski przedstawił panowanie króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Dzieje tego monarchy należą do najbardziej zaniedbanych okresów w polskich badaniach historycznych.

Kraszewski już w początkach swojej twórczości przeprowadza poszukiwania związane z historią XVII w. Na łamach redagowanego przez siebie czasopisma „Athenaeum” pisarz, czerpiąc ze *Zbioru pamiętników* J. U. Niemcewicza, opublikował w r. 1841 artykuł pt. *Elekcja Michała Wiśniowieckiego*, stanowiący poważny przyczynek do poznania tej epoki. W późniejszym okresie twórczości, zwłaszcza przy pisaniu powieści *Żywot i sprawy J. M. Pana Medarda z Gołczwi Pełki* (1876), *Pamiętnik Mrocza* (1870), *Boży gniew* (1886), Kraszewski stale pogłębiał i wzbogacał swą wiedzę o kulturze i historii XVII wieku. W wyniku tych zainteresowań ogłosił we własnej drukarni w Dreźnie w r. 1871 cenne źródło, noszące tytuł: *De fontibus qui ad abdicationem Joannis Casimiri et electionem Michaelis Wiśniowiecki pertinent 1668–1669*²⁵⁹. Oprócz wydanych przez siebie źródeł Kraszewski przy opracowaniu fabuły *Króla Piasta* czerpał materiały z pamiętników pisarzy XVII w. I tak elekcję Michała Korybuta Wiśniowieckiego opisał na podstawie *Pamiętników* J. Ch. Paska (1836) oraz *Pamiętników de Chavagnac, legata do Polski... w czasie elekcji króla Michała* (1839). Drugą scenę w powieści, przedstawiającą ślub króla z Eleonorą – arcyksiężniczką austriacką, pisarz oparł o druk ogłoszony w Częstochowie w r. 1670 pt. *Opisanie ślubu króla Michała z Eleonorą*. Ponadto niektóre szczegóły w powieści pochodzą z *Wyjątków z poselstwa do Polski nuncjusza Marrescotti w roku 1668*. Następnie scena przygotowań do walki z Turkami pod Chocimem oraz scena śmierci króla znowu zostały odtworzone na podstawie *Pamiętników* Paska.

Kraszewski w powieści *Król Piast* ustosunkował się z dużą swobodą do źródeł historycznych i pamiętnikarskich. Wiadomości zaczerpnięte ze źródeł były dla niego głównymi wskaźnikami, w jakim kierunku powinna rozwijać się akcja. Większość powieści Kraszewskiego, a przede wszystkim *Król Piast*, nie ma w sobie nic z kronikarskiego relacjonowania wydarzeń; są one natomiast dziełami narodzonymi wyłącznie z wyobraźni twórczej pisarza oraz z rozległej jego wiedzy. Często jakieś zdanie, drobna informacja czy też niewielka scena wzięta ze źródeł, będzie dla Kraszewskiego podniętą do odmalowania plastycznego obrazu w powieści. Np. przytoczona niżej scena z *Pamiętników* Paska stała się podstawą do odtworzenia wielkiej sceny elekcji Michała Wiśniowieckiego... „Niewiele by nam trzeba szukać króla, mamy go między sobą. Wspomniawszy na cnoty i poczciwość przeciwko ojczyźnie, wielkie *merita* księcia śp. Jeremiego Wiśniowieckiego, słuszną, by rzecz zawdzięczyć to jego *posteritati*. Owo jest książę jegomość Michał, czemuż go nie mamy mianować; alboż nie z dawnej wielkich książąt familii, alboż niegodzien korony? A on siedzi między szlachtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi. Skoczę ja znowu do swoich i powiem: „Mści Panowie, już w kilku województwach zanoszą się na Piasta”. Spyta mnie pan krakowski: „A na któregoż?” Powiem, że „na Polanowskiego a tu na Wiśniowieckiego”. A tymczasem hukną w Sandomierskiem: „*Vivat Piast*”. Dębicki podkomorzy ciska czapkę do góry, wrzeszczy na wszystkich głos: „*Vivat Piast, vivat rex Michael*”. A tu też nasi Krakowianie: „*Vivat Piast*”. Rozbieży się nas kilku między województwa inne z musztulukiem [dobrą nowiną] wołając, „*Vivat Piast*”. Podobnie krótkie relacje, związane ze ślubem króla z arcyksiężniczką Eleonorą pod piórem pisarza nabierają rumieńców życia, uzyskują swoją plastykę, barwę i blask.

Kraszewski w interpretowaniu wydarzeń historycznych, jak i w charakteryzowaniu swoich bohaterów, posiadał swój sąd indywidualny, własny. Mimo to nie zawsze potrafił się uwolnić

²⁵⁹ *De fontibus...* (łac.) – O źródłach, które odnoszą się do Jana Kazimierza i do elekcji Michała Wiśniowieckiego 1668–69.

spod oddziaływania poglądów powszechnych w historiografii XIX w., a dziś, na podstawie nowych badań, uważanych jako fałszywe. Za głosem ówczesnie panujących poglądów Kraszewski charakteryzuje królową Eleonorę jako kobietę złą i nie kochającą swojego męża. W powieści, przy pomocy prymasa Prażmowskiego, dąży ona nawet do detronizacji króla Michała, aby na jego tronie osadzić księcia Lotaryńskiego, któremu w miłości pozostała wierna. Ujemna ocena Eleonory zaczerpnięta jest przez Kraszewskiego z pism ulotnych, szerzonych przez obóz „malkontentów”, któremu przewodził Prażmowski. Opinie, pochodzące z XVII w., nieraz bardzo krzywdzące króla i królową, przetrwały nawet w poważnych pracach historyków XIX w. i zostały podsumowane w dziele badacza francuskiego N. A. Salvandy *Historia króla Jana Sobieskiego*, Lwów, 1862, t. II, str. 41. Tymczasem dzisiejsze badania rzucają zupełnie inne światło na postać królowej. „Nie ulega kwestii – pisze współczesny historyk – że chwilowo rozpuszczane przez opozycję wieści, jakoby sama Eleonora godziła się na rozwód z Michałem i małżeństwo z Francuzem, pozbawione były zupełnie podstawy. W okresie rosnącego napięcia walki stronnictw w Polsce, Eleonora zalecała nawet Michałowi oględne i taktowne postępowanie wobec niektórych przywódców opozycji (np. Jana Sobieskiego). Budziło to tylko dla niej szacunek w sferach „malkontentów”, którzy najostrożniej atakowali króla, ale oszczędzili widocznie królową, kiedy w początkach 1673 r. nawiązane zostały układy między dwiema konfederacjami (gołąbską i szczebrzeszyńską), zgodzono się na pośrednictwo królowej”. Dla pełnej charakterystyki Eleonory należy także dodać, że na wieść o śmierci Michała usiłowała ona dostać się do Lwowa i że król w testamencie nazwał królową „kochaną małżonką” i uczynił ją wykonawczynią swoich ostatnich zarządzeń.

Następnie Kraszewski w ocenie pewnych drastycznych faktów rozsnuwanych za życia króla przez jego wrogów ustosunkował się z dużą powściągliwością i taktem. Nie podawał za pewnik tego, co w charakterystyce króla i jego współżycia z żoną było osłonięte tajemnicą, co nawet w dzisiejszych badaniach historycznych stanowi sprawę wątpliwą i ostatecznie nie udokumentowaną. Dlatego nie mając faktów pod ręką nie rzucał ponurych cieni na małżonków i nie snuł domysłów, które mogłyby być oszczerstwem, uwłaczającym godności króla.

Pisarz posiadał duże poczucie odpowiedzialności wobec czytelników i dlatego o sprawach wówczas, a nawet jeszcze dziś, nie mających pokrycia w źródłach – milczał. I dzięki tej postawie moralnej pisarza główne postacie w powieści nie są przedstawione płasko i szablonowo, lecz uzyskują one głębię, na dnie której kryje się tajemnica, będąca podstawą każdego dzieła sztuki i wszelkich mądrych kontaktów między ludźmi.

Postawa etyczna pisarza wobec swoich bohaterów sprawia, że król Michał, przedstawiany przez różnych historyków jako żarłok, sybaryta i człowiek niedołężny, o którym się mówi z uśmiechem pobłażania albo z politowaniem, w powieści ukazany jest w wymiarach wielkiego dramatu. Tragizm króla Piasta polega na dysproporcji między jego właściwościami charakteru a obowiązkiem i powołaniem, jakie na niego zostały nałożone, wbrew jego woli.

Michał Korybut Wiśniowiecki jako człowiek niczym się nie odznaczał. Wyniesiony na tron polski przypadkowo, dzięki zasługom ojca, został siłą rzeczy powołany do wypełnienia zadania, które było ponad jego możliwości. Jednocześnie król Michał, z natury ośpały, gnuśny i dobrze się czujący wyłącznie w domu, został rzucony w wir spraw politycznych i państwowych. Duma rodowa i ambicja nie pozwalają mu jednakże złożyć korony i dlatego pełni on obowiązki wbrew własnemu przekonaniu i swoim zdolnościom. Postać króla przedstawiona jest na tle walk różnych stronnictw, przy czym konflikt monarchy z niektórymi partiami zarysowany jest bardzo mocno. Niektóre z tych stronnictw zmierzają nawet do detronizacji Michała. Król w zmaganiach tych okazuje swoją nieudolność, brak animuszu rycerskiego i niedołęstwo.

Michał Wiśniowiecki cierpi głęboko i staje się ofiarą własnej słabości, a o koronie swojej mówi z goryczą, jako o koronie cierniowej. Na skutek splotu tych różnych, przeciwstawnych sobie wydarzeń i zwalczających się wzajemnie sił, król Michał jest w powieści bohaterem

rozpaczliwie samotnym. Cierpienie i samotność Michała stanowi ekspiację za jego niedołęstwo i wynosi go wysoko w hierarchii godności ludzkiej.

To prawdziwe człowieczeństwo, jakim obdarzył Kraszewski króla Michała, najwyraźniej się zarysowuje w postawie króla wobec przygotowań do walki z Turkami. Wówczas to Michał, zmagający się z ciężką chorobą i będący już na progu śmierci, usiłuje wziąć udział w walce przeciwko wrogom. Podąża nawet do obozu wojennego i w ten sposób pragnie zrehabilitować się za podpisanie hańbiącego dla Polski traktatu w Buczaczu.

Ta postawa wewnętrzna króla, wobec wydarzeń decydujących o przyszłych losach Polski, budzi nawet u jego przeciwników współczucie i szacunek.

Tragiczna ironia losu sprawia, że król, tak gorąco oczekujący rozgromienia Turków, umiera w przeddzień zwycięstwa pod Chocimem. Nad tragicznymi dziejami króla Piasta zawisł przypadek i fatalizm. Uwydatniony on jest w zmaganiach króla z samym sobą i z losem, któremu musi wreszcie ulec.

„Był to jeden z najniezwyklejszych monarchów – pisał Kraszewski w *Wizerunkach królów i książąt polskich* – którego los jakby na to wyniósł tak wysoko, aby go żółcią napoić... Prześladowany na tronie, nie mający zręczności okazania ani rozumu, ani męstwa, niedoceniony, niepoznany, zamęczony, padł ofiarą jakiegoś fatalizmu”.

Głównym motywem powieści jest panowanie króla, ukazane na tle wielkich scen historycznych, do których należą elekcja Michała Wiśniowieckiego, ślub króla z Eleonorą i śmierć króla w powiązaniu ze zwycięstwem nad Turkami.

W scenie przedstawiającej elekcję pisarz okazał niepospolity kunszt swojej sztuki pisarskiej, polegający na stopniowaniu środków ekspresji, osiągając w końcu obraz o pełnym, dramatycznym napięciu. Kraszewski odmalował tu jasno i przekonująco intrygi i burzliwe obrady szlachty i z dużą swobodą scharakteryzował przeciwstawne sobie obozy. Po mistrzowsku odtworzył ekskluzję Kondeusza i wybór króla Piasta.

W drugim wielkim obrazie, odtwarzającym ślub króla z Eleonorą, Kraszewski, przez plastyczne zlokalizowanie tej sceny w klasztorze jasnogórskim oraz przez barwne uwypuklenie ówczesnej obyczajowości, ożywił suchą relację kronikarską. W scenie tej nie ma antykwarecznych rekwizytów, są natomiast żywi ludzie o gwałtownych uczuciach i namiętnościach.

Niemало pomysłowości wykazał pisarz przy odzwierciedleniu intryg zmierzających do detronizacji króla oraz w scenie przygotowań wojennych. Ponadto w akcję powieści bardzo zręcznie wplótł Kraszewski romans dworzanina Kiełpsza z Heleną Zebrzydowską. Romans ten przedstawiony przez pisarza w sposób schematyczny, przypomina analogiczne motywy w innych jego powieściach.

Kompozycja powieści ma wiele zalet. Przede wszystkim jest ona zwarta i przeprowadzona z dużą oszczędnością środków wyrazu. Główne akcenty rozłożone są w niej tak jak w dramacie. Akcja zostaje zawiązana w początkowej scenie, jej punktem kulminacyjnym są intrygi zmierzające do detronizacji, wreszcie rozwiązanie następuje w scenie śmierci króla, poprzedzającej zwycięstwo pod Chocimem.

Talent narratorski Kraszewskiego w oparciu o głęboką wiedzę historyczną pozwala pisarzowi na ukształtowanie wielkich scen i obrazów o dużej dramatyczności i plastyce. Dramatyczność tych scen bezpośrednio wiąże się z akcją, prowadzoną w sposób bardzo jasny i lakoniczny. Postacie bohaterów, ukazane nie tylko w sprawach państwowych, lecz i w życiu codziennym, uzyskują większą wyrazistość, a kompozycja – przestrzenność.

Wszystkie te cechy stanowią o trwałych wartościach powieści, która należy do najmniej znanych w twórczości Kraszewskiego. Po pięćdziesięciu latach zapomnienia oddajemy *Króla Piasta* do rąk czytelników.

Stefan Świerzewski

NOTA WYDAWNICZA

Powieść J. I. Kraszewskiego *Król Piast* ukazała się po raz pierwszy w roku 1888 w dwóch tomach w cyklu *Powieści historyczne* tom XXVI nakładem M. Gluksberga w Warszawie. Powtórne wydanie ukazało się w roku 1891 w Warszawie. W roku 1903 pojawiło się trzecie wydanie nakładem M. Arcta w Warszawie. Dotychczasowe wydania powieści posiadały wiele błędów drukarskich i nieścisłości.

Niniejsze wydanie *Króla Piasta* oparte jest na pierwodruku. Za podstawę przyjęto tu zasadę nienaruszalności tekstu powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Zachowano składnię i właściwości gramatyczne języka pisarza, unowocześniono interpunkcję, poprawiono błędy drukarskie pierwszego wydania, a niejasności i nieścisłości tekstu uzupełniono w nawiasach kłamrowych. Połączono z sobą akapity, jeśli wymagał tego sens. Podział na rozdziały zachowano jak w pierwodruku.

S. Ś.

Spis treści

Tom pierwszy

Tom drugi

Posłowie

Nota wydawnicza

NA CYKL DOTYCZĄCY DZIEJÓW POLSKI SKŁADAJĄ SIĘ
NASTĘPUJĄCE POWIEŚCI HISTORYCZNE J.I. KRASZEWSKIEGO

1. STARA BAŚŃ
2. LUBONIE
3. BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY
4. MASŁAW
5. BOLESZCZYCE
6. KRÓLEWSCY SYNOWIE
7. HISTORIA PRAWDZIWA O PETRKU WŁAŚCIE
8. STACH Z KONAR
9. WALIGÓRA
10. SYN JAZDONA
11. POGROBEK
12. KRAKÓW ZA ŁOKIETKA
13. JELITA
14. KRÓL CHŁOPÓW
15. BIAŁY KSIAŻĘ
16. SEMKO
17. MATKA KRÓLÓW
18. STRZEMIENICZYK
19. JASZKA, ORFANEM ZWANEGO, ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK
20. DWIE KRÓLOWE
21. INFANTKA
22. BANITA
23. BAJBUZA
24. NA KRÓLEWSKIM DWORZE
25. BOŻY GNIEW
26. KRÓL PIAST
27. ADAMA POLANOWSKIEGO, DWORZANINA KRÓLA IMCI JANA III
SOBIESKIEGO, NOTAATKI
28. ZA SASÓW
29. SASKIE OSTATKI